



Rani Manicka

# JAPONSKA PARASOLKA



# Manicka Rani

## Japońska parasolka

*Przesycona wschodnim mistycyzmem, na poły bajkowa historia życia i śmierci ciemnoskórej Parvathi, urodzonej w Cejlonie kobiety, o której losach zdecydowała przepowiednia.*

*Gdy kapłan oznajmia, że narodzona właśnie dziewczynka stanie się w przyszłości niezwykle piękną i znajdzie bogatego męża, jej ojciec, ubogi i ponad wszelką miarę leniwy wieśniak, dostrzega we wróżbie okazję do wzbogacenia się. W oczekiwaniu na cudowną przyszłość izoluje Parvathi i odprawia kolejnych zalotników. Wreszcie, kiedy w wiosce zjawia się wysłannik mieszkającego na Malajach bogacza, mężczyzna oszukuje go i doprowadza do zawarcia związku małżeńskiego. Szesnastoletnia, marząca o miłości dziewczyna opuszcza dom i ukochaną matkę. Trafia do wspaniałej posiadłości graniczącej z morzem i dżunglą. Rozgoryczony, żyjący wspomnieniami mąż nie jest w stanie pokochać młodziutkiej połowicy, Parvathi znajduje jednak bratnią duszę w Maji - cejlońskiej kucharce, szamance i uzdrowicielce. To dzięki jej towarzystwu dziewczyna znosi cierpliwie swój los, by nieoczekiwanie, w wojennym zamęcie poznać wreszcie, czym jest prawdziwa miłość.*

Stara kobieta i pisarka  
*Kuala Lumpur, 2008*

We wnętrzu wielkiego domu panowała ciemność; tylko w spizarni białoniebieskie światło ulicznej latarni wpadało przez wysokie niezastłonięte okno. Skulona pod cienkim kocem na sypialnej ławie, Marimuthu *mami* wpatrywała się w jasny prostokąt na cementowej posadzce. Dniało, a ona nie zmrużyła oka.

Wczoraj, stojąc za firanką w dużym pokoju, patrzyła, jak dziewczyna parkuje samochód przed bramą. Ściśle rzecz biorąc, nie była to już dziewczyna, jednakże miała na sobie džinsy, a dla dziewięćdziesięciodwuletniej Marimuthu *mami* każdy, kto nosił džinsy, musiał być młody. Wiatr — działo się to w porze monsunu — wywrócił czaszę delikatnej parasolki i dziewczyna musiała przebiec brukowany podjazd, by schronić się przed deszczem. Stawiała właśnie zniszczoną parasolkę przy ścianie ganku, gdy Marimuthu *mami* dotarła do drzwi.

Zwykle starszej pani nie pozwalano otwierać metalowej bramy, gdyż ostatnimi czasy w mieście zaroilo się od indonezyjskich imigrantów, którzy kradli i rabowali nawet w biały dzień. Jednak ulewne opady zatrzymały w drodze córkę Marimuthu *mami*, zadzwoniła więc do domu i pozwoliła matce otworzyć bramę. Dziewczyna usiadła na brzegu ratanowego fotela. Po chwili okazało się, że jest pisarką i chce poznać historię życia gospodyni.

Marimuthu *mami* zamrugła powiekami. Ktoś chce opisać jej życie!

Dziewczyna odczytała tę reakcję jako wyraz niechęci.

— Zapłacę, naturalnie — powiedziała szybko, wymieniając przyzwoitą sumę. Milczenie przeciągało się, dodała zatem, że nie przeszkadza jej, jeśli Marimuthu *mami* prowadziła tradycyjny, spokojny żywot żony i matki, pozbawiony ponurych tajemnic i pikantnych wydarzeń. Pochyliła się ku gospodyni. — Najbardziej zależy mi na opisie japońskiej okupacji Malajów. Chciałabym poznać doświadczenia pani i pani przyjaciółek. Jeśli pani nie zechce, nie wymienię nazwiska — obiecała. — Zamaskuję panią tak, że nikt pani nie rozpozna.

Marimuthu *mami* patrzyła na dziewczynę.

— A może opowie pani o życiu całej społeczności? Byłby to rodzaj współpracy przy pisaniu... — ciągnęła, lecz wyraźnie traciła przekonanie do swojej misji.

Marimuthu *mami* wciąż milczała. Nie mogła wydobyć słowa. Ukryła zaciśnięte dłonie w fałdach sari. Opowiadać o przeszłości tutaj, w domu córki? Teraz, gdy wreszcie zdołała

opanować sztukę cichego życia, zapominania o dawnych sprawach. Opanowała ją tak dobrze, że musiała sobie zapisywać, czy wzięła lekarstwa. Czasem zdarzało jej się zawędrować do kuchni z zamiarem, by coś zjeść, a wtedy córka łagodnym głosem mówiła: „Ależ przed chwilą jadłaś”. Ach tak, rzeczywiście. Całkiem niedawno zbudziła się, nie mogąc sobie przypomnieć, kim jest i gdzie się znajduje. Gdy zdarzyło się to po raz pierwszy, krzyknęła ze strachu, wrywając ze snu córkę i zięcia, którzy przybiegli do jej łóżka.

Na ich widok uświadomiła sobie, że mieszka w ich domu. Tak, tak, naturalnie, już was pamiętam, zapewniła, spoglądając na zatroskane twarze. Mimo to zabrali ją do lekarza. Ze staruszką wszystko jest w porządku, orzekł, lecz zalecił jej rozwiązywanie krzyżówek, aby mogła poprawić pamięć.

Zięć wręczył jej numer „New Straits Timesa” otwarty na krzyżówce, mówiąc przy tym, że nikt nie musi się starzeć. Od starożytnych *rishi* wiemy, że ludzie starzeją się wyłącznie dlatego, iż widzą, jak inni poddają się starości. Siedziała w milczeniu. Ona widziała, jak się zestarzał.

— Spróbuj sobie przypominać — zachęcał. — Z przeszłością może być trudniej, zacznij więc od tego, co robiłaś wczoraj. Gdyby tylko wiedział o przeszłości. O tym, jak tkwiła głęboko zakorzeniona w jej piersi, jak potężne były jej pień i konary. Jakże by się zdziwił, gdyby usłyszał, że pamięta każdy cenny szczegół. Myśleli, że przeszłość jest martwa i zapomniana, albowiem nigdy o niej nie opowiadała, nawet

gdy w telewizji zaczęto trąbić o japońskich zbrodniach wojennych.

Dziewczyna nachyliła się jeszcze bardziej. Na jej twarzy malowała się powaga.

— Nie chcę pani nakłaniać, by plotkowała pani o innych *mami*. *Mami!* Nagle stało się. Wszystkie wróciły. Zmartwychwstałe kobiety, które przychodziły z czarnymi parasolkami, by spędzać gorące popołudnia, kiedy nie było nic do roboty.

Dziewczyna otworzyła torebkę i wyjęła paczkę taśm.

— Nie musi pani udzielać mi teraz odpowiedzi, ale jeśli postanowi pani pomóc, przydadzą się — rzekła, kładąc paczkę na stoliku. Wstała z uśmiechem i się odwróciła. Nagle się zawahała i spojrzała w twarz Marimuthu *mami*. Nie była już zażenowanym podlotkiem udającym, że poszukuje nieważnych strzępów informacji. Ta kobieta dostrzegła skarb i zapragnęła go zdobyć.

— Proszę opowiedzieć przynajmniej o wielkiej kobre.

Marimuthu *mami* musiała odwrócić twarz, by nie widzieć chciwości płonącej w oczach gościa. Pożegnała się i zamknęła bramę, a następnie usiadła w ciemniejącym z wolna pokoju i czekała na powrót córki.

Zadzwoił telefon.

— Czy ona była? — wypytywała pełnym niepokojem głosem. — Poszła już sobie? Zamknęłaś bramę? Twój głos dziwnie brzmi. Nic ci nie jest?

Marimuthu *mami* zapewniła córkę, że czuje się dobrze, a potem znów udała się do swojego pokoju. Gdy córka wróci,

na pewno będzie ją strofować: „Znowu przesiadujesz w ciemnościach”. A może dzisiaj, choć raz, zlituje się nad starą matką i przelotnie muśnie jej dłoń. Córka nie lubiła dotykać i być dotykana.

•••

Poranne powietrze było chłodne, Marimuthu *mami* zadrżała. W tej chwili nie pragnęła rozgrzebywać przeszłości; wolała spokojnie umrzeć, nie zaprzatając sobą niczyjej uwagi. Przeciągnęła się ostrożnie i powoli. Rozciągała wszystkie stawy, gdyż z samego rana były naj sztywniej sze. Usiadła i nie dotykając stopami posadzki, wsunęła je prosto w gumowe pantofle. Zimny oddech ziemi nikomu dobrze nie robi, a zwłaszcza starym kościom. Uliczna latarnia zgasła. Liście bananowców za oknem rysowały się jak płaskie kształty na tle jaśniejącego nieba i machały łagodnie do Marimuthu *mami*. Sama sadziła te drzewa. Zięć już krzątał się na górze. Ona także powinna wstać. Zaszurała nogami i nagle znieruchomiała. Jej biedne stare kości... zapragnęła znaleźć się w łóżku, z gorącym termoforem pod kocem, który przyniesie sobie z szafy pod schodami. Ale i to był za duży wysiłek. Położyła się i zaczęła śnić, zanim zdążyła przykryć się kocem.

Włożyła japońską parasolkę do foliowej torebki i śmiało, bez pozwolenia, otworzyła drzwi i wyszła. Ze zdumieniem zobaczyła tam swoją córkę, biegnącą nie ulicą, lecz ogromnym polem, na którym stały tysiące kobiet rozmaitego wzrostu, kształtu i koloru skóry. Wszystkie trzymały w dłoniach japoń-

skie parasolki! Nigdy nie przyszło jej na myśl, że może ich być tak wiele i że będą dumne ze swoich parasolek. Niektóre nawet kręciły nimi zalotnie niczym gejsze. Nagle ona także przestała się wstydzić swojej parasolki. Po raz pierwszy otworzyła ją publicznie i pozwoliła jej zakwitnąć. Niech wszyscy zobaczą zdobiące ją kwiaty wiśni.

Pomyślała, że to było dobre życie, powtórzyłaby je. Dlaczego miałaby się go wypierać? Jakże by się zdziwiła ta młoda żurnalistka, dowiedziawszy się, że Marimuthu *mami* nie zawsze żyła niczym mysz w spizarni. Że była kiedyś panią domu z setkami przeszklonych okien połyskujących jak szlif szlachetnego kamienia. Przypomniała sobie mężczyznę, który ją kochał i dotykał jej ust. Teraz były tak bardzo pomarszczone. Miłość, ach, miłość! Niczego nie zapomniała. Wspomnienia napłynęły wielką falą.



Waż w Domu Małżeńskim  
*Vathiry, północny Cejlon, 1916*

Była to mała przestrzeń, której część została tymczasowo oddzielona cienkim kocem. Po jednej stronie siedziało po turecku dwóch mężczyzn, paląc w milczeniu. Stary kapłan był dobrze odżywiony, lecz jego towarzysz wyglądał jak skóra i kości. Było to zaskakujące, zważywszy na to, że przez całe życie nie przepracował ani jednego dnia. Wolał siedzieć w przydrożnej knajpce nieopodal, popijając herbatę razem z innymi wioskowymi nierobami. W tym czasie jego żona w pocie czoła uprawiała poletko.

Na klepisku przed głównym kapłanem spoczywały importowany zegarek kieszonkowy w aksamitnym pudełku, wytarty od używania almanach oraz brązowy zeszyt. Raz lub dwa razy kobieta za przesłoną krzyknęła imię swojego boga: „Muruga, Muruga!”. Kapłan odwrócił głowę w stronę stłumionego dźwięku, lecz siedzący obok mężczyzna nawet go nie odnotował. Tymi sprawami zajmowały się kobiety, a poza

tym ona zdążyła nabrać wprawy. Wydała już na świat pięciu synów, a dwóch nawet — już nie pamiętał, którzy to byli — wypadło z jej ciała na ziemię w czasie marszu.

— Już prawie po wszystkim — zapiała stara akuszerka. Zdjęła z drewnianego bloku limonkę, położyła ją na podłodze i lekko pchnęła. Owoc przetoczył się pod kocem w stronę mężczyzn; był to znak, że głowa dziecka wyszła na zewnątrz. Mężczyźni momentalnie spojrzeli na piękny zegarek kapłana. Otworzywszy zeszyt na czystej stronie, kapłan starannie zanotował godzinę: szesnasta trzydzieści pięć. Przy stawianiu horoskopu pomyłka o cztery minuty mogła wszystko zniweczyć. Spoglądając w almanach, kapłan zaczął dokonywać skrupulatnych obliczeń, a jego rozmówca czekał na pierwszy krzyk.

Ten jednak opóźniał się i mężczyzna po raz pierwszy tego dnia okazał obawę: przestał palić, wyciągnął chudą brązową szyję w stronę przepierzenia i zastygł w tej pozie na podobieństwo żółwia. Nagle rozległo się słodkie czarowne kwilenie, pełne zdumiewającej nadziei — niczym szmer wody sunącej po dnie wyschniętego koryta.

Dziewczynka, pomyślał ze zdziwieniem, zanim jeszcze akuszerka obwieściła ten fakt szorstkim głosem i zanim noworodek rozplakał się na dobre. Szybko, by nie okazać radości, na którą w skrytości ducha liczył, zakrył tackę z białym cukrem, którą ofiarowałby kapłanowi, gdyby dziecko było chłopcem, i wyciągnął w jego stronę tackę z cukrem palmowym. Pochłonięty rachunkami kapłan wsunął podarunek do ust, nawet nie unosząc głowy.

Mężczyzna spokojnie ujął w palce papierosa, lecz miał wrażenie, że serce rozpływa się w jego piersi. Czuł absurdalne, niecierpliwe pragnienie, żeby jak najszybciej zobaczyć córeczkę. Nie zastanawiał się nad tym, jak wykarmi jeszcze jedną gębę z nędznych dochodów rodziny. Wyobrażał sobie warkoczyki z kokardkami, kolorowe szklane naszyjniki i nieśmiałe uśmiechy. Lecz wymamrotane przez kapłana słowa sprawiły, że nagle odwrócił głowę, a jego oczy otworzyły się szeroko i zaświeciły. — Niespodziewane ogromne bogactwo — oznajmił kapłan, marszcząc brwi nad notatkami.

— Czy coś nie tak? — zaniepokoił się ojciec.

Kapłan pokręcił głową i powtórzył rachunki, ojciec dziecka zaś gapił się bez zrozumienia na pojawiające się na liniowym papierze nowe słupki. Drapał się w ramię, głośno wciągał powietrze przez zęby i niecierpliwie stukał palcami w klepisko. Wreszcie kapłan odłożył ołówek. Z westchnieniem, gdyż nie znosił przekazywać złych wieści, uniósł głowę i powoli, z namysłem, rzekł:

— Gwiazdy mówią, że zgodnie z przeznaczeniem dziecko wyjdzie za niezmiernie bogatego człowieka. Jednak w ich Domu Małżeńskim znalazły się dwie niepozorne planety: *Rahu*, głowa węża, oraz *Kethu*, jego ogon. — Kapłan potarł dłonią brodę. — Oznacza to, że cały wąż usadowił się w Domu Małżeńskim, przeto małżeństwo dziecka okaże się katastrofą. — Odwrócił wzrok, wypowiadając następne słowa. — Może też dojść do wtřetów ze strony innych męczyzn.

To była najgorsza wiadomość. Wszak celem życia dziewczyny było szczęśliwe małżeństwo. Co miał na myśli kapłan, mówiąc o wtrętach ze strony innych mężczyzn? Czy ojciec może po czymś takim nosić wysoko głowę? Jednak ojciec, leń, ale nie popychadło, nie wydawał się zdruzgotany ani nawet zakłopotany. Spoglądał na kapłana zwięzonymi oczami. Z pewnością istniał sposób, by zniwelować złowrogi wpływ węża.

W istocie tak było.

Kapłan zasugerował, by dotknięte złym proroctwem dziecko polewało mlekiem głowę posągu węża w celu obłaskawienia go. Jednocześnie powinno modlić się do Pulliara, boga słonia, który nosił na ciele pokonane węże jako bransolety i pasy. Jeśli dziewczynka będzie to czynić skrupulatnie, w skupieniu i w szczerości, wszystko dobrze się ułoży.

— Tak właśnie będzie robiła. Codziennie — przyrzekł ojciec.

Kiedy akuszerka spakowała swój tobolek i odeszła, a kapłan udał się do świątyni po drugiej stronie drogi, kobieta zdjęła koc i zrobiła z niego hamak dla noworodka. Podczepiła go do belki biegnącej przez środek domu i kołysała dziecko tak długo, aż zmorzył je sen. Gdy mężczyzna nabrał pewności, że córka śpi, przesunął się do miejsca, w którym wisiało niemowlę. Trzymając w dłoni lampkę, ściągnął okrywający dziecko skrawek materiału i spojrzał na nie z ukontentowaniem. Poza opatrunkiem na pępku było zupełnie nagie. Poruszało białymi od mleka usteczkami i machało cieniutkimi rączkami w proteście przeciw utracie ciepła, lecz przezroczyście

powieki się nie uniosły. Ojcu zaświtała pewna myśl. Niewykluczone, że wyrośnie na wielką piękność, skoro zdoła zdobyć serce bajecznie bogatego mężczyzny. Stęknął cicho. W takim razie nie będzie podobna do matki.

Obrzucił szybkim spojrzeniem bezkształtną postać śpiącą obok dziecka z głową opartą na miękkim ramieniu. Kobieta chrapała z przemęczenia, co go zirytowało, ale stwierdził, że lepiej będzie pozwolić jej spać. Jutro z samego rana matka musi usunąć nieprzyjemną woń krwi, którą przesiąkły ściany jego domu.

Skierował uwagę na niemowlę i jego oczy zaszyły mgłą. Ono było jego skarbem, bez wątpienia najcenniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek posiadał. Może dziewczynka wrodi się w jego babkę. Zapamiętał ją jako staruchę, lecz wiedział, że niegdyś słynęła z urody. W jego zaślepionych oczach nowo narodzona córka wydawała się najpiękniejszą istotą na świecie. Może zabierze ze szkoły najtęższego ze swoich synów i zaproponuje jego usługi pasterzowi Vellaithamowi. W ten sposób córka będzie miała codziennie kubek mleka i zacznie się modlić, jak tylko zdoła złożyć rączki. Ojciec tego dopilnuje.

Uśmiechnął się z rozmarzeniem. Da jej na imię Parwati. Tak jak Parwati zdobyła serce Pana Śiwy wieloletnim, niezachwianym oddaniem i pokutą, tak jego córka obłaskawi budzącego trwozę węza. Niespiesznie, z rozkoszą próbował oczami duszy ujrzeć, co miał na myśli kapłan, mówiąc o ogromnym bogactwie jej przyszłego męża: konne powozy z firankami w oknach, piękne suknie, wielkie połacie ziemi, pałac w mieście, służbę na każde skinienie... Mężczyzna nie

umiał sobie wyobrazić żadnej z tych rzeczy, lecz wystarczyłaby każda z nich.

Pieszczotliwie przesunął palcem po małej rączce. Jej skóra była najdelikatniejszą rzeczą, jakiej dotknął jego niepoprawnie leniwy paluch. Dziecko spało spokojnie, nieświadome dotyku i myśli ojca. Przypomniawszy sobie jej pierwszy płacz, w niczym nieprzypominający krzyku chłopców: słodki, delikatny i przepełniony dziwną tęsknotą. Jak gdyby jej duszyczka już marzyła o wielkim majątku. Nagle, bez najmniejszego ostrzeżenia, pojawiła się nowa, niegodna myśl: jeśli dziewczynce przeznaczony jest upadek z powodu owych „wtrętów”, to przynajmniej niech jej ojciec przedtem zażyje bogactwa. Niczym roztopiony cukier, tężejący pod podmuchem zimnego wiatru, jego serce stwardniało nagle i zmieniło się raz na zawsze.

Oderwał palec, zacisnął usta i okrył szczelnie drobne ciało dziecka. Przetopi złote kolczyki do nosa, które nosi jego żona, i zrobi z nich małe dzwoneczki na nogi dla córki. W ten sposób zawsze będzie wiedział, gdzie się znajduje. Zmarszczył brwi na myśl o tym, że w drzwiach domu nie ma zamka i nie chroni go ogrodzenie. Będzie musiał powiedzieć synom, by wzniesli nieprzenikniony mur z błota i liści palmowych. Równie ważne będzie ścięcie drzewa rosnącego obok domu; zajmą się tym dwaj starsi synowie. Nie pozwoli, by jakieś chłopaczysko szpiegowało jego skarb. Wtręty, też mi coś!

W zapadniętych oczach patrzących z góry na dziecko nie pozostał żaden cień czułości.

## Pożegnanie

Parwati obudziła się, słysząc nadciągającą burzę. Przez kilka sekund leżała bez ruchu i nasłuchiwała. Upewniwszy się, że wszyscy są pogrążeni w głębokim śnie, zsunęła koc i usiadłszy, zdjęła ze stóp dzwoneczki. Trzymając je w zaciśniętej pięści, zręcznie przekroczyła postaci matki, ojca i pięciu pochrapujących braci. W ciemności dotknęła dłonią metalu. Jej niemal zupełnie pusta rodzinna chata jako jedyna w wiosce była zaopatrzona w skobel. Otworzyła go bezgłośnie. Twarz dziewczyny w kształcie liścia betelu odwróciła się na krótką chwilę. Wszystko szło po jej myśli.

Otworzyła drzwi i stanęła w progu. Miała szesnaście lat i, jak dotąd, nigdy nie zapuściła się bez opieki poza tę wytartą belkę. Nawet teraz, gdy nikt jej nie widział i nie mógł zganić, Parwati nie przyszło do głowy, by to uczynić. Być może dlatego, że wiedziała, iż miłość ojca — w odróżnieniu od uczucia matki — jest krucha i pęknie, gdy córka okaże

najdrobniejsze nieposłuszeństwo. A może wierzyła w legendę, wpojoną jej przez ojca: że dla kobiety nie ma nic ważniejszego od jej czystości, a mężczyźni — straszliwi lubieżnicy, wszyscy bez wyjątku — odbiorą jej ją przy pierwszej okazji. Za drewnianą belką, zostawioną sama sobie, Parwati nie mogła liczyć na niczyją obronę.

Niebo pojaśniało, wydobywając z mroku drobną figurę dziewczyny w pozbawionej kształtu bluzie i długiej sukience, które wyblakły, przybierając nieokreślony kolor. Stając na koniuszkach palców, jedną ręką chwyciła futrynę drzwi. Z wyciągniętą długą wąską szyją podała całe ciało do przodu i wysunęła rękę tak daleko, jak tylko to było możliwe. W tym osobliwym pradawnym gościu nie wyglądała jednak jak młoda dziewczyna, usiłująca chwycić w dłonie pierwsze krople deszczu; bardziej przypominała pełną wdzięku tancerkę, która chce wciągnąć do izby ukochanego.

Niebo znów się rozświetliło; mały niebieski kamyczek w jej lewym nozdrzu zamigotał, gdy odwróciła się od zachmurzonego nieba i spojrzała na starożytną świątynię otoczoną palmami. Ich liście poruszały się na wietrze. W smugach deszczu i białym blasku błyskawic wszystko wyglądało niezwykle malowniczo.

Świątynia była licha, lecz otaczały ją ustawione na sztorc wielkie głazy, które przydawały jej niezwyklej, monumentalnej aury. Wierzono, że jeden z nich cisnął sam Hanuman, bóg małpa, który rzucał kamienie do morza, by umożliwić Ramie i jego armii pokonanie cieśniny dzielącej Indie od Sri Lanki. Przy pełni księżyca przybywali wierni z innych wiosek, by



dotykać gładkich i modlić się o łaskę, lecz w ciągu dnia świątynia służyła jako szkoła, w której uczono dzieci czytać święte teksty, pisać i liczyć.

Bracia wkroczyli do środka, nabożnie dotykając kamieni. Parwati nie weszła. Ojciec uważał, że wystarczy, jak córka nauczy się pisać litery w ziarnach ryżu rozsypanych cienką warstwą na *muram*. Mimo to kamienie nie były jej obce. Od dnia, w którym skończyła cztery lata, aż do czasu, gdy zaczęła miesiączkować, Parwati i jej matka pokonywały odległość trzydziestu jeden kroków, dzielącą je od ich domu.

Spoglądała na stare gładkie, które na chwilę stały się białe. Nigdy nie chciała prosić ich o łaskę. Zapewne była dziwnym dzieckiem, lecz miała wrażenie, że tylko ona rozumie, iż ich gładkie, nieruchome oblicza nie mogą nikomu udzielić żadnej łaski. Ta gładkość była złudna. Gładkie nie zawsze były takie, nie stoczyły się z gór dobrowolnie. Olbrzymia mała ostrymi pazurami wyrwała je z matczynej łona i teraz stały niczym sieroty na wygnaniu.

Parwati spoglądała na ścianę deszczu aż do chwili, gdy stwierdziła, że matka niebawem się obudzi. Zamknęła drzwi i przekraczając ciała pogrążonych we śnie, wróciła na swoje miejsce przy ścianie. Przypięła dzwoneczki do kostek, ułożyła się twarzą do matki i wsłuchiwała w jej równy oddech. Wiedziała, że nigdy więcej go nie usłyszy. Podobnie jak kamienie wokół świątyni, ona też wkrótce znajdzie się na smutnym wygnaniu. Jej tobolek już leżał w kącie szopy. Ostatni raz spała przy ścianie rodzinnego domu.

Ta myśl była tak przemożna i zatrważająca, że Parwati

pełnym lęku gestem objęła matkę w pasie. Była prostą dziewczyną, która wszystkie swoje lata spędziła samotnie na podwórku domu, śniąc o innym życiu, a jej ojciec odprawiał po kolei wszystkich miejscowych zalotników. Aż do dnia, w którym zjawił się przepowiedziany w proroctwie bogaty kandydat na męża. Stało się to przed czterema miesiącami.

W czasie negocjacji Parwati kazano się oddalić, ona jednak przyłożyła ucho do drzwi i słuchała, jak swat opisuje „młodzieńca”, którym był czterdziestodwuletni wdowiec. Jego żona jakoby padła ofiarą tajemniczej tropikalnej gorączki. Nie poświęcono jej jednak wielu słów, gdyż o wiele ważniejsza była inna śmierć: zgon ojca zalotnika, którego bogactwo było owiane legendą. Człowiek ten leżał na łożu śmierci i mimo starości i choroby ani myślał rozstawać się ze swoimi posiadłościami i złotem. Dopiero gdy syn wsunął mu do ust grudkę złota i ziemi i mocno przytrzymał, dusza bogacza opuściła ciało. Parwati wyprostowała się, poruszona myślą o takiej nikczemności. Gdy powróciła na swój posterunek, swat opowiadał o tym, jak jej przyszły mąż wyruszył z Cejlonu na odległy ląd zwany Malajami. Tam, zgodnie z tradycją, poszedł w ślady przodków i tak się wzbogacił, że zyskał sobie przydomek Kasu Marimuthu. Swat dramatycznie podniósł głos:

— Wyobrażasz sobie, że ktoś kupuje wyspę tylko po to, by móc na niej trzymać swoje pawie?

Oczy Parwati się rozszerzyły. Wyspa pełna tańczących paw! Cóż to musi być za nadzwyczajny widok! A ona tak mało wie o świecie, tkwiąc zamknięta w chatynce ojca. On

zaś zachichotał, dając swatowi do zrozumienia, że także jest światowcem i potrafi docenić umiejętność zachwalania klienta. Swat tymczasem poprosił, by pozwolono mu zobaczyć dziewczynę.

— Przykro mi, ale żona zabrała ją w odwiedziny do chorej ciotki — skłamał bez zająknięcia ojciec Parwati. — Ale masz już przecież zdjęcie, które ci wysłałem. Zrobiono je zaledwie przed trzema miesiącami.

Swat skinął głową.

— Tak, oczywiście, że je mam. Dziewczyna jest w rzeczy samej piękna, ale zwyczaj nakazuje, bym zobaczył ją na własne oczy. Niektórzy oszukują, sam rozumiesz. Na szali leży moja reputacja. Choć, moim zdaniem, oszustwo tego rodzaju nie ma sensu, bo taką dziewczynę albo zadreczy teściowa, albo, co gorsza, zostanie odesłana do domu w hańbie. Słyszałem, że jedna czy dwie popełniły samobójstwo na pokładzie statku.

Ojciec Parwati skinął głową i się uśmiechnął. Był spokojny jak najpotulniejsza owieczka.

— Na szczęście dla mojej córki i twojej reputacji nie jestem dość sprytny, by posunąć się do oszustwa. Każdy ci powie, że szczęście córki jest dla mnie najważniejsze. Jej skóra jest moją skórą.

Nastąpiła krótka, niezręczna cisza.

— Kiedy można się spodziewać pani domu? — zapytał swat.

— Chciałbym, żeby stało się to jutro. Trudno mi jest uprawiać ziemię i zajmować się domostwem, kiedy nie ma

żony. Powiedziała, że będzie tu mniej więcej za dwa tygodnie, ale wiesz, jak to bywa, kiedy kobieta spotka się z matką. Modłę się każdego dnia, żeby czym prędzej wróciła.

Pośrednik spojrział przenikliwie w oczy wychudzonego wieśniaka, lecz te patrzyły na niego bez drgnienia. Jeśli oczy zdradzają to, co dzieje się w duszy, to czystość tego człowieka dorównywała jego brzydocie. Swat już na początku swojej kariery zrozumiał, że Bóg nierzadko powierza wielką urodę w ręce prostych ludzi. Nikt nie może być tak biedny, a zarazem przebiegły.

Był przekonany, że inni pośrednicy wychodzą ze skóry, by znaleźć doskonałą żonę dla Kasu Marimuthu, wiedział zatem, że jeszcze dzisiaj musi dobić targu. Nie mógł sobie pozwolić na następną podróż na to odludzie i spotkanie z tym prostaczkiem. Ta misja mogła mu przynieść sławę, o jakiej zawsze marzył. Kiedyś usłyszał, że fortuna zawsze puka do bram sławy. A w przyszłym tygodniu będzie zajęty przygotowaniem do zaślubin córki ze wspaniałym narzeczonym, którego osobiście znalazł w Colpetty w Kolombo.

— Twoje słowo mi wystarczy — oznajmił z uśmiechem i odchyliwszy głowę, napił się herbaty.

Parwati, która siedziała na ziemi, ubrana w łachmany, dotknęła ze zdziwieniem swojej gładkiej twarzy. Czy ja naprawdę jestem piękna? — pomyślała.

• • •

— Parwati, czas wstawać — szepnęła matka do jej ucha. Dziewczyna natychmiast usiadła i jęła zwijać matę. Dźwięk

dzwoneczków sprawił, że ojciec otworzył oczy i skierował na nią wzrok. Parwati wyczuła w ciemności jego spojrzenie.

— Idziemy tylko do świątyni, *apa*.

— Mhm — mruknął posepnie ojciec i zamknął oczy. Kobiety wzięły maty i wyszły na podwórko, na którym mężczyźni nigdy nie bywali. Tego dnia nie musiały zanosić starej lampy do studni, gdyż beczkowaty zbiornik napełnił się deszczówką. Osłonięte ciemnością matka i córka rozpuściły włosy i rozebrały się do naga. Parwati przykucnęła w deszczu i zanurzyła w zbiorniku pustą miskę do mleka. Woda, która polała się na jej głowę, była jeszcze zimniejsza od kropel deszczu. Wciągnęła głośno powietrze, lecz matka nie wydała żadnego odgłosu. To będzie ostatni raz. Kapały się szybko i bez słowa. Potem matka rozszczepiła na dwoje gałązkę *neem*. Wyczyściły zęby jej obnażonymi włóknami.

Wstały jednocześnie i ruszyły ku ścianie domu, nad którą zwieszała się strzecha. Wisiały tam na sznurku czyste ubrania. Kobiety odziały się, stojąc plecami do ściany. Było to niewygodne, gdyż miały ubłocone stopy, a dolne części ubrania przyklejały się do łydek. Matka mamrotała z cicha, lecz Parwati radowała się tą chwilą. To było ich ostatnie wspólne ubieranie. Wytarłszy jak najlepiej stopy, wsunęły na nie pantofle i kuląc się pod parasolką, ruszyły po śliskim błocie ku świątyni.

Tak jak to czyniła za każdym razem, Parwati ścisnęła w dłoniach małe naczynie z mlekiem i spoglądała na szare kamienie. A te jak zawsze stały nieruchomo, skryte we własnym posepnym cieniu. Zdjęła pantofle, obmyła stopy

wodą z płytkiej, wykładanej kafelkami sadzawki i wylawszy kilka kropelek na głowę, wkroczyła do świątyni.

Było tam pusto i cicho, a posadzka ziębiła w stopy. Okna kwater przyszłych kapłanów, znajdujących się na tyłach świątyni, żółciły się już od blasku oliwnych lamp. Widać było poruszające się cienie. Kandydaci wiązali szaty poświęconymi sznurkami i kreślili pasy z mokrego popiołu na czołach, ramionach i tułowiu. Dawniej Parwati często spoglądała w stronę tych okien i myślała o życiu tych młodzieńców, lecz minęły lata, z dziewczynki stała się kobietą i już się tym nie interesowała. Kapłani, rzecz jasna, nie zwrócili uwagi na kobietę z córką. Główny kapłan, siedzący na stopniach świątyni, spletał girlandę ze świętej bazylii. Uniósł głowę i krótko skinął nią matce, która złożyła dłonie pod brodą. Jednak na powitanie Parwati otworzył bezzębne usta, poplamione sokiem z betelu.

— A więc po raz ostatni przyszedłeś odwiedzić starego wujka! — zawołał głosem pełnym czułości.

— *Om* — odparła Parwati. W Dżafnie znaczyło to po prostu „tak”.

— Zostawiłem dla ciebie trochę słodkiego ryżu — rzekł kapłan. Uśmiechał się, lecz Parwati nie potrafiła odpowiedzieć mu uśmiechem. Odwróciwszy się, podążyła za matką, która odmawiała już po cichu modlitwy, wędrując między bóstwami. Każdego boga okrążała trzy razy, a grupkę półbogów dziewięciokrotnie. Dopelnivszy rytuału, kobiety zajęły miejsca na posadzce i czekały, aż w świątyni pojawią się młodzi kapłani. Niebo nad horyzontem przybrało różowy odcień,

a gdy na zewnątrz zadźwięczał główny dzwon, stary kapłan otworzył drewniane drzwiczki, prowadzące do wewnętrznego sanktuarium mieszczącego wspaniały kamienny posąg boga słońca, Pulliara.

Kapłan skinął na Parwati, a ta pospieszyła do niego z naczyniem. Wlał jego zawartość do wielkiego cebra do połowy wypełnionego mlekiem i rozpoczął ceremonię obmywania bóstwa. Ze złożonymi dłońmi matka i córka patrzyły, jak białe mleko spływa strumieniami po naoliwionej powierzchni kamiennego posągu. Kapłan polał go płynnym kremem z drzewa sandałowego, miodem, a na koniec wodą. Wzniósł nad obmyty posąg lampę oliwną z wieloma knotami, a kobiety w modlitewnym geście uniosły złożone dłonie nad głowę. Matka nie wiedziała, że Parwati nie modli się do boga słońca, lecz do małego węża pomocnika spoczywającego u jego stóp. Kobieta stwierdziłaby, że ma to taki sam sens, jak modlitwa do dzbanka mleka, który stał tuż obok. Skąd mogła wiedzieć, że córka darzy wszechmogącego boga jedynie podziwem, całą swą lojalność kierując zaś na niewiele znaczący, brązowy posążek zwiniętego węża. Jeszcze dziwniejsze było to, że nie prosiła o dobrego męża, lecz o największą na świecie miłość, o mężczyznę, który bez zastanowienia włożyłby dla niej rękę w ogień. Który poświęciłby dla niej życie. Naturalnie by tego nie chciała, chodziło jedynie o gotowość. Nie wiedziała, czemu tego pragnie, gdyż w wiosce nie było nikogo, kto marzyłby o czymś tak niepraktycznym. A jednak właśnie o tym śniła.

Może ta myśl zakiełkowała w jej głowie pewnego dnia po południu, gdy otworzyła drzwi żebrakowi, a ten uśmiechnął się do niej ze zrozumieniem i rzekł: „Moje dziecko, co tutaj robisz, skoro twoja dusza łka z tęsknoty za nim? Pomyśl o nim, o tej bezgranicznej miłości, od której nie sposób się oddzielić. Pomyśl szybko, gdyż Bóg spełnia każde szczere życzenie”.

Skąd Parwati mogła wiedzieć, że nieznajomy nie mówił o miłości śmiertelnej, lecz o dążeniu do świętości?

Przy wtórze kropel deszczu dudniących o dach powiedziała kobrze, jak bardzo kocha matkę, i poprosiła, by wzięła ją pod opiekę na czas jej nieobecności.

— Niech nie będzie samotna ani smutna — szeptała. — Chroń ją, gdy mnie nie będzie, i broń nas przed gniewem ojca, kiedy wrócę. Wszak wiesz, droga kobro, że mogę powrócić prędzej, niż przypuszcza.

Kapłan posypał czarny posąg czerwonym proszkiem *kum kum* z mosiężnego naczynia. Na kobrę spadło go więcej niż zazwyczaj. Przybrała cynobrową barwę; był to kolor małżeństwa. Dobry znak. Może jej modlitwy mimo wszystko zostały wysłuchane.



## Podróż

Gdy przestało padać, przybył wujek Parwati, by towarzyszyć jej w czasie długiej podróży na Malaje.

— Nie zapominaj, jak bardzo tutaj cierpimy — powtarzał surowo ojciec. — Przyślij pieniądze, gdy tylko będziesz mogła.

— Tak będzie, ojczy — odparła Parwati. Ojciec skinął głową i odszedł, by pozostali członkowie rodziny mogli się z nią pożegnać.

Parwati zostawiła matkę na sam koniec. Jej oczy były spuchnięte i zaczerwienione. Zaciskając usta, by nie drżały, posmarowała zóło córki święconym popiołem.

— Muruganie, Muruganie, strzeż mojego dziecka przed niebezpieczeństwem — szeptała cicho, by mąż nie mógł tego usłyszeć i rozgniewać się na nią. — Chroń ją, bo ja już nie mogę. Parwati padła na kolana i ucałowała stopy matki.

— *Arna*, nie opuszczaj mnie teraz! — krzyknęła, nie bacząc na gniew ojca. — Nie pozwól, by nas rozdzielili!

Ojciec skrzywił się z niezadowolenia, a matka zawołała: „Idź z Bogiem!”, po czym odwróciła się i zatoczyła do drzwi. Uczyniła to, gdyż krew uderzyła jej do głowy. Zapra gnęła wbić paznokcie w twarz swojego nikczemnego męża. Wybiegła na zewnątrz i zatrzymała się dopiero na nasłonecznionym podwórku, gdzie nikt nie mógł jej niepokoić. Mężczyźni nigdy się tam nie zapuszczali. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa i bezwładnie osunęła się na ziemię.

Rozejrzała się ze zdumieniem, jak gdyby po raz pierwszy ujrzała dziedziniec i niezadaszoną kuchnię. W gruncie rzeczy nigdy nie zauważyła, jak dobrze zbudowana jest ściana z gałęzi, gliny i liści palmowych. Nie można było przez nią zobaczyć ani tego, co się dzieje wewnątrz, ani tego, co jest na zewnątrz. W tym więzieniu jej biedna córka spędziła większą część życia. Kobieta uśmiechnęła się do siebie skrycie. Przynajmniej pod tym względem jej mąż został wyprowadzony w pole, gdyż Parwati wydłubała otwory w ścianie i wyglądała na zewnątrz. W pierwszej chwili zdziwiła się, widząc, że córka umieściła je zaledwie na wysokości około pół metra. Pewnego dnia uświadomiła sobie jednak, że córka nie spogląda na ludzi, lecz na przechodzące zwierzęta.

Kobieta przyglądała się swoim dłoniom przyciśniętym do wilgotnej ziemi. Ich skóra była pogrubiła, knykcie żylaste, a pod paznokciami czernił się brud. Dłonie córki były gładkie, delikatne i bezbronne. Jakie to dziwne, że tak piękne dziecko narodziło się z jej przygnębiająco brzydkiego ciała. Nie

powinna rozpaczać. Jej córka miała uczynić to, co czynią wszystkie dziewczęta: wyjść za mąż. Wstrząsnął nią dreszcz. Córka była za młoda, by wyruszać w tak odległe strony. Ledwie sięgała matce do ramienia.

Oparłszy się na jednej ręce, palcem wskazującym drugiej napisała w błocie jedyne słowo, które potrafiła napisać: imię córki. Pisała je raz po raz, aż imiona otoczyły ją magicznym kręgiem. Matki przekazywały córkom z pokolenia na pokolenie starożytną mądrość, wedle której okrąg jest świętym kształtem. Wystarczy go utworzyć, a do jego wnętrza natychmiast zaczyna płynąć cudowna energia. W tej zaczarowanej przestrzeni nie może się wydarzyć nic złego. Spojrzała w pusty błękit porannego nieba. Jej ręka powędrowała do pustych otworów w nosie, znajdujących kiedyś dotyk złota. Kobieta przeklęła dzień narodzin córki, gdyż właśnie tego dnia ciało jej męża zamieniło się w kamień. A ona na to pozwoliła. Ale zaraz! Na długo przed tym, zanim porzuciła córkę, porzuciła siebie. Dziewczynka wierzyła, że matka jest doskonała i zasługuje na zaufanie. Nikt jej nie powiedział, że na tym świecie niczemu, co doskonałe, nie pozwala się istnieć. Opuściła głowę i westchnęła z żalu. Żadna z tych rzeczy by się nie wydarzyła, gdyby kapłan powściągnął język. Z ust kobiety wydobył się kolejny odgłos, tym razem wyrażający zniecierpliwienie. Zganiła się surowo. Jej mąż miał rację: kobietom nie powinno się pozwalać myśleć. Cóż jest dobrego w obwinianiu świątobliwego człowieka? Takie było przeznaczenie dziecka. Dziewczyna odeszła, i już. Kobieta zamknęła drzwi starej żalości. Były żelazne

i zatrzasnęły się z przeraźliwym łoskotem. Niech pozostaną zamknięte na zawsze. Przed wyjściem do pracy w polu musi naszykować posiłek dla mężczyzn.

Zerknęła badawczo w stronę ściany domu. Stał tam tylko jeden pantofel. Dziwne. Drugiego nigdzie nie było widać. Zamrugła. To nic ważnego. Pójdzie na swoich splekanych, grubych jak skorupy piętach. Wstała ciężko i przekroczyła magiczny krąg.

•••

Od chwili, gdy matka się od niej odwróciła, Parwati wydawało się, że spada w głąb fantastycznego snu. Jej dusza skuliła się i głęboko ukryła. Przez pięć dni ona i wuj jechali ciągniętą przez woły podwodą okrytą budą, trzęsąc się i podskakując. Wreszcie piaszczysta droga znikła, ustępując miejsca brukowanym ulicom Kolombo. Miasto tętniło ruchem, a ludzie krzatali się na ulicach niczym mrówki.

Na przystani wsiedli na olbrzymi statek, który powoli, majestatycznie oderwał kadłub od nabrzeża. Parwati przysiadła w cieniu obok innych kobiet. Statek uniósł się na falach, a potem z drżeniem, które wstrząsnęło nim od dzioba do rufy, opadł z powrotem do wody. Kobiety przyciskały do ust stare szmaty. Leżały, jęcząc i wymiotując, mężczyźni zaś zajęli się gotowaniem w olbrzymich kotłach. Mewy kołysały się na tle rozgrzanego błękitnego nieba, a w wodzie igrały roześmiane delfiny, płynąc obok statku. Później statek sunął wśród gwiazd, przez ciemną jak atrament noc.

Niespodziewanie na horyzoncie zarysowała się brązowa plamka: ład. Zaczęły się radosne okrzyki i krzątania. Z górnych pokładów dochodziły odgłosy świętowania. W oddali widać było zieleń, wiatr się wzmógł. Na dolny pokład zniesiono naczynie z biszkoptami. Ćwiartka biszkopta znalazła drogę do ręki Parwati. Zjadła go pomalutku, na trzy razy. Statek płynął dalej i ukazała się przystań w Penang. Przybili do nabrzeża. Morska podróż dobiegła końca.

Parwati rozejrzała się ze zdumieniem. Och! Bóg nie stworzył wszystkich ludzi w odcieniach brązu. Wcale nie! W ludzkim ogrodzie znalazły się wszystkie odmiany róży, bieli, żółci i czerni. Nigdy tego nie podejrzewała. Przysłuchiwała się dziwnym, nieznanym dźwiękom, lecz było to jak sen. Ludzie kiwali głowami, gestykulowali i pomrukiwali, a ona ich rozumiała.

Zaskoczyło ją to, że dziwna wydała jej się nieruchomość ziemi pod stopami. Później czarny żelazny potwór, do którego wsiadła, przeniósł ludzi w głąb wilgotnej krainy.

W domu krewnych ze zdumieniem patrzyła na wodę płynącą z kranów oraz na świecące lampy elektryczne. A zatem bracia wcale z niej nie żartowali. Znalazła pieniające się mydło, a gdy przyszła noc, zaprowadzono ją do podestu na nogach zwanego łóżkiem. Materac był tak miękki, że przewracała się i kręciła przez całą noc, usiłując znaleźć jakieś twarde miejsce. Jakże brakowało na tym łożu matki.

Nadszedł dzień zaślubin. Jej przerażona dusza znów się ukryła, lecz nikt tego nie zauważył, a nawet jeśli ktoś zauważył, nie dbał o to. Och, mała kobro, ocal mnie przed moim

przeznaczeniem. Tak długo pozostawałam ci wierna, uratuj mnie teraz.

Dzieci stłoczyły się w drzwiach, by patrzeć, jak rozgadane niewiasty barwią dłonie i stopy Parwati i stroją ją w bajeczne suknie, przysłane przez narzeczonego. Były tak ciężkie, że dwie kobiety musiały jej pomóc wstać, a potem zaprowadziły do lustra o wiele razy większego niż okrągłe lusterko, przy którym golił się ojciec. Nie mogła oderwać wzroku od swoich pomalowanych oczu i patrzyłaby w nie długo, lecz spuszczonej jej welon na twarz, po czym zaprowadzono do udekorowanej, wypełnionej ludźmi świątyni, w której przysiadł się do niej wysoki, barczysty mężczyzna.

Była zbyt nieśmiała i wystraszona, by na niego spojrzeć. Zapamiętała jego groźne ruchliwe oczy. W zasięgu jej wzroku znajdowały się jedynie jego luźno splecione dłonie. Duże i obrośnięte długimi ciemnymi włosami, były o wiele jaśniejsze od jej rąk. Siedziała jak posąg, prawie nie oddychając, świadoma drżącego gorąca i bezgłośnego warczenia, które płynęło od jego postaci. Przy akompaniamencie bębnów i trąbek mężczyzna odwrócił się do niej na chwilę i Parwati poczuła na szyi ciężkie złote *thali*. Stojący wokół ludzie sypnęli ryżem.

Została mężatką.

Wzniesiono zasłonę, a ukryci za nią nowożeńcy podali sobie do ust kęsy banana, zamoczone w mleku. Parwati wciąż nie spojrzała mężowi w oczy. I słusznie, bo uczyniwszy to, zobaczyłaby pobielającą od napięcia skórę wokół jego ust, a jej przerażona dusza jeszcze bardziej struchlałaby ze strachu.

— Wszystko przebiegło pomyślnie, a to zwiastuje długie i szczęśliwe małżeństwo — oznajmił kapłan, uśmiechając się życzliwie do męża Parwati. Wszyscy uśmiechali się i gratulowali, lecz jej mąż milczał.

Ze spuszczonego wzrokiem wsiadła do długiego czarnego samochodu, który przejechał przez miasto, a potem znalazł się na samotnej drodze, prowadzącej przez pustkowie. Powietrze zmieniło się i zapachniało morzem. Obok niej, lecz w wyraźnym oddaleniu, jak gdyby za głęboką przepaścią, siedział mąż. Od jego odwróconej sylwetki bił zimny chłód, a nawet złość. Parwati powinna była się przestraszyć, lecz uratowało ją oszołomienie, które sprawiło, że czuła się bezpieczna w swoim kokonie.

Ktoś powiedział jej, że jego dom stoi na plaży, jest piękny i zwie się Adari, czyli Najdroższa. Skręcili i wjechali przez wysoką bramę. Parwati spojrziała na dom, wznoszący się na Ile jasnego błękitnego nieba, i z głębokim westchnieniem wyrwała się z kojącego snu.

## Adari

Stojący na skraju dżungli dom na pierwszy rzut oka wydawał się w całości zbudowany z drogocennych kamieni osadzonych w ciemnym metalu, nierealny jak obraz z baśni. Kiedy samochód podjechał bliżej, płaszczyzny bryły ożyły oślepiającym blaskiem słońca. Gdyby ojciec Parwati to ujrzał, nigdy nie odważyłby się na to, co zrobił. Parwati zobaczyła, że dom wykonany jest z kawałków fioletowego, niebieskiego i różowego szkła, osadzonych w kutym żelazie. Jednak pierwsze wrażenie pałacu zbudowanego z klejnotów pozostało z nią na zawsze.

Okrągły podjazd, wzdłuż którego stały posągi, prowadził do zadaszego ganku. Ktoś otworzył drzwiczki samochodu, a Parwati, pragnąc pomyślnie rozpocząć pobyt w nowym domu, wysunęła najpierw prawą nogę. Powoli, zmagając się z ciężkimi, niewygodnymi ubraniami i klejnotami, wysiadła z auta.

Mieszkańcy zgromadzili się na schodach, a inni



z wyciągniętymi szyjami spoglądali na nowo przybyłą z balkonów obu skrzydeł domostwa. Parwati zerknęła na nich nerwowo. Było ich mnóstwo, lecz niebawem dowiedziała się, że większość zgromadzonych stanowi służba.

Mąż obszedł samochód, stanął obok niej i razem ruszyli po gładkich białych stopniach ku wejściu, w którym stało sześć szaroniebieskich kolumn ozdobionych pnączami z białego marmuru oraz kwiatami. Po obu stronach kolumn aż do końca budynku ciągnęły się obszerne werandy, bajecznie udekorowane witrażowymi łukami. Z ich sufitów zwieszały się olbrzymie kosze leśnej paproci, wśród których lśniły przypominające kiście winogron gromady lamp z kolorowymi szklanymi koszami. Z werandy nowożeńcy zeszli sześć stopni w dół na dziedziniec. Tam Parwati zapomniała o obecności ludzi i rozejrzała się szeroko otwartymi oczami.

Wysokie białe kolumny, zdobione szaroniebieskimi wzorami, podtrzymywały balkon i dach. Ktoś potężny jak sam Iłóg musiał powiedzieć: „Niech stanie się kolorowe światło” — i stało się. Wlewające się przez witraż słońce malowało miriady migotliwych kształtów na ścianach, kolumnach, posadzkach, ludziach, zwierzętach oraz na omszałym posągu zwierza w sadzawce, w którego paszczy bielily się lilie wodne i pływały złote rybki.

Jedną z części ogromnego dziedzińca zajmowało wiekowe drzewo. Jego popielaty pień był gruby i gładki, a liście miały kolor mchu. Dom musiał zostać zbudowany wokół niego, tedyż jeden z konarów drzewa przechodził przez okno na piętrze.

Na mniejszych gałęziach wisiały liczne pozlacane klatki, wszystkie puste; ich drzwiczki były pootwierane, a stada ptaków, białych niczym albinosy, siedziały na drzewie tam, gdzie im się podobało. Dopiero później Parwati dowiedziała się, że wolność nie była im dana, gdyż chłopiec trzymający nad nimi pieczę powyrywał im lotki, tak by nie mogły latać. Jednak w tej pierwszej chwili Parwati jak zaczarowana patrzyła na błękitne, szmaragdowe i różowe baśniowe wzory skaczące po sylwetkach ptaków, gdy te się poruszały. Oswojone gołębie, nie zważając na hałas i ludzi, przechadzały się po barwnej terakotowej posadzce. Na brzegu fontanny przysiadła papuga, odwróciła łebek i skierowała wzrok na Parwati.

Wówczas pan młody odezwał się po raz pierwszy.

— Ty — zwrócił się szorstko do służącego. — Zaprowadź tę panią do pokoju w zachodnim skrzydle. Wszyscy inni niech wracają do swoich pomieszczeń.

Muzycy zaprzestali grać i wszędzie zaległa cisza. Parwati naturalnie spodziewała się tego, lecz nie w obecności tak wielu ciekawskich oczu. Poczowała przyływ gorąca na szyi i twarzy. Skurcz w piersi pozbawił ją tchu. Pożałowała, że stan oszołomienia minął, gdyż wówczas poníženie byłoby o wiele łatwiejsze do zniesienia. Wszak właśnie tego lękała się od chwili, gdy swat zapytał ojca o jej zdjęcie.

Nie widziała fotografii, którą wysłał mu ojciec, lecz wiedziała, że nie jest jej podobizną. Nikt w wiosce nie posiadał aparatu. By usłyszeć dźwięk opadającej przesłony, trzeba było udać się do miasta, a Parwati opuściła wioskę tylko jeden raz. Wybrały się z matką do leżącej nieopodal wioski

i dziewczyna ulepiła wtedy wizerunek Pulliara z kupy krowy Vellaithama. Tam, w towarzystwie innych dziewcząt włożyła podobiznę swojego bożka do strumienia, a gdy odpływał, modliła się o dobrego męża. Ojciec oszukał swata, a teraz...

Do uszu Parwati dobiegł łagodny głos. Spuściwszy wzrok, podążyła schodami z kutego żelaza prowadzącymi na balkon. Ozdobne szklane drzwi zachodniego skrzydła domu otworzyły się i Parwati stanęła w długim korytarzu z wieloma dwuskrzydłowymi drzwiami po obu stronach. Łagodny głos zapytał grzecznie, czy życzy sobie wybrać pokój. Pokręciła głową, a wtedy przewodnik otworzył pierwsze drzwi i oznajmił: — Pokój Lawendowy.

Weszła do środka.

Pokój Lawendowy. Parwati czuła się jak karzełek w olśniewającym salonie ze ścianami pomalowanymi na kolor ak-wamaryny, na których pyszniły się chińskie wizerunki rajskich ptaków, pagod i płaczących wierzb. Przez wysokie szklane okna i drzwi sączyły się fiolety, błękity i róże, tworząc prawdziwą feerię barw.

Parwati skierowała pełne podziwu spojrzenie na olbrzymi żyrandol z błękitnych paciorków wiszący na środku sufitu. Pod nim na kremowym dywanie stało wspaniałe mosiężne łóże z czterema słupkami. Okrywająca je moskitiera została ufarbowana na niebiesko; podtrzymywały ją aksamitne wstążki w kolorze indygo. Przy jednej ścianie stała francuska szafka z końca osiemnastego wieku, a obok niej toaletka

i misterny taborecik, pomalowany na jasnoniebiesko i złoto. Tuż obok wisiała otwarta pusta klatka z bambusu, pokolorowana chińskim atramentem.

Na ścianie naprzeciwko łóżka wisiał duży olejny obraz, przedstawiający białą małpę przyłapaną w trakcie spożywania owocu granatu wśród rozrzuconych łupin. Parwati zauważyła, że oświetlenie w pokoju zostało ukierunkowane tak, by białe światło padało wyłącznie na małpę. Ta zaś stała na palcach nóg i dotykała swojego ogona. Farba była twarda i połyskliwa.

Powiew chłodnego powietrza sprawił, że podobne do welonu zasłony wydeły się do wnętrza pokoju. Opadłszy na czworaki, Parwati podczołgała się do balkonu i spojrzała na ludzi, którzy, gestykulując, rozprawiali o jej małżeństwie.

Objęła ramionami kolana i siedziała, czekając, aż w domu zapanuje cisza. Niebawem zjawi się mąż, będzie ją łajał i domagał się wyjaśnień. On jednak nie przyszedł. Zobaczyła, że wsiada do długiego samochodu, który po chwili zniknął za bramą. Kasu Marimuthu wyjechał! Przez jakiś czas Parwati trwała w bezruchu, jak gdyby obawiając się, że to jakaś sztuczka, która ma ją zmylić. Jednak droga pozostała pusta. Widząc, że naprawdę jest sama, Parwati wstała i rozejrzała się wokół.

Dom sąsiadował ze złotą plażą i intensywnie błękitnym morzem. Trzydzieści metrów od brzegu Parwati dostrzegła uroczą małą wysepkę zamieszkałą wyłącznie przez pawie. W cieniu krytego strzechą zadaszenia stała niewielka drewniana łódka, którą zapewne pływano do wyspy. Jednak teraz,

w czasie odpływu, woda była tak płytka, że Parwati miała wrażenie, iż można tam dojść pieszo.

Wychyliwszy się przez okno i spojrzawszy w prawo i w lewo, naliczyła w obu skrzydłach domu po osiem balkonów. Na tyłach domostwa, w zasięgu głosu, znajdowały się niepo-malowane czworaki dla służby. Stało tam dwóch mężczyzn, którzy rozmawiali z sobą. Między nimi nad ogniskiem wisiała koza. Tusza biednego zwierzaka, żółcąca się od kurkumy i soli, bez wątpienia miała stanowić część uczty weselnej. Za murami posiadłości jak okiem sięgnąć widać było jedynie ciemną zielen roślinności. Można było odnieść wrażenie, że jest się zagubionym w dżungli. Parwati sprawiło to osobliwą przyjemność.

Odwróciła się od okna.

Usiadłszy na krawędzi łóżka, zdjęła bogatą biżuterię i odłożyła ją na bok, tworząc połyskujący stosik. Nie zdjęła tylko *thali*, wisiorzka z dwóch połączonych kawałków złota, świadczącego o tym, że jest mężatką. Złote płatki miały symbolizować stopy męża, który bez względu na to, gdzie jest i co robi, zawsze dotyka nimi serca żony.

Podeszła do walizki i po chwili znalazła wśród swoich rzeczy stary pantofel matki. Na jego widok omal się nie rozplakała. Ucałowała go czule i zamknęła oczy. Pomyślała o tym, że matka trzodzi się samotnie daleko stąd. Zateśniła do niej tak bardzo, że aż ścisnęło ją w gardle.

Odłożyła pantofel i znów usiadła na łóżku. Na stoliku obok stała porcelanowa figurka Scaramu. Przesunęła palcem po jego wymyślnym stroju, zastanawiając się, kim jest ta postać

i dlaczego znajduje się w tym miejscu. Wiatrak pod sufitem kręcił się leniwie. Parwati spojrzała tęsknie na wielkie białe łoże. Czowała się kompletnie wyczerpana. Chętnie położyłaby się na chwilę i zamknęła oczy, żeby odpocząć. Nikt nie zaskoczy jej we śnie. Zerwie się na pierwszy odgłos stąpania po parkiecie w holu. Zwinęła się wokół złotych klejnotów i zasnęła.

Obudziła się w dziwnej błękitnej mgiełce i od razu wyteżyła czujność. Nagle zrozumiała, że ktoś musiał wejść do pokoju i spuścić niebieską moskitierę. Rozejrzała się z lękiem. Mała lampka ścienna przy drzwiach była zapalona. Parwati leżała cicho i nasłuchiwała. Coś ją obudziło. W oddali szumiało morze. Nagle noc rozdarł ostry krzyk. Z pewnością było to zwierzę, lecz znajdowało się za daleko, by stanowić zagrożenie. Mimo to Parwati leżała nieruchomo, zachowując czujność. Jej ciało zareagowało na dźwięk, jak gdyby od tego zależało jej przeżycie. W powietrzu wisiało niebezpieczeństwo. Znów usłyszała odgłos stąpania, wzmocniony echem. Ktoś wchodził po schodach na górę.

Zdjąwszy bransoletki z nóg i dołożywszy je do stosu złota, Parwati rozsunała siatkę i zeszła z łóżka. Podłoga z twardego drewna nawet nie zaskrzypiała. Drzwi otworzyły się na korytarz, rozświetlony tu i ówdzie lampami ułożonymi na podobieństwo kiści winogron. Parwati stanęła przed wyjściem na balkon i przez różowe szkło tworzące kształt płatka kwiatu spojrzała na dziedziniec, przypominający baśniowy świat. Wokół zielono-złotej fontanny błyszcząły małe lampy, a światło z sąsiadujących szklanych korytarzy tworzyło koronkowe wzory na posadzce i ścianach. Słychać było dźwięczący odgłos

podobny do tego, który wydaje upadająca srebrna moneta. Na pewno mieszkały tam jakieś nieziemskie istoty.

Ledwie to pomyślała, gdy w mlecznym blasku lampy ukazała się sylwetka jej męża. Jeszcze nie wyrzuciła z pamięci jego niemego warczenia i nieokreślonego lęku przed nim. Z pochyloną głową, opierając się mocno o poręcz, wspinał się niepewnie na piętro. Co się z nim dzieje? Zdziwiona podeszła do szczytu schodów.

Zaskoczony jej widokiem pan domu nagle stracił równowagę. Na szczęście, machając chaotycznie rękami, zdołał złapać się poręczy. Na widok twarzy męża, która wyglądała na dziwnie rozluźnioną, Parwati pomyślała, że musi być chory. Rzuciła się w jego stronę z wyciągniętą ręką, by mu pomóc, lecz mąż wysunął ramię w jej stronę, jakby chciał ją odepchnąć, a potem opadł ciężko na schody z szeroko rozłożonymi kolanami. Cały ciężar jego ciała przeniósł się na jedną rękę. Grymas bólu wykrzywił mu twarz.

Odwrócił się do żony. W świetle lampy padającym od wzburzonej fontanny Parwati po raz pierwszy zobaczyła mężczyznę, którego poślubiła. Jego nos pokrywały kropelki potu. Trzymał głowę pod dziwnym kątem i wywracał oczami, /dawało się, że bardzo trudno jest mu skupić na niej wzrok.

— Co ci jest? — zapytała pełnym niepokojem szeptem. Nie wiedziała, czym jest upojenie alkoholowe, nie mogła więc rozpoznać jego stanu. Kasu Marimuthu otworzył usta, połyskując złotym kłębem po lewej stronie, i parsknął śmiechem, który odbił się od ścian. Gdy jego wesołość minęła, spojrzał na żonę i powiedział:

— Zostawiłem szklanę na murku fontanny. Przynieś mi ją.  
Parwati poczuła odór alkoholu i tak ją to zaskoczyło, że nie mogła powstrzymać się od okrzyku.

— Ależ ty jesteś pijany!

Jej głos odbił się od twardych powierzchni wnętrza, a te postąpiły z nim tak samo okrutnie, jak ze śmiechem jej męża. Zabrzmiało ostro, był pełen oskarżycielskiego tonu i całkowicie pozbawiony potulności. Przerażona Parwati zakryła usta dłońmi. Mężczyźnie udało się skupić na niej wzrok, jego łagodny nastrój przysł.

— Dlaczego miałbym nie być? — spytał szyderczo. — Chciałem rajskiego ptaka, a dostałem wychudzoną szarą kurkę.

Parwati przypomniała sobie słowa matki: „Kiedy znajdziesz się daleko ode mnie, pamiętaj: jeśli mężczyzna rani cię samymi słowami, nic nie mów, bo kiedy położysz się spać, słowa spadną z niego jak niedopasowane ubranie”. Parwati spuściła wzrok w geście poddania, nieświadoma, że jej potulność jeszcze bardziej rozwścieczy świeżo poślubionego męża. Raziły go u niej brak stylu, urody, wzrostu, edukacji, wyrefinowania. Do tego jeszcze ta potulność. Dziewczyna była nie do uratowania. Spojrzał na nią posepnie.

— Przynieś mi tego drinka, tylko żywo.

Parwati bez ociągania ruszyła spełnić polecenie. Jej mąż z lubością ujął w dłoń do połowy napełnioną szklanę, a potem wybuchnął zniecierpliwiony.

— Na miłość boską, przestań wisieć nade mną jak struś, usiądźże!



Parwati przycupnęła kilka stopni niżej.

— Zdajesz sobie sprawę, że jutro odeślę cię do ojca? Parwati skinęła głową. Nie spodziewała się niczego innego od chwili, gdy po raz pierwszy ujrzała jego dom. Nim to nastąpiło, trzymała się dziwacznej, bezpodstawnej nadziei. W gruncie rzeczy trudno było nawet winić jej ojca. Jak on, nędzarz, który całe życie spędził w ubóstwie, mógł wiedzieć, co naprawdę znaczy „ogromne bogactwo”? Podobnie jak córka, musiał sobie wyobrazić znacznie, znacznie mniej. Gdyby było inaczej, zrozumiałby. Pałace z salonami o nazwach w rodzaju Pokój Lawendowy zawsze przeznaczone były dla wysokich, światowych dam.

— Wiedziałaś, prawda? — spytał zaczepnie. Parwati spojrzała na niego rozszerzonymi oczami.

— Tak, ale musisz zrozumieć, że nie miałam nic do powiedzenia. Moim obowiązkiem jest posłuszeństwo wobec ojca.

— Jaki ojciec tak postępuje z córką? Po policzku Parwati spłynęła łza.

— Co się z tobą stanie po powrocie do domu? — spytał. Przez krótką chwilę w jego głosie pojawiła się nuta obawy i łagodności. Parwati pociągnęła nosem i otarła go wierzchem dłoni.

— Nie wiem. Jeśli ojciec przyjmie mnie z powrotem, będę służyć pomocą matce, tak jak do tej pory.

Jej mąż z żalem pokręcił głową.

— Tylko sobie nie myśl, że cię nie żałuję. Ale nikt, absolutnie nikt nie oszukuje bezkarnie Kasu Marimuthu. Twój

ojciec musi być głupcem albo szaleńcem. Komu innemu wpadłby do głowy taki niedowarzony pomysł? Jeśli wyobrażał sobie, że nie odeślę cię z powrotem z obawy przed splamieniem sobie imienia, to postawił na niewłaściwego konia.

— Dlaczego nie odmówiłeś ożenku ze mną tego ranka, kiedy mnie zobaczyłeś? — zapytała cicho Parwati.

Kasu Marimuthu uniósł dumnie głowę.

— Chcesz powiedzieć, że wtedy mogłabyś wyjść za innego? Nie obchodzi mnie, czy plotkarki wezmą mnie na języki. Byli tam wówczas obecni ważni ludzie, których potrzebuję do realizacji moich planów handlowych. Nie mogłem przed nimi wyjść na dumnia. — Nagle, jakby przypomniawszy sobie, że to on jest pokrzywdzony, spojrzał na Parwati z zimną niechęcią. — Jeśli chcesz obwiniać kogoś o to, że zrujnował ci życie, pomyśl o swoim ojcu.

Zamilkł i w ciszy wpatrywał się w szklankę, jak gdyby nie miała dna. Nagle oderwał od niej wzrok i uniósł brwi.

— Powinniśmy razem utopić nasze smutki.

Parwati spojrzała nań z niedowierzaniem. Została zhańbiona, jej życie było złamane, a on chciał, by się z nim upiła! Pokręciła głową.

— Odmówiła spełnienia pucharu miłości — rzekł. Chciał, by zabrzmiało to sarkastycznie, lecz wyszło smutno i żałośnie.

Rozejrzał się półprzytomnie, a potem oparł głowę na zimnych kamieniach i zamknął oczy. Och, spójrzcie teraz na Kasu Marimuthu. Taki bogaty i taki przygnębiony. Parwati myślała, że zasnął, lecz on usiadł nagle i jednym haustem wychylił zawartość szklanki. Postawił ją na stopniu i się wyprostował.

— Życzę ci zatem dobrej nocy, pani. Przygotuj się na wyjazd jutro rano. Który pokój sobie wybrałaś?

— Pierwszy po lewej stronie korytarza.

— Świetnie — odparł. Chciał się uklonić, ale zatoczył się i chwycił za poręcz, by nie upaść. Trzymając się jej, ruszył w dół. W połowie dziedzińca zatrzymał się i odwrócił, jakby chciał coś powiedzieć, wnet jednak zrezygnował. Pokręcił głową i pełnym zniechęcenia gestem machnął ręką w powietrzu. — Nieważne — mruknął pod nosem i niepewnym krokiem poszedł dalej.

Parwati uświadomiła sobie, że musi iść do toalety. Wcześniej zauważyła ubikację obok czworaków, wyszła więc na zewnątrz i ruszyła wzdłuż południowego skrzydła. Dał zimny wiatr, ciemna dżungla wyglądała groźnie. Z jej głębi dobiegały dziwne krzyki i odgłosy. Ledwie skończyła, otworzyła gwałtownie drzwiczki i drżąc ze strachu, popędziła do domu. Wiedziała, że już nie zaśnie. Ułożyła się na podłodze balkonu. Niech nadejdzie poranek. Była gotowa.

•••

Kasu Marimuthu wszedł do biblioteki, chwycił butelkę whisky za szyjkę i tak gwałtownie opadł na obrotowy fotel, że musiał się złapać krawędzi biurka, by nie runąć na plecy. Nalał sobie drinka i właśnie podnosił szklanekę do ust, gdy drzwi się otworzyły.

— Co ty... — zaczął gniewnie i nagle zamilkł, zaskoczony. W drzwiach nie stanęła niechciana panna młoda, lecz rosła kobieta w aureoli blasku lampy. Kasu Marimuthu z niedo-

wierzeniem spoglądał na tę zjawę. Nikt nie może być aż tak brzydki.

Weszła dalej i w świetle biurkowej lampki zobaczył z ulgą, że to jedna ze służących. Serce biło mu mocno w piersi. Ależ go wystraszyła, durna baba. Co ona robi w jego sypialni o tej godzinie w nocy?

— Czego chcesz?! — krzyknął, gdyż gniew wciąż go nie opuszczał.

Kobieta nie zatrzymała się przed biurkiem, lecz obeszła je i stanęła nad nim. Kasu Marimuthu wpadł we wściekłość. Jak ona śmie? Chciał wstać, ale nie mógł oderwać się od krzesła. Pot zebrał się pod jego pachami i spływał po nieruchomym ciele. Spoglądał na kucharkę, jak gdyby zahipnotyzowały go jej grubo ciosane, dzikie rysy.

— Przyszłam poprosić pana o małą przysługę. Kasu Marimuthu patrzył na nią, oszołomiony.

— Domyślam się, że nie może pan okazać serca żonie, ale nie ma pan prawa pozostawiać na niej swoich stóp.

Kasu Marimuthu nie wierzył własnym uszom. Służąca zapominała się, i to w taki sposób! To było niesłychane.

— Jak śmiesz! Wynoś się stąd! — wykrztusił i znów chciał się podnieść, lecz tym razem kucharka lekko przyłożyła palec do jego jabłka Adama.

— Tutaj mężczyzna nosi swoją karmę — zauważyła kon-wersacyjnym tonem. — Wszystkie grzechy, które popełnił w czasie swoich licznych wcieleń, są zebrane i zapisane w tym miejscu. Nawet Biblia uważa tę część ciała za ślad grzechu pierwotnego, nieprawdaż?

Ta nędzna baba z plebsu za wiele sobie pozwalała! Kasu Marimuthu usiłował szarpnąć głowę, ale okazało się, że nie włada już swoim ciałem. Nie mógł nawet poruszyć palcami. Czyżby miał do czynienia z potworem, który za pomocą czarów zamienił go w bezwolny strzęp mięsa i kości?

Kasu Marimuthu zachowywał się komicznie, gdyż nigdy w życiu nie znalazł się w takim położeniu i nie był tak potraktowany. Zaczerpnął głęboko tchu, wciągając do gardła nieprzyjemną woń czosnku i cebuli, którym przesiąknięta była dłoń kucharki. Nagle ten mężczyzna, twórca potężnego imperium finansowego, szanowany i poważany za dnia i w nocy, znów zamienił się w przerażonego chłopca ukrytego w szafie, który patrzy, jak jego ojciec i stryj wkładają ziemię i złoto do ust dziadka, aby przyspieszyć jego śmierć. Zdawało mu się, że ziemia drży mu pod stopami, a jego oczy, powiększone i podobne do oczu żaby, wybałuszyły się jeszcze bardziej. Jednak lęk pana i jego bezradność nie sprawiły służącej przyjemności, więc się nie roześmiała.

Patrzyła na niego dobrotliwie.

— Gdyby dostrzegł pan w swojej żonie to, co ja w niej widzę — rzekła cicho — padłby pan z podziwu na kolana. Powinien pan wiedzieć, że jest to uwielbiona dusza, która ucieleśniła się, by zaznać miłości w najbardziej nieprawdopodobnych okolicznościach.

— Jutro rano każę cię zwolnić i wypędzić — wykrztusił groźnie Kasu Marimuthu. Był sparaliżowany i ubezwłasnowolniony, lecz jego bystry umysł pracował i doszedł do słusznego wniosku, że ze strony służącej nic mu nie grozi.

Była zwykłą kucharką, która zapomniała się i działała z myślą o fałszywie pojętej lojalności wobec osoby, którą uznała za swoją nową panią. Niektóre z tych wniosków były pozbawione logiki, lecz Kasu Marimuthu miał w tej chwili zbyt mało komórek mózgowych na posterunku, by dostrzec tajemnicę.

Kucharka uśmiechnęła się i zobaczył, że ma pysk wielki jak u psa. Zaprawdę w tej kobiecie nie było ani szczypty urody.

— Jesteś dobrym człowiekiem. Jeśli nie będziesz jej dalej krzywdził, przyrzekam, że pewnego dnia, już niebawem, zobaczysz to, co ja widzę.

Brwi Kasu Marimuthu uniosły się ku rzednącym włosom. Ileż impertynencji w tej służącej!

— A teraz proszę zaśnieć — powiedziała łagodnie kobieta. — Jutro nie będzie pan niczego pamiętał.

Z otwartymi oczami, które wciąż wpatrywały się w służącą, Kasu Marimuthu zapadł w głęboki, wolny od majaków sen. Kobieta delikatnym ruchem mocarnych palców dotknęła jego powiek i zamknęła je. Potem wyszła władczym krokiem, takim samym, jakim do niego weszła, z topniejącą świecą w dłoni. Nie jak służąca, lecz jak królowa.

## Dobry samarytanin

Kasu Marimuthu obudził się, leżąc na brzuchu. Miał na sobie całe wczorajsze ubranie oprócz paska i butów. Mogło to oznaczać tylko tyle, że Gopal, jego lokaj, przy pomocy któregoś ze służących wniósł go na górę i położył na łóżku. Głowa pękała mu z bólu. Kasu Marimuthu wyciągnął rękę do stolika nocnego, macając nią w poszukiwaniu papierosów. Sztuka się udała, przetoczył się więc na plecy, zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko. Smuga dymu popłynęła do góry, a on ją zastanawiać się nad swoim denerwującym problemem. Sprowadził do domu żonę, której ani myślał przy sobie zatrzymywać.

Wyobraził ją sobie: drobną, pospolitą, zabłąkaną. Obłok dymu zadrzał. Kasu Marimuthu wzdrygnął się na myśl, że miałby przedstawić ją eleganckiemu towarzystwu; po raz kolejny przeklął w myślach swata. Kretyn. Dureń. Półgłówek. Jak mógł się nabrać na taką starą sztuczkę? Jednak w naj-

większą złość, od której zgrzytał zębami, wprawiało go to, że jakiś wiejski kmiotek pomyślał, iż zdoła wystrychnąć na dudka samego Kasu Marimuthu.

Siłą woli zmienił tok swoich myśli. Cały wczorajszy dzień strawił na bezsilnej wściekłości. Ale dość tego. Dziś jest spokojniejszy i absolutnie pewny tego, jak powinien dalej postąpić. Dziewczyna nie była mu do niczego potrzebna, toteż najrozsądniejszą i najłagodniejszą rzeczą, jaką mógł zrobić, było sprowadzenie człowieka, który towarzyszył jej w podróży, by zabrał ją w drogę powrotną. Im prędzej to nastąpi, tym lepiej.

Miał po swojej stronie niezbywalne prawa oszukanego mężczyzny. A ponieważ nie zakosztował wątpliwych wdzięków niechcianej małżonki, choć miał do tego prawo, nie przewidywał żadnych trudności w realizacji swojego planu. Wśród mieszkańców Cejlonu wybuchnie skandal, ale cóż to go obchodzi? Niech gadają. Zdarzało mu się już znosić plotki na swój temat. Kasu Marimuthu przekonał się — ku swej radości — że wszystko da się naprawić, jeśli ktoś ma wystarczająco dużo pieniędzy.

Pociągnął za gruby, zakończony frędzlami sznur zwisający nad łóżkiem i po kilku minutach zjawił się Gopal z czajnikiem kawy i srebrnym naczyniem na tacy. Lokaj nie usiłował nawiązać rozmowy z panem, tylko w milczeniu napełnił żłobkowane naczynie kawą i postawił je na stoliku. Następnie zniknął za wyłożonymi boazerią drzwiami. Dał się słyszeć odgłos płynącej z kranu wody.

Kawa dobrze zrobiła Kasu Marimuthu. Rozjaśniło mu się



w głowie i jego myśli powędrowały do spraw biznesu. Wnet jednak ponownie zaprzątnęła go sytuacja osobista. Uświadomił sobie, że nie wie, co byłoby lepszym rozwiązaniem: nakazać któremuś z podwładnych odstawić niechcianą żonę do krewnych, u których mieszkała przed ślubem, czy odwieźć ją osobiście? Stwierdziwszy, że w gruncie rzeczy nie dba o to, co jest bardziej właściwe, postanowił wysadzić ją z samochodu w drodze do pracy.

Gopal zakręcił kurek i wyszedł z łazienki, a następnie zamknął za sobą drzwi sypialni i zniknął równie cicho, jak się pojawił. Kasu Marimuthu został sam i ostrożnie dotknął palcami czoła. Czuł dziwne pulsowanie i gorączkę. Skutek działania alkoholu. Wspomnienia nocy, w czasie których leżał oblany zimnym potem, świadom, że do reszty stracił panowanie nad sobą, wróciły w całej swej grozie, jakby wszystko działo się wczoraj. Kasu Marimuthu pokręcił głową. Jednak wówczas został śmiertelnie zraniony, a teraz nie było o tym mowy. Zniknęła pustka, którą należało wypełniać. Pozbył się tamtej dziwki i znów był sobą. Nie żywił co do tego wątpliwości. Postanowił skończyć z piciem.

Podjąwszy dwie ważne decyzje, Kasu Marimuthu wypalił następnego papierosa, wstał i pokonał tę samą drogę, którą wcześniej przeszedł Gopal. Znalazł się w małym przedsionku ozdobionym japońską laką i intarsjami, służącym za przebieralnię. Porzucając na podłodze ubrania, wszedł do łazienki. Minął wspaniałą kamienną wannę importowaną z Kairu i skierował się w stronę ściany, która wyglądała zwyczajnie, lecz kryła w sobie drzwi do niewielkiej kabiny. Kasu Marimu-

thu wolał, by jego wykwintni goście nie oglądali tej części łazienki. Wszedł do środka i zamknął drzwi.

W pomieszczeniu znajdował się tylko kurek oraz duży pojemnik poniżej. Gopal napełnił go po same brzegi. Na powierzchni wody unosiła się drewniana chochła, dokładnie taka, jakiej Kasu Marimuthu używał w dzieciństwie spędzonym na Cejlonie. Nabrał lodowatej wody i wylał ją sobie na głowę. Ból głowy ustąpił momentalnie. Z lubością, obficie rozchlapując wodę, Kasu Marimuthu dokończył toaletę.

Po wyjściu zaczął wycierać się energicznie ręcznikiem z szorstkiej bawełny, takim samym, jakiego używał jego ojciec, a przed nim dziad. Ozdobne puszyste ręczniczki, znajdujące się w innych łazienkach jego domu, nie były dla niego. Ogolił się nad umywalką, a następnie przeszedł do przedpokoju i włożył szeleszczącą białą koszulę z długimi rękawami i obszerne jasnobrązowe spodnie. Stał przed lustrem, posmarował sobie włosy brylantyną i zrobił przedziałek na środku. Tak przygotowany Kasu Marimuthu mógł podjąć wszelkie wyzwania, jakie rzuciłby mu świat.

Mijając po drodze do Pokoju Lawendowego balkon z widokiem na dziedziniec, zerknął w dół i zobaczył zamyśloną kobietę, która wspinała się po płaskich schodach prowadzących do kuchni. Wiedział, że to kucharka, lecz dlaczego, skoro nigdy nie zamienili z sobą słowa, jej widok wywołał w nim zaniepokojenie, tak jakby się z nią spotkał lub rozmawiał? Schylił się, by przyjrzeć się jej dokładniej lub przywołać ten fragment wspomnień, lecz kobieta znikła w półcieniu wnęki, za którą znajdowała się kuchnia.

Zmarszczył brwi, jak gdyby chciał siłą wydobyć z mózgu to wspomnienie. Ono jednak umknęło, a ponieważ Kasu Marimuthu stał przed drzwiami Pokoju Lawendowego, wyrzucił z myśli ten zbyt ten szczegół. Bez pukania wszedł do pokoju. Jego żona siedziała na podłodze obok spakowanej walizki, gotowa do podróży. Wstała momentalnie. Kasu Marimuthu nigdy nie widział tak zabiedzonych istoty.

Miała na sobie brązowe sari, w którym wyglądała okropnie. Kasu Marimuthu spojrzał na jej chude ramiona łaknące jakiegokolwiek strawy, na surowo zaczesane do tyłu włosy i uświadomił sobie, że jej aparycja idealnie odpowiada jego wyobrażeniu służącej. Myśl o tym, że on, który mógł przebierać wśród najpiękniejszych kobiet we wspaniałej Dżafnie, ożenił się z tak pospolitą przedstawicielką swojego rodzaju, ponownie przyprawiła go o wstręt. Cóż to będzie za ulga, gdy zobaczy ją znikającą z zasięgu jego wzroku.

— Włożyłam biżuterię do szkatułki i zostawiłam ją tam — oznajmiła, wskazując toaletkę.

Dobrze, że sama to powiedziała, gdyż Kasu Marimuthu zamierzał ją właśnie o to spytać.

— Jesteś gotowa do drogi? Parwati skinęła głową.

Kasu Marimuthu otworzył usta i chciał rozkazać jej, by podążyła za nim. Jednak — ku jego bezgranicznemu zdumieniu — okazało się, że popłynęły z nich słowa, których wcale nie zamierzał wypowiadać, a które sprawiły, że Parwati spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

— To dobrze, to dobrze — powiedział — ale nastąpiła

drobna zmiana planów. Osoba, która ma się zająć rezerwacją biletu na drogę powrotną, nie może tego zrobić od razu, więc jeśli chcesz, możesz spędzić kilka dni tutaj, nad morzem. Niech to będzie dla ciebie czas odpoczynku.

Było oczywiste, że ta propozycja wprowadziła Parwati w zdumienie. Długie i energiczne kiwanie głową świadczyło natomiast o tym, że pragnie tu pozostać.

— Patrząc na ciebie, doszedłem do wniosku, że przydałby ci się dobry posiłek. Zjedz śniadanie, a potem spędź leniwy dzień na plaży. Możesz także zwiedzić dom i posiadłość.

Parwati uśmiechnęła się nieśmiało. Kasu Marimuthu nie odpowiedział jej uśmiechem, lecz sztywnym krokiem podszedł do dzwonka wiszącego obok łóżka i pociągnął za sznurek.

— W ten sposób przywołuje się służbę — wyjaśnił. — Kiedy ktoś przyjdzie, zapytaj, jak korzysta się z toalety. Nie będziesz tego wiedziała, bo jest to urządzenie ze spłuczką.

Kasu Marimuthu dotknął ostrożnie czoła. Było ciepłe i delikatnie pulsowało.

— Zostawiam cię zatem — rzekł krótko. Teraz, gdy mimowolne słowa padły i nie można ich było cofnąć, ogarnął go gniew.

Podszedł do toaletki i gwałtownym ruchem chwycił szkatułkę.

Co go opętało?

Jednak zstępując po schodach, czuł coraz mniejsze niezadowolone z wypowiedzianego spontanicznie zaproszenia. Po powrocie do domu dziewczyna bez wątpienia będzie uchodziła za niedojdę, która nie potrafiła utrzymać przy sobie męża. Dlaczego miałby ją karać? To nie jej wina, że przyszła na świat nieurodziwa, a jej ojcem jest zepsuty łotr. Niech zostanie

przez kilka dni. Wszak nie wyniknie z tego żadne nieszczęście, a on i tak prawie nie będzie jej widywał. Gdy wkładał szkatułkę do sejf, zerknął na bliźniaczą szkatułkę, należącą do jego pierwszej żony. Odruchowo odwrócił wzrok. Jednak kiedy zamykał drzwiczki sejf, druga szkatułka odeszła już w niepamięć. Kasu Marimuthu wychodził z gabinetu dumny ze swojej wielkoduszności. Spełnił dobry uczynek.

Wsiadając do samochodu, przez chwilę rozważał, czy nie wysłać krewnym dziewczyny wiadomości o tym, że za kilka dni ją odprawi. Stwierdził jednak, że może to doprowadzić ich do wniosku, iż w niegodziwy sposób wykorzystuje sytuację. Lepiej będzie wysłać telegram do durnego swata. Dziewczyna do niczego stop odsyłam stop daj znać ojcu stop. Na myśl o pandemonium, które się w związku z tym rozpęta, Kasu Marimuthu rozsiadł się wygodnie na tylnej kanapie rolls-royce'a i po raz pierwszy od swojego ślubu się uśmiechnął.

## Dobry samarytanin i kłamstwo

Parwati wpatrywała się w zamknięte drzwi. Wczoraj wieczorem jej mąż był całkowicie zdeterminowany, by przy pierwszej okazji odesłać ją do domu. Skąd zatem ta zwłoka? Nie umiała powstrzymać radości na myśl o tym, że jeszcze nie zapadł nad nią wyrok.

Ktoś zapukał do drzwi. Parwati się wyprostowała.

— Proszę.

Do pokoju weszła kobieta. Złączyła dłonie pod brodą i oznajmiła, że ma na imię Kamala. Miała szerokie biodra i cienkie nogi, wystające spod sari, które związała wysoko w pasie, by móc się lepiej poruszać. Nie mogła mieć więcej niż trzydzieści lat, lecz jej usta były zapadnięte jak u staruszki.

— Och! Pan życzy sobie, żebyś pokazała mi, jak korzystać z toalety — odezwała się nieśmiało Parwati. Powiedział, że tutaj są inne...

— Bo są inne, *arna* — potwierdziła poważnym tonem

służąca. — Pochodzą z Anglii. Takich używają biali. Nie kuca się, ale siada na misce, a kiedy się skończy, trzeba pociągnąć za dźwignię. Woda zlatuje ze zbiornika do tej miski i nie rozlewa się, tylko jest wciągana razem ze wszystkim, z moczem i kupą, i spływa rurą, która prowadzi do morza. To naprawdę nadzwyczajna rzecz.

Kamala pochodziła z Indii i mówiła po tamilsku, nie zaokrąglając słów, Parwati zaś, która знаła tylko śpiewny akcent swoich rodaków, musiała się skupić, by ją zrozumieć.

— Tędy proszę, *arna* — ciągnęła Kamala, otwierając drzwi ukryte w wyłożonej boazerią ścianie.

Przez przebieralnię poprowadziła Parwati do łazienki z różowego marmuru, ona zaś odmówiła po cichu modlitwę dziękczynną za to, że już nie będzie musiała chodzić wieczorem do ustępu.

Kamala tymczasem otworzyła szafkę pod umywalką i wyjęła z niej małą drewnianą chochlę.

— Biali ludzie są mądrzy, ale nie za bardzo czyści. Nie używają wody do mycia, tak jak my. Odrywają kawałki papieru z rolki zrobionej specjalnie do tego celu i podcierają się nią. Ja jednak odkryłam, że ten papier może się przydać takim jak my: jeśli wrzuci się kawałek do środka, to później, kiedy wpadają tam odchody, woda nie ochlapuje tyłka — objaśniała Kamala, kiwając mądrze głową. Później odwróciła się w stronę wanny i wskazała kurki. — Możesz korzystać z wody tam — oznajmiła, wręczając Parwati chochlę. — No dobrze, *arna*, poczekam na ciebie na zewnątrz, chcesz?

Na wieszaku wisiały puchate ręczniki, a na podstawce leżało perfumowane mydło. Parwati przykucnęła w wannie

i wykapała się, łapiąc wodę do chochli i oblewając nią głowę. Ubrawszy się w brązowe sari, tak surowo ocenione przez Kasu Marimuthu, otworzyła drzwi. Kamala siedziała na podłodze z łokciem opartym na kolanie i jedną nogą zgiętą przy ciele. Wstała, odpychając się rękami od podłoża i unosząc pochylony tułów. Właśnie tak to robiła matka Parwati; serce dziewczyny wypełniła melancholia.

— Chodź, *arna* — rzekła Kamala. — Pokażę ci drogę do jadalni.  
— Dziękuję.

Parwati przez cały wczorajszy dzień nie jadła nic oprócz banana umoczonego w mleku. Była gotowa otworzyć duży słoć pełen słodkich *ladhu*, lecz nie zrobiła tego z obawy, że ktoś ją zgani. Kamala poprowadziła ją schodami, na których Parwati rozmawiała późno w nocy z Kasu Marimuthu. Po chwili kobiety znalazły się na klatce po przeciwnej stronie.

— Czy podróż z Cejlonu była przyjemna, *arna*?

— Tak, całkiem miła.

— Naprawdę? Moja była okropna. Morze było tak wzburzone, że nawet mężczyźni dostali choroby morskiej. Ktoś zmarł, więc owinięto go w biały całun i wyrzucono za burtę. Nigdy byś w to nie uwierzyła, ja też nie, ale nagle całkiem znikąd pojawiły się olbrzymie rekiny i rzuciły się na zwłoki, zanim te dotknęły wody! Kobiety zaczęły piszczeć, niektóre wpadły w histerię. Szczerze powiedziawszy, nawet ja trochę się przestraszyłam, a do lękliwych nie należę. Nigdy tego nie zapomnę. Tędy, *arna*. Skręciły w korytarz prowadzący do północnego skrzydła. Pierwszym pomieszczeniem w tej części domu była jadal-



nia. Kamala usunęła się z szacunkiem, przepuszczając Parwati. Przez liczne wysokie okna do środka wlewało się poranne słońce. Po przeciwnej stronie pomieszczenia dwoje podwójnych drzwi wychodziło na nieskazitelnie wyglądający trawnik, za którym rozpościerał się biały piasek. Długi stół stojący na środku sali, przykryty białym obrusem, zastawiony był porcelaną, srebrami i najrozmaitszymi egzotycznymi potrawami. Parwati spojrzała niepewnie na Kamalę.

— A cóż to takiego?

— Och, *arna*, to nie twoja wina, że nie wiesz. W Indiach nie mamy takich rzeczy, ale właśnie to jedzą biali. — Kamala podeszła do stołu i odkryła srebrne naczynie. — Spójrz, to jest ich chleb, całkiem smaczny. Przywożą świeży każdego ranka z piekarni w mieście należącej do pana. A wieczorami zwożą bułki, które się nie sprzedają i my je zjadamy. Najbardziej smakują mi kokosowe. Wierz mi, *arna*, nie umiem ci opowiedzieć, jaka jestem szczęśliwa, mieszkając w tym domu.

Kamala zamilkła, umieściła serwetkę w koszyczku i włożyła do środka parę kromek chleba.

— Zanim się tutaj znalazłam, byłam taka biedna, że kiedyś odepchnęłam psa od kosza, żeby dostać się do kawałka nadpsutego jedzenia — ciągnęła po chwili. — Mój mąż był okrutnikiem. To on wybił mi wszystkie zęby. Bił nawet wtedy, kiedy zaszłam w ciążę. Nie chciałam z nim sypiać i wydawać na świat kolejnych dzieci, ale co parę miesięcy pojawiały się bóle i musiałam schodzić z pola, żeby rodzić. Trzy razy wypięłam truciznę. Tak, *arna*, trzy razy — powtórzyła Kamala. — Bóg jeden wie, że byłam tak nieszczęśliwa, iż nie

myślałam nawet o dzieciach. Ból był nie do opisanego. Wewnętrzności palą jak ogień. Od tej pory nie mogę jeść przypraw, bo bardzo choruję. Ale tutaj jest jak w raju. Każde z nas ma swoją izbę, łóżko na nogach i szafkę, w której możemy trzymać swoje rzeczy. Nie umiem ci powiedzieć, jaki to luksus. Pan jest taki dobry. Kazał powiesić nad ogniem w kuchni wielki żelazny kocioł z mlekiem, żeby służba przez cały dzień mogła pić ciepłe mleko. Nigdy nie widziałam takiego wielkodusznego pana ani nawet o takim nie słyszałam. Oddałabym za niego życie. Teraz ożenił się z tobą, *arna*, a ty też jesteś dobra. Nigdy nie mylę się co do ludzi, zawsze wiem, jacy są. Jestem taka szczęśliwa, że chce mi się płakać.

Kobieta pociągnęła głośno nosem, uniosła rąbek sari i przycisnęła go do oczu.

— Tutaj jest dżem truskawkowy, zrobiony z owoców drzewa, które rośnie tylko w Anglii — wyjaśniła nieścisłe. — Tam stoi marmolada z czegoś w rodzaju gorzkiej pomarańczy, rosnącej wyłącznie w zimnym klimacie. W tym brązowym garnuszku znajdziesz miód, który pasterz Kupu przynosi z dżungli, a pod tym wieczkiem jest masło. Tam jest ser, ale muszę cię ostrzec, że ser białego człowieka smakuje zupełnie inaczej niż nasz *paneer*. — Kamala wskazała srebrne naczynie. — Tam jest kawa, a w tym okrągłym czajniczku herbata. Ani w jednym, ani w drugim nie ma mleka lub cukru. Każdy dodaje ich sam, tyle ile lubi. Co jeszcze... Jeśli chcesz jajko, powiedz mi, jakie lubisz, a Maja ci ugotuje.

— Nie, dziękuję — odparła Parwati. — To wystarczy aż nadto.

— Dobrze, *arna*, teraz pójdę i podgrzeję ci chleb. To potrwa chwilę.

Kamala wzięła koszyczek z chlebem i wyszła.

Parwati usiadła, zwracając twarz w stronę morza. Spojrzała na połyskującą w słońcu wodę i wiedziała, że wszystkie jej cudowne sny sajak wstrętna jaszczurka na suficie domu. Przyszedł czas rozstania z dziecinnymi mrzonkami o miłości i namiętności.

Zrozumiała, że wielkie uczucie omija takie niepozorne kurki jak ona. Nie domyślała się tego, dopóki nie powiedział jej o tym świeżo poślubiony mąż. Wydawało jej się, że jest taka sama jak każda inna. W wiosce nie mieszkała żadna podziwiana przez wszystkich piękność. Wszystkie kobiety były zwyczajne.

Na myśl o powrocie do domu, o gniewie ojca i hańbie Parwati westchnęła ciężko. Gdyby tylko Kasu Marimuthu pozwolił jej zostać! Mogłaby być służącą tak jak Kamala. Wystarczyłyby jej wikt i dach nad głową. Wiedziała jednak, że on nie ulegnie. Sama myśl o tym, że Parwati jest jego żoną, budziła w nim odrazę.

Kamala powróciła z dwiema tackami tostów i postawiła je na stole. Parwati wzięła jeden tost. Był gorący i pachniał tak apetycznie, że z głodu zaburczało jej w brzuchu. Położyła tost na talerzu i umieściła na nim w półokręgu łyżeczkę dżemu, odrobinę miodu i masła. Oderwała kawałek tostów i chciała umoczyć go w dżemie, lecz wyczuła znaczące milczenie Kamali. Podniosła głowę. Służąca patrzyła na nią tak, jakby za chwilę miała eksplodować.

— O co chodzi? — spytała Parwati.

— *Arna*, tego nie je się w ten sposób.

— Och!

— Najpierw trzeba rozsmarować masło na toście, a potem nałożyć dżem. Miód kładzie się bezpośrednio na tost. Pierwsza żona pana kładła na tost tylko odrobinę masła, bo dbała o figurę. Później brała go delikatnie między kciuk i palec wskazujący, podnosiła do ust i odgryzała drobne kęsy. Jadła w taki sam sposób, w jaki wykonywała wszystkie czynności, pięknie. A kiedy gryzła, zawsze trzymała usta zamknięte. Chyba wszyscy biali tak robią. Nie rozmawiają z jedzeniem w ustach. Widzisz, oni uważają to za przejaw złych manier. Ta zwinięta ściereczka obok twojego talerzyka to serwetka. Pani raz po raz podnosiła ją do kącików ust. Wiesz, czego jeszcze nie robi się przy stole? Niczego nie wolno wlewać prosto do buzi. Trzeba pociągać małe łyżki z brzegu filiżanki. Wyobraź sobie, co by było, gdybyś tak robiła w Indiach. Członkowie wszystkich kast musieliby nosić z sobą wszędzie naczynia do picia, prawda? Kamala roześmiała się gromko ze swojego żartu, a Parwati zastosowała się do pouczenia. Żucie małego kęsa było dziwne i niewygodne, lecz mimo to chleb białych ludzi posmarowany masłem i dżemem okazał się najsmaczniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek jadła.

— Nalać ci kawy? — zaproponowała Kamala.

— Tak, poproszę. Ty też się napijesz?

— Jesteś taka wielkoduszna, niech Bóg nagrodzi cię długim życiem. Pójdę po swój kubek.

— Weź któryś z tych — odparła szybko Parwati.

— Naprawdę mogę, *arna!* Parwati skinęła głową.

— Masz w sobie tyle dobroci, *arna.* Pierwsza żona pana

nigdy nie zaproponowała mi kawy, a o picciu z takiej kosztownej filiżanki nawet nie było mowy. — Kamala wsypała do naczynia dwie łyżeczki cukru. — Słyszałam, że pochodziła z niedobrej rodziny. Kiedy postanowili się przeprowadzić, wszystkie rośliny, które nie kwitły od lat, nagle obsypały się kwieciami. Była pół Angielką, pół Hinduską, bardzo dumną i bezbożną. Przez cały czas, gdy tu mieszkała, ani razu nie przekroczyła progu kaplicy... — Kamala gniewnie uniosła podbródek. — Widziałam, jak je wołowinę z puszki. Gdybym nie ujrzała tego na własne oczy w czasie jednego z jej sławnych balów, nigdy bym nie uwierzyła. Cóż za hańba!

— O jakich balach mówisz?

— Ona je tak nazywała. To były wielkie przyjęcia, ludzie schodzili się, żeby jeść, pić i tańczyć w wielkiej sali na parterze w tym skrzydle domu. Jakżeż oni pili! Na koniec zostawały setki pustych butelek po winie i wódce. Ja siadałam w krzakach i obserwowałam przychodzących strojnych gości. Czasem mieli na twarzach maski wysadzone klejnotami i ozdobione piórami. Pierwsza żona pana zawsze nosiła satynową maskę wilka i aksamitną czerwoną wstążkę zawiązaną na szyi. Jeden kelner powiedział kiedyś, że pani wydawała najlepsze bale na całych Malajach. Przybywali na nie nawet członkowie rodzin królewskich. Zawsze się wyróżniali. W ich obecności nikomu nie wolno było nosić nic żółtego ani białego, przybywali też z licznymi orszakami ludzi, którzy słuchali każdego ich słowa. Kamala zrobiła pauzę i siorbnęła kawę.

— Tylko w czasie przyjęć pani się śmiała i była szczęśliwa, poza tym zawsze wyglądała na znudzoną. Nigdy nie schodziła

z góry przed dziesiątą rano. Szczerze powiedziawszy, nie miała co robić w ciągu dnia. Malowała paznokcie i kartkowała zachodnie katalogi w poszukiwaniu fasonów, które Ramu, krawiec, dla niej kopiował. Nigdy nie udawało mu się uszyć niczego dokładnie tak, jak wyglądało na obrazku. Nie cierpiała, gdy ktoś miał taką samą rzecz, jaką ona nosiła. Wiesz, że to dla niej uszyto najdroższe sari na świecie? Było uszyte prawdziwą złotą nicią i ozdobione krociami drogocennych kamieni. Przymocowano je za pomocą ponad piętnastu tysięcy zakardowych haczyków, dziesięciu chłopców musiało pracować trzy tysiące godzin bez przerwy, żeby to zrobić. Słyszałam, że jeden nawet oślepił z tego powodu. Czy to nie grzech nosić takie sari? Kamala ze smutkiem pokręciła głową.

— A przecież wcale nie potrzebowała takich ozdób. Miała włosy jasne jak Bengalka i była bardzo, bardzo piękna. Wszystko, co nosiła, doskonale do niej pasowało. Nie uwierzysz, ale schodząc rano na dół w podomce, błyszczała urodą jak bogini Lakszmi. Mogłabym siedzieć i patrzeć na nią godzinami. Ale co dobrego jest z takiej urody, pytam? Biedny pan, nie zasługiwał na to ani trochę. I prawie go to zabiło, ale to teraz nieważne. Zaczekam na ciebie na zewnątrz, *arna*, dobrze?

— Chwileczkę. Może chcesz coś zjeść?

— Och, *arna*, jakaś ty dobra! Naprawdę. Zwykle nie jadam rano, ale skoro mi zaproponowałaś, to zamoczę kromkę zwykłego chleba w kawie. — Kamala wyciągnęła rękę po tost. — Z odrobiną masła będzie smaczniejsza, prawda? — Posmarowała chleb grubą warstwą masła. — Masło ma taki przyjemny smak — zachwyciła się, biorąc drugi tost i także go smarując. — Uwielbiam je. Naprawdę uważam, że to mogłoby być moje ulubione jedzenie. Jest jak nasze *ghee*, tylko ma więcej soli.

Parwati zaprosiła Kamalę do stołu, lecz ta stanowczo pokręciła głową, autentycznie przerażona.

— Nie mogę! Poza tym nie lubię siadać przy stole. Wolę jeść, siedząc na podłodze.

Znalazła plamę światła przy wysokim oknie i ukucnęła, a następnie zwinęła tost i chciwie wsunęła sobie do ust.

Plotkowanie ze służbą nie jest dobrym obyczajem, lecz Parwati nie mogła się powstrzymać:

— Powiedziałaś, że coś omal nie zabiło pana. Co miałaś na myśli?

— Ojej, *arna*, dlaczego pytasz? To był okropny skandal, wszyscy się dowiedzieli. Prawdę rzekłszy, ona zdeptała honor pana. Jaka kobieta tak postępuje, pytam? Wcale się nie dziwię, że spalił wszystkie jej zdjęcia i zakazał wymieniać jej imię w swojej obecności. Ale później zaczął pić. *Arna*, on upijał się noc w noc po jej odejściu. Czasem wypijał cały alkohol w domu i w środku nocy schodził do piwnicy po więcej. A czasem wrzeszczał jak opętany, słysząc go było nawet w naszych kwaterach.

Wszyscyśmy bardzo się o niego martwili. Pewnego dnia Maja zaczęła potajemnie sypać mu lekarstwo do jedzenia i pół roku później nagle przestał. Teraz ma tak silną wolę, że zostawia w domu wszystkie butelki whisky. W czasie przyjęć w ogrodzie, a urządza się ich tutaj mnóstwo, podaje drinki gościom, a sam nie tknie alkoholu. Maja powiedziała, że jeśli znów zacznie pić, ona nic na to nie poradzi.

Parwati siedziała bez ruchu. Niektóre słowa użyte przez Kamalę były jej nieznane, a inne miały odmienne znaczenie, ale czy to było możliwe, by cejlońskie słowo „odejście” znaczyło w Indiach „śmierć”?

— Co się stało z pierwszą żoną?

Kamala otworzyła usta wypełnione przeżutym jedzeniem.

— Nikt ci nie powiedział? — spytała z niedowierzaniem. Parwati pokręciła głową.

— Och, *arna*. Ta kobieta, jeśli w ogóle można ją nazwać kobietą, uciekła do Argentyny z graczem polo. On podobno przybył, żeby trenować drużynę księcia, ale wiem, że poznali się na którymś z jej balów. Był wysoki i bardzo przystojny. Z początku zachodził na przyjęcia pana, ale potem zaczął się pojawiać, kiedy pana nie było. Wychodzili razem na plażę. On uczył ją pływać. Dużo się śmiali. Ale gdyby mnie zapytała, *arna*, ostrzegłabym ją. Ci biali mężczyźni różnią się od naszych. Łatwo ich zdobyć, ale też bardzo łatwo stracić. Dobrze ich znam. Pracowałam kiedyś u białej rodziny w Delhi. Spędziłam tam prawie miesiąc. Któregoś dnia wieształam rzeczy, wpadłam do basenu i prawie poszłam na dno. Na szczęście był tam ogrodnik i wyłowił mnie długą tyczką. Później *memsahib* kazała mu wypuścić wodę z basenu i wyczyścić go, a mnie zapłaciła za miesiąc i odprawiła. Chyba przestraszyli się, że znów wpadnę i się utopię. — Kamala uśmiechnęła się nagle. — Ale dzięki nim umiem teraz trochę po angielsku — oznajmiła, po czym zaczęła wygłaszać zdania w obcym języku. — Zdejmij z twarzy tę śmieszoną maskę. Podnieś to. Gorąco w tym kraju jak diabli. Bądź kochany i nalej mi ginu z tonikiem.



Parwati odłożyła tost i spokojnie wytarła serwetką kąciki ust, lecz przestała słuchać. Żona Kasu Marimuthu nie zmarła na tajemniczą tropikalną gorączkę, lecz uciekła z białym mężczyzną!

— Kamala, co to jest piwnica? — spytała nagle, przerywając paplaninę służącej.

— To duża izba pod domem, w której trzyma się butelki z drogim alkoholem.

— Myślisz, że mogę ją zobaczyć?

— Piwnica jest zawsze zamknięta, ale chyba Maja ma klucz.

Może ją zapytasz?

Parwati skinęła głową.

— Tak zrobię. Kim jest Maja?

— Och, Maja to kucharka. Ale jest kimś o wiele ważniejszym.

Ona jest szamanką.

— Naprawdę? spytała Parwati. Kamala poważnie skinęła głową.

— Nie mogę więcej o niej powiedzieć, sama musisz się przekonać — oznajmiła, a potem, o dziwo, zamilkła.

Zanim Parwati zdążyła zjeść drugi tost, Kamala wysiorbała dwie filiżanki kawy i pochłonęła pięć kromek chleba: trzy z masłem, a dwie z miodem i dżemem. Parwati wstała z krzesła, a Kamala się wyprostowała.

— Co chcesz teraz robić, *amal*

— Rozejrzę się trochę.

— Oprowadzić cię po domu?

— Nie, zajmij się swoją pracą. Dam sobie radę.

— Na pewno? Jestem tutaj nawet dłużej od Mai i wiem

o tym domu wszystko. W najdrobniejszych szczegółach. Dam ci przykład. Wszystkie witraże przywieziono z Anglii, ale architekt i budowniczowie pochodzili z Indii. Architekt musiał podpisać umowę, że nie zachowa ani jednej kopii planu, tak aby ani on, ani nikt z jego rodziny nie mógł wykorzystać projektu w żadnym miejscu na świecie.

— Dziękuję, ale chciałabym trochę pochodzić sama — odparła Parwati i się odwróciła.

— *Arna.*

— Tak?

— Nie powiesz nikomu, że opowiadałam ci o pierwszej żonie pana, dobrze? Mamy nikomu o niej nie mówić, ale pomyślałam, że ty powinnaś wiedzieć.

Parwati się uśmiechnęła.

— Nie obawiaj się, nie powiem panu. Wiesz może, jakimi interesami pan się zajmuje?

— Ma piekarnię i sklep spożywczy w mieście, a poza tym plantacje kauczuku na całych Malajach. Wiem też, że ma wielkie posiadłości ziemskie na Sri Lance i Indiach. Kiedyś mówiło się nawet o inwestycjach w Anglii i Ameryce. Gopal powiada, że znaczna część dochodów pana pochodzi z monopolu, którego sułtan udzielił mu na wytwarzanie i sprzedaż soku palmowego na alkohol w całym swoim państwie.

## Uzdrowicielka

Na górze znajdowało się czterdzieści pokoi, po dwadzieścia na skrzydło. Dziesięć wychodziło na morze, a dziesięć na dżunglę. Tylko niektóre Parwati zdołała otworzyć, lecz oglądała je z roztargnieniem. Jej dłoń przesuwiała się po kości słoniowej, porcelanie, onyksie i weneckich wyrobach lakierowanych, a w głowie uporczywie krążyła jedna myśl: Kasu Marimuthu skłamał, jego żona żyje. Rozglądała się na wszystkie strony, niestrudzenie poszukując zdjęcia tajemniczej kobiety.

W salonie zatrzymała się przed szafką pełną weneckiego szkła i zdumiała się, że naczynia służące do picia mogą występować w tak wielu kształtach i rozmiarach. Nie wiedziała wówczas, że każdy napój wymaga innego kieliszka. Przyglądała się marmurowemu dzbanowi na wodę, który miał kształt ptaka. Było tam mnóstwo wspaniałych przedmiotów. Medalionowe krzesła, chińskie naczynia na poncz, komody zdobione motywami liści.

W salonie muzycznym usiadła na pokrytym purpurowym aksamitem taborecie przed jasnozielono-żółtym fortepianem z rozłożoną partyturą. Kiedy nacisnęła klawisze, z instrumentu popłynęły miłe dla ucha dźwięki. Z żalem odeszła od fortepianu i podeszła do wielkich drzwi prowadzących do sali balowej.

Wszedłszy do pogrążonej w półmroku sali, zauważyła włączniki światel i ze zdziwieniem patrzyła, jak zapala się pięć ogromnych żyrandoli. Ściany wyglądały jak mozaika z kolorowego szkła. Wszystko było tam piękne, lecz dziwnie smutne, jak gdyby sala przywoływała wspomnienie szczęśliwych czasów, gdy gościła koronowane głowy. Parwati zamknęła drzwi i powędrowała dalej.

Ściany biblioteki Kasu Marimuthu były pomalowane na ciemnozielono, a w powietrzu unosił się zapach tytoniu. Znalazłszy się w środku, Parwati zobaczyła, że wypełnia ją tysiące oprawionych w skórę książek ustawionych na półkach sięgających aż do sufitu. Nie oczekiwała, że ujrzy tam podobiznę swojej poprzedniczki, lecz liczyła na to, że być może dowie się więcej o dumnym mężczyźnie, który za sprawą niewiarygodnego kaprysu fortuny został jej mężem.

Może usiadłaby na olbrzymim ciemnym fotelu stojącym za wielkim biurkiem lub nawet otworzyła którąś z szuflad, gdyby nie wielkie malowidło, wiszące tuż obok na ścianie. Stanęła jak wryta i patrzyła. Później dowiedziała się, że dziwny mężczyzna, obejmujący łagodnym gestem wygiętą szyję łabędzia, nazywa się klaun. Jego zadaniem było rozśmieszanie ludzi. Jednakże widok jego jasnych oczu sprawił,

że zaczęła się wycofywać, a one nie przestawały na nią patrzeć, jak gdyby były żywe.

Zmierzając do kuchni, Parwati natrafiła na kaplicę. Niosła się z niej aromatyczna woń. Na ścianach wisiały wizerunki bóstw, a na podwyższeniu ołtarza stał łagodnie uśmiechnięty, marmurowy posąg Lakszmi, bogini bogactwa. Z jej skóry i ubrania wysypywały się monety. Matka Parwati mówiła, że w każdym domu powinna się znajdować figura siedzącej Lakszmi, gdyż bogini stojąca wyjdzie i zabierze z sobą fortunę. Ale czy matka Parwati, która całe życie spędziła w lepiance, wiedziała o fortunie więcej niż Kasu Marimuthu?

Parwati dotknęła czołem podłogi. Uniósłszy głowę, znalazła się twarzą w twarz z ośmioramienną boginią, wysoką na piętnaście centymetrów, o grubo ciosanych rysach. Na jej głowie rozpościerało się osiem kapturów węży. Dwa ramiona odpadły i leżały obok ciała, groteskowe gliniane patyki pokryte łuszczącą się farbą. Trudno o większy kontrast niż ten pomiędzy olśniewającą boginią z marmuru i tanią lalką. Nie ulegało jednak wątpliwości, że ktoś darzy tę lalkę niekłamanym uczuciem. Trzeba było bowiem autentycznej wiary, by do czegoś takiego się modlić.

Parwati momentalnie zorientowała się, że jest to jedyny posąg bóstwa w tym domu, który nie należy do jej bogatego męża. Nie mogła odgadnąć, kim jest właściciel posążka, lecz poczuła dziwną bliskość z tą osobą; wiedziała, co to znaczy stać przed wielkim, imponującym bóstwem, pragnąc czcić małego i niepozornego bożka, który spoczywa u stóp tego

pierwszego. Posmarowała sobie czoło świętym popiołem i wyszła.

Na posadzce nieskazitelnie czystej, wielkiej kuchni siedziała ogromna kobieta z nogami skrzyżowanymi po turecku. Rozłożystymi dłońmi rozdzielała stos liści na trzy części. W ustach trzymała krótkie cygaro. Na widok zbliżającej się Parwati odłożyła cygaro na brzeg popękanego talerza, którego używała jako popielniczki, i skierowała ku górze mięsistą twarz.

Z jej uszu i nosa zwisały złote dyski wielkości monet, a na szyi znajdował się czarny rzemyk z muszlą. Odwróciwszy się w bok, wstała bez trudu i z zaskakującą jak na swoją posturę lekkością. Miała na sobie malajski sarong i spraną bluzkę; była rośła, zwalista i niepospolicie brzydka. Parwati spojrzała w jej wielkie ciemne oczy i wiedziała, że oto stoi przed nią właścicielka posążka z odłamanymi ramionami.

Jej zęby miały czerwonobrazowy kolor.

— Skończyłam pracę i zrobiłam sobie krótką przerwę — oznajmiła. — Mam nadzieję, że się nie gniewasz.

— Ależ skąd — odparła szybko Parwati. — Kim jesteś?

— Jestem Maja, kucharka. Ach, to ta szamanka.

— Czy boginka w kaplicy należy do ciebie?

— Tak. Pan pozwolił mi ją tam zostawić, bo rzadko zachodzi do tego pomieszczenia.

— Nie poznałam tej bogini. Któż to taki?

— To Nagarną, bogini wąż.

— Co się stało z jej ramionami?

— Dostałam ją od pewnego świątobliwego męża, kiedy byłam dzieckiem. Wszyscy uważali go za pomyleńca, bo zagadnięty, uśmiechał się z za zasłony kędzierzawych włosów i machał odrażająco brudnymi, długimi prawie na trzydzieści centymetrów, powyginanymi paznokciami. Mieszkał pod drzewem, a kiedy go mijałam w drodze do szkoły, zawsze kiwał mi głową. Pewnego dnia zawołał mnie i oznajmił, że ma dla mnie niezwykle podarunek, ale muszę przyjść do niego nazajutrz, zanim popołudniowy cień dotknie pobliskiego kamienia, gdyż w przeciwnym razie odejdzie i nie przekaze mi daru. Kiedy się zjawiłam, pokazał mi szczelinę między obnażonymi korzeniami drzewa, w której umieścił posążek Nagamy. Oznajmił, że sam go wykonał i że muszę wędrować po świecie aż do dnia, w którym bogini odpadnie jedno ramię. Obiecałam, że tak postąpię, a on kazał mi podejść i uniósł dłonie skierowane w moją stronę, o tak. Maja podniosła ręce z szeroko rozłożonymi palcami.

— „Zbliź się i spleć palce z moimi”, rzekł, ale ja nie chciałam tego zrobić. Cofnęłam się, bo jego paznokcie wyglądały okropnie. „No, chodź”, szepnął i spojrzał na mnie w taki sposób, że nagle mój wstręt znikł i chętnie się do niego zbliżyłam. Uklękłam, a on splótł swoje palce z moimi. Jego skóra była niewiarygodnie miękka, jak płatki kwiatów. To nie mogło trwać dłużej niż kilka sekund, lecz poczułam się, jakbym zapadła w głęboki sen lub trans. Zbudziłam się dopiero wtedy, gdy on osunął się na mnie bezwładnie. Cały mój wstręt powrócił, a wraz z nim lęk, gdyż czułam na sobie ciężar martwego ciała. Wyrwałam się, a trup runął na ziemię. Całą

drogę do domu pokonałam biegiem. Tej nocy dostałam gorączki, majaczyłam. Zdawało mi się, że po moim ciele biega tysiące owadów.

Maja zamilkła na chwilę.

— Chorowałam cały tydzień, a gdy poczułam się lepiej, ten człowiek był już pochowany. Jednak bogini wciąż tkwiła między korzeniami drzewa. Zabrałam ją do domu. To nie stało się nagle, lecz po pewnym czasie zauważyłam, że wystarczy mi na kogoś spojrzeć, by wiedzieć, co mu dolega. Patrzyłam na jakąś roślinę lub zielsko nad rzeką i od razu wiedziałam, jakie choroby można nimi leczyć. Niebawem zapragnęłam odejść z domu. Razem z moją boginią wyruszyliśmy w podróż po świecie, bez pieniędzy ani określonego celu. Stałam na przystani, spoglądając w morze, i nagle zjawił się jakiś człowiek. Podbiegał do innego ważnego człowieka i zaczął mu opowiadać, że jego córka jest zbyt chora, by móc podróżować. Wtedy ten ważny człowiek spojrzał w moją stronę i powiedział: „Hej, ty, dziewczyno. Tak, do ciebie mówię. Chcesz u mnie pracować?”. „Tak”, odpowiedziałam i wyruszyliśmy do Egiptu. W ten sposób zwiedziłam cały świat, aż przybyłam do tego domu i pewnego dnia bogini odpadło ramię.

— Dlaczego tutaj?

— Nie mam pojęcia, ale wiem, że ten dom stoi na świętej ziemi. Na świecie jest zaledwie kilka takich miejsc.

— A kiedy odpadło drugie ramię?

Maja spojrzała na Parwati z nieprzeniknionym obliczem.

— Wczoraj po twoim przybyciu.



— Och! Cóż to może oznaczać?

— Nie wiem. Musimy poczekać, żeby się przekonać. Kobiety patrzyły na siebie. Parwati, nawykła do dzielenia się ciszą wyłącznie z matką, przerwała milczenie.

— Co pozostawiłaś w Indiach?

Maja otworzyła nieładne usta i roześmiała się beztrąsko.

— Tylko lepiankę z dachem z liści palmowych.

— A rodzice?

— Matka zmarła, kiedy byłam bardzo młoda, a ojciec ożenił się z inną kobietą. Ucieszyła się, widząc, że odchodzę.

Parwati przez chwilę zmagala się z myślą, która nie dawała jej spokoju.

— Czy mój mąż wciąż dużo pije?

Maja zdziwiła się, że jej pani tak prędko zadała to pytanie.

Spojrzała na nią z namysłem.

— Wczoraj zdarzyło się to po raz pierwszy od ponad roku. —

Nagle kucharka uśmiechnęła się szeroko i radośnie. — Ale to nie twoja wina. Sięgnął po butelkę, bo szukał powodu. Jeśli nie byłaś nim ty, to znaczy, że chodziło o coś innego. Bądź cierpliwa, to zacny człowiek. Kiedyś przestał pić i znów przestanie, jeśli tak postanowi.

Parwati stała niezręcznie na jednej nodze. Po raz drugi rozmawiała o mężu ze służącą, a ta odpowiadała jej z tak niezwykłym majestatem, że Parwati jeszcze bardziej zawstydziła się swojej dociekliwości. Teraz zrozumiała, że głupotą było słuchać krytyki Kamali ukrytej pod przebraniem hojnych pochwał. Powinna była zachować więcej godności. Po pierwsze, to nie były sprawy służby. A Kasu Marimuthu nawet

nie chciał być jej mężem. Wpadłby w gniew, dowiedziawszy się, że za dobroć odpłaciła mu plotkowaniem o jego prywatnych sprawach.

Jak gdyby zauważając zmianę, która zaszła w rozmówczyni, Maja skierowała wzrok w stronę pieca.

— Na kolację przygotowuję wam *varuval* z koziej krwi.

— Ja nie jadam mięsa — oznajmiła Parwati. Maja się uśmiechnęła.

— Zatem tylko dla pana. Dla ciebie zrobię coś specjalnego.

Wybierzesz się dzisiaj na plażę?

— Tak, chyba tak.

— Wyślę ci *tiffin* owinięty w ściereczkę — rzekła Maja tonem, jakim służąca powinna się zwracać do pani.

— Dziękuję — odparła Parwati, poniewczasie wchodząc w rolę pani domu.

— Niech *tiffin* będzie przez cały czas schowany. Tutejsze małpy to pierwszorzędni złodzieje, a samce potrafią być bardzo zajadłe.

— Tak zrobię—powiedziała Parwati, wychodząc z kuchni tylnymi drzwiami. Skręciwszy w lewo, znalazła się przed kwaterami służby. Obok była mleczarnia. Robiono tam ser albo *ghee*, o czym świadczył bardzo silny zapach. Po drugiej stronie mleczarni wiatr poruszał praniem, które suszyło się na sznurkach w blasku słońca. Na skraju posiadłości stał kwadratowy budynek z cegły, mieszczący generator prądu. Dochodził z niego głośny hałas.

Obok budynku kręcił się mężczyzna w gumiakach. Przez całą długość jego lewego policzka przebiegała okropna blizna.

Na widok Parwati z szacunkiem uniósł ręce. Miał małe wilgotne oczy, w których nie było ani cienia przebiegłości. Kiedy mówił, że ma na imię Kupu, jego prawa powieka drgnęła. Ach, to pasterz, zbieracz miodu, pomyślała Parwati. Wyjaśnił jej, że jego głównym zajęciem jest utrzymanie generatora i pilnowanie, żeby w silniku zawsze była odpowiednia ilość paliwa. Mężczyzna wycofał się i znikł w hałaśliwym wnętrzu. Parwati osłoniła oczy przed słońcem i dostrzegła zagrody dla bydła. Jakiś mężczyzna z wiadrem mleka na głowie zmierzał w stronę mleczarni.

Parwati obeszła ścianę domu i dotarła do szklarni. Wewnątrz ciągnęły się rzędy egzotycznych orchidei, niektóre były tak wysokie jak Parwati.

Jakaś dziewczyna zamiatała terakotę przed domem miotłą zrobioną z włókien liści palmowych. Była bosa i miała długą spódnicę zadartą do pasa. Po stopniach spływała kaskadami mydlana woda. Na widok Parwati dziewczyna odłożyła miotłę i podeszła, by przywitać się w taki sam sposób, w jaki zrobił to Kupu. Zbliżyła się tak bardzo, że na jej schylonej głowie Parwati dostrzegła pełzające wszy. Potem spojrzała na nią dużymi, pełnymi żalu oczami i uśmiechnęła się z takim uwielbieniem, jakby Parwati nie była ludzką istotą, lecz boginią, której można powierzyć swoje niedole.

Parwati skinęła głową i oddaliła się szybkim krokiem.

Przeszła przez bramę strzeżoną z obu stron przez naturalnej wielkości byki z brązu. Wczoraj ich nie zauważyła, choć były ogromne i błyszczące. Zerknęła na dom, połyskujący w słońcu powłoką ze szkła i światła. Z westchnieniem odwróciła się

w stronę morza. Na plaży zrzuciła sandały i poczuła pod stopami przyjemne ciepło piasku. Podeszła bliżej wody. Skorupa piachu załamywała się pod jej nogami, a ona szła dalej, aż dotarła na skraj małej wioski rybackiej z drewnianymi domkami na palach. Na piasku leżały i suszyły się długie sieci.

Jakieś dziecko owinięte w białą płachtę goniło grupkę chłopców, którzy pierzchali we wszystkie strony, krzyząc: *Hantu, hantu!* Zatrzymali się nagle na widok nieznajomej. Zbliżyli się i zaczęli nieśmiało mówić coś po malajsku, lecz nie mogąc nawiązać kontaktu, podjęli przerwana zabawę, a Parwati ruszyła w drogę powrotną. Gdy w zasięgu jej wzroku znalazł się dom, usiadła w cieniu drzewa obok kępki purpurowych kwiatów. Mimochodem zerwała jeden i dotknęła liści. Ze zdumieniem zobaczyła, że te momentalnie się zwinęły. Dotknęła leciutko innego, a ten także zwiądnął w jednej chwili. Nie wiedziała, jak takie kwiaty w ogóle mogą żyć.

Na tle błękitnego nieba śmigwały jaskółki, korzystając ze wstępujących wiatrów. Parwati położyła się na wznak, zamknęła oczy i zobaczyła wyraźnie swój haniebny powrót do domu. Cała wieś weźmie ją na języki. Wszyscy będą się śmiali z jej ojca, który w tak żaloszny sposób za pomocą zamienionego zdjęcia próbował oszukać kandydata na męża córki. Nawet Parwati, która żyła w odosobnieniu, słyszała o podobnym wypadku. Dziewczyna wróciła do domu w takiej hańbie, że popełniła samobójstwo. Parwati otworzyła oczy i popatrzyła na ocean. Był szary i oślepiający niczym roztopiony metal. Słońce piekło coraz mocniej i leżącą w cieniu Parwati ogarnęła senność. Nie wróci do rodzinnego domu.

Na pewno są jakieś pałace, w których potrzeba służących. Dzięki temu będzie mogła co miesiąc posyłać do domu pieniądze i nikt nigdy nie dowie się prawdy.

Gdy się obudziła, dochodziło południe. Ktoś przyniósł Parwati tacę z jedzeniem i wodą. Taca była przykryta, wyglądała więc jak bezbarwna ściereczka. Parwati jadła chciwie. Przykrywając pojemnik wieczkiem, zauważyła coś nadzwyczajnego: liście, które uznała za martwe, powróciły do swojej pierwotnej postaci. Przez chwilę bawiła się, dotykając liści i patrząc, jak zwijają się, a potem znów powoli rozwijają. Zmęczony się zabawą, zerwała garść ładnych kwiatków, przywiązała je do brzegu sari i ruszyła w kierunku przeciwnym do tego, z którego nadeszła.

Szła jakiś czas, mając po lewej stronie morze, a po prawej ścianę nieprzeniknionego lasu. Znalazła się przed dużymi szarymi głazami. Wspięła się na jeden z nich i patrzyła na fale rozbijające się poniżej. Mgiełka, która osiadała na jej twarzy, była chłodna i orzeźwiająca. Stała długo, chcąc nasycić się tym miejscem.

Wróciwszy do domu, zauważyła coś, czego przedtem nie dostrzegła. Z konara rozłożystego drzewa zwisał prostokątny kawałek drewna na dwóch linach. Domyśliła się, że jest to huśtawka, przypomniała sobie bowiem opowieści mamy o bohaterkach ksiązek, które, siedząc na huśtawkach, marzyły o powrocie ukochanego. Usiadła, chwyciła się lin i zaczęła odpychać się stopami, zrazu wolno, a potem, nabierając większej pewności, coraz szybciej. Wnet pojęła, że poruszając się do przodu, trzeba wyprostować nogi, a lecąc w drugą

stronę, należy je zgiąć. Odchyliwszy głowę w tył, ujrzała zielony baldachim drzewa oraz plamy błękitnego nieba i chmur pomiędzy liśćmi. Nieważne, że będzie musiała odejść. Nieważne, że nigdy nie wyjdzie za mąż i nie będzie miała dzieci. Nieważne. Parwati wznosiła się wyżej, niż dotąd sięgała jej wyobraźnia. Po raz pierwszy od opuszczenia domu zapomniała o strachu i utrapieniach, i zaczęła się śmiać z czystej radości. Dopiero o zmierzchu zeszła z huśtawki. Bolały ją ręce i miała dziwne odczucie w nogach, lecz bez przesady można było powiedzieć, że spędziła najlepsze chwile w swoim życiu.

Na dziedzińcu spotkała Maję; kucharka dała jej szklane naczynie na kwiaty. Parwati postawiła je przy łóżku i sprawiło jej to przyjemność. Tego wieczoru zjadła posiłek w ogromnej jadalni. — Zjedz ze mną — poprosiła Maję.

Maja wyjaśniła jednak, że nie może towarzyszyć jej w posiłku, gdyż pości. Jadła tylko raz dziennie i to przed zachodem słońca. Po samotnej kolacji Parwati wyszła na werandę. Noc była ciemna i bezksiężycowa. Nie było widać nawet białej piany fal. Matka Parwati powiedziała kiedyś, że w takie noce bogini Kali łączy się z Panem Siwą.

Maja siedziała w kącie na bujanym fotelu i paliła. Na widok Parwati chciała wstać, lecz jej nowa pani podbiegła do niej, położyła ręce na szerokich kolanach kucharki, uklękła i zawołała głosem pełnym wstydu:

— Nie chcę dłużej udawać! Czuję się taka samotna i za-

gubiona, tylko z tobą mogę porozmawiać. Wcale nie jestem twoją panią, nic bardziej mylnego. Pochodzę z bardzo ubogiej rodziny. Mieszkamy w lepiance z zapadniętym dachem, którego mój ojciec i bracia nie naprawiają, bo są zbyt leniwi. Dziwnym trafem ojciec zdołał zwieść twojego pana, podsuwając swatowi zamienioną fotografię, ale pan zobaczył, że jestem brzydka i nieokrzesana. Na pewno już wszystko załatwił, żeby odesłać mnie do domu. Wkrótce stąd odejdę.

Szeroka dłoń Mai spoczęła na głowie Parwati. Nie była ciężka, lecz nieskończenie łagodna. Dziewczyna poczuła łzy wzbierające pod powiekami. Przepęłniał ją smutek i lęk. Szłochała na kolanach służącej. Słysząc było szmer wiatru w gałęziach, a kucharka wydawała ciche kojące dźwięki, kończące się słowem *da*. W odniesieniu do chłopca lub mężczyzny było ono niegrzeczne i lekceważące, lecz w uszach Parwati brzmiało czule jak żadne inne. Dziewczyna najchętniej nigdy nie opuszczałaby tych miękkich, emanujących dobrocią kolan.

Po dłuższej chwili Maja rzekła:

— Jesteś młoda i piękna. Dla takich jak ty bogowie mają szczególne dary.

Parwati raptownie uniosła głowę.

— Ależ ja nie jestem piękna. Maja się uśmiechnęła.

— Piękno, moje dziecko, mieszka w oku patrzącego. Twój mąż wmówił sobie, że istnieje tylko jeden jego rodzaj. W rzeczywistości jesteś bardzo piękna.

— Naprawdę? — zapytała zdezorientowana Parwati.

— Tak. Jeszcze tego nie wiesz, bo żyłaś w ukryciu. Ale niebawem dostrzeżesz to w oczach mężczyzn.

— Ty nie rozumiesz. Pan mnie nie chce. Już powiedział, że zamierza mnie odprawić. To całkowicie pewne. I ma rację. Jak niewykształcona wieśniaczka, taka jak ja, może być panią takiego pałacu? Ale ja nie mogę wrócić do domu, bo ojciec stanie się pośmiewiskiem całej wioski. Nie wiesz, jaki on jest. Nigdy mi nie przebaczy. Ukarze moją matkę, żebym ja cierpiała. Będzie jej wyrzucał, że nie wychowała mnie wystarczająco dobrze, abym umiała zadowolić męża. Widzę tylko jedno wyjście z tej sytuacji: ucieknę i zostanę służącą. Muszą być inne domy takie jak ten. Miałam nadzieję, że znasz jakieś miejsce, w którym potrzebna jest pomoc domowa. Umiem gotować i sprzątać nie gorzej od innych dziewcząt.

Maja zachichotała.

— Miej wiarę, moje dziecko. Powiedziałam ci, że znalazłaś się w jednym z nielicznych miejsc na ziemi, w których mieszka niezwykła moc. Pamiętasz? Tutaj jest samo centrum. Czas nie istnieje tu w takiej postaci, w jakiej go znasz. Tu można znaleźć wieczność w ułamku chwili albo też może ona upłynąć w mgnieniu oka. Na moment porzuciłaś swoje wielkie marzenie, ale przybyłaś tu po to, by je odnaleźć, i dlatego nie możesz odejść, dopóki nie ujrysz tego, po co przywędrowałaś.

— Nie rozumiem, co twoim zdaniem powinnam zrobić.

— Oto moja rada. Zapomnij o przemijającej urodzie tego domu i z całych sił oprzyj się o niego plecami. Wówczas nic nie zdoła cię poruszyć. Nawet słońce, księżyc i gwiazdy będą



wirować wokół ciebie. Trwaj nieruchomo w tym świętym miejscu, a usłyszysz odpowiedź na swoje wołanie.

Wielki staroświecki zegar tyknął głośno i zdumiona Parwati spojrzała na Maję. Co też ta kobieta plecie? Jak można oprzeć się plecami o dom? Parwati potrzebowała czegoś solidniejszego. Z ciemności doleciało pohukiwanie sowy.

— Co to takiego?

Maja uśmiechnęła się i zaczęła śpiewać zaskakująco słodkim, dziecięcym głosem.

*Tyś jest tą, która jaśniej. Tyś jest tą, która jaśniej. Teraz stąpasz, lecz wkrótce zatańczysz.*

Maja zamilkła i przez chwilę panowała cisza.

— Pamiętaj, że każda kobieta ma w sobie umiejętność przyciągnięcia każdego mężczyzny, którego zechce. Mężczyzna rodzi się ze smykałką do naciskania, a kobieta do pociągania. Przyciąga mężczyzn do swojego ciała, a wraz z ich nasieniem bierze w siebie życie. Zachowaj spokój, a przyciągniesz do siebie wszystko, co chcesz. A teraz idź już spać. Ja muszę poczekać na powrót pana.

Parwati wstała posłusznie, lecz zatrzymała się obok kolumny i odwróciła.

— O której wróci mój mąż? — spytała cicho.

Maja nie poruszyła głową i nie oderwała wzroku od horyzontu.

— Dzisiaj wróci późno, bardzo późno — odpowiedziała cichym głosem, nie przestając bujać się w fotelu.

— Co będziesz robiła do tej pory?

— Będę spokojnie siedziała — odparła tajemniczo Maja.

Parwati odwróciła się i przeszła przez dziedziniec. Wszystkie ptaki usnęły, panowała cisza. Parwati weszła do swojego pokoju. Mała lampka, stojąca obok drzwi, była zapalona. Parwati stała długo na balkonie, patrząc na świecący w ciemności koniuszek cygara Mai. Potem położyła się na łóżku z otwartymi oczami, wiedząc tyle samo, co wczoraj. Odwróciła głowę w stronę morza, które ukołysało ją do snu. Przed zaśnięciem pomyślała, że zajmie się czymkolwiek, spełniając pragnienie bądź życzenie męża, jeśli tylko ten pozwoli jej zostać.

## Bóg seksu

Śniło jej się, że wie dokładnie, jak trzeba siedzieć z plecami opartymi o ścianę i przywołać swoje największe marzenie. A on nadszedł od strony morza. Lśnił w słońcu i był bogiem. Nie mogła zobaczyć jego twarzy, lecz wiedziała, że jest piękny ponad wszelkie wyobrażenie. Dłoń, którą położył na jej twarzy, była chłodna i mocna. „Niczego nie powstrzymuj”, wyszeptał głosem brzmiącym jak muzyka.

Prawie świtało, gdy otworzyła oczy i zobaczyła, że siedzi w nogach łóżka, ubrany na zachodnią modłę i cuchnący alkoholem, ale nie pijany. Wczoraj było inaczej.

— Naprawdę masz na imię Parwati?

— Dlaczego w to wątpisz?

— Moja pierwsza żona nosiła to imię i pomyślałem, że twój ojciec...

— To moje prawdziwe imię — odparła tak cicho, że musiał się zbliżyć, by usłyszeć jej słowa.

Spojrzał na dzbanek z niedotykalnymi kwiatkami, lecz nic nie powiedział. Cisza spadła na ich nieruchome sylwetki. Tylko firanki poruszały się, wpuszczając do pokoju morską bryzę.

— Jest mi bardzo przykro, że mój ojciec usiłował cię oszukać — szepnęła Parwati. — On nie jest złym człowiekiem, ale nasza rodzina cierpi straszną biedę. Ktoś taki jak ty nie wyobraża sobie, co to znaczy być rozpaczliwie biednym.

On jednak wciąż patrzył na nią zimnym, bezlitosnym wzrokiem. — Czy ty nigdy w życiu nie zrobiłeś nic złego?! — zawołała Parwati.

Drgnął, jak gdyby zadała mu cios.

— W niczym jej nie przypominasz i nie zasługujesz na to imię — rzucił nienawistnie. — Ona była wysoka, jasnowłosa i oszałamiająco piękna. Nigdy nie zwrócę się do ciebie tym imieniem.

Parwati spoglądała na niego w zdumieniu. Chciał jej wmówić, że wciąż kocha bez pamięci kobietę, która uciekła od niego z innym mężczyzną. Pomyślała, że wpadła w sam środek przenicowanego świata.

— W starożytnych przypowieściach drugorzędne postaci noszą więcej niż jedno imię. A ponieważ ty nie jesteś główną bohaterką tej historii, do końca swojego pobytu tutaj będziesz nazywana imieniem Sita.

Parwati siedziała na łóżku ze zgiętymi kolanami, opierając na nich łokcie. Poruszyła się lekko, odsłaniając piętę. Wzrok jej męża zmienił się nagle, w jego oczach błysnął głód. Oto

znów wołała młodość. W gładkiej skórze dostrzegł całe piękno i niewinność, które utracił. Teraz zapragnął je odzyskać. Parwati skryła pod pościelą raj, który na krótką chwilę ukazał się jej mężowi. Skierował spojrzenie na jej twarz i pomyślał, że rano być może zbyt pochopnie zganił te okrągłe pełne usta, dostrzegając w nich jedynie głupią dziecinność. Były lśniące i lekko wydęte. A jej łabędzia szyja, musiał to przyznać, była doprawdy piękna. I ten nadzwyczajny głos. Hm... w końcu przecież ma prawo do tej dziewczyny.

— Sita — powiedział cicho.

— Tak?

— Pokaż mi swoje pięty.

— Co takiego?

— Pokaż mi pięty — powtórzył innym tonem.

Oto nowe dziwactwo tego obcego świata. Nie odrywając wzroku od jego twarzy, uniosła rąbek sari. Przy wtórze dzwoneczków na kostkach ukazały się pięty. Mąż Parwati napełnił płuca powietrzem i przyciągnął ją do siebie mocnymi dłońmi.

Zaskoczyło ją to i zaszokowało. Próbowwała się wyrywać, ale on był silniejszy, o wiele silniejszy. Przestała się opierać i leżała nieruchomo, tak jak jej matka. Tak nieruchomo, jak uczyła ją Maja, mówiąc o tym, że kobieta może w ten sposób przyciągnąć do siebie wszystko, czego pragnie. Matka udzieliła jej tylko jednej rady, powiedziała, że przy pierwszym razie może pojawić się krew. Przyłożył usta do zagłębienia jej szyi i wciągnął zapach jej ciała: Attar of Nothing. „Niczego nie powstrzymuj”, nakazał Bóg Morza. A on nazwał ją Sita.

Dobrze, może być Sitą przez chwilę lub tak długo, jak będzie trzeba. Cóż za ulga: okazało się, że można to wytrzymać. Później złączył jej kolana i przetoczył się na bok.

Poczekala, aż zacznie delikatnie chrapać, a potem przesunęła się na drugą stronę łoża. Przyglądała mu się przez chwilę, myśląc: Twoja żona nie umarła, ale uciekła z innym. Trwała tak nad nim jeszcze długo — młoda, zboląła, tajemnicza i triumfująca.

Przyciągnęła go do swego ciała! Jakaś część jej istoty, jeszcze nie do końca kobieca, nie potrafiła udźwignąć potęgi nowego wyznania wiary i potrzebowała wiedzieć więcej, zobaczyć to z bardzo bliska. Parwati uklękła, splotła ręce na łóżku i oparłszy na nich brodę, patrzyła na niego w skupieniu.

Pozostała w tej pozycji bardzo długo, podczas gdy on spał pogrążony w głębokim śnie, w którym była jedynie ciemność, w miejscu tak odległym, że Parwati nie mogła nawet marzyć, by się do niego dostać. Nie dał jej żadnej wskazówki. Pomyślała, że skóra może być pomostem, i delikatnie przesunęła paznokciem po włosach na wierzchniej stronie jego dłoni. Przebywał tak daleko, że nawet się nie poruszył. Patrzyła, jak włoski unoszą się i opadają. Powiodła palcem dalej. Skóra była gładka jak futro zwierzęcia. Domowego zwierzątka. Jednak na razie zwierzę było nieoswojone i należało obchodzić się z nim ostrożnie.

Wpadł w gniew i bez wątpienia miał do tego prawo. Może i był dobrym człowiekiem, lecz on i ojciec Parwati jednym szorstkim ruchem zdruzgotali wszystkie jej marzenia. Podmuch wiatru uniósł firankę, która załopotała smutno. Nagle

Parwati odsunęła się od męża, ogarnął ją strach przed domem i jego bolesnymi tajemnicami, przed zagadkowymi słowami Mai. Poczwała, jak kruchy jest jej los w twardych rękach dumnego mężczyzny. Wiedziała już, że noce w tym domu są inne. Coś się wydarzyło. Otworzyły się drzwi do równoległego wymiaru i wniknęły przez nie niewidzialne nocne duchy, rzucający zaklęcia mistrzowie kamuflażu. Lecz nawet one wiedziały, że nie są w stanie naprawdę zmienić postaci rzeczy, toteż za każdym razem pierzchały, nim świt rozjaśnił niebo. Wiedziała, że mąż obudzi się, zabraknie mu alkoholu i magii, a jego oczy znów pozbawią jej szaty blasku i nazwą ją brzydką. Co noc będzie musiała go zdobywać za pomocą swego ciała.

Ci, którym ufała, którzy powinni okazać jej współczucie i przyjąć z otwartymi ramionami, zdradzili ją i pchnęli w pustkę. Czy można udawać, że jest inaczej?

— Czy i ty mnie zdradziłeś, ukochany boże wężu? — wyszeptała. Jednak na dźwięk swojego głosu, osamotnionego i pełnego bezradności, osunęła się na ręce i zaczęła odczołgiwać się niezgrabnie od śpiącego mężczyzny, zaplątując się w swoje sari. Upadła ciężko na łokieć i krzyknęła. Obejrzała się ze strachem i odepchnąwszy się dłońmi, przesuwała się na pośladkach, aż poczuła za plecami ścianę.

Podciągnęła kolana do piersi. Ciasno skulona, spoglądała na niego trwożnie. Z jej ust wydobywały się mimowolne jęki, żalosne zwierzęce skowyty. Były tak głośne, że się przestraszyła. Gwałtownym ruchem zakryła sobie usta dłońmi, lecz skamlenia stały się jeszcze głośniejsze i bez trudu

przedzierały się przez wątlą zaporę rąk. Martwiła się niepotrzebnie, gdyż jej mąż chrapał błogo nawet wówczas, gdy Parwati zaczęła szlochać i wzywać matki.

•••

Potem siedziała, oszołomiona i wyczerpana, wsłuchując się w pusty odgłos dobiegający od targanego wichrem metalowego dachu, którego część się poluzowała. Zaczęła sobie wmawiać, że wszystko będzie dobrze. Ojciec jej nie zdradził, postąpił najlepiej, jak mógł. To nie była jego wina, to nie była niczyja wina. Takie było jej przeznaczenie. Będzie tkwiła nieruchomo i czekała. Zobaczymy, co zamyśliła dla niej bogini Nagarna. Musiała wybić piąta, gdyż Parwati usłyszała, jak Maja wchodzi do domu, by naszykować ofiarę dla bogów z gotowanego słodkiego ryżu. Poczowała ból, pustkę, zagubienie i ssanie w żołądku. Była bardzo głodna. Wstała sztywno i poszła zmyć krew i łzy. Potem ułożyła się na łóżku i momentalnie zasnęła. Przyśniło jej się, że matka wpadła do studni. Naga i drżąca, szlochając, wołała Parwati. Ta jednak nachyliła się nad krawędzią studni i oznajmiła matce, że nie wolno jej już reagować na inne imię niż Sita. „Tak rychło ściągnęłaś hańbę na swoją rodzinę, córko moja?”.



## *Miara vipali*

Parwati otworzyła oczy i ujrzała kolorowe światła na ścianach i suficie; ucieszyła się, że on nie widział, jak się budzi. Lepiej, żeby widywali się jedynie pod osłoną magii nocy. Wtedy oboje będą mogli udawać. „Pokaż mi swoje pięty”, powiedział. Parwati strząsnęła koc i spojrzała na swoje stopy. Wydawały się zwyczajne. To musiało być zaklęcie rzucone przez nocne duchy. Jednak nawet one nie zdołały go przekonać, by rzekł: „Zostań i bądź moją żoną”. Będzie musiała wyczekiwać nocy, gdy najgłębsza ciemność obudzi w nim pożądanie jej ciała. Nagle przypomniała sobie, że to na nic, że tamta dziewczyna również poznała męża. Jednakże wstyd i smutek sprawiły, że poroniła w czasie podróży powrotnej do domu. Po śniadaniu Parwati poszła do biblioteki. Unikając wzroku klauna, zbliżyła się do półek z oprawionymi w skórę książkami. Wyjęła jedną

i otworzyła. Stronicę książki zappełniały maleńkie wyrazy. Parwati odłożyła tom i wzięła drugi. Były w niej zdjęcia drzew. Usiadła na krześle, by im się przyjrzeć.

— Umiesz czytać?

Błyskawicznie uniosła głowę, ogarnęło ją poczucie winy. Jej mąż marszczył brwi, ale przecież zapowiedział, że wolno jej chodzić po domu i posiadłości.

— Nie — odparła Parwati, odsuwając się od książki. — Tylko oglądałam obrazki i robiłam to bardzo ostrożnie.

— Ach tak — rzekł. Podszedł bliżej i spojrzał na otwartą stronicę.

— Postanowiłem, że zostaniesz tu aż do twojego następnego okresu. Tak na wszelki wypadek, gdybyś zaszła w ciążę. —

Zamknął książkę i spojrzał ze zdziwieniem na Parwati. — Nie wiem, czym się zajmujesz przez cały dzień. To musi być nudne.

— Wcale nie — zaprzeczyła, kręcąc energicznie głową.

— Chodziłaś kiedyś do szkoły?

— Nie. Ojciec uważa, że szkoły są tylko dla chłopców.

— Chciałabyś się czegoś nauczyć, póki tutaj jesteś? Mógłbym ci sprowadzić guwenera.

Parwati nie wierzyła własnym uszom. Miałaby swojego nauczyciela, i to prawdziwego! Zawsze marzyła o tym, by pójść do szkoły i słuchać prawdziwego nauczyciela, zamiast poprzestawać na tym, co mówili jej znudzeni bracia. Przekazywali jej znacznie mniej, niż sami się nauczyli. Skinęła ochoczo głową.

— Czego chciałabyś się nauczyć?

Przypomniała sobie, jak Kamala wyrzucała z siebie zdania w obcym języku.

— Chętnie nauczyłabym się angielskiego. Kasu Marimuthu spojrział na nią z rozbawieniem.

— Dobrze — odparł łagodnie. — Jutro sprowadzę nauczyciela.

— Dziękuję — powiedziała Parwati, uśmiechając się nieśmiało.

— Zobaczymy się na kolacji około dwudziestej — oznajmił i wyszedł.

Kasu Marimuthu wiedział, że nauka okaże się stratą czasu, ale był bardzo ciekaw, ile dziewczyna zdoła sobie przyswoić w ciągu miesiąca. Nie wyglądała na bystrą, ale z pewnością pałała chęcią do nauki. Roześmiał się cicho na myśl o reakcji wieśniaka analfabety na wieść, że jego córka mówi po angielsku.

Parwati stała niepewnie w drzwiach jadalni, z wielką obawą spoglądając na noże, widelce, łyżki oraz inne nieznanne sprzęty.

Kasu Marimuthu zjawił się kwadrans po dwudziestej. Mai nie było, lecz obok pana kręcił się służący.

— Możesz zabrać sztucce mojej żony, Gopalu. Ona będzie jadła rękami — rzekł Kasu Marimuthu, po czym odwrócił się do Parwati. — Jutro nauczysz się posługiwać sztuccami, żebyś przynajmniej na czas pobytu w tym domu zachowywała się kulturalnie.

To powiedziawszy, zajął główne miejsce przy stole. Parwati stała na środku pomieszczenia, nie wiedząc, czego się od niej oczekuje. Żona ma służyć mężowi.

— Usiądź — rozkazał krótko, wskazując miejsce obok siebie.

Potrawy podawał mężczyzna, którego reakcje ograniczały się do pełnych szacunku skinieć głową.

— Czy on nie mówi?

— Mówi, ale wolę, gdy milczy.

— Aha — szepnęła nerwowo Parwati.

— Jesteś wegetarianką? — spytał, zerkając na potrawy na jej talerzu.

— Tak — potwierdziła cicho.

— Dlaczego?

— Zostałam wegetarianką w wieku pięciu lat. Kilka domów dalej zabijali kozę. Jej zawodzenie tak bardzo przypominało płacz dziecka, że później nie mogłam już jeść mięsa. Moi bracia z przyjemnością nadrabiali to za mnie.

— Nie wątpię — rzucił posepnie Kasu Marimuthu. Parwati ukradkiem patrzyła, jak nabiera na widelec małe porcje, wsuwa je do ust i żuje z zamkniętymi ustami. W istocie wyglądało to kulturalnie.

— Co dzisiaj robiłaś? — zapytał, odkrawając kęs.

— Byłam na plaży.

— Cały dzień? No cóż, pewnie nie miałaś nic lepszego do roboty. Mniejsza z tym. Spodziewam się, że jutro nauczyciel angielskiego znajdzie dla ciebie zajęcie — rzucił lekceważącym tonem.

Parwati zagryzła wargę. W jaki sposób można zjednać sobie tego człowieka? Jak siedzieć z plecami opartymi o ścianę, tak aby księżyc, gwiazdy i słońce krążyły wokół niej? Pochyliła głowę.

— Bardzo się dzisiaj przestraszyłam — zaczęła. — Krowa imieniem Letchumi ruszyła w moją stronę i myślałam, że mnie ubodzie. Krzyknęłam i chciałam rzucić się do ucieczki,

ale kobiety w mleczarni kazały mi stać bez ruchu. Krowa chciała tylko polizać mnie po rękę. Nie wiedziałam, że mają takie szorstkie języki.

Kasu Marimuthu parsknął śmiechem. Parwati spojrzała nań szeroko otwartymi oczami. Nagle ten obcy, zde gustowany nią mężczyzna wydał się jej znacznie młodszy. Widząc, że Parwati mu się przygląda, zamilkł. Nie chciał, by go oczarowywano lub obłaskawiano.

— Powinnaś uważać na pawie, bo to złośliwe bestie. Nigdy nie płyn łódką na wyspę — ostrzegł, po czym znów zajął się posiłkiem.

— Wiedziałaś, że Maja jest uzdrowicielką? Spojrzał na nią, wyraźnie zaskoczony.

— Maja?

— Kucharka.

— Moja kucharka jest uzdrowicielką?

— Tak. Po południu ustawiła się do niej kolejka chorych, a ona kładła im palce na nadgarstkach i od razu wiedziała, co im dolega. Wydała chorym mnóstwo leków.

— Jakich leków?

— Korzeni i ziół, tak mi się wydaje. Wyglądała imponująco, kiedy siedziała w otoczeniu tylu ludzi, którzy kłaniali się jej i wyrażali swoją wdzięczność. Musi być w tym dobra.

— Doprawdy — rzekł z dezaprobatą Kasu Marimuthu. Parwati się zawahała.

— Jednej kobiecie dała muszle i pokazała, jak układać je na ciele spiralami do góry. Powiedziała, że w ten sposób uwolni się od niewidzialnych cieni, które sprawiają jej ból.

Kasu Marimuthu pokręcił głową, dziwując się obłędowi pospólstwa. Skinął na służącego, a ten niezwłocznie napełnił jego kieliszek. Parwati uświadomiła sobie, że popełniła błąd, mówiąc mu o tym zdarzeniu.

— Przyszedł także pewien mężczyzna, któremu nie udawały się zbiory — dodała szybko. — Maja kazała mu poszukać pajęczyn i przynieść owady, które w nich znajdzie. Obiecała, że wtedy powie mu, co dalej robić. Czy to nie jest niezwykle?

Kasu Marimuthu spojrział na nią wyniośle.

— Ci ludzie nie wchodzili do domu, prawda?

— Nie — odparła Parwati, przestraszona jego groźnym spojrzeniem. — Wszystko działo się pod drzewem *angsana*.

— To dobrze — rzekł Kasu Marimuthu i ku radości Parwati znów zajął się posiłkiem.

Ona także zamknęła usta, rada, że nie opowiedziała mu o tym, iż Maja rozdawała za darmo herbatę imbirową. Jedli w milczeniu przy wtórze tykania wielkiego zegara w salonie.

— Podoba ci się dom? — spytał nagle Kasu Marimuthu.

— Jest niezwykle piękny.

Uśmiechnął się z roztargnieniem. Nie oczekiwał innej odpowiedzi.

— Co znaczy ten obraz klauna?

Kasu Marimuthu odłożył widelec i spojrział na Parwati, jak gdyby mu zaimponowała.

— A co twoim zdaniem znaczy?

— Nie wiem.

— Ach — rzekł głosem pełnym rozczarowania. Uniósł kieliszek z winem, napił się i spojrział na Parwati znad brzegu

naczynia. — Nawet autora nie należy pytać o sens obrazu. Obrazy są tajemną rozmową serc. Każdy artysta usiłuje pokazać odbiorcy to, co nosi w duszy. Nie wolno dawać do zrozumienia, że mu się nie powiodło. — Oparł się na łokciach i spojrział ze zdziwieniem na Parwati, zapomniawszy o widelcu. — Co czujesz, patrząc na ten obraz, Sito? Opuściła wzrok. Nie chciała się ośmieszyć.

— Nic szczególnego.

Kasu Marimuthu wyprostował się, krzywiąc usta.

— Jaki dzban, takie wino. — Zmieszana Parwati spuściła wzrok. Kasu Marimuthu był nią zirytowany, lecz po chwili przemyślał to, co właśnie powiedział. Nie ponosiła odpowiedzialności za swoje prostactwo i nieokrzeseanie. — Podejdź do obrazu i stań tak blisko, by kształty nie mamiły oczu. Niech staną się tym, czym naprawdę są, czyli częściami ludzkiego ciała.

Po kolacji Kasu Marimuthu udał się do gabinetu, a Parwati weszła na górę do swojego pokoju. Prawie morzył ją sen, kiedy przyszedł i pochylił się nad nią. Wyczuła jego oddech, zaprawiony wonią wina. W ciemności złuda musiała otumanić go jeszcze bardziej.

— Masz najpiękniejszą szyję, jaką kiedykolwiek widziałem u kobiety — wyszeptał.

Nazajutrz rano Parwati stanęła przed lustrem i spojrzała na szyję wyrastającą z jej wąskich ramion. Była cienka i długa i niczym się nie wyróżniała. Następnie podeszła do obrazu tak blisko, że kolory niemal zaczęły się z sobą zlewać, a kształty rozmywać. Wciąż jednak nie widziała ani części ciała, ani ukrytego znaczenia. Maja stanęła obok niej.

— A co ty sądzisz, Maju? Czy czujesz coś, patrząc na ten obraz? Maja tylko wzruszyła ramionami.

— Dla mnie to tylko obraz, taki jak każdy inny — odparła, lecz po chwili dodała: — Zdejmiemy go. Zobaczymy, czy jest na nim jakaś data lub tytuł.

Parwati nie wiedziała, że coś może się znajdować z tyłu obrazu. Zdjęły go, jednak niczego nie znalazły. Kasu Marimu-thu miał rację: albo dostrzega się sens, albo nie.

— Może nie ma żadnego ukrytego znaczenia. Może to tylko obraz klauna i łabędzia — powiedziała rozczarowana. Potem wyszła, by poczekać na nauczyciela angielskiego. Przybył punktualnie o ósmej.

Ponambalam *mama* nosił okulary i musiał mieć co najmniej siedemdziesiąt lat, lecz pokonał pieszo osiem kilometrów od miasta i zamierzał tak robić codziennie z wyjątkiem niedziel. W jednym z jego oczu rozwijała się katarakta, lecz poza tym był żwawy i dziarski jak mało kto.

Spotkał się z Parwati w salonie muzycznym. Miał surową minę, jak gdyby mierzył się z przeciwnikiem przed bitwą.

— Zanim rozpoczniemy, chciałbym zaznaczyć, że biały człowiek wynalazł imponujące rzeczy i stworzył godne podziwu instytucje. Jego miasta są wspaniałe, prawa sprawiedliwe i dobrze przemyślane, muzyka bywa subtelna, a poezja jest dobrze skonstruowana. Nim jednak uznasz jego wyższość i zaczniesz go niewolniczo małpować, zastanów się. Hindus nie zawsze upijał się do nieprzytomności tanim grogiem. Leży w rynsztoku tylko dlatego, że zapomniał o swojej wielkiej historii, o wspaniałości starożytnych systemów władzy.

Parwati w milczeniu patrzyła na nauczyciela.

— Podam ci tylko jeden przykład, podział czasu na mniejsze jednostki. Jedna *kalpa* to cztery miliony trzysta dwadzieścia



tysięcy lat. Cztery *yuga* tworzą jedną *kalpa*. Jedna *yuga* albo dzień Brahmy to tysiąc lat bogów. Jeden dzień i jedna noc bogów są równe ludzkiemu rokowi. Ludzki rok ma sześć pór roku: wiosna, upały, deszcz, jesień, zima, chłody. Zatem każda pora roku ma dwa miesiące: miesiąc ciemnego księżyca i miesiąc jasnego. Miesiąc księżycowy to dwadzieścia osiem *naksatra*. Jedna *naksatra* to dwadzieścia cztery godziny słoneczne. Dwadzieścia cztery godziny słoneczne stanowią jedną *muhurta* (czterdzieści osiem minut). Jedna *muhurta* równa się dwu *ghati* (dwadzieścia cztery minuty). Jedno *ghati* równa się trzydziestu *kala* (czterdzieści osiem sekund). Jedna *kala* to dwa *pala* (dwadzieścia cztery sekundy). Jedna *pala* równa się sześciu *prana* (cztery sekundy). Jedna *prana* to dziesięć *vipala* (cztery dziesiąte sekundy). Jedna *vipala* równa się sześćdziesięciu *prativipala* (sześćset sześćdziesiąt sześć milionowych części sekundy).

— Jak odmierzali sześćset sześćdziesiąt sześć milionowych sekundy? — zapytała Parwati.

— Z dużym prawdopodobieństwem można powiedzieć, że nigdy się tego nie dowiemy. A ponieważ znajdujemy się akurat w tym miejscu, pamiętaj, że choć historia odnotowuje, iż biały człowiek pierwszy wzniósł się w powietrze, to jedynym językiem, w którym istniało słowo oznaczające statek

powietrzny, jest sanskryt. Tragedią Indii jest to, że tak wiele rozpląnęło się we mgle czasu. — Nauczyciel zamilkł na chwilę, by z niekłamaną satysfakcją spojrzeć na zdziwioną twarz słuchaczki. — A teraz, skoro już stwierdziliśmy, że biały człowiek nie jest mądrzejszy od Hindusa, zabierzmy się do jego praktycznego, kapryśnego i cudownego języka.

Parwati powinna struchleć na dźwięk tych dumnie brzmiących, przedziwnych słów, których prawie nie rozumiała, ona jednak uśmiechnęła się szeroko. Był właśnie takim nauczycielem, o jakim zawsze marzyła. Zaczęli od alfabetu. Parwati starannie notowała w zeszycie wszystko, co mówił nauczyciel. Na zakończenie lekcji wręczył jej książeczkę dla dzieci i oznajmił: — Jutro zaczniemy się z niej uczyć.

Parwati została w salonie muzycznym i powtarzała lekcję, a nauczyciel samotnie spożył lunch w jadalni. Następnie odjechał, siedząc z tyłu na rowerze ogrodnika i chudymi rękami trzymając się metalowego siodełka. Jego śnieżnobiałe *dothi* łopotąło na wietrze. Parwati siedziała w cieniu drzewa na plaży i na głos powtarzała z pamięci alfabet. Któż by pomyślał? Mówiła po angielsku!

Wieczorem wzięła kąpiel i poszła modlić się z Mają. Później usiadła w salonie muzycznym i wypełniła dwadzieścia sześć stronic zeszytu, pisząc po kolei każdą literę alfabetu. Mąż nie wrócił na kolację, zobaczyła go dopiero przy stole w czasie śniadania. Gdzieś w domu grało radio, a on czytał gazety.

Na widok Parwati uniósł głowę.

— Obudziłaś się. Jak poszła lekcja angielskiego?

— Uczę się alfabetu — odparła z entuzjazmem.

— Dobry początek — rzekł krótko, po czym wrócił do lektury, nie poświęcając Parwati więcej uwagi. Dopiwszy kawę, odsunął krzesło i życzył jej dobrego dnia. Parwati, która wstała, gdy

wychodził, usiadła i powiedziała sobie, że musi być cierpliwa. Za dnia magia nie działała. Po śniadaniu poszła do salonu muzycznego, by powtórzyć lekcję i czekać na nauczyciela. Punktualnie o ósmej Ponambalam *mama* stanął w drzwiach. — *Good morning* — przywitał ją po angielsku. Parwati nieśmiało odpowiedziała na powitanie i rozpoczęli lekcję. Widząc, że nauczyła się na pamięć całego alfabetu, nauczyciel uniósł brwi, a jego zdrowe oko błysnęło z radości. — *Very good* — pochwalił, otwierając drugą przyniesioną przez siebie książkę. — Nauczmy się pisowni niektórych rzeczowników. Rzeczowniki to słowa, którymi określamy ludzi, miejsca, rzeczy oraz pojęcia. Parwati dowiedziała się, że od litery „a” zaczyna się słowo *apple*. „B” rozpoczynało słowo *boy*, „c” — *cat*, „d” zaś — *dog*. W towarzystwie Ponambalama *mama* czas płynął wartko. Przed odejściem nauczyciel wyjął z torby słowniczek angielsko-tamilski i kazał Parwati uczyć się dziesięciu przypadkowo wybranych słów dziennie. Odprawiając nauczyciela, Parwati zobaczyła Maję, która wsiadała do samochodu z dwoma Chińczykami. — Dokąd ci ludzie zabierają Maję? — zapytała, zwracając się do Kamali. — Teraz jest chiński miesiąc głodnego ducha. Nie można

wejść do miasta, bo wszędzie leży popiół. Oni palą różne rzeczy za swoich bliskich, którzy odeszli: papierowe samochody, domy, ubrania, nawet służących. Dym unosi to wszystko do świata duchów, a tam bliscy mogą z nich korzystać. Zabierają Maję, żeby się za nich modliła.

— Maja odprawia modły za Chińczyków?

— Tak, *arna*. Maja jest bardzo sławna. Ludzie przybywają zewsząd, żeby się z nią spotkać. Nie ma takiej rzeczy, której nie dokona.

Parwati weszła do domu i zasiadła do przygotowanego przez Maję lunchu. Na deser był pudding śliwkowy z puszki.

## Nadejście boga

Noc była ładna i gwiazdzista. Parwati stała na balkonie, kiedy zobaczyła cywetę. Koniuszek ogona drapieżnika zapewne był biały, gdyż lśnił srebrzyście w blasku księżyca. Zwierzę chyba znalazło coś do jedzenia na skraju plaży, lecz nagle, jak gdyby coś usłyszawszy, znieruchomiało i nadstawiło uszu, a następnie chwyciło posilek do pyska i oddaliło się w stronę dżungli.

Parwati przebiegła na drugą stronę balkonu i zobaczyła puszysty ogon znikający w czarnej ścianie lasu. Odwracając się, zauważyła Maję, która otworzyła bramę przylegającą do dżungli i wkroczyła w ciemność bez lampy! Albo ta kobieta miała doskonały wzrok, albo Parwati coś się przywidziało.

• • •

Na piecu gotował się w cukrze wywar z taro i leczniczych liści, a Maja była zajęta siekaniem, gdy Parwati weszła do kuchni.

— Maju, czy szłaś do dżungli dzisiaj tuż przed świtem?

— Tak. Często tam chodzę o tej porze, by zbierać pędy potrzebne do przyrządzenia leków.

— Bez lampy? Kiedy jest tak ciemno?

— Tak, *da*, w ten sposób jest lepiej. Niosąc lampę, jesteś widoczna, zanim sama cokolwiek zobaczysz. Poza tym w ciemności jej blask cię oślepią, a daje tylko wąziutki krąg światła.

— Mogę ci towarzyszyć następnym razem? Rosła kobieta milczała przez chwilę.

— Następnym razem raczej nie. Jeszcze nie jesteś gotowa, ale to się rychło zmieni.

— Chodzi ci o tygrysy i dzikie słonie? Maja się uśmiechnęła.

— Raczej o skorpiony i wije.

Rozczarowana Parwati poszła na plażę i usiadła na brzegu jednego z wielkich głazów. Kiedy patrzyła na białą pianę, coś rzuciło cień na jej twarz. Spojrzawszy w górę, zobaczyła ogromnego motyla ze skrzydłami z najczystszej aksamitnej bieli i odwłokiem wyglądającym tak, jakby pokrywał go węglowy pył. Owad zakołował z wolna nad jej głową i usiadł na dłoni Parwati. Zatrzepotał raz skrzydłami, a potem złożył je i znieruchomiał. Parwati przypomniała sobie słowa matki: „Kiedy podchodzi do ciebie białe zwierzę, jest to znak łaski”. Po chwili motyl odleciał. Gdy się oddalał, Parwati zobaczyła biegnącego Kupu.

— *Arna! Arna!*

Parwati się podniosła. Służący stanął przed nią; jego ciało lśniło od potu, a oczy błyszczały podnieceniem.

— Chyba znalazłem w dżungli starożytną budowlę — wydyszał.

— Co to za budowla?

— Nie wiem, bo nigdy czegoś takiego nie widziałem. Jest bardzo, bardzo stara.

— Zaprowadzisz mnie? — spytała ochoczo Parwati. Mężczyzna zawahał się, spoglądając na jej sandały.

— To dość daleka droga i nie jest łatwo ją pokonać. Oczyszcze dla ciebie ścieżkę.

— Nie trzeba, dam sobie radę — odparła szybko Parwati. — Proszę...

— No dobrze — zgodził się Kupu.

Przekraczając bramę, poczuła dreszcz podniecenia. Rano Maja powiedziała, że nie jest jeszcze gotowa, by przez nią przejść. Minęli dzikie bananowce rosnące na skraju lasu i nagle znaleźli się w pograżonym w półmroku niezwykłym świecie, budzącym lęk, a zarazem pociągającym. Parwati wyobrażała sobie, że jest tam chłodno i wokół unosi się słodka woń, a tymczasem było gorąco i wilgotno, a powietrze przesycił zapach butwiejącego drewna i porastających je grzybów. Wiele warstw opadłych liści sprawiało, że ziemia pod nogami żyła. Czasem pod naciśnięciem stopy wytryskiwały chmury czarnych zarodników. Kupu prowadził i zręcznymi łukowatymi ruchami maczety oczyszczał szlak. Co jakiś czas oglądał się, a Parwati zapewniała go, że wszystko jest w porządku. Wchodzili coraz głębiej w półmrok. Wśród paproci orlic wiły się owadożerne rośliny, a z drzew zwisały płaty kory, szkarłatne od spodu. Na niektórych pniach

bieliły się narośle. Parwati ocierała się ramionami o gałęzie olbrzymich paproci. W bambusowych gąszczach uwijały się ptaszki o jaskrawym upierzeniu, wyglądające niczym żywe klejnoty. Maczeta Kupu ani na chwilę nie spoczęła, ścinając piękne jagody wielkie jak winogrona. Czasem trzeba było się schylić pod nisko zwisającym konarem. Nagle odezwało się głośnie szczekanie, głośniejsze od nieustannego brzęczenia owadów i nawoływania małp. Parwati słyszała już ten odgłos. Zaczynał się późnym rankiem i zamieniał w dudniącą pieśń, której nie mogły stłumić nawet miliardy liści.

— Co to takiego?

— To małpa zwana siamang — odparł Kupu. — Samica. Po szczekaniu nastąpił śpiew.

— A to samiec. Może je zobaczysz. Żyją właśnie tam, dokąd zmierzamy.

Znaleźli się w miejscu, w którym po obu stronach roślinność tworzyła zdawałoby się nieprzebytą ścianę. Z konarów olbrzymich drzew zwisały potężne wijące się pnącza; niektóre z nich miały długie poskręcane pędy i haczykowate kolce grube jak ludzka łydka. Kupu wspinał się na pnie niczym małpa i usuwał przeszkody z drogi Parwati. Niewielkie zwierzęta skakały z gałęzi w górę i po chwili znikwały. Kupu przypadkowo chwycił tylną nogę i ogon jaszczurki, a ta zrobiła ruch, jakby chciała się na niego wściekle rzucić. Kupu cisnął ją pogardliwie na ziemię. Zwierzę spadło na podszyt, nie wydając żadnego dźwięku.

— Czy ta jaszczurka była jadowita? — zapytała Parwati.

— Jadowita i podstępna — potwierdził Kupu. — Ale mam



wprawę w ich łapaniu. Robię pętlę z liści palmowych i używam jej jak lassa.

Mężczyzna zatrzymał się obok omszałego kamienia w pobliżu wzgórza.

— To tutaj — oznajmił. Parwati się rozejrzała.

— Gdzie?

Kupu wskazał przewrócone drzewo ze sterczącymi korzeniami.

— Musiało runąć nocą w czasie burzy, w przeddzień twojego przybycia — wyjaśnił Kupu. Parwati zobaczyła, że drzewo zrobiło wyrwę w zboczu wzgórza, odsłaniając ciemną przestrzeń.

Kupu stanął przy niej i zapalił zapalkę. — Nic tam nie ma — rzekł — ale wejdę pierwszy, jeśli chcesz.

Parwati spojrzała na otwór w zboczu pagórka i ze zdumieniem zauważyła nad nim białego motyla, takiego samego jak ten, który na niej usiadł. Piękny owad poruszył skrzydełkami i zniknął w miejscu, w którym promienie słońca przebijały się przez listowie. Jakiś ptak wyleciał nagle z gąszczy liści, kierując się ku głowie Parwati. Wydał zdławiony krzyk i wfrunął do otworu. Powietrze było całkowicie nieruchome. Usłyszała, że Kupu wchodzi za nią w mrok. Oddychał równo i cicho. Parwati zapomniała, że znajdują się w środku tętniącej życiem dżungli. Rozległ się odgłos zapalania zapalki; w słabym blasku rozejrzała się z ciekawością. Pomieszczenie rzeczywiście było puste, lecz na dole zgromadziło się tyle ziemi, że Parwati musiała nieco schylić głowę.

— Spójrz — szepnął Kupu. Parwati zobaczyła, że wszyst-

kie ściany pokrywają hieroglify, a na ścianie naprzeciwko wejścia znajduje się wydrapany wizerunek dwóch stojących pionowo splecionych węży.

— Myślisz, że tę świątynię wzniesiono ku czci boga węża?

— Nie wiem — odparł Kupu.

Spojrzeni na siebie jednocześnie i powiedzieli:

— Maja.

Gdy dopaliła się piąta zapałka, Kupu nie sięgnął po następną.

— Chodźmy — rzekł w zapadłej nagle ciemności. Pierwsze krople deszczu sprawiły, że w powietrzu dała się wyczuć nieznana woń — wilgotna, ziemista i oszałamiająca zmysły. Poruszyły się miliony liści. Maja powiedziała Parwati, że zwierzęta nie lubią wiatru, gdyż rozchyła im futro, dopuszczając do skóry chłód. Deszcz im nie przeszkadza. Zewsząd dochodziły ich nawoływania. Gdy Parwati przypomniała sobie później te chwile z Kupu, uświadomiła sobie, że czuła się wówczas dziwnie. Była ciekawa, czy on też to czuł. W jego głosie pojawiła się nieznana nuta, kiedy mówił, że powinni już iść.

Deszcz padał równomiernie. Z pni drzew ociekała wilgoć, a ziemia zrobiła się śliska. Parwati straciła równowagę i chciała się złapać kłody. Krzyknęła, gdy jej ręka przeszła na wylot przez spróchniały i wyjedzony przez owady pień. Wyciągnęła rękę, która pokryła się żółtymi i zielonymi sokami i jakąś lepką czarną substancją. Spojrzała na nią z przerażeniem. Kupu zdjął koszulkę, żeby Parwati miała czym wytrzeć rękę. Chciała mu podziękować, ale on pokręcił głową i poszli dalej.

Obok wysokiego drzewa z obnażonymi korzeniami Parwati pośliznęła się na mokrych liściach i upadła, uderzając się w biodro. Kupu pochylił się nad grubym korzeniem i wyciągnął do niej dłoń.

— Skaleczyłaś się? — zapytał z troską w głosie. —

Niepotrzebnie zabierałem cię do dżungli. Pan będzie się na mnie gniewał.

— Nic mi nie jest — zapewniła go Parwati.

Wzrok Kupu padł na wątle, podrapane ramiona Parwati.

— Niepotrzebnie cię zabierałem — powtórzył. Parwati spojrzała na pochyłone nad nią gibkie umięśnione

ciało. Kupu bez wysiłku utrzymywał równowagę, mimo że wspinaczka na śliskie pnie i konary musiała go kosztować wiele sił. Nie przyjęła wyciągniętej ręki, tylko popatrzyła na jego mokrą szyję i ramię. Krople deszczu odbijały się od skóry, rozpryskiwały i spadały na klatkę piersiową i płaski brzuch.

Przyszło jej na myśl, że woda zbiera się w jego czarnych gumowych kaloszach.

W jej głowie pojawiła się jeszcze jedna, z niczym nie-związana myśl. Czy Kupu miewa czasem bóle pleców? Czy w zaciszu swojej kwatery wciera sobie jakiś aromatyczny olejek w szyję, który potem spływa po jego plecach, wędrując po wypukłościach mięśni? Parwati wzięła głęboki oddech i nie mogła znaleźć różnicy między zapachem dżungli a jego wonią. W poszumie padającego deszczu stał się częścią lasu, tajemniczą i groźną. W tej chwili nic ich nie dzieliło. Ponownie skierowawszy wzrok na twarz Kupu, dostrzegła bliznę, którą woda płynęła niczym korytem rzeki; jej kropelki spływały na

skórę Parwati. Patrzyła na purpurowe wybrzuszenie wokół starej rany i na samą bliznę, jasnobrązową, twardą, bardziej podobną do wyprawionej skóry buta niż do ludzkiej.

— Co ci się stało? — zapytała.

Kupu zamrugał, mokre rzęsy zlepiły się z sobą.

— Poturbował mnie tygrys, kiedy byłem mały.

— Ojej.

Deszcz sprawił, że ubranie przywarło do ciała Parwati, lecz oczy Kupu, spoglądające na dziewczynę leżącą na leśnym podszybie, nie pociemniały i nie wypełniły się pożądaniem. W ich tajemniczej głębi niczego nie sposób było dostrzec. Nie było w nich zaskoczenia ani potępienia, ani nawet instynktownej świadomości, że niechcący wzbudził ciekawość seksualną w innej istocie. Nic się w nich nie odbiło. To niemożliwe, zważywszy na to, w jak nieprzystojny sposób na niego patrzyła. Do jej twarzy napłynęła gorąca krew wstydu i zażenowania. Tylko z powodu nadmiernej skromności i braku obycia towarzyskiego nie odgadł jej haniebnych myśli. Nie umiając drwić, poczułby się przytłoczony.

— Wstań, musimy iść. Przed nami jeszcze daleka droga. Parwati wsunęła dłoń w jego rękę, a on dźwignął ją bez trudu. Później podążała za nim ze spuszczonego wzrokiem.

•••

Kiedy weszli do kuchni, ich wygląd był godny politowania. Maja spojrzała na nich.

— Co się stało?

— Kupu znalazł ruiny w pagórku w dżungli. To musi być

świątynia węża, bo jest w niej wyryta jego podobizna. Chodź, Maju, musisz to zobaczyć — rzekła Parwati, chwytając mięsistą dłoń kucharki.

— Najpierw wejdź do środka, dziecko.

Maja wyjęła cygaro z ust i za jego pomocą usunęła wszystkie czarne pijawki, które przyczepiły się do nóg Parwati.

Gdy tylko przestało padać, wyruszyli do dżungli. Maja musiała się schylić, gdy znaleźli się w świątyni. Wzięła gwałtowny oddech.

— Mój Boże, toż to nie jest zwyczajna świątynia węża, lecz gwiezdna brama!

Parwati i Kupu stali w milczeniu, a Maja podczołgała się na kolanach do ściany i lampą naftową oświetliła dziwne kształty na ścianie. Po chwili odwróciła się ze zdumieniem.

— Tej świątyni nie zbudowano we wzgórzu. To ono utworzyło się wokół niej. Ma tysiące lat, dziesięć, może nawet piętnaście tysięcy. Nie macie pojęcia, jak święte i niezwykle jest to miejsce! Wzniósł ją wysoko rozwinięty lud, posiadający niezwykłą wiedzę o niebie i nadzwyczajną moc duchową. To dary, które poszły w zapomnienie. Najświętsi żyjący obecnie ludzie wiedzą, że dzięki tym bramom starożytni łączyli niebo z ziemią i zbliżali się do Boga, pozostając w ludzkiej postaci. Jednak wiedza o tym, jak to robili, przepadła na wieki. Wspaniałe — ciągnęła Maja, kręcąc głową. Dotknęła rysunku na ścianie. — To są święte symbole. Jakie szczęście mnie spotkało, że zobaczyłam ich tak wiele za swojego życia. Dwa tańczące węże, o których mówiłaś, symbolizują splot energetyczny. Gdzieś tu, pod ziemią, musi się znajdować wieża.

Dzięki niej najlepiej można wykorzystać splecioną energię. To wzgórze musi kryć także obserwatorium astronomiczne, gdyż ten wysoko rozwinięty lud zajmował się badaniem planet, gwiazd i galaktyk. Widzicie te linie? — spytała Maja, wskazując rysunek wyglądający jak rybie ości. — To doskonały kalendarz, dzięki któremu z nadzwyczajną dokładnością można prognozować zjawiska słoneczne i księżycowe. Czyta się go albo przy poświacie księżyca, albo przy blasku słońca wpadającym przez otwór okienny. Jestem pewna, że jeśli zaczniemy tu kopać, znajdziemy kości, być może nawet ludzkie.

Maja zauważyła przerażone spojrzenie Parwati i z łagodnym uśmiechem wyjaśniła:

— Myśl o tym, czym byliśmy w przeszłości, często napęła nas odrazą. Boimy się także tego, co, jak podejrzewamy, wciąż w nas tkwi. Jednak tych ludzi nie wolno osądzać na podstawie naszej moralności, gdyż zmienia się ona w czasie, nie jest dana raz na zawsze. Obecnie w naszej rozwiniętej, wysublimowanej kulturze składanie ofiar uważa się za okrutne i niehumanitarne, lecz dawne cywilizacje miały inne koncepcje energii. Ich członkowie wiedzieli, że dusza jest niezniszczalna, dlatego nie dochodziło do prawdziwej ofiary. Ofiarowywana była jedynie chęć wyrzeczenia się śmiertelnego ciała. Gotowość Abrahama do poświęcenia syna okazała się wystarczająca, lecz Jezus musiał ofiarować swoje ciało na krzyżu. Ci ludzie dokonywali wymiany. W starożytności wierzono, że podczas całkowitego zaćmienia, przez tych kilka minut, gdy świat spowija całkowita ciemność, otwiera się coś w ro-

dzaju tunelu albo świętego przejścia, za pomocą którego możliwa staje się rzadka i wyjątkowa sposobność nawiązania kontaktu z bogami. Jednakże w czasie, w którym tunel otwiera się dla bogów, mogą do niego wtargnąć również złe duchy. Trzeba je karmić. Ofiara była wymianą energii. Za to połączenie ludzie oddawali siłę życiową. Płomień wiary ogarniał ich tak mocno, że w razie potrzeby gotowi byli oddawać swoje ciało i krew, więc często to czynili. Z czasem jednak ludzie zapomnieli o prawdziwym sensie ofiary i zaczęli ofiarowywać to, co nie było dla nich ważne: tłuste kozy, córki sąsiadów, serca wrogów. Zmieniła się nasza wiara i gotowość na przyjęcie Boga, a wraz z nią uległa zmianie zdolność do spotykania się ze Stwórcą. Maja odwróciła się do słuchaczy. Jej szeroka twarz wyglądała przerażająco, skakały po niej cienie rzucane przez blask lampy, która kołysała się w jej dłoni.

— Wspaniale będzie ujrzeć to, co kryje się we wnętrzu tego wzgórza.

Kupu i Parwati skinęli głowami.

— Teraz już wiesz, *Da*, dlaczego bogini pozbyła się dla ciebie ramienia — rzekła cicho Maja. — Sama widzisz, co spowodowało twoje nadejście.

Parwati uradowała się na tę myśl, lecz wieczorem, siedząc na brzegu lśniącej wanny, pomyślała, że Maja mogła się pomylić, że wszystko to jest zwykłym zbiegiem okoliczności. Nie zaszła w ciążę. Jej miesiączka przyszła w terminie. Teraz Kasu Marimuthu z pewnością odprawi ją do domu.

## Przemiany

Kupu stał w gabinecie Kasu Marimuthu z opuszczonymi ramionami i rękami splecionymi w geście poddaństwa. Jego bosa stopy były znacznie bledsze niż reszta ciała.

— A zatem opowiedz mi o tym — rzekł Kasu Marimuthu. — Chcę się dowiedzieć od tego, który jako pierwszy wszedł do świątyni.

— Właściwie to nie ja byłem tym, który wszedł do niej pierwszy, panie.

Kasu Marimuthu zmarszczył brwi.

— Powiedziano mi, że to ty ją odkryłeś.

— To prawda, panie, ale twoja żona weszła pierwsza do środka.

— Co takiego?

— Twoja żona powiedziała, że chce wejść, panie. Musiałem ją tam zaprowadzić i pomyślałem, że to nie będzie właściwe, jeśli wejde pierwszy. Najpierw zapaliłem zapałkę, żeby sprawdzić, czy w środku jest całkowicie bezpiecznie.



Gopal, który stał w cieniu oparty o regał z książkami, postanowił wtrącić swoje trzy grosze:

— Nowa pani przyniosła szczęście temu domowi, panie. Drzewo przewróciło się wczesnym rankiem w dniu jej przybycia.

Kasu Marimuthu odpowiedział, nie odwracając się do niego:

— Właśnie dlatego masz się nie odzywać bez pytania. Nie chcę teraz słyszeć ani jednego słowa z twoich ust. Czy świątynia leży na mojej posiadłości? — spytał, zwracając się do Kupu.

Powieka jednego oka Kupu zadrżała.

— Tak, panie.

— Jesteś tego całkowicie pewny?

Kupu mimowolnie uniósł dłoń i dotknął rozedrganej powieki.

— Tak, panie. Znajduje się jakiś kilometr przed strumieniem, który stanowi granicę.

Kasu Marimuthu skinął głową, usatysfakcjonowany. Był rad, że nabył ten kawałek ziemi. Lecz nawet jeśli służący się pomylił i świątynia leżała poza granicami posiadłości, wystarczy kupić skrawek więcej ziemi od sułtanatu.

— Jakiego rodzaju jest to świątynia?

— Nie wiem, panie. Nie jest to meczet, kościół ani chińskie miejsce kultu. Na pewno nie jest to nasza świątynia. W tej chwili nie sposób zobaczyć całego jej kształtu, gdyż okrywa ją zbyt dużo ziemi i roślinności. Ale wydaje mi się, że jest w całości zbudowana z wielkich białych kamieni, pociętych i złożonych tak dokładnie, że nie zdołałem wsunąć pomiędzy

nie ostrza noża. Jeśli sobie życzysz, panie, mogę ją odkopać z pomocą innych.

— Ile czasu twoim zdaniem to potrwa?

— Usunięcie roślinności i kopanie zajmie kilka tygodni, lecz obmycie kamieni potrwa dłużej. Trzeba będzie nosić wodę ze strumienia albo nawet z domu.

— Dobrze, zaczynajcie jutro. Sprowadzę buldożery i dwustu ludzi do pomocy. Pracujcie na dwie zmiany. Spodziewam się, że prace zajmą wiele miesięcy, ale chcę zobaczyć świątynię najprędzej, jak to możliwe.

Kupu położył rękę na piersi i się uklonił. Kasu Marimuthu skinął głową, a wtedy Kupu odszedł, nie odwracając się.

— Ty też znikaj — rzekł Kasu Marimuthu i Gopał usunął się bezszelestnie.

Kasu Marimuthu usiadł w fotelu i skierował go w stronę okna balkonowego. Ogrodnik obwiązywał workiem drzewo chlebowe, żeby nie dobrały się do niego wiewiórki i nietoperze, zanim owoce w pełni dojrzeją. Miały już prawie trzydzieści centymetrów długości. Kupu zapędzał krowy do obory; wieczorne powietrze tętniło dzwonieniem dzwoneczków i jego okrzykami. Ktoś zapukał nieśmiało do drzwi gabinetu Kasu Marimuthu.

— Proszę!

Parwati weszła i zamknęła za sobą drzwi. Kasu Marimuthu spojrzął na nią bez słowa. Miała na sobie to samo brązowe sari, które tak bardzo go zdegustowało, gdy tylko je zobaczył. Jej mokre włosy opadały luźno na plecy. Kasu Marimuthu pomyślał mimochodem, że nie zdawał sobie sprawy z ich długości.

Stała na środku gabinetu i niepewnym, pełnym zakłopotania głosem oznajmiła mu, że okres pojawił się w terminie. Kasu Marimuthu wysłuchał jej przemowy bez zainteresowania, a potem patrzył, jak dziewczyna porusza nerwowo dłońmi. Ze zdumieniem uświadomił sobie, że nie miał ochoty jej poślubić, ale też wcale nie pragnie jej się pozbywać. Nie był zabobonny, lecz nawet on widział, że małżeństwo, jak dotąd, przysparzało mu samych korzyści. W dniu ślubu nadarzyła się okazja nabycia trzech pięciusetakrowych posiadłości: jednej przy drodze do Pekanu, drugiej w Dzerantut, a trzeciej w Malakce. Nie zapomniał o pierwszym ranku i mimowolnie wypowiedzianych słowach. A później odnaleziono świątynię na terenie posiadłości, której właścicielem był od wielu lat! Powinien buntować się przeciwko tej sytuacji, w której znalazł się mimo woli, lecz o dziwo traktował ją całkowicie obojętnie. Odprawił Parwati pełnym roztargnienia machnięciem ręki.

Nie był pijany tej nocy, gdy wszedł do jej pokoju i stał nad nią, rzucając długi cień, aż przebudziła się i spojrzała nań szeroko otwartymi, zaleknionymi oczami. Widząc, że jej strach mija, nachylił się nad nią i wyszeptał:

— Twój ojciec powinien się dowiedzieć, że nie dostanie ode mnie ani centa. Nigdy.

Po tych słowach wyprostował się i wyszedł.

•••

Następne trzy dni upłynęły Parwati w gabinecie z nauczycielem angielskiego, a podczas oględzin świątyni w dżungli Kupu odkrył w sobie niespodziewany talent do wykopalisk.

Wiedział dokładnie, kiedy zatrzymać koparki i skierować do pracy ludzi z łopatami. Miał tak doskonale wycucie, że nie został zadraśnięty ani jeden kamień. A potem...

— Maju, dostałam list z domu! — zawołała radośnie Parwati, wpadając do kuchni. — Spójrz na znaczek! Musieli go wysłać zaraz po moim wyjeździe... — Z niecierpliwością rozdarła kopertę. — Starszy brat zapisał słowa podyktowane przez ojca. Przysyła najlepsze pozdrowienia...

Nagle twarz Parwati się zmieniła. Dziewczyna zamilkła i resztę doczytała po cichu. Gdy uniosła głowę, w jej oczach błyszczały łzy.

— Miałam jak najprędzej wysłać pieniądze. Mama zachorowała z tęsknoty za mną, a ponieważ nie może pracować, rodzinie jest strasznie ciężko. A ojciec zapożyczył się na moją podróż i ślubną wyprawę i teraz chce odzyskać pieniądze.

— Jaką wyprawę? — wtrąciła Maja.

— Ojciec bardzo się gniewa i uważa, że zapomniałam o rodzinie po tym wszystkim, co dla mnie zrobili.

Parwati odczytała na głos część listu:

— „Pamiętaj, moja córko, że kiedy ty siedzisz przy stole męża, zajadając smakołyki, my nawet nie możemy się podzielić pełnym talerzem ryżu. A gdy wysiadasz z konnego powozu, pomyśl, że matka zgubiła pantofel i musi chodzić boso, gdyż nie ma pieniędzy na kupno nowego. Już dwa razy rozcięła sobie nogę o kamienie i ciernie”.

Do oczu Parwati znów napłynęły łzy. Nie pomyślała o tym, że matki nie będzie stać na nowy pantofel.

— Byłam taka lekkomyślna i samolubna. Muszę coś zrobić, ale co? Nie mam pieniędzy. Mam poprosić męża?

Maja łagodnie pokręciła głową.

— Nic dobrego z tego nie wyniknie, *da*. Napisz ojcu, że twój mąż jest wściekły, iż został przez niego oszukany. Że jesteś tutaj kimś w rodzaju więźnia. Często tak bywa, że nikczemnicy wyżywają się na tych, których uważają za słabszych od siebie. Wybacz, że to powiem, ale taki właśnie jest twój ojciec, więc będzie gwałcił się w pas przed Kasu Marimuthu. Spokojnie pożegna się z nadzieją na dostatnie życie i nie będzie cię więcej niepokoił. Tutaj sytuacja się ułoży i będziesz mogła wysłać matce pieniądze. Ale na razie dostaniesz trochę ode mnie. Wyślemy je razem z parą pantofli, choć taka suma nie zadowoli twojego ojca, a los matki się nie poprawi.

— Jak mogłabym przyjąć od ciebie pieniądze?

— Wyrzekłam się wszelkich ziemskich pragnień i przyjemności zmysłowych. Na co mi one?

— Przyjmę je, pod warunkiem że uznasz to za pożyczkę.

— Jak sobie życzysz, *da*.

•••

Tydzień później Kasu Marimuthu udał się na miejsce wykopalisk. Parwati nie poszła z mężem. Poczekała, aż Maja skończy szykować lunch, i dopiero wtedy wyruszyła razem z kucharką. Stały z boku i patrzyły z podziwem na to, co w tak krótkim czasie zostało odkryte. Pagórek wyglądał jak podkova kryjąca w sobie cały kompleks budowli. Ośmiokątna

komora, którą tak się zachwyciły, wydawała się mała i niepozorna w porównaniu ze stojącym obok głównym obiektem, którym była wysoka okrągła wieża. Z zewnątrz na całej wysokości otaczały ją wąskie schody, lecz Kupu przestrzegając, że wciąż nie jest bezpiecznie po nich chodzić. Robotnicy odkopali również kamienie ułożone w półkola i rozmieszczone po dwie i po trzy idealnie wykonane półkule o wysokości od pół metra do metra.

— Wszystko zostało starannie zmierzone i zaplanowane. W każdym schemacie, powierzchni, długości i wadze kryją się niezwykle tajemnice. Nawet one — ciągnęła Maja, wskazując dwa stojące kamienie — nie są martwe i niepotrzebne. Czekają na dzień, w którym ktoś oświecony znów je obudzi. Sekrety świętej geomancji bardzo niechętnie ujawniają się niewtajemniczonym, a czasy, gdy czyści, nieskazitelni ludzie mogli patrzeć na bogów w całym majestacie ich boskości, dawno się skończyły. Jednak wczoraj śniło mi się, że kamienie być może nie czekają na próżno.

Maja na chwilę pogrążyła się w myślach.

— Jeszcze teraz te kamienie przemawiają do siebie. Widzisz ten gład, który przypomina język i stoi na sztorc? To bardzo szczególny kamień, kamień mówiący. On zwraca się nawet do ludzi. W czasie swoich wędrówek po obu Amerykach poznałam szamana, który miał wtedy trzysta lat. Powiedział mi, że według legendy wystarczy przyłożyć czoło do takiego kamienia, a on wprowadzi cię do swojego świata i pokaże niezemskie rzeczy. Maja uniosła ręce i wskazała rysunki wyryte na kamieniach.

— Widzisz te okrągłe znaki na powierzchniach? Powinny z nich płynąć strumienie dobrej energii, dające siłę każdemu, kto ich dotknie. Ale nie cała energia Ziemi jest dobra. — Maja wskazała ręką posadzkę pomieszczenia. — Te pierścienie to odwrócone srebrne misy, ukryte pod ziemią. One przemawiają do złych energii, nie pozwalają im się unieść. Mówią: „Nie dotykajcie nas ani ze wschodu, ani z zachodu”.

— Skąd to wszystko wiesz? — zaciekawiał się Kupu.

— Czuję to, ale jest sposób, by się o tym przekonać. Trzeba użyć różdżki. Wrócimy tu jutro i podążymy za liniami energii biegnącymi od głównego kamienia. Zobaczymy, dokąd też nas zaprowadzą.

Parwati i Maja powróciły w to miejsce nazajutrz wcześniej rano z różdżkami, które Maja sporządziła z kawałków metalu i drewna w celu oznaczenia szlaków energetycznych odchodzących od kamieni. Brodziły w błocie po kostki, a paprocie sięgały im do ramion, gdy szły za wskazaniem różdżek. Jednak nagle, bez widocznego powodu, Parwati zaczęła skręcać na boki.

Tymczasem Maja, która szła kilka kroków przed nią, podążała równomiernie za linią.

— Maju, coś się stało z moimi różdżkami. Maja się zatrzymała.

— Jak to możliwe? — Cofnęła się kilka kroków, wzięła różdżkę Parwati, która od razu ją się poruszać normalnie. Maja odwróciła się, by spojrzeć na Parwati. — O czym pomyślałaś?

— Przypomniałam sobie matkę.

Na szerokiej twarzy Mai pojawił się wyraz, którego Parwati nie umiała odczytać. Kucharka odwróciła się i różnym tonem powiedziała:

— Wystarczy, dość już zrobiliśmy jak na jeden dzień. Niebawem muszę zacząć szykować obiad. Zaznaczmy to miejsce i wróćmy tu jutro.

— Czym się dzisiaj zajmowałaś? — spytał bez zainteresowania Kasu Marimuthu, wsuwając do ust porcję baraniny z ryżem.

— Razem z Mają podążaliśmy z różdżkami jedną z linii energetycznych, które biegną od kamieni stojących przy świątyni.

Kasu Marimuthu z niedowierzaniem pokręcił głową.

— To śmieszne. Na całej powierzchni Ziemi zawsze występuje mnóstwo rodzajów naturalnych i sztucznych energii. Jednak ich poszukiwanie to mrzonka pozbawiona jakiegokolwiek podstawy intelektualnej. Każdy może sobie przypisywać, że odkrył w nich jakiś schemat, powołując się na nic nieznaczące wyniki swoich poszukiwań. Jeśli nie szukacie wody ani minerałów, obie marnujecie czas. Co z twoimi lekcjami angielskiego? Straciłaś dla nich zainteresowanie?

— Ależ skąd. Poświęciłyśmy na poszukiwanie zaledwie kilka godzin, ale jeśli chcesz, przestanę się tym zajmować.

Przez chwilę Kasu Marimuthu spoglądał na nią poważnie. Potem uśmiechnął się złym, szyderczym uśmiechem.

— Nie musisz. Sprawdźmy teorię Baudelaire'a, wedle której tylko dobrze pojęte pogaństwo może ocalić świat.



Bardzo bym chciał zobaczyć ten zepsuty świat oczami mojej obłąkanej kucharki.

Jednak Parwati przestała chodzić z różdżkami. Wieczorem poszła do Mai i wtedy po raz pierwszy i ostatni się posprzeczały.

— Maju, dlaczego moja różdżka zwiotczała? Początkowo Maja próbowała uniknąć odpowiedzi na to pytanie.

— Nie przejmuj się, tak czasem bywa.

Parwati chwyciła dłoń kucharki i mocną ją ścisnęła.

— Dlaczego zdarzyło się to akurat wtedy, gdy myślałam o matce? I dlaczego twoja twarz tak bardzo się zmieniła? Muszę to wiedzieć. Powiedz mi, proszę.

Maja wciąż nie przestawała się wahać, lecz Parwati dręczyła ją dalej. W końcu Maja zacisnęła purpurowe usta i odparła.

— Różdżka może zwiotczeć, kiedy osoba, która ją trzyma, pomyśli o zmarłym. Im krótszy czas upłynął od śmierci, tym szybciej różdżka wiotczeje.

Parwati odepchnęła rękę Mai, jakby się sparzyła.

— Okrutne słowa! — zawołała. — Mój mąż ma rację, to wszystko nonsens! Jak można udawać, że wyznaczamy przebiegi szlaków energetycznych, skoro cała Ziemia jest nimi pokryta?! I jak możesz wiedzieć cokolwiek o ludziach, którzy pomarli przed tysiącami lat? Moja matka nie zmarła! Słyszysz?! Ona żyje! Parwati wybiegła z kuchni i zobaczyła Maję dopiero nazajutrz wieczorem. Okazała jej wówczas chłód i dystans. Ja

nigdy bym jej czegoś takiego nie powiedziała, oburzała się w myślach. Jak ona mogła? Nie powinna nawet czegoś takiego pomyśleć, a co dopiero mówić na głos! Parwati siedziała w swoim pokoju, pogrążona w ponurych rozmyślaniach. Maja nie szukała pani, została w kuchni. Po południu Parwati patrzyła z okna na piętrze, jak kucharka krząta się pod drzewem. W gruncie rzeczy bardzo za nią tęskniła, lecz ani myślała jej wybaczać, jeśli Maja nie odwoła swoich przykrych słów. Gdyby matka nie żyła, ona, Parwati, wiedziałaby o tym. Poczuliaby to, była tego pewna.

•••

Dwa dni później Kasu Marimuthu wrócił wcześniej z pracy. Przerwał lekcję angielskiego i odesłał nauczyciela do domu. Potem usiadł przed Parwati i oznajmił, że dostał telegram od jej ojca. Matka Parwati odeszła.

— Odeszła? — spytała grzecznie Parwati. Jej mąż skinął głową.

— Niespełna tydzień temu.

— Och — westchnęła Parwati. Kasu Marimuthu milczał.

— Czy mój ojciec napisał coś jeszcze? Mężczyzna odwrócił wzrok.

— Poprosił o pieniądze.

Parwati nic nie czuła. Położyła dłonie na piersi.

— Dasz mu je? — zapytała szeptem.

— Tak — odparł cicho Kasu Marimuthu. — Mój adwokat już przygotował list. Twój ojciec dostanie sporą sumę, ale

w zamian musi się zobowiązać, że nigdy więcej nie będzie próbował się z tobą kontaktować.

— Ach, rozumiem.

— Jeśli chcesz, możemy dzisiaj pójść do świątyni i kazać kapłanowi odprawić modły za twoją matkę.

Parwati spojrzała w twarz męża.

— Czy ojciec napisał, na jaką chorobę zmarła mama? Tym razem Kasu Marimuthu nie unikał wzroku żony.

Spojrzał jej prosto w oczy i bardzo powoli i wyraźnie odparł:

— Powiesiła się.

Parwati wstała nagle i cofając się, wyszeptała chrapliwie:

— Nic mi nie jest. Naprawdę. Potrzebuję tylko trochę czasu. Jeśli pozwolisz.

— Naturalnie.

Odwróciła się i wyszła szybko z pokoju. Nogi poprowadziły ją do drzwi frontowych. To dziwne, że nie pamiętała drogi do drzwi.

Stała przez krótką chwilę przed schodami. Musi być sama.

Morze. Pójdzie nad morze. Pobiegnęła na plażę. Kiedy już tam była, przypomniała sobie, gdzie się znajduje. Umykały jej skrawki czasu. Jakie to dziwne. Pomyślała

o głazach i nagle przed nimi stała. Wdrapawszy się na nie, gwałtownie wciągała powietrze, jej klatka piersiowa ścisnęła się boleśnie. Patrzyła w stronę horyzontu. Woda ryczała

i rozbijała się o podnóże kamieni.

Złapała się rękami za głowę i usiłowała przypomnieć sobie

matkę. Z wielkim zdziwieniem stwierdziła, że nie potrafi.

Widziała jedynie gniewną, pełną irytacji i zniecierpliwienia

twarz ojca. Raz po raz uderzała się dłonią w czoło. Ty głupia, ty głupia.

Wtem gdzieś z głębi jej głowy wypłynął obraz tej pięknej kobiety. Nie była sina ani zaczerwieniona, lecz taka jak kiedyś. Gdy były na rynku, odwracała butelkę z miodem, by sprawdzić, czy nie jest rozcieńczony. Umiała to robić w taki sposób, że miód opadał tylko na środku, tworząc wiry i pierścienie. Po powrocie do domu Parwati próbowała dokazać tego samego, lecz miód spływał wyłącznie po bokach.

Musiała to zrobić na głównej belce domu. Ale jak mogła? Parwati przypomniała sobie słowa Kamali: „Łatwo jest popełnić samobójstwo. Na podjęcie decyzji wystarczy minuta. Później, kiedy ci nie wyjdzie, ogarnia cię wstyd i smutek, że byłaś taką egoistką i nie zatroszczyłaś się o swoje dzieci. Ale początek jest łatwy”.

Parwati zawyła.

Kasu Marimuthu, który był w domu, nalał sobie dużą porcję whisky. Parwati wróci, kiedy będzie gotowa. Poprosiła, żeby dał jej czas, a on mógł spełnić tę prośbę.

Słońce prawie skryło się za domem. Parwati wciąż szlochała, gdy podeszła do niej Maja i usiadła obok. Spoglądały na niespokojne morze, nad którym wschodził księżyc.

— Ustaliłam przebieg strumienia energii, za którym podażyliśmy — odezwała się łagodnym głosem Maja. — Wpada do rzeki, przechodzi przez nią i biegnie dalej w stronę domu. Otacza go, tworząc coś w rodzaju ochronnego kokonu, a potem wnika tylnymi drzwiami i wydostaje się przez okna. Strumie-

nie wybierają ścieżki najmniejszego oporu, wracają do tych skał, a następnie suną w morze ku tej wyspie. — Maja wskazała widoczną w oddali wysepkę.

Po tych słowach kobiety siedziały w niezmaconym milczeniu.

•••

Kilka godzin później Maja przerwała ciszę i zapytała, czy Parwati chciałaby coś zjeść. Dziewczyna powoli pokręciła głową. Po kilku następnych godzinach spytała, czy Parwati chce wrócić do domu. Ta znów pokręciła głową. Później Parwati złożyła zmęczoną głowę na kolanach Mai, a ta okryła jej ciało częścią swojego sari tak, by mogła spać. Ledwie jednak zdołała usnąć, budziła się raptownie i zaczynała płakać. Za którymś razem szepnęła: „Jak długo ona tam wisiała?”. A później: „Zlitujcie się i zdejmijcie tę kobietę”. Dopiero wczesnym rankiem przyszedł do niej sen wolny od mar.

Stojący ze szklanką whisky w dłoni, pijany Kasu Marimuthu patrzył z niedowierzaniem i podziwem, jak na wzniesieniu pojawia się rośła postać kucharki. W swoich potężnych ramionach kobieta niosła jego śpiącą żonę, jakby ta ważyła nie więcej niż girlanda kwiatów.

•••

Kasu Marimuthu odczekał tydzień, nim wezwał żonę do biblioteki. Gdy weszła, siedział za biurkiem. Wtedy podniósł pęk kluczy na łańcuchu i podał go Parwati. Ta przyjęła klucze,

lecz zawahała się, nie wiedząc, co ma z nimi zrobić. Kasu Marimuthu wstał, obszedł biurko i przytroczył klucze do pasa trzymającego jej sari.

— Teraz, gdy oficjalnie zostałam panią Adari, powinnaś przedstawić się damom z Klubu Czarnej Parasolki — rzekł ironicznie. — Twoja poprzedniczka uznała ich zajęcia za zbyt prowincjonalne, ale wierzę, że tobie ich przyjaźń może wybitnie przypaść do gustu.

## Klub Czarnej Parasolki

Okazało się, że Klub Czarnej Parasolki wcale nie jest klubem, ale grupą spotykających się co tydzień żon siedmiu mężczyzn, którzy przybyli z Cejlonu, by zasilić szeregi niższych urzędników resortów brytyjskiego rządu na Wyspach Malajskich. Kobiety zapraszały się na zmianę popołudniami, po zakończeniu prac domowych, gdy ich mężowie wciąż byli w pracy. Mieszkały blisko siebie, toteż w zależności od pogody przychodziły albo z rozłożoną parasolką, albo też niosąc ją pod pachą.

Program zajęć tych spotkań, jak prześmiewczo orzekła pierwsza żona Kasu Marimuthu, miał charakter co najmniej prowincjonalny. Kobiety gawędziły o potrawach, o tym, co się dzieje wśród społeczności cejlońskiej, oraz o spotkaniach organizowanych w świątyni; poza tym pokazywały sobie nawzajem swoje osiągnięcia w dziedzinie szydełkowania, szycia i dziergania.

Parwati nerwowo ubierała się na pierwsze spotkanie. Czy uczestniczki spotkań dowiedziały się z plotek, w jaki sposób została żoną Kasu Marimuthu? Czy będą ją porównywać z wykwinną poprzedniczką? Z niepokojem poszła do kuchni, a Maja, dobra dusza, powiedziała jej, że wygląda pięknie. Te słowa nieco pokrzepiły Parwati.

Wszyscy sąsiedzi wyszli z domów, by podziwiać rolls-royce'a i przyjrzeć się nowicjusze. Speszona ruszyła w stronę drewnianego domu stojącego na niskich betonowych palach. Gospodyni — pospolicie wyglądająca matrona — czekała na szczycie kamiennych schodów. Ku swojemu zawstydzeniu Parwati zauważyła, że ma na sobie wykrochmalone bawełniane sari i białą bluzkę. Jej posmarowane olejkiem włosy były upięte na szyi. Domyśliła się, że nie zobaczy w domu wysadzanego klejnotami pasa ani złotej spinki do włosów.

— Proszę, proszę — rzekła z uśmiechem gospodyni.

Parwati postawiła sandały obok obuwia pozostałych gości i wspięła się po stopniach. We frontowym pokoju domu zapadła cisza, gdy odziane podobnie jak gospodyni uczestniczki spotkania skierowały wzrok na nową żonę Kasu Marimuthu. Nie zaimponowały jej poprzedniczce, która otwarcie wyrażała pogardę dla ich zaściankowego stylu życia. Z wyniosłą westminsterską manierą zapytała: „Mężowie robią za was zakupy?”. Musiała mieć bardzo niskie mniemanie o kobietach, które mieszkały w urzędniczych kwaterach i dwa razy obracały w rękach każdego centa, nim zdecydowały się go wydać. Kobiety popatrzyły na jej diamentowe kolczyki



i pocieszyły się, myśląc: „Czym ona może się martwić? Jej mąż pożycza pieniądze rodzinie królewskiej”.

Członkinie klubu musiały starannie gospodarować pieniędzmi, żeby opłacać edukację dzieci. W dzieciństwie wpojono im wiarę w wartość nauki. Ich rasa darzyła najwyższym szacunkiem ludzi wykształconych; wszelką działalność handlową określano pogardliwie mianem kupiectwa albo interesów. Wyjątkiem były sytuacje, gdy ktoś, tak jak Kasu Marimuthu, wznosił się na niebotyczne wyżyny. Nazywano go Kuberanem, takie bowiem imię nosił mężczyzna, do którego bóg Wisznu zwrócił się z prośbą o sfinansowanie swojego wystawnego wesela.

Kobiety zaczęły się przedstawiać. Cejlończycy słynęli ze swego zamiłowania do przydomków; nikt nie mógł się przed tym uchronić.

Manga *mami* (pani Mango) zawdzięczała swój przydomek bujnemu mangowcowi, który rósł na podwórku jej domu.

Kundi *mami* (pani Pośladki) została tak przezwana z powodu wyraźnie rzucającej się w oczy, obfitej tylnej części ciała.

Negeri Sembilan *mami* (pani Negeri Sembilan) nosiła to przezwisko dlatego, że jako jedyna z grupy pochodziła ze stanu Negeri Sembilan.

Padi *mami* (pani Schodki) była tak nazywana ze względu na to, że zamieszkiwała w jedynym piętrowym domu w okolicy.

Doktorowa Duraisami Pendzathi (żona doktora Duraisami).

Jej przydomek miał wyrażać szacunek dla żony lekarza; nosiła go, mimo że do *mami* nie zwracano się w taki sposób.

Melaha *mami* (pani Chili). Przydomek wziął się stąd, że kobieta ta miała ognisty temperament i nawet jej mąż nie śmiał odzywać się w swoim domu.

Velei *mami* (pani Jasnowłosa) nosiła swój przydomek za sprawą przepysznej barwy włosów, przypominającej kolor młodego mango.

W czasie tej prezentacji Parwati także uzyskała przydomek, który brzmiał Rolls-Royce *mami* (pani Rolls-Royce).

Parwati uśmiechnęła się i zajęła wolne miejsce, które dla niej pozostawiono. Kobiety pochyliły się, ciekawe wyglądu córki mężczyzny, który zdołał przechytryć niewyobrażalnie wpływowego i bogatego człowieka, jakim był Kasu Marimu-thu. Kundi *mami* zaczęła indagację od poważnej kwestii pochodzenia rodzinnego Parwati. Jakie imię nosi jej ojciec? Kim był dziadek? Parwati odpowiadała. Rozmówczynie kręciły lśnącymi od olejków głowami. Żadna nie słyszała o ojcu Parwati. Z której wioski pochodzi? Karai Nagar. Wioska sąsiadowała z tą, z której pochodziła Manga *mami*. Wszystkie spojrzały na Manga *mami*, ona jednak z żalem pokręciła głową. Nie słyszała o rodzinie Parwati, ale może Parwati zna kogoś z rodziny Tangavellupilai? Teraz z kolei Parwati z żalem pokręciła głową. Bardzo rzadko wychodziła z domu. Kobiety z aprobatą skinęły głowami. Dziewczętom nie przystoi biegać po okolicy na wyścigi z chłopcami.

A jak nazywają się jej krewni na Malajach? Sokalingham? Ale który? Czy ten, który ma posadę w Departamencie Robót

Publicznych? Nie, to nie ten. Och... Sokalingham z Kuala Lipis. W takim razie żadna ze zgromadzonych o nim nie słyszała. Nie znały nikogo z tamtych stron. Nawet Negeri Sembilan *mami* pokręciła głową. Mniejsza z tym. A ile osób liczy rodzina? Pięciu braci. Czy oni także przeniosą się na Malaje? Nie? A powinni. To kraj miodem i mlekiem płynący. Parwati powinna ich tutaj ściągnąć, nawet gdyby mieli zająć się uprawą ziemi. Kasu Marimuthu z pewnością znajdzie dla nich miejsce w swoim rozległym imperium. Padi *mami* nazwała go „baronem”.

— Mój ojciec i mąż zdecydują, czy bracia przybędą tutaj, czy nie — odparła Parwati, a towarzyszki pokiwały mądrze głowami.

Dzieci Kundi *mami* wróciły z tamilskiej szkoły, a ona nakazała im iść prosto do kuchni. Nie ruszając się z krzesła i nie odwracając do nich, wiedziała, kiedy przeżuły ostatni kęs.

Władczym gestem poleciła im zająć się odrabianiem pracy domowej. W końcu ciekawość pań wyczerpała się i zaczęły rozmawiać o robótkach. W ich głosach pojawiła się cicha radość i duma. Tym zajmowały się dla czystej przyjemności. Pokazały nowej koleżance, co właśnie robią. Kundi *mami* dziergała na drutach kwiatuszki, które zamierzała połączyć. Miał z tego wyjść pudel albo lalka — Kundi *mami* jeszcze nie podjęła ostatecznej decyzji. Doktorowa Duraisami Pendzathi wyszywała poduszki, a Velei *mami* i Padi *mami* postanowiły uszyć draperie ozdobione pawiami. Ich praca była niemal na ukończeniu i wzbudziła podziw Parwati. Melahae *mami* rozłożyła niedokończoną kołdrę z łątek, a Ne-

geri Sembilan *mami* pokazała misterny wzór z koralików, którym ozdabiała suknię ślubną swojej córki.

— A ty co chciałabyś robić? — Członkinie klubu spojrzały wyczekująco na Parwati.

Ta się zawahała. Nie umiała wyczarować lalki, pudelka ani pościeli, które byłyby wystarczająco piękne, by stać się ozdobą Adari, a żadne z jej sari nie było dość ładne, by zasługiwać na ozdoby. Jednak w kwaterze krawca zobaczyła wiele bel materiału i ścinków tkanin. Mogłaby zrobić z nich koc. Luksusowy koc dla ojca na miesiące monsunu, gdy rozmaite bóle nie pozwalały mu spać.

Kiedy podano herbatę i ciastka, rozległo się monotonne dudnienie.

— Co to takiego? — zaciekawiała się Parwati.

— To stary Vellupilai tłucze korzenie i pieprz. A u ciebie kto zajmuje się tłuczkiem i moździerzem?

— Nie wiem — odparła Parwati. Pozostałe kobiety spojrzały na siebie. Mimo że nie były wykształcone, nie znały miejscowego języka ani nie zarabiałały pieniędzy, w ich gospodarstwach domowych trzeba było się z nimi liczyć. Nie potrafiły pojąć, że kobieta może nie wiedzieć absolutnie o wszystkim, co dzieje się w jej domu.

— Jak liczna jest twoja służba? — zapytała Negeri Sembilan *mami*.

— Nie wiem — przyznała Parwati.

Tym razem wprawiła towarzyszki w osłupienie. One nie miały służących. Tylko Padi *mami* ze względu na chore plecy trzy razy w tygodniu zatrudniała do sprzątnięcia pewną Hin-

duskę. Płaciła jej dziesięć dolarów miesięcznie, lecz nie mogła o niej powiedzieć ani jednego dobrego słowa. Kobieta upijała się i pyskowała, za dużo jadła, była też brudna i cuchnęła.

— Mniejsza z tym — pocieszyła Parwati Melahae *mami*. — Wciąż jesteś młoda i piękna. Nie musisz gotować pyszności, żeby mąż w te pędy do ciebie wracał.

Wszystkie *mami* parsknęły głośnym śmiechem. Gdy Parwati wychodziła, zapytały ją, czy mogą dostać pędy róż z jej domu. Parwati chętnie się zgodziła.

— Świetnie się złożyło, że twój mąż się z tobą ożenił — rzekła z uśmiechem Padi *mami*. — Jego pierwsza żona była niewiele warta i pograżyła go w hańbie. Ale czego można się spodziewać po Hindusce? One nadają się tylko na służące.

— Łatwiej zaufać kobrze niż Hindusce — potwierdziła Melahae *mami*.

— Nigdy nie powinno się żenić z kimś spoza swojego plemienia — dodała cicho Negeri Sembilan *mami*.

Parwati nic nie odpowiedziała, lecz po powrocie do domu natychmiast udała się do kuchni.

— Jak było? — spytała z uśmiechem Maja.

Parwati ujęła ją za ramię i pociągnęła na podłogę. Maja usiadła, a Parwati położyła głowę na jej kolanach.

— Maju, czy uważasz, że Hinduski bardzo różnią się od Cejlonek? — zapytała, spoglądając w jej twarz.

— Och, ludzie noszący w sercach uprzedzenia nie wiedzą, że wyrządzają więcej szkody sobie niż tym, przeciw którym je kierują — odparła powoli kucharka.

— Już nie chcę tam chodzić. Rozgniewał mnie sposób, w jaki wyrażały się o Hindusach. Jak mogę się z nimi spotykać, skoro one źle mówią o twoim narodzie? Czułabym się wobec ciebie niełojalna.

— Nie powinnaś się gniewać z mojego powodu. Ich bezpośredni przodkowie pochodzą z Dżafny, ale spojrzawszy głębiej wstecz, na pewno ujrzałyby owych Hindusów, przed którymi tak drżą. Widzisz więc, że mój naród jest ich narodem.

— Jeśli tam wrócę, będę musiała wyprowadzić je z błędu.

— Po co w ogóle miałybyś poruszać ten temat? Spierając się z nimi, straciłabyś nie tylko ich przyjaźń, lecz także cenną energię. Te kobiety wcieliły się w jakąś rasę po to, by uzyskać z niej wszelkie możliwe nauki i korzyści. Jeśli pragną wżenić się w inną rasę i mieć w niej dzieci, nie masz prawa ich od tego odwozić. Mam je oskarżać o rasizm dlatego, że nie chcą porzucić swojego ludu na rzecz mojego? Daj im spokój. Po co rujnować ich iluzję wyższości? Poddając się uprzedzeniom, nie zdają sobie sprawy, że ujawniają brak wiary i pewności siebie. Życz im jak najlepiej. Nie twoją sprawą jest oceniać. Niech robią, jak im się podoba. Nie doszukuj się różnic. Szukaj podobieństw.

Parwati długo myślała, pogrążywszy się w milczeniu. Nie przyrządzała posiłków dla męża, nie miała dzieci i nie umiała się ekscytować robótkami ręcznymi. Wszystkie członkinie klubu były od niej starsze, inaczej się ubierały. I z całą pewnością nigdy nie leżały w mroku, marząc o tym, by mężczyzna okazał, że jest gotów oddać za nie życie.

— Nie ma między nami podobieństw — odparła po namyśle.

— Ależ są, tylko ich nie znalazłaś — rzekła Maja. — Nie rezygnuj tak szybko.

— Maju, kto u nas tłucze korzenie i pieprz? — spytała nagle Parwati.

Kucharka spojrzała na nią, zaskoczona.

— Stary Vellupilai — odparła. Parwati parsknęła śmiechem.

— Och, Maju! — powiedziała i znów zaczęła się śmiać. A zatem miała jednak coś wspólnego z innymi członkiniami Klubu Czarnej Parasolki. Maja tak dużo wiedziała.

Znalazszy pierwsze podobieństwo, Parwati pomyślała nagle o wspólnym języku, przodkach i płci. Czyż nie patrzyły z nadzieją w przyszłość i nie pragnęły szczęścia dla siebie i swoich rodzin?

— Jedno mnie martwi — mówiła Parwati, marszcząc brwi. — Każda z nich prowadzi swoje gospodarstwo domowe, a ja poczułam się dzisiaj jak głuptaska, nie wiedząc prawie nic o swoim domu. Nawet nie wiem, ile osób liczy personel.

— To można łatwo naprawić. Mamy dwadzieścia dwie osoby służby. — Maja wsunęła rękę za bluzkę, wyjęła portmonetkę i podała ją Parwati. — Jeśli chcesz dowiedzieć się czegoś o prowadzeniu domu, możesz zacząć od dzisiaj. Idź wieczorem na plażę z Aminem i kup ryby.

Parwati otworzyła portmonetkę i spojrzała na zagraniczne banknoty.

— Tutejsze dolary — powiedziała, po czym wybuchła nieopanowanym śmiechem. Po raz pierwszy w życiu miała wyruszyć na zakupy. Maja się uśmiechnęła.

•••

Na plaży czekali już ludzie. Kobiety w brudnoszarych ubraniach i zawiązanych luźno na głowach starych łachmanach kucwały w półkolach i rozmawiały. Na piasku obok spało na sarongu jedno lub dwoje niemowląt. Starsi mężczyźni grali w warcaby; obok nich spoczywały mosiężne pudełka z liśćmi betelu i czarnym tytoniem. Tuż przy brzegu dzieci pluskały się w wodzie. Pojęcie czasu tam nie istniało, jego upływ wyznaczały jedynie przypływy i odpływy morza. Łodzie w kształcie półksiężyca podpływały bliżej.

Rybacy przybijali do brzegu, a ich rodziny wbiegały do wody, by zerknąć do łodzi i ocenić połów; starcy w wyblakłych koszulach z satysfakcją kiwali głowami. Potem wszystkie trzy pokolenia wspólnym wysiłkiem wciągały łodzie na brzeg, wykorzystując okrągłaki i bambusowe tyczki. Kobiety czekały na skraju wody z rękami na biodrach. W wieczornym słońcu napięte mięśnie rybaków lśniły niczym wypolerowane drewno. Łodzie, nogi mężczyzn i kolorowe sarongi odbijały się w wodzie i na mokrym piasku, tworząc niezwykły spektakl.

Amin i Parwati zbliżyli się do odosobnionej łódki. W jej wnętrzu mieniły się łuskami ryby. Niektóre leżały nieruchomo. Inne, śmielsze i bardziej przedsiębiorcze, przedostały się na dno łodzi, gdzie zebrało się nieco morskiej wody, by tam



trzepotać się i nadaremnie machać ogonami. Jednak nawet one musiały poczuć, że znajdują się na piasku, gdyż jedna po drugiej odwracały się na grzbiet i nieruchomiały. Parwati odstąpiła na kilka kroków. Amin spojrzał na nią pytająco, a ona dała mu znak, żeby robił swoje. Mężczyzna wsunął rękę do łodzi i zaczął wybierać ryby. Zgromadził w ten sposób stos makreli.

— Ile? — spytał po malajsku.

— Cztery centy — odparł rybak.

Amin podciągnął wyżej zegarek na srebrnej bransoletce, który otrzymał na urodziny od pracodawcy, i zrobił minę pełną niedowierzania.

— Za dużo, za dużo — targował się.

— Trzy centy — ustąpił rybak.

Amin przekonująco udał, że nie wierzy własnym uszom.

— Trzy centy za pięć rybek?

Parwati odniosła wrażenie, że Amin popisuje się ze względu na jej obecność; pomyślała, że cztery centy to ze wszech miar właściwa cena. Rybak odwrócił smagłą, pomarszczoną niczym fale twarz do nowej pani wielkiego pałacu. Ich spojrzenia spotkały się na kilka mgnień. Jego oczy widziały wiele trudu i cierpienia, była w nich samotność, cierpliwość i oczekiwanie. Spędził na morzu tyle dni i nocy, że niemal był jego częścią. Bardziej niż inni mężczyźni czuł sól w swoim pocie oraz przyływy i odpływy w nadgarstkach. Znał sekrety. W jego niezgłębionych oczach kryła się świadomość, że żyje, ponieważ morze mu sprzyjało, lecz nadejdzie dzień, w którym się o niego upomni. Wówczas żona

i dzieci będą stały godzinami na piasku, uporczywie i na próżno wpatrując się w horyzont.

Wyobraził sobie, że ta młoda kobieta ma dostęp do olbrzymich stosów pieniędzy. To jednak działało wyłącznie na jego niekorzyść. Był ubogi, a biedacy zawsze muszą ustępować bogatym. Możliwość sprzedawania bogaczom, zaliczania ich do swoich klientów stanowiła przywilej, nawet jeśli zdzierali ze sprzedawcy. On jednak nie był ani trochę handlarzem. Wierzył w *rezeki*, w wolę bożą. Ufał, że człowiek powinien ciężko pracować i być wdzięcznym Bogu za wszelkie łaski, małe i duże. Jeśli Bóg ma życzenie zapłacić tylko dwa i pół centa, to niech tak będzie. Rybak westchnął, czując się pokonany.

— A więc dobrze. Dwa i pół centa.

Parwati spojrzała na opalone palce stóp, do połowy zanurzone w piasku, na rozdarte długie rękawy koszuli i na płachtę zawiązaną na szyi, mającą chronić jego ramiona i kark od palących promieni południowego słońca i od chłodu nocnego powietrza. Popatrzyła na trójkątny kapelusz, który nie zapobiegł temu, by twarz opaliła się na głęboki brąz, i na straszliwą biedę, którą rozpoznała w jego otwartej dłoni. Bez zastanowienia podeszła i położyła na niej pięciodolarowy banknot. Rybak pokręcił głową, gdyż nie miał przy sobie pieniędzy, by wydać z pięciu dolarów. Jednak Parwati również pokręciła głową i wtedy rybak nagle zrozumiał, że dostał te pieniądze.

Prosty człowiek otworzył usta, by zaprotestować. Nie mógł przyjąć tak wielkiej sumy. Wyciągnął dłoń, lecz Parwati uśmiechnęła się, po czym skinęła na Amina i zaczęła od

chodzić. Amin mówił coś zawodzącym głosem, ale go nie słuchała. Jej serce przepęłniała radość. Opierając się plecami o ścianę domu, spełniła dobry uczynek.

Gdy tylko przekroczyli bramę, Amin pospieszył do Mai i oznajmił jej, że pani nie powinna więcej chodzić na zakupy, gdyż nie poznała jeszcze wartości miejscowej waluty. Maja odpowiedziała mu, że nie jest władna, by zabraniać nowej pani Adari robienia czegokolwiek, na co ta ma ochotę. Wnet jednak dodała, że jeśli on ma taką władzę, to bezwzględnie powinien panią ograniczyć. Amin wzruszył obojętnie ramionami i wymknął się przez tylne drzwi.

## Nowa pani Adari

Dwa dni później mężczyźni pracujący przy starożytnej świątyni wpadli do domu z wieścią, że przy schodach prowadzących na wieżę znaleźli skórę dużego węża; pomyśleli, że może to być kobra królewska. Radzili Parwati, żeby nie chodziła na miejsce wykopalisk, dopóki jej nie osaczą i nie zabiją. Najbardziej władczym głosem, na jaki potrafiła się zdobyć, Parwati zakazała im zabijania jakichkolwiek węży na ziemi jej męża. Oznajmiła, że mają zostawić wężowi jajka i miskę mleka.

— On może nas ukąsić! — zawołali jednym głosem. Parwati odparła, że sama będzie karmiła kobrę. Codziennie, bez względu na pogodę.

— A jeśli przyjdzie jeść, kiedy tam będziesz, pani? Wpadniesz w pułapkę bez wyjścia.

— Węże nie cierpią schodów — odparła z uśmiechem Maja.

Ogłoszono, że kobiety mogą bezpiecznie wchodzić do wieży. Jednakże schody nie miały poręczy i były tak strome, że od patrzenia w dół kręciło się w głowie. Na jednej trzeciej ich wysokości Parwati opadła na czworaki i powoli się wspinała. W wejściu trzeba było się schylić. Oliwna lampka rzucała mdłe światło na małą komorę, w której nie znajdowało się nic prócz granitowej skrzyni w kształcie trumny. Nie miała wieka, a w jej wnętrzu widać było ślady białego ziarna.

W powietrzu wisiała pełna napięcia cisza. Parwati podrapała się po ramionach, by pozbyć się dziwnego wrażenia, że jest obserwowana. Jeśli mieszkał tu kiedyś jakiś bóg, to nie był on przyjaznym bogiem.

— Gdzie są bogowie? — wyszeptała.

— To nie jest świątynia — odparła Maja. Wdrapały się schodami na szczyt, gdzie znajdowała się platforma. — Ona jest tutaj.

— Jak to tutaj? Maja skinęła głową.

— Co ludzie tu robili?

— Spotykali się z bogami wędrującymi w wichrach.

— Do czego zatem służyła ta komora w środku?

— Tam przygotowywano się na spotkanie z bogami. Ludzie odprawiali tajemne obrzędy, pościli tygodniami, a czasem nawet udęczeni swoje ciała w nadziei, że ich *ego* osłabnie i pęknie, a wtedy dusza rozbłyśnie pełnym blaskiem i uchwyci wszelkie energie i wibracje płynące z niebios.

Wieczorem przy kolacji Kasu Marimuthu rzekł:

— Byłaś dzisiaj na stanowisku wykopaliskowym, prawda? I co sądzisz?

— Dlaczego mówisz o stanowisku wykopaliskowym? To jest kompleks świątyni.

— Nie ma tam nic, co mogłoby na to wskazywać. Budowla znajduje się blisko morza, mogła zatem służyć jako wieża obserwacyjna, coś w rodzaju systemu wczesnego ostrzegania przed atakiem z morza.

— Wieża obserwacyjna? Czym zatem była wewnętrzna komora?

— Przypuszczalnie coś w niej składowano. Może nawet służyła jako kwatera dla nieszczęśnika, który obsługiwał wieżę.

— Mówisz dziwne rzeczy. Na samą myśl o tym pomieszczeniu dostaję dreszczy.

— Dlaczego? Przecież ono jest puste.

— Nie zawsze takie było. Maja powiada, że nic nie ulega zatracie, nawet ściany zachowują każdą myśl i uczynek, który zdarza się w ich obrębie. Wszystko zostaje zapisane, warstwa po warstwie. A ściany tej komory noszą ślady bólu.

Kasu Marimuthu ze zdumieniem patrzył na żonę.

— Co się twoim zdaniem tam działo?

— Nie wiem. Maja mówi, że dręczono tam ludzi. — Parwati na chwilę zawiesiła głos. — Po wielokroć.

Kasu Marimuthu zmierzył ją dziwnym spojrzeniem.

— Mam nadzieję, że nie będziesz tego rozpowiadać, bo ludzie pomyślą, że wziąłem sobie za żonę pomyłoną.

Parwati pokręciła głową, a on zmienił temat rozmowy.

— Ci, którzy zbudowali wieżę, mieli nadzwyczajną wprawę w cięciu kamieni. Niezwykła precyzja, nigdy czegoś podobnego nie widziałem.

— Maja uważa, że to nie są kamienie. Zostały ukształtowane po wylaniu.

— Czasem nie mogę ci się nadziwić — westchnął Kasu Marimuthu. — Każde słowo tej analfabetki traktujesz jak biblijną prawdę. Beton, moja droga małżonko, wynaleziono dopiero niedawno. Kamienie nie zostały więc „wylane”, ale pocięte przez niezwykle wprawnych kamieniarzy. Poza tym beton nie wytrzymuje setek lat, a co dopiero mówić o tysiącach.

Parwati milczała, lecz przypomniła sobie słowa Ponambalama *mami*: „Statki powietrzne istniały przed tysiącami lat, co może oznaczać tylko jedno: człowiek zapomniał, że kiedyś umiał latać”. Człowiek musiał także zapomnieć, że umiał kiedyś wytwarzać kamień, który może przetrwać bardzo długo.

Parwati i jej mąż w milczeniu dokończyli posiłek.

Kiedy nazajutrz poszła do świątyni, miska była pusta, a jajko w całości zjedzone; nie została ani jedna skorupka. Na platformie było chłodno i przyjemnie. Widziała wierzchołki wielu drzew i właśnie wtedy dostrzegła rodzinę siamangów. Składała się z rodziców, wyrostka oraz niemowlęcia wczepionego w matkę. Zwierzęta przerwały swoje normalne zajęcia i leżały na konarach na plecach lub brzuchach, obserwując Parwati.

Nawet maluch oderwał od futra matki swoją puszystą buzię z wielkimi błyszczącymi oczami, by zerknąć na człowieka, a potem znów ją tam schował. Zamachała do nich ręką, lecz zwierzęta nie zareagowały. Nagle samiec nadał gardło tak, że prawie dorównało rozmiarami głowie, i wydał wysoki wrzask. Dał popis potęgi swoich strun głosowych, po czym małpy rozpoczęły melodyjny duet. Czasem młodzik — który nie mógł usiedzieć na miejscu, tylko przeskakiwał niczym cyrkowiec z gałęzi na gałąź, wykorzystując długie giętkie ramiona — przyłączał się do chóru. Parwati pomyślała z zadowoleniem, że małpy dały przedstawienie na jej cześć.

Nazajutrz, zaraz po odejściu nauczyciela angielskiego, wyruszyła do dżungli z nareczem dojrzałych bananów. Zatrzymała się, by popatrzeć na lemura, który z wdziękiem frunął z konara na konar. Nagle kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Odwróciwszy szybko głowę, zobaczyła ogromnego samca małpy, który zbliżał się do niej skokami. Banany. Powinna rzucić je na ziemię i uciec, lecz przeraził ją widok otwartego pyska z długimi kłami podobnymi do kłów psa. Miały około siedmiu centymetrów długości. Małpa znajdowała się już bardzo blisko. Trudno w to było uwierzyć. Niebezpieczeństwo mknęło do niej chyżo niczym wiatr, a ona zachowywała się jak widz w ciemnym kinie. Wszystko działo się niesamowicie szybko, lecz jej wydawało się, że stare rolki mogą się obracać jedynie w zwolnionym tempie. Za sprawą tej powolności widziała i słyszała wszystko z najdrobniejszymi szczegółami: futro zwierzęcia unosiło się, gdy jego nogi odbijały się od ziemi, i opadało, gdy zawisał w powietrzu,



a potem znów się podnosiło przy następnym susie. Samiec zbliżał się, dudniąc o ziemię, a jego wściekły, napastliwy wrzask mówił: „Odejdź. Zostaw. Daj”.

Raptem stało się coś nieoczekiwanego. W stronę małpy pofrunęła kula z liści guawy, siedlisko mrówek, i trafiła ją prosto w pysk. Mrówki momentalnie dały wyraz swej wściekłości z powodu zniszczenia domostwa. Zajadły samiec zawył z bólu i, rycząc, popędził w kierunku, z którego przybył. Parwati odwróciła struchlałą twarz w stronę guawy. Kupu uklonił się jej z szacunkiem.

— *Arna*, to niebezpieczne chodzić z pożywieniem w rękach — rzekł, stając przed nią.

Parwati skinęła głową, a potem kolana ugięły się pod nią i usiadła. Kupu przykucnął obok. Spojrzała na jego ociekające wodą ubranie, a następnie na twarz.

— Jesteś mokry — powiedziała łamiącym się głosem. Kupu skinął głową w stronę drzewa, pod które rzucił worek.

— Zbierałem na wyspie morskie glony dla Mai.

— Ach, tak.

Parwati odtworzyła w myślach przebieg wypadków. Kupu wyszedł z wody, a potem szybko jak błyskawica zerwał z drzewa gniazdo mrówek i cisnął nim w szarżującą bestię. Nie zdziwiła się; widziała przecież, jak chwyta jaszczurkę w locie. Spojrzała na swoje ręce, zaciśnięte na bananach. Gdyby małpa jej dopadła... Rozwarła palce i owoce spadły na jej kolana.

— Dokąd szłaś z tymi bananami?

— Chciałam nakarmić siamangi.

— One nie głodują — odparł powoli Kupu. — W dżungli jest wystarczająco dużo pożywienia.

— Myślałam, że się z nimi zaprzyjaźnię.

W oczach Kupu błysnęła iskra inteligencji. Nie był zwyczajnym sługą. Tylko udawał prostaka, to była jego maska.

— Jest na to lepszy sposób. — Mężczyzna zacisnął zęby, przesunął język do ściany policzka i wydał dudniący odgłos zakończony skowytym. — Spróbuj.

Parwati poszła za jego radą.

— Niższy dźwięk — podpowiedział Kupu. Spróbowała powtórnie.

— Teraz lepiej, ale postaraj się go przedłużyć. Parwati postarała się najlepiej, jak mogła.

— Doskonale.

— Inne zwierzęta też na to zareagują?

Cień uśmiechu pojawił się na ustach Kupu, nadając mu dziecięcy wygląd.

— Nie wszystkie, ale siamangi owszem.

— Gdzie gniazdują siamangi?

— One nie budują gniazd. Za dnia wędrują po swoim terytorium, szukając pożywienia, a nocą zasypiają w rozwidleniach konarów. Śpią na siedząco, trzymając głowy między kolanami.

— Dziękuję za ratunek — powiedziała Parwati.

— Odprowadzić cię do domu?

— Nie, idę do lasu.

— Pójść z tobą?

— Nie. — Maja powiedziała, że wycieczka do dżungli nie

jest groźniejsza niż przejście przez drogę. Jeśli ją polubi, jeśli stanie się jej częścią, dżungla ją przygarnie i otoczy opieką, tak jak opiekuje się wszystkimi zwierzętami, które w niej żyją. — Nic mi nie jest. Rób dalej swoje.

Kupu pozbierał morskie glony rozsypane na ziemi. Wciąż ociekając morską wodą, niczym wodno-ziemny stwór, za którego wzięła go Parwati, ruszył w stronę generatora.

Ona zaś przez jakiś czas nie ruszyła się z miejsca. Potem wzięła głęboki oddech, podparła się rękami i skierowała ku dżungli. Przed ścianą lasu odwróciła się, by spojrzeć w stronę budynku generatora. Kupu, już przebrany w suche rzeczy, stał oparty o mur i obserwował ją. Pomachała mu, a on odpowiedział tym samym gestem. Modląc się po cichu, weszła w las. Nie widziała, że za nią podążył, i nie była świadoma, że ani na chwilę nie znikła mu z oczu.

Z wierzchołka wieży wypatrzyła rodzinę siamangów, wylegającą się leniwie wśród cienistych gałęzi. Nadała im imiona: ojciec został nazwany Humpty, matka — Mary, zuchwały młodzik — Jack, a maleństwo — Jill. Tego dnia po raz pierwszy spotkała się z Jackiem. Parwati wydała odgłos, którego nauczył ją Kupu, i po kilku minutach młody zwierzak zsunął się z gałęzi i wylądował na platformie wieży. Stanąwszy na dwóch nogach, ostrożnie zlustrował Parwati. Oboje rodzice przerwali drzemkę i skierowali uwagę na to, co dzieje się między ich latoroślą a ludzką istotą. Parwati trwała nieruchomo, a małpi wyrostek ruszył w jej stronę, dla równowagi trzymając długie ręce wysoko nad głową. W odległości niecałego metra od niej zatrzymał się

i przycupnął. Ojciec żuł z namysłem długi liść, lecz matka wydała krótkie, ostrzegawcze szczeknięcie. Rezolutny młodzik wydał usta i usiadł, kierując spojrzenie czerwonobrazowych oczu na niewinną i słabą przedstawicielkę inteligentnego gatunku. Wtem jednak przerwał kontakt wzrokowy, spojrzał w górę, złapał jakiegoś owada i zjadł go.

Pragnąc ponownie zwrócić na siebie jego uwagę, Parwati znów wydała charakterystyczny odgłos i znieruchomiła. Osiągnęła swój cel, lecz coś innego przykuło jej uwagę. Wstała i podeszła do krawędzi platformy. Zwisające z pnia drzewa pnącza wyglądały jak gruba ściana. Rozsunęła nerwowym ruchem zieloną kotarę i zobaczyła Kupu. Jego ubrudzone brązowe włosy były prawie niewidoczne na tle kory i liści.

— Co ty tu robisz? — zapytała.

— Chciałem ci zwrócić uwagę, że niedokładnie naśladujesz odgłos małp — odparł speszony Kupu.

— Przyszedłeś za mną?

— Tak.

— Ale przecież sam powiedziałaś, że w dżungli mogę się czuć bezpieczna.

Kupu uśmiechnął się krzywo.

— Nie jestem pewien, czy dżungla może się czuć bezpieczna z tobą.

Parwati musiała zagryźć wargi, żeby nie parsknąć śmiechem, lecz w gruncie rzeczy nie spodobało jej się, że jest śledzona.

— Wcale nie chcę, żeby pilnowano mnie jak dziecko —

rzekła poważnie. — Ale skoro już tu jesteś, zejź z drzewa i usiądź koło mnie.

Kupu skoczył i wylądował na platformie. Jego skóra pachniała morzem. Parwati spojrzała w bok.

— Opowiedz mi o walce z tygrysem. Ręka Kupu powędrowała do blizny.

— Trudno mówić o walce. Pracowałem w cyrku jako chłopiec na posyłki. Karmienie zwierząt było jednym z moich obowiązków. Pewnego dnia w porze karmienia, kiedy tygrysy są najbardziej nieprzewidywalne, niedomknięta klatka nagle się otworzyła. Stałem z wiaderkiem pełnym surowego mięsa i nagle poczułem na policzku pazury tygrysa i jego szczęki zaciśnięte na moim karku. Ale nie było bólu. Przez kilka sekund nie istniało nic oprócz jego świecących żółtych oczu, ognistego oddechu i niskiego pomruku, który, jak mi się zdawało, dochodził z samej głębi jego ciała. Nie mogłem się poruszyć, zupełnie jakby tygrys rzucił na mnie czar. Nagle pojawił się jego treser, strzelił z bata i zwierz odskoczył.

— Zabito tego tygrysa?

Kupu spojrzał z ukosa na Parwati.

— W Indiach nawet małe zwierzę jest cenniejsze od robotnika. Kazali mi odejść, bo byłem zbyt nieostrożny.

— Bardzo ucierpiałeś?

— Pojawił się palący ból, przez wiele dni leżałem w gorączce. Raz po raz śnił mi się tygrys. Majaczyłem, że dusi mnie na śmierć, ale się nie bałem. Czasem do niego przemawiałem. Mówiłem: „Pospiesz się, Akbar, ten ból jest nie do wytrzymania”.

Z dołu dobiegły głosy nadchodzących mężczyzn. Kupu zerwał się, jak gdyby został wyrwany ze snu, i skrył się za kurtyną zieleni. Nagły ruch wystraszył Jacka, który odwrócił się, wystrzelił w górę i chwycił się ręką gałęzi znajdującej się ponad sześć metrów dalej. Potem zaczął śmigać wśród gałęzi niczym klaun akrobata. Parwati usłyszała ruch w listowiu i wiedziała, że Kupu odszedł. Zbliżyła się do krawędzi platformy i spojrzała w dół. Mężczyźni przynieśli wysoką klatkę z okrągłym otworem w górnej części. Do umieszczonych w niej jaj mógł się dostać jedynie wąż.

Parwati znajdowała później w klatce girlandy kwiatów, kamforę i kadzidło. Nikt nigdy nie zobaczył wielkiego węża, ale może ktoś wypowiedział życzenie, które się spełniło, gdyż ludzie zaczęli mówić o drzewie spełniającym pragnienia. Gdy stwierdzili, że samo dokarmianie boga nie wystarcza, zbudowali mu kryjówkę. Była to prosta drewniana konstrukcja z betonowym fundamentem, bo prości ludzie nie znali niczego innego. Ich wiara wzruszyła Parwati, a zbudowana przez nich altana, wyglądająca w blasku słońca jak mozaika światła i cienia, zapewniała ciszę i spokój. Pomyślała, że w każdym ogrodzie powinno być takie sanktuarium, kojące miejsce kultu.

Jednak jej bogaty i wykształcony mąż pokręcił głową. Cóż on mógł wiedzieć o prawdziwej, bezgranicznej wierze? Nic.

Uważał, że dla każdego półgłówka powinno być oczywiste, iż siamangi umieją wykorzystać swoje długie ręce i częstować się jajkami. W przeciwnym razie powinny po nich pozostać chociaż pęknięte skorupki.

Miejscowe kobiety też nie imponowały mądrością. Szczęś-

liwe istoty. Przyszły umyć przybudówkę, podeksycytowane, niosąc z sobą dzwonki, ubrania, lampy naftowe, grzechotki oraz girlandy z liści mangowca. Tego dnia miejsce zamieniło się w świętą kaplicę. Przez całą dobę kobiety dolewały nafty do wiszącej lampy i wplatały w świątynię wązki swojego żywota. Proste wieśniaczki to niezwykle rodzaj ludzi. Ich opowieści nie są puste. Nie minęło wiele czasu, a ich gorące modlitwy zmieniły kaplicę w cel pielgrzymek. Gdyby Parwati była boginią, ona także zamieszkałaby w tej małej przystani wiary.

Właśnie tam spotkała ogrodnika i poprosiła go o małą działkę warzywną. Wyznaczył jej leżący odłogiem spłachetek ziemi w narożniku, a ona posadziła tam fasolę, ziemniaki i chili.

Spulchniając ziemię motyką, wyobrażała sobie, jak zbiera długą fasolę, gdy ta jest jeszcze miękka i niedojrzała. Bolał ją grzbiet, lecz o zachodzie słońca, kiedy mąż wracał do domu, ona wciąż pracowała. Wysiadał z samochodu i podchodził do niej. Parwati prostowała się i czekała na niego z ręką przyciśniętą do zagłębienia pleców.

— Chodź zobaczyć, ile sama zrobiłam! — wołała radośnie, gdy się zbliżył.

— Twoja skóra jeszcze bardziej pociemniała — zauważył posepnie Kasu Marimuthu.

Raptem Parwati uświadamiała sobie, że ma potargane włosy, że przepocone ubranie przywarło jej do pleców, a na jej twarzy zaschły plamy błota. Kasu Marimuthu unosił w nadgarstku jej bezwładną dłoń i spoglądał na poczerńnięte paznokcie i brązowe odciski.

— Jesteś panią Adari — mówił, patrząc jej w oczy. — Dlaczego chcesz wyglądać jak służąca?

Puszczając jej rękę, a ona drapała się nią w miejsce, gdzie ukąsił ją komar. Spoglądali na siebie w gęstniejącym mroku, obcy sobie. W pewnej odległości Kupu stał obok budynku generatora ze splecionymi nogami i obserwował ich. Parwati ze wstydem opuściła głowę. Nie będzie już uprawiać ziemi. Wiedziała, że Kasu Marimuthu czeka na jej słowa, lecz ona milczała. Gdybyż mogła powiedzieć, że nie zawsze chce być wyperfumowana, kolorowa i zdobna w twarde brylanty... Ale nie mogła. Musiała czekać. Ten, który się do niej zwracał, nadal był trzeźwym kapitalistą, a ona prawie nigdy nie wiedziała, jak trzeba się do niego odzywać.

Niebawem zapadnie zmrok i nieugięty biznesmen zniknie. Mocne drinki obudzą poetę, który pojedzie do miasta i przywiezie od handlarzy paczki z jedzeniem starannie dobranym tak, by nie zawierało mięsa. A potem będą siedzieli i słuchali przez radio koncertu.

W czasie pełni księżyca jadali w ogrodzie. Parwati starannie napełniała wodą piękną siedemnastowieczną wazę z dynastii Ming, a Kasu Marimuthu wkładał do niej garść orchidei, które wcześniej sam ściał. Nie układał ich, lecz łączył na chybił trafił wszystkie rodzaje i kolory. Po latach Parwati pamiętała orchidee w niebiesko-białej wazie, pyszniące się barwami w blasku księżyca, oraz niewyraźny głos Kasu Marimuthu, recytującego poezję. Były to wielkie poematy hinduskie, czasem wiersze Blake'a. Słowa płynęły z niego niczym z wielkiej głębi, która ją zaskakiwała. Jakie to dziwne,



że ten na wskroś praktyczny mężczyzna przeistaczał się nocą w zaprzysięgłego miłośnika piękna.

Nienadający się do picia koktajl — Parwati przekonała się o tym, spróbowałszy kiedyś whisky — musiał stanowić sekretną bramę do innego świata, nieskończenie piękniejszego niż ten, w którym Kasu Marimuthu żył za dnia. Otwierał ją co wieczór i wtedy wędrowali poprzez ciemność do skarbnicy wspaniałości.

Znalazłszy się tam, Kasu Marimuthu beztróska korzystał z darów, które odnalazł, a potem je wyrzucał. Ona zaś biegła za nim, zbierając bezcenne klejnoty. Dopiero gdy się zatrzymywali, zaczynał myśleć o niej życzliwie. Wiedziała, że z nastaniem brzasku cudowny świat rozplynie się w powietrzu. Znowu zaczynały się pretensje, chłodne oceny i rozmyślne negowanie jej istnienia.

Później szli do pogrążonej w półmroku biblioteki i tam, wśród niezliczonych ksiąg, Kasu Marimuthu próbował uczyć żonę poezji, sztuki, literatury i muzyki... Włączał gramofon.

— Oto Wagner — mówił, rozparty w fotelu ze szklanką trzymaną swobodnie między kolanami. Muzyka, bogata i pierwotna, wypełniała przestrzeń między nimi. — Słyszysz, jak kompozytor świadomie unika rozwiązania tych akordów?

Mimo że zamykała oczy i wsłuchiwała się bardzo uważnie, nigdy nie słyszała tego, co miała usłyszeć, a co dla niego było jasne jak słońce.

— Słyszysz to?

Parwati unosiła powieki i patrzyła w jego wyczekujące oczy. Naprawdę nie chciała go rozczarowywać, ale...

— Nie — przyznawała ze smutkiem. Była głucha na niuanse. Nie umiała nawet odróżnić fletu od skrzypiec.

Trzeba mu oddać to, że nie okazywał rozczarowania ani niezadowolenia. Kiwał głową i wstawał, by wybrać następną płytę.

— Verdi. Posłuchaj, jak zmienia barwę.

Zmienia barwę! Parwati siedziała otoczona feerią delikatnych, różnorodnych dźwięków.

— Teraz będzie słycać.

Parwati w skupieniu pochyliła głowę.

— O, to!

— Ale co?

— Ten niższy ton. Znow się pojawia.

— Gdzie?

— I jeszcze raz.

Jednak powoli, przy wtórze tykania wielkiego zegara w tle, Parwati usłyszała bogactwo dźwięków. Po Offenbachu przyszła kolej na Mozarta. Z gramofonu wzbily się czyste, pozbawione sentymentalizmu, wyczelowane nutki. Parwati spojrzala na meza.

— Słyszysz te bogate akordy?

Akordy? Tego wieczoru Parwati doszła do wniosku, że dłużej nie zniesie poniżenia.

— Tak — odparła.

Kasu Marimuthu zmierzył ją spojrzeniem. Na jego twarzy pojawił się zmęczony uśmiech.

— Nic takiego tam nie ma. Mozart był zbyt dobry, by uciekać się do tanich sztuczek. Dobranoc, Sito.

Wstał, ale nie po to, by włączyć następną płytę, lecz by wyjść. I nie wrócić. Niech żona zrozumie, że aż do tej chwili go nie rozczarowywała, że ujmowała go jej szczerłość. Bogowie i ludzie nie powinni się spotykać. Jedni i drudzy byliby tak samo zdruzgotani.

Jeśli ona nie wyczuwa subtelności, trudno; ukarze ją tym, co prozaiczne. Wykształci ją na gospodynię domu. Niech i tak będzie. Obawiała się przyjęć w ogrodzie i wspaniałych kolacji, w czasie których Kamala i inne dziewczęta podają na srebrnej zastawie potrawy wielkim tego świata.

Za nieprzyzwoicie wielką sumę pieniędzy Kasu Marimuthu zatrudnił *madame* Reginę, by nadała szlif jego żonie. Parwati czekała na nią w salonie muzycznym. *Madame* miała za sobą przeszłość, widać to było na pierwszy rzut oka. Kobieta w nieokreślonym wieku, ubrana w czerń, weszła do salonu i ze znudzeniem rozejrzała się po kosztownych sprzętach. Jednak kiedy jej wzrok padł na nerwowo wiercącą się dziewczynę, znieruchomiała na chwilę, przypatrując się jej beznamiętnie. Z błyskiem rozbawienia w oczach podeszła do Parwati i głębokim głosem palaczki zagaiła:

— Jestem zawsze mile zaskoczona, gdy mąż nie docenia wdzięków swojej żony, a nie odwrotnie. Dzięki temu moje życie jest o wiele łatwiejsze.

Po tych rzadko u niej spotykanych słowach aprobaty *madame* Reginę pokazała, że niełatwo jest ją zadowolić. Nie przypadło jej do gustu pikantne jedzenie i duszna pogoda, wydziwiała na zdemoralizowanych tubylców, którzy jej zdaniem bez przerwy się na nią gapili. Jednak z największą

lubością wybrzydzała na nieobytą służbę w Adari. Chcąc zaimponować wielkiej damie, Kasu Marimuthu otworzył przed kolacją butelkę Chateau Lafite Rothschild rocznik 1904. Wzniósł toast za jej pobyt na Malajach i wszyscy zamoczyli usta w najlepszym trunku z piwnicy Kasu Marimuthu.

— Mmm... — westchnął z rozkoszą Kasu Marimuthu.

— Ocet — mruknęła chrapliwie *madame* Reginę. — To chyba przez ten nieznośny upał. — Odwróciła się do służącego i bez śladu wyrafinowania i grzeczności rozkazała: — Nalej mi wody sodowej.

Jednakże w ciągu dnia wprowadzała Parwati w inny świat, świat doskonałego smaku. Świat ten był bez porównania niebezpieczniejszy niż dżungla, pełen min i pułapek czyhających na każdego, kto o nich nie wiedział, kto do tego świata nie należał. Socjeta była niezwykle ekskluzywna i obowiązywały w niej wysokie wymagania. Obok mis na zupę i miseczek do płukania palców, obok tysięcy skomplikowanych zasad użycia sztuców istniały także zasady mówiące o tym, że nie należy kroić chleba nożem, lecz odłamywać z niego maleńkie kawałeczki i wsuwać je palcami do ust. Spożywanie posiłku miało swoje surowe reguły: z innych kieliszków pije się czerwone wino, a z innych szampana; brandy pije się z dużej pękatej szklanki, a gin z tonikiem z wysokiej; niska prosta szklanka przeznaczona jest do whisky, a mała do sherry. Wytrawne sorbety podaje się między daniami, a słodkie później. Zasady określały sposób postępowania ze zwierzęcymi pupilami, mówiły, jak należy całować się w towarzystwie i jak używać chusteczek; żaden drobiazg nie wydawał się zbyt trywialny.

Zwilżając czoło gąbką nasączoną zmrożonym octem, *madame* Reginę zajęła się postawą ciała. Parwati dowiedziała się, że jeśli odrobinę zbliży łokcie do tułowia, jej sylwetka wiele zyska. Balansując książkami ułożonymi na głowie, Parwati uczyła się setek, jej zdaniem zbyt licznych, umiejętności dotyczących wyglądu i zachowania kobiety; drobne uchybienia w tym względzie miały ponoć kolosalne skutki. Okazało się, że wszystkie kobiety bez wyjątku winny dążyć do tego, by każde słowo, zachowanie i rzecz zmienić w ornament. Ogląda, której nauczała *madame* Reginę, była zblazowanym wyrafinowaniem minionej epoki.

Wszystko się zmieniło, gdy pewnego dnia, zerkając spod oka na uczennicę, powiedziała:

— Może powinnam nauczyć cię... jak by to rzec... flirtowania. Słowa te padły z ust kobiety, która nigdy nie posiedziała w słońcu wystarczająco długo, by dowiedzieć się, czym jest zmysłowość. Nie wiedziała, że zmysłowość przechodzi powoli z pokolenia na pokolenie żeńskiej strony rodu. Wsącza się w cynamonowe ciała kobiet dzięki dotykowi piasku na stopach, dudnieniu dalekich bębnow na wietrze, kryształkom soli we włosach i ciepłu morskiej wody na gołej skórze.

— Zmruż powoli oczy. Odsłoń nadgarstki — mówiła stara panna do dziewczyny z gorącej wyspy. — A kiedy znajdziesz się sam na sam z tym, którego uwielbiasz, musisz natychmiast zapomnieć o wszystkim, czego cię uczyłam. — Nagle okazało się, że jedzenie palcami nie jest już niehigieniczne ani wstrętne, lecz wręcz pożądane. — Podnieś kęs prosto do ust koniuszkami

palców i przytrzymaj, o tak. Odczekaj chwilę. Spójrz mu w oczy, podczas gdy twoje wargi muskają i kęs, i palce.

Parwati pomyślała, że lepiej nie informować *madame*, iż nie ma okazji zastosować tych rad, gdyż jej mąż rzadko na nią spogląda. Woli mówić do miejsca znajdującego się piętnaście centymetrów w lewo od jej twarzy.

Jednak *madame* miała dla niej niespodziankę. Puszczając do niej oko, rzekła:

— Wykorzystaj te sztuczki, kiedy postanowisz wziąć sobie kochanka.

## Czerwony lotos

Parwati przypomniała sobie, że pewnego dnia po południu, gdy klubowiczki podziwiałały wyszywane poszewki na poduszki, Padi *mami* wspomniała o indyjskiej tancerce niedawno przybyłej ze świątyni Pandharpur w stanie Maharasztra. Była Cyganką, i to tak piękną, że podobno nawet gdy wybrała się do studni, zakochał się w niej jakiś młodzieniec. Ona jednak odrzucała wszystkich, gdyż poświęciła życie, by tańczyć dla Kriszny.

— Tancerki ze świątyni to czerwone lotosy — oznajmiła kategorycznie Kundi *mami*, jakby miało to być ostatnie słowo w tej kwestii.

Jednak w drodze do domu Parwati pomyślała, że chce zobaczyć występ tancerki. To mogła być jedyna okazja, by ujrzeć naprawdę piękną kobietę.

— Maju, co to znaczy, jeśli kobietę nazywa się czerwonym lotosem? — spytała, gdy siedziały, splatając girlandy z róż.

Maja odpowiedziała krótko, nie unosząc głowy:

— Że jest latawicą.

— Och! — zawołała Parwati.

— Jak sobie radzi rodzina siamangów? — zapytała Maja, która nie przepadała za plotkami.

— Z prawą nogą Jill dzieje się coś złego. Wydaje mi się, że dostała infekcji z powodu skaleczenia. Małpka jest tak słaba, że ledwo utrzymuje się futra matki. Samica często spogląda na ranę i stara się jej nie dotykać. Stan małej chyba się pogarsza, bo wczoraj matka pośliniła ją i palcem wskazującym wtarła ślinę. Mam nadzieję, że Jill nie umrze. Tak bym chciała jej pomóc.

— Dam ci lekarstwo. Weź je i zawołaj matkę. Ale nawołuj łagodnie. Przyjdzie, jeśli jest naprawdę zdesperowana.

Przy kolacji Parwati powiedziała:

— Z Indii przybyła sławna cygańska tancerka. Padi *mami* i jej mąż widzieli przedstawienie, mówią, że było świetne. Pójdziemy zobaczyć?

— Czemuż by nie? — odparł mąż. — Dowiedz się, kiedy jest następne.

Specjalnie na tę okazję ścięto owocujące bananowce i przy-mocowano po obu stronach wejścia do świątyni. Przewodniczący rady świątyni wyszedł na ulicę, żeby powitać gości i włożyć wianki na ich skronie, kapłan zaś stał przy wejściu. Parwati pamiętała, że Melahae *mami* powiedziała kiedyś: „W dawnych dobrych czasach na Cejlonie kapłani podchodzili do zwykłych ludzi i mówili: «Wejdźcie, proszę. Siadajcie i jedzcie». Teraz dbają tylko o tych, którzy mają pieniądze. Tylko im okazują serdeczność”.



W świątyni zapalono specjalne lampy. Pod ścianą postawiono i bogato udekorowano błękitny posąg Pana Kriszny z fletem przy ustach. Na podłodze siedziała już liczna grupa publiczności, podzielona według płci. Dla Parwati zarezerwowano miejsce w pierwszym rzędzie części kobiecej. Rozejrzawszy się, stwierdziła, że nie ma ani jednej koleżanki z Klubu Czarnej Parasolki.

Wtedy pojawiła się ona, kusicielka z umalowanymi oczami i czerwonymi od szminki ustami. Na widowni zapanowała cisza. Nie zwracając najmniejszej uwagi na widzów, tancerka podeszła prosto do posągu i rzuciła się do jego stóp. Po chwili oparła się na rękach, dramatycznie wyginając plecy, a potem wstała płynnym, falującym ruchem. Uderzając stopami o posadzkę, zaczęła tańczyć. Strzelała wzrokiem to w jedną, to w drugą stronę, uśmiechając się i powtarzając bezustannie imię Pana, jak gdyby wpadła w religijny trans.

Czerwony lotos! Trudno było sobie wyobrazić coś bardziej bogobojnego niż taniec tej kobiety. Bransolety na jej kostkach nie brzęczały; one śmiały się, płakały, przemawiały. Gestem dłoni nakreśliła kształt wielkich stóp Kriszny. Była Rathą, niecierpliwie oczekującą przybycia ukochanego. Jej strój szeleścił i szeptał. Jakkolwiek nie mogła być pewna, czy bóg przyjdzie, upiększyła oczy za pomocą *kajał*, potarła piersi kremem z drzewa sandałowego i wplotła kwiaty we włosy. Raptem przerwała te czynności, a jej uczernione henną stopy jęły krążyć w kółko. Niepokój, obawa, że coś zatrzymuje ukochanego. Mimo że świątynia była rześście oświetlona, Parwati uwierzyła w jej lęk. A gdy tancerka zwróciła twarz

w stronę oddechu rzeki Jamuny i zaczęła naśladować srebrzystą wędrówkę łez, do oczu Parwati także napływały łzy.

Oczy tancerki powiększyły się, rozległ się dźwięk cymbałów, a brwi w zdumieniu powędrowały w górę. Oddanie zostało nagrodzone: padło zakłęcie i teraz widziała ukochanego wszędzie: na ścianach, w płomieniu lampy, na niebie, w koronach drzew, na krześle, w łożu. Spadał na nią niczym deszcz. Uniosła rękę, by go pochwycić, przez jej twarz przemknęła czysta radość. Tańczyła, wykonując gwałtowne ruchy. Taniec doprowadzał ją do obłędu, poznała dotyk boga. Światło, łaska i błogostan pojawiły się w tej samej chwili. Wreszcie zastygła w bezruchu przed posągiem, dysząc ze skrajnego wycieńczenia. Nie spojrzała na widownię, by napawać się jej podziwem, tylko wybiegła za ścianę i znikła.

— Jedyne Cyganka potrafi tak zatańczyć — powiedziała kobieta siedząca za Parwati.

— Jedyne Cyganka może chcieć tak tańczyć — parsknął jej towarzysz. — Nie powinno się na coś takiego pozwalać w świątyni. To dom boży.

Tymczasem Parwati siedziała bez ruchu, nie mogąc wyjść z podziwu. Nigdy nie widziała, by ktoś tańczył tak pięknie i porywająco. Ta kobieta naprawdę kochała, na nic nie bacząc. O takiej miłości Parwati marzyła przez całe życie. Gdyby tylko umiała tak pokochać. Ludzie wiercili się i szykowali do wyjścia, lecz ona, przepelniona nieziszczonymi snami, siedziała dalej.

Zjawił się jej mąż.

— Idziemy?

Parwati wstała i poszła za nim. W samochodzie nie rozmawiali, a po przybyciu do domu, gdy stanęli na ganku, powiedziała: — Idź, ja jeszcze zostanę. Niedługo przyjdę. Zapewne spojrzął na nią z zaciekawieniem, lecz ona już

otworzyła drzwi i otoczyło ją chłodne nocne powietrze. Sznurki huśtawki gniotły jej sari. Odepchnęła się od ziemi i prostując nogi, zwiesiła głowę do tyłu. Księżyc i gwiazdy lśniły jasno w szczelinach między liśćmi.

Rankiem tego dnia Mary skoczyła i wylądowała na płaskim dachu wieży. Początkowo stała, przyglądając się uważnie Parwati. Ta jednak przemówiła do niej łagodnie i samica się zbliżyła. Usiadła, zdjęła dziecko ze swojego kudłatego tułowia i podała Parwati ciemną futrzaną kulkę. Małpiątko ważyło nie więcej niż ziemniak. Ostrożnie, pod czujnym okiem matki, Parwati polała ranę płynną miksturą otrzymaną od Mai. Małpka pisnęła, a potem leżała spokojnie. Maleństwo było tak słabe, że ledwo żyło. Parwati zabandażowała je i oddała matce. Mary delikatnie przyłożyła czarną kulkę do ciała i zeskoczyła z dachu. Gwiazdy i wiatr śmigwały wokół Parwati. Jeśli zdoła wystarczająco długo opierać się o ścianę domu, znajdzie wieczność w chwili. Zakrzywiona kopuła nocnego nieba stała się całym jej światem. Straciła rachubę czasu i przestraszyła się, słysząc jakiś szelest. Odwróciła głowę. Bolała ją szyja. Nie zdawała sobie sprawy, jak zeszywniał jej kark.

— Chodź do domu. Późno już — rzekł mąż. Parwati opuściła nogi na ziemię i zaszurała nimi.

— Maja gotuje ci na jutro kraby — odparła.  
— Cieszę się. Huśtawka znieruchomiała.  
— Znasz imię tej tancerki?  
— Nie znam, ale mogę zapytać księdza, jeśli chcesz —  
zapropozował grzecznie, jak gdyby zrobiło mu się żal Parwati.  
— Nieważne. Tak mi tylko przyszło na myśl.  
— Do zobaczenia na górze — powiedział i się odwrócił. Siedząc  
w łóżku, Parwati otworzyła swoją ulubioną książkę,  
*Piękna i Bestia*. Piękna poświęciła się dla ojca, podobnie jak ona.  
Ilustracja przedstawiała dziewczynę z twarzą w kształcie  
serca, bardzo podobną do twarzy Parwati; bohaterka miała jednak  
brązowe włosy i ogromne szmaragdowe oczy. Bestię obdarzono  
dłoniąmi podobnymi do kocich łap i twarzą przypominającą pysk  
lwa, ale nie odrażająco brzydką. W książce nie pokazano  
wspaniałego pałacu, w którym Bestia mieszkała, lecz Parwati  
wyobrażała sobie, że wyglądał jak Adari. W myślach słyszała, jak  
mówi: „Czekałem na ciebie przez całe życie. Ten pałac z  
drogocennych kamieni zbudowałem dla ciebie. Pragnę tylko  
sprawiać ci radość”. Zamknąwszy oczy, słyszała, jak korytarze  
szepczą to, czego on nie umie powiedzieć: „Bądź moja. Uwolnij  
mnie”. A ona odpowiadała: „Kocham cię. Jestem twoja”.

•••

*Madame* Reginę zbierała się do odejścia. Zachowywała się  
wspaniale, lecz nie umiała ukryć, ile dyskomfortu kosztowały ją  
upał, nieokrzesana służba i brak kulturalnej konwersacji.

Parwati wciąż nie mogła zapamiętać, czy przy zupie, rybie i przystawkach należy rozmawiać z sąsiadem z prawej strony, a z siedzącym po lewej stronie przy pieczeni i deserach, czy też odwrotnie. Mimo to *madame* poinformowała Kasu Marimuthu, że jego żona jest gotowa oczarowywać najbardziej wyrafinowane towarzystwa i być przez nie oczarowywana. On zaś oznajmił jej, że zamierza wydać przyjęcie ogrodowe w bardzo angielskim stylu.

Wieczorem Parwati siedziała sama w łóżku i znalazła nowe słówko do opanowania: *anglophile*. Był to rzeczownik i przymiotnik osobowy odnoszący się do kogoś dobrze usposobionego do Anglii oraz do wszystkiego, co ma z nią związek.

## Anglofil

Parwati nerwowo oczekiwała pierwszego przyjęcia; uważała, że jest nieprzygotowana. W istocie była pewna, że przez niedostatek oglądy popełni jakieś *faux pas*. Obmyśliła taktykę postępowania: nie będzie jeść, pić ani podejmować żadnych działań, dopóki nie zobaczy, jak robi to ktoś inny. Wtedy po prostu uczyni dokładnie to samo.

Jej plan napotkał pierwszą przeszkodę, gdy Kasu Marimuthu zatrzymał się raptownie przed drzwiami jej pokoju i warknął:

— W tym zamierzasz wystąpić?

Parwati nie miała w szafie olśniewających strojów.

— Pokaż mi wszystkie swoje rzeczy — rozkazał mąż, wkraczając energicznie do pokoju.

Otworzyła szafę i stanęła z boku, a Kasu Marimuthu zlustrował wzrokiem tanie sari, które ojciec kupił dla niej jako wiano. Kasu Marimuthu odwrócił się i spojrzał na kobietę, którą poślubił.

— To wszystko? Parwati skinęła głową.

— Zabawne z siebie stworzenie — mruknął, spoglądając

ponownie na brązowe, butelkowe, szare i brudnożółte sari składające się na zawartość szafy. Zdumiała go myśl, że tak dalece nie zwracał uwagi na małżonkę, iż nie zauważył jej taniego brzydkiego przyodziewku. — No cóż, teraz już za późno, żeby coś z tym zrobić — zaczął. — A może nie.

Chwycił bluzkę od ślubnego sari i skinął na Parwati, żeby za nim podążyła. Szedł tak szybko, że musiała biec, by za nim nadążyć. Minęli dziedziniec oraz gabinet Kasu Marimuthu i zbliżyli się do pokoju, w którym jeszcze nie była. Był zamknięty, gdy pierwszy raz obchodziła dom, a później pochłonęły ją wydarzenia w dżungli. Kasu Marimuthu stanął przed drzwiami i niecierpliwym gestem wskazał pęk kluczy wiszący u paska Parwati. Pospiesznie wcisnęła mu go do ręki, a on otworzył drzwi sypialni pierwszej żony.

Parwati się rozejrzała. Na szmaragdowozielonym dywanie stała leżanka, a nad nią wisiał wysmakowany obraz białego kolibra wzbijającego się do lotu z drzewa pomarańczowego. O dziwo, ta kobieta słynąca z wyrafinowania i robiąca zakupy na Bond Street miała kolekcję lalek zajmującą całą ścianę pokoju! Parwati pomyślała, że nigdy by nie zasnęła, gdyby patrzyły na nią szklane oczy setek wiktoriańskich lał w ozdobnych sukniach. Niektóre były całkiem spore, wszystkie zaś siedziały szeregami na półkach. Na drugiej ścianie znalazła swoje miejsce charakterystyczna maska gospodyni, satynowy wilk. Kasu Marimuthu otworzył szeroko drzwi szafy z lustrami.

— Ona miała doskonałą figurę, więc jej bluzki nie będą na ciebie pasowały — oznajmił odruchowo lub nie bacząc

na to, że rani żonę. — Ale może znajdziemy sari pasujące do bluzki. — Zdjął z wieszaka zielone sari, misternie wyszywane i z pewnością bardzo drogie. — To — powiedział, podnosząc sari do podbródka żony.

— Ależ one do siebie nie pasują — odparła Parwati. Kasu Marimuthu uśmiechnął się sardonicznie.

— Żeby mieć styl, moja droga, trzeba znać zasady, a potem umieć je łamać.

Patrzył na jej skonsternowaną twarz. Chce, żeby łamała zasady? Jak to możliwe? Wychowano ją, by się podporządkowywała, słuchała i zawsze robiła to, co jej się każe. Jednego była pewna: mężowie *mami* z Klubu Czarnej Parasolki na pewno nie podpowiadają żonom, by łamały zasady.

Lecz Kasu Marimuthu jeszcze nie skończył. W bibliotece otworzył sejf ukryty w ścianie za obrazem i wsunął do niego rękę. — Aha — rzekł, wyłowivszy aksamitną szkatułkę. — Otwórz — rozkazał, podając pudełko Parwati. W środku spoczywał robiony na miarę rubinowy naszyjnik w komplecie z paskiem. Zapinając lśniący naszyjnik, kazał żonie poinstruować krawca, by przerobił dla niej wszystkie bluzki.

— Na co czekasz? — rzucił niecierpliwie, zacisnąwszy zameczek.

Parwati pomknęła do swojego pokoju, by złamać pierwszą zasadę. Ze zdziwieniem przejrzała się w lustrze. Jej mąż miał rację. Zieleń i pomarańcz najwyraźniej pasowały do siebie, gdy Kasu Marimuthu orzekł, że powinny. Pasowały tak dobrze, że pewna Angielka podeszła do Parwati i powiedziała:



— Nigdy bym nie przypuszczała, pani Marrymuthu — westchnęła. — Mięta i pomarańcza, jakież to urocze.

— Dziękuję — odparła Parwati, spoglądając na swoje sari. A więc to nie była zwykła stara zieleń, lecz zieleń miętowa.

Po pierwszym przyjęciu wszystkie inne zlewały się z sobą w jedno; goście gromadzili się wokół sceny, na której grała orkiestra, a łagodny wiatr roznosił woń dzika rumieniejącego na rożnie. Zwierzę zostało upolowane na plantacjach kauczuku przy użyciu włóczni, psów i dołów-pułapek. Dzik stanowił ulubioną potrawę chińskich biznesmenów.

Oni zaś stanowili zagadkę dla Parwati. Byli źle ubrani, na każde pytanie o interesy z ponurą, skrzywioną miną odpowiadali *bo ho*, co oznacza „do niczego”, a rozmawiając po angielsku, mówili, że ledwo wiążą koniec z końcem. Tymczasem mąż zdradził Parwati, że zaliczają się do najbogatszych i najbardziej wpływowych ludzi na Malajach. Potem dodał jeszcze, że w ich obecności nigdy nie należy poruszać tematu śmierci, gdyż samo słowo „śmierć” wywołuje u nich nerwowość.

— To cecha narodowa — wyjaśnił. — Każdy, kto urodził się Chińczykiem, nosi w sobie lęk przed śmiercią.

Nie chcieli mieć z nią nic wspólnego.

Parwati najbardziej zaintrygowały kobiety, które z sobą przyprowadzali. Zawsze była to trzecia lub czwarta żona, a czasami konkubina podająca się za piątą małżonkę. Miały wąskie płaskie sylwetki nastoletnich chłopców, a całą ich seksualność wyrażały twarze (nierzadko nadzwyczaj urodziwe), lśniące atramentowe włosy oraz gładkie zgrabne nogi.

Jednakże Parwati dostrzegała wokół nich niewidzialny, lecz nieprzenikniony mur.

Lubiła Malajczyków. Byli to uroczy ludzie, zawsze zjawiający się z drobnym podarunkiem, którego zwyczajową nazwę tłumaczono jako dar ręki. Mężczyźni byli niesłychanie grzeczni, a kobiety cechowały się wdziękiem i zmysłowością. Nie stawiali się licznie na przyjęciach Kasu Marimuthu, gdyż nie byli urodzonymi biznesmenami.

Przychodzili także biali — wysocy mężczyźni i kobiety, w większości Brytyjczycy; uśmiechali się grzecznie do Parwati, spoglądając z góry na drobną cudzoziemkę zmagającą się z ich językiem. Pierwszorzędną dla nich rzeczą było wypatrzenie w tłumie twarzy innego przedstawiciela imperialnego narodu.

Wtedy natychmiast zaczęli wspólnie żalić się na brak zapiekanego w cieście mięsa od znajomego rzeźnika, prawdziwej ryby z frytkami, niedzielnej pieczeni, swojej prasy i tak dalej. W przepięknym ogrodzie Kasu Marimuthu sycili się jego wystawną gością, napawając się jednocześnie wyższością kulturową.

Ponambalam *mama* zarzucił kiedyś Parwati, że nadała siamangom europejskie imiona dlatego, iż uważa białą rasę za lepszą od swojej.

— A czy tak nie jest? — odpowiedziała pytaniem.

— Nie dostrzegasz, iż oni są przekonani o swojej wyższości tylko dlatego, że ty tak uważasz? — zachnął się nauczyciel. — Czy wiesz, że po przybyciu do Indii biali zadawali się wyłącznie z rodami królewskimi? Przekonawszy się w ten sposób o ich wyższości, zaczęli przejmować miejscowe zwyczaje, naśladować język, a nawet żenić się z księż-

niczka. Widzisz zatem, że nasza wartość i bogactwo spoczywają w naszych własnych rękach. Parwati pokręciła głową. — Ale nie możesz zaprzeczyć, że w porównaniu z nimi jesteśmy żałośnie zacofani. Nie myślimy tak jak oni i nie wynajdujemy takich rzeczy. Wszystko, co znajduje się w tym domu, zostało przez nich zaprojektowane.

Ponambalam *mama* westchnął i napomknął coś o cyklach ewolucji rodzaju ludzkiego, a także o starożytnych Egipcjanach, których budowli nie potrafią skopiować nawet najwyższe rozwinięte narody białych.

Parwati nic na to nie odpowiedziała, lecz pozostała przy swoim zdaniu, że biali naprawdę są inni. Nawet ich dzieci nie były tak posłuszne jak azjatyckie. Śmiałe i ciekawskie, bez przerwy pytały: „Dlaczego?”.

Maja była coraz bardziej świadoma narastającego kompleksu Parwati. Kiedyś, gdy obserwowały kruka szukającego w ziemi robaków, powiedziała:

— Gdy w milczeniu przysłuchujesz się ich rozmowom, nie zapominaj, że w innych wcieleniach już byłaś biała. A wówczas ty także przemawiałaś, jak gdyby kolor skóry czynił cię lepszą od ludzi innych ras. Wiesz, że kruk widzi czarne jako białe, a białe jako czarne? W jego oczach oni są czarni, a ty biała. Twoja rzeczywistość jest iluzją percepcji.

Kruk zakrakał chrapliwie, a Maja dodała:

— W dniu, w którym uznasz ten odgłos za śpiew, odkryjesz, że twoja rzeczywistość nie jest jednolita jak skała. Zmieniając sposób postrzegania, odmienisz rzeczywistość.

Nieprzekonana Parwati nie podjęła próby zmiany swojej percepcji, lecz dalej sekretnie podsłuchiwała plotek białych kobiet. Prawie jej nie zauważały — po części dlatego, że siedziała spokojnie, a po części dlatego, że w swoim samozadowoleniu nie podejrzewały, iż w dziedzinie znajomości słownictwa już dawno zostawiła je w tyle. Usłyszała zatem, że Kasu Marimuthu jest nuworyszem, że Adari to spotkanie Wersalu z Hollywoodem, a ona jest marnym produktem zastępczym. Nie miała im tego za złe. Była nimi do cna zafascynowana.

Mogłaby słuchać godzinami, jak rozmawiają o dzieciach, o zakupach, o nieznośnym upale, o lepkich rękach służby, o braku porządnego szkolnictwa, o ich wiejskich domkach i ogrodach różanych wiosną. Oraz uroczych staroświeckich plotek o znajomych. Najbardziej uszczypliwe uwagi zarezerwowały dla Indii Jane Harrington, żony dyrektora szkoły. Często krytykowały ją za przynoszenie hańby rodakom. Kobiety nachylały się do siebie i kręciły głowami.

— Przez nią naprawdę można się wstydzić swojej rasy — oznajmiła pani Adams. — I z dnia na dzień jest coraz gorzej. Parwati zaczęła skrycie obserwować panią Harrington, która miała inny akcent: dłużej wymawiała głoskę „a”. Paliła jednego papierosa za drugim i piła bez umiaru, ale miała błyszczące zielone oczy, szkarłatne usta i ciało gibkie niczym pantera. Jednym słowem wyglądała jak olśniewająca gwiazda filmowa. Jej blasku nie zaciemniała nawet wiecznie nadąsana, niemila w obejściu córka Kakoo; Parwati usłyszała kiedyś, jak dziewczynka pyta matkę: „Czy to jest jego pupil?”

wskazując muchę latającą nad głową kelnera. „Czy zawsze musisz pleść takie głupstwa?” — odpowiedziała pytaniem matka, nie bez irytacji.

Wkrótce stało się jasne, że to nie krajanki gardzą jej towarzystwem, lecz odwrotnie: pani Harrington zachowywała w stosunku do nich chłodny dystans, preferując towarzystwo ich mężów. Jednak w jej postępowaniu nie było nic skandalicznego. To prawda, że tańczyła z wieloma mężczyznami, lecz one robiły to samo i tańczyły w taki sam sposób. Mężczyźni kładli ręce na jej plecach, ale nigdy nie dotykali odsłoniętej skóry. Czasem dłonie prawie sięgały krańca materiału, lecz nie wędrowały wyżej. Zasady przyzwoitości były nienagannie przestrzegane. Parwati stwierdziła, że inne kobiety są po prostu zazdrosne. Pewnego razu stała w salonie muzycznym przy oknie balkonowym, gdy nagle usłyszała w korytarzu głosy pani Harrington i majora Anthony'ego Fitzgeralda. W ułamku sekundy postanowiła wśliznąć się za zasłonę. Goście weszli w pośpiechu; major zamknął drzwi i odwrócił się do pani Harrington. Ich zachowanie przypominało taniec, w którym on prowadził; podbiegła do niego, a on przyciągnął ją do siebie; ich usta złączyły się w nagłych pocałunkach. Znaleźli się w narożniku pokoju. Jej szkarłatne paznokcie odcinały się od jego zaczerwienionej szyi. W jednej chwili szare spodnie majora opadły na kostki.

Parwati obserwowała ich manewry z takim samym zaciekawieniem, z jakim patrzyła na psy na ojcowskim podwórzu. Słyszała mokre klaśnięcia, stękanie i pomruki; liliowobiałe

pośladki majora Anthony'ego Fitzgeralda trzęsły się, jakby zrobiono je z budyniu kokosowego. Nie mogło być mowy o tym, że Parwati naruszyła prywatność tych ludzi, gdyż zachowywali się tak, jak zwierzęta w dżungli. Między nią a Kasu Marimuthu było zupełnie inaczej. Różnica nie polegała jedynie na świadomym przedłużaniu aktu, który mógł skończyć się tak prędko; oboje oddawali mu się bez reszty, a kobieta czerpała z tego radość, którą wyrażała za pomocą głosu.

Wtem India Jane Harrington zrobiła coś zaskakującego: napreżyła się, a jej twarz ściągnęła się, jednakże — ku zaskoczeniu Parwati — nie wyrażała bólu, ale przyjemność. Potem krzyknęła i jej ciało zwiotczało. To była rozkosz! Matka Parwati zawsze znosiła to w milczeniu, tak jak znosi się obowiązek.

Następnie India Jane odwróciła nieco głowę i wydyszała: „Pospiesz się, Anthony”. A on, jak gdyby oczekiwał takiego rozkazu, spojrział w drugą stronę i komicznym głosem wysapał: „Tak, masz rację”. Patrząc w bok, wykonał ostatnie potężne pchnięcie, tak jak często robiły to psy, które Parwati widywała na podwórku domu, a potem osunął się na nią. Trwali tak złączeni jeszcze przez kilka sekund, po czym major odsunął się od Indii Jane i odwróciwszy się nieco, zaczął doprowadzać ubranie do ładu.

Wyjął z kieszeni ogromną chusteczkę do nosa z niebieskim obramowaniem. Przyłożył ją do krocza, a następnie w mgnieniu oka podciągnął spodnie i był gotów do odejścia. Jednak zamiast wychodzić, poruszał chusteczką i rozglądał się obojętnie.

— Możesz już iść — powiedziała India Jane, wciąż opierając się o ścianę. Jej głos znów przybrał chłodny ton wyższości. Major odszedł pospiesznie, zerkając za siebie, jak gdyby uciekał z miejsca zbrodni. Psy zachowywały większą godność. Parwati została sama ze swoim łupem.

Kobieta rozsunęła szerzej kolana i płynnym ruchem przesunęła ręką z tyłu do przodu. Wyprostowała się, spokojnie podeszła do drogich zasłon i wytarła w nie dłonie. Po przeciwnej stronie pokoju znajdowało się lustro; zbliżyła się do niego i spojrzała na siebie beznamiętnie. A zatem jest piękna i znudzona. Nie zaspokoiłoby jej dziesięciu dobrze odżywionych majorów. Nigdy nie powinna była wychodzić za dyrektora szkoły. Była dla niego o wiele za dobra, za dobra dla świata, w którym się znalazła. Wyobrażała sobie coś innego, piękniejszego.

Zwilżywszy językiem palec, wygładziła kosmyk włosów zwisający obok policzka. Wyjęła z torebki papierosa, zapaliła go i zaciągnęła się powoli. Podeszła do barku i naląła sobie drinka. Orkiestra grała właśnie muzykę, która jak żadna inna skłaniała do flirtu: *rongeng*. Biali mężczyźni próbowali go tańczyć na trawie, lecz nie mieli poczucia rytmu i wrodzonego stylu zawodowych malajskich tancerzy.

India Jane podeszła do wysokich okien i stanęła niespełna o pół metra od Parwati. Patrzyła na tańczących. Jej odbicie w lustrze wyrażało przyganę. Odchodząc, zgasła papierosa na biurku i podniosła koronkową bieliznę. Nie włożyła jej, tylko schowała do torebki i wyszła.

Parwati opuściła swoją kryjówkę i podeszła do zasłony w miejscu, w którym pani Harrington otarła dłonie ze swoich

cielesnych soków. Woń fizycznego zbliżenia przyłgnęła do materiału, została przez niego wchłonięta. Cieniutka warstewka, wątle wspomnienie chwili rozkoszy Jane Harrington. Parwati ciągle stała w tym samym miejscu i myślała o tym, czego była świadkiem. Cóż za bezwstydna, wyniosła, pełna pogardy kobieta. Nic dziwnego, że inne jej nie cierpiały. A zarazem ileż miała odwagi, by brać to, czego pragnie, nie dbając o konsekwencje. W oczach Parwati nabrała wartości i doskonałości. Niczego nie dotykając ani nie zostawiając żadnego znaku swojej bytności, jak gdyby była w dżungli, Parwati wyszła, omijając popiół z papierosa, zostawiony na drogim dywanie przez panią Indię Harrington.

Gdy znalazła się na trawie, podszedł do niej ojciec Marston.

— Jakie jest pani wyznanie, jeśli wolno spytać?

— Jestem hinduistką — odparła Parwati, spoglądając na jego szczupłą, zmęczoną twarz. Często padał ofiarą gorączki, lecz miał powołanie i jego oczy płonęły jasnym blaskiem.

— A zatem musi pani mieć swoje ulubione bóstwo. Niech zgadnę... to Ganeśa, bóg słoń, nieprawdaż?

— Modłę się do małej srebrnej kobry, jego służebnicy. Ksiądz cofnął się raptownie, jak gdyby z ust Parwati wyskoczyła mała srebrna kobra.

— Wielkie nieba! — zawołał przerażony. — Nigdy o czymś takim nie słyszałem! Skąd pani wie, że ona jest bogiem? Któż pani to powiedział?

Parwati wzruszyła ramionami.

— Czy pani wie, że właśnie dlatego, iż ludzie modlili się do bożków i innych nikczemnych bałwanów, Bóg zesłał



swojego syna na ziemię, by ten powiedział nam, kim naprawdę jest? Jego syn nosił imię Jezus i umarł za nas na krzyżu. A mimo to niektórzy z nas wciąż modlą się uparcie do węży. W chrześcijaństwie wąż jest tym, który skusił Ewę i nakłonił pierwszego mężczyznę do grzechu. Jak może się pani modlić do symbolu zła? Parwati nie wiedziała, co na to odpowiedzieć.

— Przyjdę tu jutro i zostawię pani Biblię. Proszę ją przeczytać i powiedzieć, co pani sądzi. Jestem bardzo ciekaw pani zdania. Wiem bez cienia wątpliwości, że Bóg nie jest wężem.

•••

Późnym wieczorem Parwati siedziała z Mają na werandzie.

— Czytałaś Biblię, Maju?

— Tak. Dlaczego pytasz?

— Katolicki ksiądz zapytał mnie, jak mogę się modlić do symbolu zła. Powiedział, że Boga nie można znaleźć w kawałku gliny czy kamienia, bez względu na to, jaki jest piękny. Mówił jeszcze, że nie wolno tak czynić po tym, jak Bóg zesłał na ziemię swojego jedyne go syna, który powiedział nam, że to zwykle pogaństwo.

Maja westchnęła.

— Czy powiedziała byś, że pantofel matki, który sobie zatrzymałaś, jest twoją matką?

— Ależ skąd.

— To tylko maleńka cząstka jej obrazu, a mimo to wystarczy, że kiedy na niego spojrzysz, to ją widzisz. Równie

dobrze mogłabyś przywieźć starą bluzkę, jakąś ozdobę, grzebyk z wybitym zębem albo cokolwiek, co ci ją przypomina.

— Masz rację.

— Spotkanie z boskością w całym jej majestacie jest dla człowieka niemożliwe, widzi więc światło, płonący krzak, anioła, wyobrażenie na krzyżu i nazywa to Bogiem. Jednak człowiek jest arogancki i zaczyna wierzyć, że ta niewielka część, którą sobie wziął, jest wszystkim. Wyrzeźbiony kamień stanowi symbol. Wszystko, co czcisz, może stać się Bogiem, ponieważ Bóg istnieje w każdej żywej i martwej rzeczy, którą widzisz. Jest wszędzie i jest wszystkim. Jeśli ktoś wierzy wystarczająco mocno w kamień, ten kamień pewnego dnia otworzy oczy i pokaże, że mieszka w nim Bóg. Nie ma znaczenia, czy człowiek postanawia czcić kamień, innego człowieka, drzewo czy węża. Uwierz, a stanie się. Bóg objawia ci się w każdej formie, która napędza cię dobrocią. Jaka to różnica dla Boga, czy jest to człowiek konający na krzyżu, czy wąż, który przypomni o Nim wiernemu? Ważne jest tylko to, by kochać go całym sercem. To prawda, że chrześcijaninowi nigdy nie objawi się jako wąż, ale do ciebie może przyjść właśnie w takiej postaci.

•••

Kasu Marimuthu, nie przypuszczając, że jego młoda żona ma duchowe rozterki, uniósł szklanekę i wypił jej zawartość. Z upływem lat ilość alkoholu stale wzrastała. Butelki przybywały w skrzynkach z Anglii.

## Pokusa

Parwati stała na szczycie schodów prowadzących na dół, gdzie odbywało się przyjęcie. Miała na sobie najdroższe sari świata oraz pantofle na wysokim obcasie wysadzone żółtymi kamieniami: topazem i tygrysim okiem. Pięknie umalowanymi oczami zlustrowała trawnik, na którym kelnerzy w wykroch-malonych uniformach i białych rękawiczkach usługiwali eleganckim gościom. Z wdziękiem zaczęła zstępować po schodach. Któż by sobie wyobraził, że wychowała się w jednoizbowej lepiance? Nie zostało prawie nic, co mogłoby zdradzić, kim niegdyś była. Tutaj wszystko było jasne i lśniące, przeszłość nie śmiała się pokazywać. Wycofała się niczym zdziwiony duch. Nie było ani jednej kobiety, która nie zazdrościłaby jej bogactwa i pozycji.

Orkiestra grała coś szybkiego i skocznego, pary tańczyły. Na długim stole przykrytym białym obrusem stało mnóstwo kryształowych mis i pater. Były w nich orzechy, daktyle,

kanapki w kształcie paluszków, pikantne ptysie, plasterki importowanych ciast owocowych i jaskrawokolorowych miejscowych wypieków, chińskie biszkopty, zagraniczne czekolady oraz mnogość innych łakoci. Główna dekoracja kwiatowa była niesłychanie egzotyczna, gdyż ogrodnik wyciął środkowe części kwiatów i otoczył je kielichami innych. Zrobił to tak zręcznie, że niepodobna było dostrzec zamiany. Nieopodal na różnie powoli obracał się dzik. Zapach płonącego drewna i pieczenia dobiegł do nosa Parwati, a ta skierowała głowę ku morskiej bryzie. Wiatr wydał sari, zdobiące je klejnoty zaśniły w blasku zachodzącego słońca.

Napiła się koktajlu sporządzonego specjalnie dla niej: był to napój o zielonej barwie z płatkami róży, podany w szklance z posoloną krawędzią. Nie zyskał sobie popularności, ponieważ nie zawierał alkoholu. To jednak nie zmieniało faktu, że Parwati została potraktowana wyjątkowo, gdyż była żoną Kasu Marimuthu. Ludzie chętnie nawiązywali z nią rozmowę. Nawet kelnerom kazano zwracać się do niej per *madam*.

Jakaś dama podeszła do Parwati. Miała oczy jak lalka z pokoju pierwszej żony Kasu Marimuthu, zielone i błyszczące w środku. Od lalek różniła się tym, że jej oczy okalała pajęczyna zmarszczek. Gdy Kasu Marimuthu zauważył Parwati i pomachał do niej ręką, przeprosiła grzecznie i odeszła.

Przedstawił ją znajomemu od interesów. Parwati skinęła głową, pamiętając o tym, że pewnego razu na pytanie odpowiedziała słowami: „Otóż ja tak samo”. Mąż rzucił jej wówczas spojrzenie pełne niezadowolenia. Po odejściu gości rzekł:

— Zwiążłość jest twoim sojusznikiem. Jesteś geniuszem, dopóki nie otworzysz ust.

Parwati schyliła głowę i delikatnie liznęła soli zgromadzonej na brzegu szklanki. Podniósłszy wzrok, ujrzała dwoje intensywnie niebieskich oczu. Przez chwilę uległa śmiałości spojrzenia, wnet jednak opamiętała się i uciekła wzrokiem. Nie zdradziła swojego zakłopotania. Nie zrobiła przecież nic złego. Usiłowała przypomnieć sobie, u kogo podejrziała to zachowanie. Ach tak, India Jane Harrington. Powinna poczekać, aż zrobi to ktoś inny, gdyż uświadomiła sobie, że był to nader zmysłowy gest. Nie zachowa się tak po raz drugi.

Gdy zobaczyła tego mężczyznę ponownie, rozmawiał z kimś, lekko pochyliwszy głowę. Różnił się od typowych gości Kasu Marimuthu; z pewnością nie był Anglikiem. Był śniady i miał mocno zarysowaną szczękę, a ponadto biła od niego jakaś intensywna niecierpliwość.

Rozległ się dźwięk gongu; nadszedł czas lwiego tańca. Goście zaczęli gromadzić się wokół sceny, a Parwati zajęła miejsce po przeciwnej stronie trawnika. Stała tam, w miejscu, w którym teren zaczynał obniżać się ku plaży. Zaprażyła, by nadszedł już monsun. To czas, gdy wyprana bielizna łopocze na sznurkach, a palmy kokosowe gną się pod naporem wiatru, który wespół z deszczem oczyszcza powietrze z najmniejszych drobinek kurzu, tak że staje się ono nieskazitelnie czyste i przejrzyste. Można wtedy dojrzeć pajęczyny lśniące między liśćmi kokosowców i ziarenka piasku na plaży, a piana na grzbietach fal ma błękitnobiałą barwę. Parwati stała wśród opadłych kokosów i zielonej trawy.

Słońce już skryło się za wierzchołkiem domu, rzucając fioletowy cień na piasek i niesamowity pomarańczowy blask zwany przez wieśniaków *mambang*, wyglądający jak duch wiszący nad pociemniałą wodą. Na werandach służący rozpoczęli odbywający się dwa razy dziennie rytuał podlewania wiszących paproci. Na balkonach zapalono lampiony. Dla Parwati była to ulubiona pora wieczoru.

Doszła do miejsca, w którym zaczynał się miarki piasek, zdjęła pantofle z obcasem i omijając maleńkie otwory krabów pustelników, stanęła w miejscu, gdzie fale podpływały do brzegu. Potem uniosła sari prawie do kolan i weszła do morza. Woda była ciepła, Parwati poruszyła palcami w piasku. W górze przeleciała mewa. Oczarował ją widok skrzydeł ptaka zaczerwienionych przez słońce. Nagle usłyszała, że ktoś wchodzi do wody tuż obok niej. Odwróciła się. Był to mężczyzna, którego przed chwilą widziała. Podwinął nogawki białych lnianych spodni, odsłaniając złociste łydki. Zatrzymał się obok Parwati. Bez butów na obcasie sięgała mu ledwie do klatki piersiowej. Podniosła na niego wzrok. Miał oczy w kolorze oceanu.

— Jest pani bardzo nieszczęśliwa, prawda?

Parwati otworzyła usta, by zaprzeczyć tej niedorzeczności, lecz raptem zabrakło jej tchu. W głowie miała całkowitą pustkę i nie mogła wydobyć słowa. Patrzyli na siebie. Ten ocean jej pragnął. Mimowolnie jej dłonie otwarły się i rąbek najdroższego sari świata wpadł do morskiej wody. Tuż pod jej brzuchem załamała się błękitnoniebieska fala i całe ciało

zaczęło żyć intensywnie jak jeleń, który wyczuł w wietrze woń drapieżnika. Nagle wszystko widziała i wszystko czuła: głęboko różowe niebo za jego głową, wiatr odsłaniający kształt jego ciała pod koszulą, setki drobnych włosków pokrywających jego skórę niczym ziarnka piasku, zapach jego wody kolońskiej, która dziwnym trafem była ulubioną wodą jej męża, smak soli w powietrzu, fale wsysające jej stopy, krzyk ptaka w powietrzu i ten nieskończenie znikomy ruch przybliżający ich ciała ku sobie. Och, jakże ona go pragnęła! Chciała przycisnąć się do jego wysokiej postaci i błagać go, by w pomarańczowym blasku zrobił jej to wszystko, co mąż robi jej pod osłoną ciemności. Z jakiejś niewytłumaczalnej przyczyny powróciło wspomnienie chwili, gdy siedziała przed otworem w płocie otaczającym podwórze domu ojca i podglądała dwa psy. Suka przykucnęła, machając zapraszająco ogonem. Potem, jak gdyby przez cały czas wiedziały, że biegną sobie na spotkanie, psy wpadły na siebie, zaczęły krążyć, ocierać się i dyszeć przy wtórze gardłowych odgłosów. Nawet uniosły się na tylne łapy i polizały się po pyskach. Potem pies dosiadł samicy. Z początku skowyczała i wierciła się pod naporem jego ciała, lecz po chwili oba psy znieruchomiały. Parwati pomyślała nawet, że zapadły w sen. Jednak po kwadransie rozłączyły się i stały przez chwilę obok siebie. Najpierw oddalił się pies, a potem suka. Pozbawionym wysiłku, pełnym zmysłowości ruchem jak ze snu, Parwati uniosła dłoń do jego twarzy, jak gdyby chciała musnąć wklęsły policzek, w którym drgnął mięsień. Bransolety na jej kostkach otarły się o siebie, wydając słodki dźwięk.

Sita.

Ręka znieruchomiała. Ktoś wykrzyknął jej imię! Parwati zwróciła głowę w stronę, skąd dobiegał głos, zamachała zastygłą dłonią, a potem raptownie odwróciła się od mężczyzny i wstąpiła na suchy piasek. Wciąż jednak głęboki pierwotny instynkt w niej błagał, by znów weszła do wody. Oblicze jej życia stanęło jej przed oczami i powróciła świadomość, gniewna i bezlitosna. Była żoną Kasu Marimuthu, nienagannie ułożoną, głęboko tajemniczą i wolną od zwątpień. Skąd to porównanie z psami? On i ona nie są psami. Ona z całą pewnością nie jest suką. Czy mógł pomyśleć, że jej ręka powędrowała do góry, by go powstrzymać? Tak, tak, właśnie to zamierzała uczynić. Poczucie winy przemieniło się w zimny gniew, już nie odnoszący się do niej. Wszak była niewinna, próbowała go odepchnąć. Wzięła pantofle i niosąc je w dłoni, zaczęła biec w stronę domu. Czy przegrany nie ucieka zawsze z podwiniętym ogonem? Mokra sari przywarło do jej nóg. Boże drogi, sari! Zniszczyła to, przez co — wedle słów Kamali — jakiś malec w Dżajpurze prawdopodobnie stracił wzrok. Jego poświęcenie poszło na marne. Co powinna teraz zrobić? Przebiegła wzdłuż ściany domu. Maja będzie wiedziała, jak uratować sari. A ona nigdy więcej nie może zostać sam na sam z tym mężczyzną. On jest niebezpieczny. To nie była jej wina.

Dotarłszy do tylnych drzwi, zaczęła wołać:

— Maju, zobacz, co zrobiłam z sari!

Stojąca w drzwiach kucharka zerknęła na skraj sari, a potem



spojrzała na zarumienioną, zdyszana twarz Parwati. Kosmyki włosów oderwały się od jej koka i zwisały wokół długiej szyi. Maja próbowała odgadnąć, co mogło sprawić, że to dziecko nagle zaczęło się zmagać z kobiecymi porywami uczuć. Jednak jej twarz niczego nie wyrażała.

— To prawie sześć metrów materiału, *da* — rzekła spokojnie. Parwati wzięła głęboki oddech.

— Pomóż mi je uratować, proszę cię.

— Naturalnie. Zdejmij sari i daj mi je.

Maja zaczerpnęła wiadrem wody z glinianego dzbana stojącego obok drzwi i wylała ją na stopy Parwati, a ta przekroczyła próg i znalazła się w kuchni. Rozebrała się błyskawicznie i pobiegła na górę, by okryć się kocem. Znalazłszy się w swoim pokoju, podeszła do lustra. To, co ujrzała, wstrząsnęło nią. Uniosła dłoń i dotknęła palcami drżących ust.

— Wcale nie jestem nieszczęśliwa. Jestem bardzo szczęśliwa — powiedziała do swojego odbicia, lecz w ostatniej chwili jej oczy, dziwnie połyskujące, umknęły w bok.

Odwróciła się i podeszła do balkonu. Mężczyzna wciąż stał w wodzie i trzymał ręce głęboko w kieszeniach, spoglądając w stronę horyzontu. Żona dyrektora szkoły ruszyła ku niemu z drinkiem w dłoni. W oczach Parwati stanął niepożądany obraz nóg tej kobiety oplecionych wokół nieznanego. Odwróciła się na pięcie. Co ją to może obchodzić?

— Niech go sobie weźmie — powiedziała na głos, lecz zabrzmiało to obco i gniewnie. Któż by pomyślał? Czuła zazdrość.

Zaczęła się ubierać.

— To dobrze, że zobaczyłam ich razem. Są siebie warci, oboje tacy sami — rzekła do siebie i tym razem z zadowoleniem odnotowała, że mówi własnym głosem. Zręcznie poprawiła makijaż i fryzurę. Z lustra spojrzała zrównoważona, zdystansowana kobieta.

Parwati zeszła na parter.

— O, przebrała się pani — ktoś zauważył.

— Tak, coś wylało mi się na ubranie — odparła grzecznie Parwati.

— Sita! — zawołał jej mąż.

— Tak — odrzekła, odwracając się z uśmiechem. Kasu Marimuthu stał obok niebieskookiego nieznajomego.

Wyćwiczony uśmiech Parwati nie sprawił jej zawodu.

— Samuelu, oto moja żona Sita. Sito, przedstawiam ci Samuela Westa. Jest Amerykaninem. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, może będziemy robić wspólnie interesy.

— Witaj, Sito — powiedział Samuel West. Patrzył przyjaźnie, uścisk jego dłoni był mocny i ciepły, lecz krótki. Mężczyzna zachowywał się tak, jakby na plaży nic nie zaszło.

— Miło mi pana poznać, panie West.

— Proszę mówić mi po imieniu.

— Bardzo proszę — odparła neutralnym tonem Parwati.

— Mają państwo piękny kawałek plaży. Czy w wodzie można bezpiecznie pływać?

— Sita nie pływa — oznajmił Kasu Marimuthu. Samuel West ze zdziwieniem uniósł brwi.

— Och! — rzekł i zamierzał coś dodać, lecz ktoś z przeciw-

nej strony trawnika zawołał gospodarza. Kasu Marimuthu przeprosił i odszedł, obiecując powrócić. Parwati spojrzała na Samuela Westa.

— Proszę ze mną. Chcę panu pokazać coś, co z pewnością przypadnie panu do gustu.

— Naturalnie — powiedział, ruszając za nią. Parwati zaprowadziła gościa do rożna, przy którym zebrało się już wiele osób. Poprosiła jednego z chłopców doglądających dziczyzny o porcję nowej potrawy wymyślonej przez Maję: wielkich krewetek w ciemnym rumie z przyprawami. Samuel nie chciał jeść nożem i widelcem. Jego równe białe zęby przecięły krewetkę na pół. Był pięknym mężczyzną, być może najpiękniejszym, jakiego kiedykolwiek widziała.

— Naprawdę doskonale — zachwycił się Samuel. — Jedzenie w Azji smakuje o wiele lepiej.

Parwati miała na to starannie przygotowaną odpowiedź.

— To dzięki słońcu. Wszystko smakuje lepiej, kiedy dojrzeje w blasku słońca.

— Mmm...

Patrzyła, jak je. To musi być wspaniałe, ta pewność siebie. Świadomość, że wszystko, co robisz, będzie słuszne. Nie musisz patrzeć na kogoś innego, by wiedzieć, jak się zachować. Z pewnością cudownie jest dowiedzieć się w dzieciństwie, że należysz do wyższej rasy, że nie musisz nikomu się kłaniać i przed nikim się płaszczyć. Bez cienia zniewieściałości otarł usta serwetką. Męski mężczyzna, przystojny. Bez wątplenia taki właśnie był.

Samuel West podniósł nagle wzrok i zauważył, że gospodyni mu się przygląda.

— Chciałaby pani, żebym nauczył ją pływać? — zaproponował zniecierpliwiona.

Zanim Parwati zdążyła obmyślić właściwą odpowiedź, obok stanęła żona dyrektora szkoły. W dłoniach trzymała drinka, jej biodra były lekko podane do przodu, a cała sylwetka pochylona uwodzicielsko w jedną stronę. W głosie pani Harrington pobrzmiwały uwodzicielskie nutki.

— Marnujesz czas, Sam. Tubylcy wierzą, że w wodzie czyhają niebezpieczne duchy, które porywają śmiałków. Ci ludzie gromadzą się na plaży, wiosłują po falach, ale nigdy nie płyną. Samuel West zmierzył ją kamiennym spojrzeniem.

— Dobrze, że nie jesteśmy w Arabii, pani Harrington, gdyż Arabowie bardzo niechętnie patrzą na gościa obrażającego gospodarza.

India Harrington spojrzała bez cienia wstydu na Parwati, lecz jej ciało wciąż było nachylone w stronę mężczyzny. Błysk w jej oczach nie wyrażał złości. Zapragnęła go i wzięła go na cel. Któż mógł ją za to winić? Stanowił smakowity kąsek.

— Ależ ja nikogo nie obraziłam! Powiedziałam prawdę, czyż nie, pani Marrymuthu? Mieszkańcy tego kraju boją się wchodzić do wody.

Świetnie się składa, pani Harrington. Ten mężczyzna nie jest dla mnie stworzony.

— Tego nie wiem, pani Harrington — odparła Parwati. —

Nie pochodzę z tego kraju. Ale może przydatna byłaby dla pani informacja... — Parwati na chwilę zawiesiła głos i odwróciła głowę tak, że Samuel West widział tylko połowę jej twarzy, i mrugnęła porozumiewawczo. — ...że w moim kraju zwykle trzymamy pudełko chusteczek w pierwszej szufladzie po prawej stronie.

Zastanowienie trwało tylko sekundę. India Jane Harrington uśmiechnęła się niespiesznie. Jej uśmiech był olśniewający. — Byłam ciekawa, kto to jest. Wiedziałam, że musi to być ktoś drobnej postury. Omal pani nie zagadnęłam.

— Szkoda, że pani tego nie zrobiła. Było mi za gorąco w tych brokatakach.

Pani Harrington odrzuciła do tyłu głowę i parsknęła śmiechem. — Jest pani nadzwyczajna.

— A teraz muszę państwa przeprosić. Zdaje się, że mąż mnie woła — rzekła lekkim tonem Parwati.

Odchodząc, usłyszała, jak Samuel West pyta:

— O czym była mowa?

— Tej historii, jak sądzę, lepiej nie rozpowiadać — odparła India Harrington, przeciągając słowa.

Samuel West przyszedł później, by się pożegnać. W blasku lamp jego oczy zdawały się niemal czarne.

— Musi pan nas jeszcze odwiedzić, panie West.

— Z pewnością. Wieczór okazał się nadzwyczaj interesujący.

W głosie Westa brzmiała siła i przekonanie. Ten mężczyzna nigdy niczego mocno nie pragnął, wszystko wpadało mu

w ręce łatwo i szybko. Był Amerykaninem za granicą i nic nie stało mu na drodze.

— Dobranoc, panie West — powiedziała Parwati, uśmiechając się grzecznie.

— Dobranoc, Sito — odparł West i, z niezrozumiałych dla niej powodów, nie uśmiechnął się.

• • •

W nocy przyśniło jej się, że przyszedł.

— Nie dotykaj tego, za co jeszcze nie zapłaciłeś — rzekła, ale on tylko się roześmiał.

— Czyżbyś nie wiedziała, że aby mieć swój styl, trzeba złamać zasady?

— Nie ucieknę z panem — oznajmiła.

— Ależ ja nie chcę, żebyś ze mną uciekała. Chcę tylko tego, co obiecałaś mi na plaży — powiedział, wyciągając rękę do jej sari. Niespodziewanie zjawiała się Maja, uśmiechnięta niczym duch.

— Zobaczmy, co możesz zrobić bożemu dziecku — za-krakała.

Parwati przytrafiło się to samo, co spotkało Draupadi w opowieści o Pandawach, gdy nikczemny król próbował zerwać z niej ubranie i zniewolić. Niebieskooki mężczyzna ciągnął za sari, lecz im bardziej ciągnął, tym więcej materiału się pojawiało, aż wreszcie wyglądał jak góra, a Parwati była wciąż ubrana i nietknięta.

— Ostrzegałam pana, że nie jestem taka jak żona dyrektora.

Nagle Parwati znalazła się w sali sądowej. Kasu Marimuthu,

w sędziowskiej todze i peruce, trzymając w ręku kanapkę z ogórkiem, rzekł:

— Nie mogę dopuścić tego dowodu. Chcę wiedzieć, co się stało z pierwszym sari.

— Maja je ma — odparła Parwati.

— Bujda — oznajmił klaun, który trzymał łabędzia. — Jest rozerwane i podarte na strzępy.

— Wiedziałem. Wszystkie kobiety są niewierne! — krzyknął Kasu Marimuthu. — Sita stanęła w ogniu i nie spłonęła. Dowiedz swojej niewinności w taki sam sposób.

Tak jak we wszystkich snach Parwati, nagle i zupełnie znikąd pojawiła się jej matka.

— Nie zhańbiłaś nas, prawda?

Raptem ziemia otworzyła się i Parwati poczuła, że spada w ciemność.

Obudziła się nagle. Dochodziła druga. Parwati owinęła się kocem, wyszła na balkon i skuliła się pod rozgwieżdżonym niebem. Noc była chłodna, lecz Parwati, mimo szczelnego okrycia, zadrzała. Samotny rybak łowił ryby w morzu, przyświecając sobie lampą. Wiatr dmący z północnego zachodu przyniósł zapach cygara Mai.

W normalnych okolicznościach Parwati zeszłaby do przyjaciółki, lecz tej nocy chciała pozostać sama. Godzinami patrzyła w niebo, a jej umysł w nieskończoność odtwarzał tę chwilę, gdy jej dłoń samowolnie powędrowała w stronę niebieskookiego nieznajomego. Kiedy światła samochodu Kasu Marimuthu pojawiły się na podjeździe, ukryła się w cieniu i poczekała, aż Maja zamknie drzwi frontowe. Wtedy

wróciła do łóżka. Usłyszawszy jego chwiejne kroki na korytarzu, przewróciła się na drugi bok i udała, że śpi. Jednak kroki nie zatrzymały się przed drzwiami jej pokoju. Już prawie wcale do niej nie zachodził. Lecz gdyby to zrobił, zamknęłaby oczy i wyobrażała sobie, że jest z niebieskookim mężczyzną.

Maja siedziała przy lampie i małym nożykiem mozolnie usuwała woskową warstwę z siedmiu nasion limonki. Następnie ubijała je tłuczkiem i formowała w małe kuleczki. Były przeznaczone dla pewnej kobiety, która przyszła wieczorem, zalewając się łzami z winy córki, nieuleczalnej nimfomanki. — Ratuj ją. Pomóż jej, zanim ojciec ją zabije. Musi istnieć jakiś sposób na ugaszenie jej grzesznego apetytu.



## Pies

Kiedy nazajutrz rano Parwati zeszła na dół, sari wisiało w cieniu wielkiego drzewa na dziedzińcu i wyglądało nie gorzej niż przed kąpielą w morzu. Lecz zbliżywszy się, zobaczyła na materiale blady falisty ślad po wodzie: najdroższe sari świata uległo zniszczeniu. Cofnęła się. Ten mężczyzna potrafił uwodzić oczami, lecz ona nie pójdzie w ślady poprzedniczki. Niech to będzie dla niej lekcja. Nigdy więcej nie pozwoli sobie zostać z nim sam na sam. Podjęła silne postanowienie. To właśnie z powodu takich jak on mężczyźni podobni do ojca Parwati więzili swoje córki.

Wczorajsze zwodnicze pragnienia wyblakły. Parwati wiedziała już, że był to rodzaj szaleństwa, lecz przelotny, nieważny i nie powtórzy się nigdy więcej, jeśli będzie trzymać się z dala od tego człowieka.

Tego ranka uświadomiła sobie coś jeszcze. Ten mężczyzna nie był psem, lecz cywetą, która zabija dla samego zabijania.

Każdy ruch lub dźwięk wyzwała w niej morderczy instynkt. Tym razem obudziła go jej samotność. Zbliżył się, by zabić, mimo że nie był głodny i w gruncie rzeczy nie chciało mu się jeść.

Szła w deszczu po plaży, zatopiona w myślach, gdy ktoś nagle zrównał się z nią krokiem. Odwróciła się raptownie, podnosząc rękę do serca.

— Och, panie West! — wykrztusiła. — Przestraszył mnie pan.

Uśmiechnął się. Sprytna taktyka.

— To ładne, że ciągle się mylisz. Jestem Samuel. Parwati patrzyła na niego. Ociekał wodą podobnie jak ona.

Nie było wiatru, krople deszczu spadały prosto jak szpilki. Któraś musiała trafić go w oko, bo nagle zamrugał. Wydał jej się tak piękny, że było to nie do zniesienia. Parwati znowu poczuła szalone pragnienie, by go dotknąć. Nie w sposób delikatny i łagodny, lecz gwałtownie, bez zahamowań. Było niebezpiecznie. Nie miał jej kto powstrzymać. Parwati cofnęła się o krok.

— Muszę iść — powiedziała, odwracając się.

— Zaczekaj, Sito. Odwróciła się do niego powoli.

— Nie mam na imię Sita, panie West. Jestem Parwati. Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

— Parwati. — Jak pięknie to wymówił. Zapragnęła, by zrobił to jeszcze raz.

Skinęła głową. Dlaczego mu to powiedziała?

— To dobre imię. Podoba mi się.

— Mnie również — rzekła i się uśmiechnęła.

Ten rosły i dumny mężczyzna prawie na pewno nie wiedział, że jego mroczne postęпки, takie jak ten, sprawiają, iż kobiety w rodzaju pani Adams wstydzą się koloru swojej skóry.

Uśmiechnął się. Gdy tylko Parwati poczuła się trochę swobodniej, znów pojawiło się pragnienie, by powalić go na ziemię.

Ugryźć go w usta. Polizać twarz. Parzyć się z nim tam, na piasku, czując wodę obmywającą ich ogarnięte szalem ciała. Żadnych grzeczności, usprawiedliwień i udawania. Nagie, prymitywne żądze. Krzyczeć z rozkoszy, jak India Jane Harrington. Ale czy India Jane nie pokazała, że to przelotne, niewiele warte uniesienie? Parwati nie mogła zrezygnować z tego, o czym bez tchu marzyła przez całe życie, z drogi serca. Co on może wiedzieć o drodze serca?

— Co pan tutaj robi? — zapytała chłodno.

— Przyszedłem nauczyć panią pływać. Stać pana na coś lepszego, panie West.

— Naprawdę muszę już iść — oznajmiła i zdecydowanie zrobiła krok do tyłu, lecz on chwycił jej dłoń. Ten gest bardzo przypominał rodzaj przemocy, który sobie wyobrażała, toteż przez jej rękę przebiegł elektryczny dreszcz. Spojrzawszy spod mokrych rzęs w jego oczy, momentalnie uświadomiła sobie, że on tego nie czuje. Z nim było inaczej. Jego skóra nie krzyczała. Oczami wyobraźni zobaczyła, jak targa zębami guziki jego koszuli, a jego zdziwiona twarz mówi: „Czemu zdierasz, skoro możesz zdjąć w kulturalny sposób?”.

Wkroczył na jej terytorium bez niezbędnych kwalifikacji, w koszuli z krótkim rękawkiem, licząc na wakacyjny romans

pod palmami. Spójrz jeszcze raz na tę roślinę, którą mi przynosisz. Rachityczną i nijaką, z zatrutymi liśćmi i gorzkimi, pozbawionymi nasion owocami. Zaznała już tego od Kasu Marimuthu. Chcąc zbliżyć się do suki, ucz się od psa.

— Posłuchaj! — zawołał. Widząc jednak, że zwrócił uwagę Parwati, rozwodził tę chwilę zwyczajnymi, codziennymi słowami. — Wiem, że to obłąd, i czuję się jak idiota, ale nie mogę przestać o tobie myśleć.

Przyglądała mu się przez chwilę; patrzyła w te ożywione oczy, usiłując dociec, co w nich jest. Co się naprawdę dzieje? Jak mogła mu powiedzieć, że przez całe życie czekała i wciąż czeka na miłość bez granic? Że jest jak ciernisty, pachnący piżmem chwast, który czeka na szalejący monsun, by rozkwitnąć? Chciała mu powiedzieć, że ten dziki chwast żyje wiecznie. Jest olbrzymi, nie ma ograniczeń ani końca. Wracaj, Parwati, wracaj. Tutaj tego nie znajdziesz. Uwolniła rękę z jego uścisku. W jej wyobraźni nie pozwalał na to, sama myśl o wypuszczeniu jej choćby na moment była nie do zniesienia. Lecz on puścił ją od razu. A więc jednak był to wakacyjny romans, wątła roślinka.

Spójrz na niego. Już żałuje, że tak się zapędził, że był taki impulsywny. Na końcu jego języka błakają się przeprosiny. Nie pogarszaj sprawy, zacny człecze. Jednakże to nie była jego wina; trudno mieć mu za złe, że się na nią nie rzucił. To byłoby wysoce niewłaściwe i graniczące z gru-biaństwem.

— Przykro mi, panie West. Nie może pan uczyć mnie pływać.

— Dlaczego nie? — zaprotestował z pasją. — Pani go nie kocha. To, co się stało między nami wtedy, gdy staliśmy w wodzie, nie zdarza się często. A ja nigdy nie wyczekiwałem w deszczu na kobietę. W domu zostawiłem żonę. Zdawało mi się, że ją kocham, dopóki nie zobaczyłem pani.

Ma żonę, jakżeby inaczej. Bładolica kobieta w zimnym kraju oczekuje powrotu męża z dalekich krain. Czy ten mężczyzna włożyłby dla kobiety rękę w ogień? Raczej nie. Zerwał się wiatr, deszcz zaczął padać ukośnie na twarz Parwati, siekąc ją po oczach i ustach. Poruszyła się, a on odpowiedział takim samym ruchem. Jak doskonale skorelowane są ich ciała. Jednakże umysły przebywają w równoległych światach. Stojąc nieruchomo, Parwati poczuła chłód. Zadrżała.

— Ziębła pani — rzekł, ale nic nie zrobił. Nie mógł nic zrobić. Stali bezradnie naprzeciw siebie. Znajdował się o krok od niej, o jeden krok za daleko. Ich głodne ciała okrężały się, lecz dusze wiedziały już, że ta historia nie będzie miała szczęśliwego zakończenia.

Parwati objęła się ramionami i spojrzał na piasek, myśląc o Kasu Marimuthu, największym symulancie na świecie. Udawał, że jest biały, że jest wyrafinowany. Otoczył się wspaniałą porcelaną, srebrnymi zastawami i weneckimi kryształami, lecz największą przyjemność sprawiało mu, gdy mógł wymieszać na talerzu ryż z curry, bananem i jogurtem, utoczyć z niego miękką kulkę i włożyć ją do ust palcami nieuzbrojonymi w sztucce. A później, żując ją, pomrukiwał cicho z rozkoszy. Parwati pomyślała o jego dumnej twarzy. Co by

zrobił, gdyby się dowiedział? Udawałby przed wszystkimi, że ona też umarła od tropikalnej gorączki, tak jak pierwsza żona? Cóż to byłby za smakowity temat do plotek dla całej okolicy! Spojrzała na Samuela Westa. Wbrzuchupało ją żądanie, a pod stopami otwierała się czeluść. Tak, jest obłąkańczo przystojny, ale ona za nim nie pójdzie. Nie z powodu Kasu Marimuthu i plotek, lecz dlatego, że obudził w niej gwałtowny impuls, który w zwykłych okolicznościach spał spokojnym snem. Coś, na co nie chciała patrzeć, co mogło ściągnąć na nią wstyd i hańbę. A ona pragnęła być czysta i niewinna. Chciała być tym, co inni chcieli w niej widzieć. Pragnęła być taka jak inne *mami* z Klubu Czarnej Parasolki. Chciała czuć się bezpiecznie.

— Przykro mi, ale nie mogę — powiedziała i odeszła szybkim krokiem. On wołał, jednak nie odwróciła się, lecz zaczęła biec. Nie pobiął za nią.

Wejrzała w siebie, ale nie znalazła tam żalu z powodu tego, co zrobiła. Zamknęła za sobą te drzwi. On znajdzie sobie inną albo wróci do bladolicej żony, a ona musi się ubrać i stawić na spotkaniu Klubu Czarnej Parasolki. W gruncie rzeczy chętnie zobaczy lalkę, którą robi z trawy Negeri Sembilan Mami. Będzie się uśmiechała i zachwycała robótkami pozostałych *mami*, a one pochwalą jej koc. I nikt nigdy nie dowie się, że rankiem na plaży odrzuciła zaloty najpiękniejszego mężczyzny na świecie.

To były jej urodziny, skończyła osiemnaście lat. Maja rozpoczęła na jej cześć tygodniową głodówkę, Kamala i inne dziewczęta przyniosły kwiaty, Kupu dał jej piękny biały koral, Kasu Marimuthu kupił biżuterię, a Samuel West przysłał przez męża podarunek.

— Sam twierdzi, że ten szczeniak potrzebuje domu. Chcesz go?

— spytał Kasu Marimuthu.

Parwati wzięła szczeniaka na ręce, a on spojrzał na nią głupimi ufnymi oczami, podniósł łebek i polizał ją po twarzy.

— Czy go chcę? Ależ oczywiście.

— Wygląda dziwnie jak na dalmatyńczyka, bo ma bordowe plamy zamiast czarnych. Poza tym jest głuchy na jedno ucho, więc nie nadaje się na pokazy ani do hodowli.

— Czemu on się tak trzęsie? — zapytała Parwati.

— Trochę ze strachu, a trochę z podniecenia, jak mi się zdaje.

Pierwszy raz znalazł się z dala od matki i rodzeństwa. Wieczorem włóż go do pudełka w swoim pokoju.

Parwati spojrzała na męża.

— Podziękujesz w moim imieniu panu Westowi?

— Sama mu podziękuj. Zaprosiłem go jutro na grilla. Przyszedł ubrany w białą koszulę. Jego szyja wyglądała w niej jak mocna brązowa kolumna, ale Parwati nie przyglądała się zbyt uważnie.

— Witam — rzekła serdecznie.

— Witaj, Sito — odparł, dając w ten sposób znak, że imię Parwati stanowi ich sekret. Uśmiechnęła się i pomyślała, że to dobrze, iż jest cudzoziemcem. Zawsze można było polegać na ich dyskrecji. Przyniósł z sobą gumowe rękawiczki, ogrom-

ne szczypce do obcinania paznokci, proszek do mycia zębów dla palaczy, sole Epsom, płyn dezynfekujący, środek przeciw kolce, butelkę kaolinu oraz termometr doodbytniczy.

— Ojej — powiedziała Parwati, otwierając torbę. — Dziękuję za pieska i za to wszystko. Skąd pan wiedział, że chcę psa?

— Nie wiedziałem. Szczeniak potrzebował domu, a ja pomyślałem, że tu będzie mu najlepiej — odparł uprzejmie West.

— Każę go znieść na dół — oznajmiła Parwati, naciskając guzik dzwonka.

— Wybrałaś mu już imię?

— Nazwę go Kalichan.

— To ładne imię—pochwalił West i nagle Parwati zrobiło się przyjemnie. — W Stanach jest jesień, w przyszłym tygodniu muszę wyjechać — dodał po chwili. Patrzył na nią z ledwo ukrywaną tęsknotą, którą ujrzała w jego oczach wtedy, nad morzem. — Ale wrócę.

— Miłej podróży — rzuciła lekko i uśmiechnęła się smutno. Mimo wszystko pan Samuel West okazał się zacnym człowiekiem.

Kasu Marimuthu klepnął go w plecy.

— Czego się napijesz, staruszk?

•••

W kuchni Maja podgrzewała na wolnym ogniu liście *Anacyclus pyrethrum* w oleju kokosowym. Było to lekarstwo dla mężczyzny uskarżającego się na to, że nie może utrzymać wzvodu.



## Dziecko

Mijały lata, lecz Parwati wciąż pozostawała bezdzietna. Kalichan przywiązał się do niej ponad wszelką miarę i zachowywał się tak, jakby był jej dzieckiem. Czasem jednak leżała na plaży z psem i obserwowała zuchwałych chłopców, którzy myli witraże, trzymając się palcami wysokich gzymsów. Uświadamiała sobie wówczas, że jej dom jest niczym pięknie utrzymane mauzoleum. Błagał o dziecięce głosy.

— Maju, czy jest mi pisana nie tylko odraza męża, ale i bezpłodność? — spytała gorzko Parwati. — Mam w nieskończoność podejmować ludzi, na których mi nie zależy?

Odpowiedź Mai była zaskakująca.

— Zaadoptuj dziecko. Tak jak zwykły kamień może zamienić się w bezcenny rubin dzięki zmianie oprawy, tak niewielka zmiana w domu może sprawić, że nasienie twojego męża się przyjmie. Parwati nie uznała tej sugestii za niemiłą. Kiedy więc

kapłan ze świątyni Pulliara ogłosił tragiczną wieść, że cygańska tancerka zmarła nagle, i zapytał, czy ktoś zechce zaadoptować trzyletnią sierotę, Parwati nie wahała się ani przez chwilę.

— To będzie zaszczyt wychować jej dziecko — oznajmiła. Obraz pięknej Cyganki i jej tańca, w którym było tyle niepokoju, trawionej rozpaczą z powodu nieobecności ukochanego, wciąż był świeży w jej pamięci mimo upływu lat.

Jej mąż nie zareagował tak ochoczo. Swoją zgodę wyraził skinieniem głowy; w jego oczach krył się smutek bezdzietnego mężczyzny. Dwaj mężczyźni udali się po córkę tancerki. Parwati zamknęła Kalichana w pokoju; pies urósł i stał się rozbrykany, mógł więc przewrócić dziewczynkę. Potem stanęła na schodach werandy i czekała.

Kasu Marimuthu otworzył drzwiczki samochodu i wysiadła z nich najbardziej urocza istota na świecie. Znad krągłych usteczek spoglądały ogromne pawie oczy, a nad nimi kołysały się bujne niesfornie kędziory. Dziewczynka, ubrana w krótką bluzeczkę tancerki i bufiastą spódniczkę do kostek, rozejrzała się śmiało dookoła.

Parwati z uśmiechem zeszła po stopniach.

— Chodź — rzekła po tamilsku, wyciągając ręce. Jednak dziecko zacisnęło dłonie w pięstki i cofało się, aż natrafiło na nogi Kasu Marimuthu.

— Nie — odparła bardzo wyraźnie po angielsku. Córka tancerki znała angielski!

Parwati kucnęła na piętach, spojrzała w pełne buntu oczy dziecka i wiedziała bez cienia wątpliwości, że nie stoi przed

nią córka tancerki. To była córka jej męża, a tancerka stała się jedynie glebą, której powierzył swoje nasienie. I tak oto Parwati znów zobaczyła cygańską tancerkę, lecz tym razem już nie zrozpaczoną. Gdy występ dobiegł końca, gdy widzowie się rozeszli, jej ukochany jednak przybył. Wtedy na pewno powiedziała mu:

— Zachowaj to dla mnie, kiedy odejdę, by nieczyste pragnienia stały się czystymi.

Szczerze powiedziawszy, Parwati nie była wstrząśnięta. Mogła udawać przed sobą, że nie wie, lecz zawsze wiedziała, że tancerka jest kochanką męża. Wiedziała o tym od chwili, gdy zapytała o imię tancerki, a on udał, że go nie zna. Oczami wyobraźni ujrzała, jak *mami* z klubu będą spędzały popołudnia bez niej, smakując *muruku* i drwiąc z tego, że ona paraduje w rolls-roysie; pani domu, w którym mieszka na stałe krawiec oraz *dhobi* i w którym zjada się worek ryżu dziennie. Lecz ta sama pani jest tak biedna i głupia, że nie zdawała sobie sprawy z tego, iż jej mąż wie drugie życie.

Parwati przypomniała sobie, że przed dwoma dniami był smutniejszy niż zazwyczaj. Płakał, recytując poezję. Nigdy nie widziała go płaczącego. Musiał kochać tę tancerkę. Biedak był po dwakroć nieszczęśliwy. Mniejsza z tym: dziecko miało ojca, a dom zyskał dziecko. Parwati zaś zdobyła kamień, który być może przemieni się w rubin.

— Sito, to jest Rubini — oznajmił jej mąż. — Rubini, oto twoja nowa matka. Mnie nazywasz *papa*, a do niej musisz mówić *arna*.

Jednakże dziecko uniosło zaciśniętą pięść do buzi i zalało się łzami.

— Nie — rzekła łagodnie Parwati, odsuwając rączkę małej. — Niech nazywa mnie *mami*.

— No chodź, mała królewno — zachęcał mąż Parwati.

— *Papa* — zaszlochała ślicznotka, najwyraźniej niepokieszona.

Uklęknął przy niej i delikatnie pogładził po każdym pulchnym paluszku po kolei. Szlochanie ustało. — Jeszcze raz — powiedziała dziewczynka, pociągając nosem, i nagle się uśmiechnęła. Śmiała istotka. Któż odmówiłby jej czegokolwiek? — Aha — rzekł Kasu Marimuthu i powtórzył czynność. A więc to była ich stara zabawa. Kiedy odwrócił głowę, by powiedzieć coś do Parwati, dziecko położyło mu rączki na policzkach i zaborczym gestem skierowało jego twarz w swoją stronę. Ojciec należał do niej i tylko do niej. Straciła jednego z rodziców i nie zamierzała rezygnować z drugiego. Kasu Marimuthu roześmiał się radośnie i bez wysiłku. Dziewczynka spojrzała na Parwati, ściągnąwszy brwi tak mocno, że tworzyły niemal prostą linię nad okrągłymi oczami. Usta zacisnęły się surowo, a palec wskazujący prawej ręki uniósł się w geście ostrzeżenia. Parwati położyła dłoń na sercu. Dziecko bardzo jej nie lubiło, co do tego nie mogło być wątpliwości.

Mimo to fruwało po domu niczym poranna bryza, swobodnie i radośnie. Tupanie jej niewinnych nóżek było cudowne i podnosiło na duchu. W Adari wszystko zmieniło się na lepsze. Otwarto nieużywaną salę balową i wstawiono tam

trójkołowy rowerek. Kasu Marimuthu przynosił gardenie, a dziewczynka kazała mu wpinać je sobie we włosy.

— Baldzo ładna czy nie? — pytała kokieteryjnie, przechylając urocze ciało w jedną stronę. Była próżna na punkcie swojej urody. Śmiech Kasu Marimuthu długo niósł się echem w ogromnej pustej przestrzeni. Zawsze zniewalała go jej nieumiejętność wymawiania „r”, bez względu na to, ile razy to słyszał.

— Tak, bardzo — mówił z czułością, gdy wreszcie przestał się śmiać.

W ten sam sposób zachowali się wszyscy domownicy. Nikt nie mógł jej się oprzeć i wydawało się, że i ona naprawdę ich lubi. Jedynym wrogiem dziewczynki była Parwati. Na wszystkie pytania reagowała wzruszeniem ramion i posyłała jej niechętnie spojrzenia, ilekroć znalazła się sam na sam w pomieszczeniu z macochą. Odrzucała ją w sposób tak absolutny i nieprzejednany, że budziło to zdumienie.

— Cóż ja takiego robię? — spytała Parwati Maję.

— Nic. Ona nie odrzuca ciebie osobiście. Z twojego punktu widzenia to doświadczenie polega na okazywaniu dobroci, nie zdajesz więc sobie sprawy, jakie to dla niej trudne. Dziecko, które traci matkę nawet w tak młodym wieku, że pozornie nie powinno tego pamiętać, zostaje do głębi zranione. Jej smutek i tęsknota są prawdziwe i dojmujące. Biega, bawi się i zachowuje normalnie, ale to nie znaczy, że nie opłakuje straty, której nie sposób powetować. Nikt nie może zastąpić matki. Ufność, że kiedykolwiek będzie bezpieczna, znikła na zawsze. Tak samo jak wiara, że jest warta miłości. Miłość

zawsze będzie jej się kojarzyła z porzuceniem. Biedne małeństwo nawet nie może zwrócić się do Boga, bo czyż to nie On pozwolił, by doszło do takiej tragedii? Odpychając cię, poddaje próbie twoje przywiązanie do niej. Chce sprawdzić, czy ją porzucisz. Przekonać się, czy miała rację, nie ufając ci. Czy zdarzy się to, czego panicznie się lęka, nieuniknione porzucenie. Bo najbardziej chce się związać właśnie z tobą, mimo że jesteś najniebezpieczniejszą kandydatką, tą, która może ją porzucić. Jednak z powodu przywiązania do prawdziwej matki twoje miejsce w jej życiu jest tym bardziej dwuznaczne.

— Czy wobec tego nie powinnam odgrywać w jej życiu żadnej roli?

— Możesz wiele zmienić, zawsze otaczając ją opieką i miłością, a ilekroć zachowuje się prowokacyjnie, bezmyślnie i agresywnie, pozwól jej to robić, bo ona wyraża w ten sposób swój żal.

Pewnego dnia uwierzy w trwałość więzi z tobą i zrozumie, że miłość nie zawsze niesie z sobą ryzyko, a wówczas gniew i wrogość ustąpią. Tego dnia przywiąże się do ciebie. Wtedy rozłąka stanie się jeszcze większym problemem.

Pewnej nocy Parwati usłyszała płacz w pokoju Rubini i przybiegła do niej. Wilgotne loki przykleiły się do zaczerwienionej buzi, a oczy pozostawały zamknięte, lecz dziewczynka była w wielkiej udręce: rzucała się, machała rękami i nogami. Parwati obudziła ją łagodnie. Rubini otworzyła oczy i przez chwilę spoglądała z lękiem na macochę, nie rozpoznając jej. Gdy trochę oprzytomniała, na jej twarzy

odmalowała się przelotna ulga. Lecz obudziwszy się całkowicie, odepchnęła dłoń Parwati, wyrwała się jej i odczołgała w koniec łóżeczka. Tam skuliła się przy drewnianych drążkach i patrzyła na nią podejrzliwie.

— Tęsknisz za mamą, prawda?

Rubini skinęła głową. Z jej wielkich oczu wyzierał ból i niepewność.

— Nie mogę ci jej przywrócić, ale obiecuję, że będę się tobą opiekować tak samo jak ona — powiedziała szeptem Parwati. Wskazującym palcem zaczęła głaskać kciuk dziecka. Gdy obie okrył cień, dziewczynka zaszlochała, podniosła obie rączki i usiadła. Z najwyższą delikatnością Kasu Marimuthu wziął w ramiona drobne ciało dziecka i czule natarł jej nadgarstki wodakolońską, żeby ją uspokoić. Kiedy zasypiała, ucałował jej śliczną buzię i rączki, szepcząc raz po raz:

— Możesz mi zaufać. Nie opuszczę cię.

•••

Księżyc zaczął blednąć i Maja zajęła się ustawianiem w domu ciemnozielonych przedmiotów. Wyniosła na zewnątrz trochę zielonej tkaniny i zielonych nasion, po czym rzuciła je w powietrze, aby tybetańskie jesienne wichry rozniosły je na wszystkie strony świata. W ten sposób wzmacniała moc i błogosławieństwo tej pory roku.

## Śliczna mała tancerka

Przemożne pragnienie tańca musiała mieć we krwi, tak jak instynkt jedzenia i rozmnażania. Dało ono o sobie znać pewnego wieczoru po kolacji, gdy Kasu Marimuthu opowiedział legendę o jednorożcu, który ocalił Indie przed najazdem i spustoszeniem przez Dżyngis-chana.

Gdy skończył, dziewczynka zsunęła się z jego kolan, przywiązała sobie do kostek pawie pióra i oznajmiła, że zatańczy dla ojca tę opowieść. Parwati spojrzała na pawie oczy i wstrzymała oddech. Dziewczynka przyłożyła palec do czoła i choć niemal natychmiast go odsunęła, wyrósł tam długi róg, który wszyscy widzieli. Tym drobnym, prawie nieznaczącym gestem dokonała transformacji: nie była już dzieckiem, lecz jednorożcem mieszkającym w samym środku zaczarowanego lasu, w którym ani kwiaty, ani liście nigdy nie obumierały i w którym zawsze panowała wiosna. Rubini



złożyła dłonie w kielich i powąchała je — rozniósł się świeży, chłodny zapach wiosny. Przesunęła palcem od policzka do brody — jednorożec miał tysiąc lat, a mimo to wciąż był piękny. Rubini zakryła sobie oczy — żaden człowiek nie mógł jej zobaczyć, jeśli na to nie pozwoliła.

Z uwagą skierowała twarz w jedną stronę — jednorożec stał w zaroślach, przysłuchując się rozmowie drwali. Wyprostowawszy ramiona, naśladowała mężczyzn, którzy rozmawiali o nadejściu wielkiego zdobywcy Dżyngis-chana. Kręcili głowami w rozpaczy i przerażeniu. Po chwili ścisnęła ramiona i znowu była jednorożcem. Machnęła ogonem, zarzuciła grzywą — Indie obrócone w perzynę! Świątynie spalone! Posągi bogów i bogiń strzaskane! Opuściwszy chłodny cień, w którym spędziła całe życie, mknęła przez wiele dni, aż napotkała okrutnego wodza. Ten zaś właśnie zakończył modły do jeziora, księżycy i nieba i zaczynał witać wschód słońca. Uklęknąwszy przed nim, przemówiła szeptem — naturalnie nikt nigdy nie dowie się, co nieuchwytnie zaczarowane zwierzę powiedziało wielkiemu zdobywcy. Rezerolucnie odwróciła się tyłem, by pokazać, że tylko ten jeden jedyny raz w swoim życiu potężny wojownik zrezygnował z osiągnięcia celu.

Nauczyciel tańca zjawił się po raz pierwszy w Adari, gdy Rubini miała cztery i pół roku. Parwati zaprowadziła go do wielkiej sali muzycznej i zostawiła drzwi otwarte, by z drugiego pokoju obserwować, co się dzieje. Nauczyciel wybijał rytm, „tei, taka, taka, tei”, a dziecko zaczęło tańczyć, i to wspaniale. Rubini odziedziczyła coś, czego nie sposób się

wyuczyć: płynność i czystość ruchów, które miała we krwi.  
Czego ten człowiek mógł ją nauczyć?

Wtem Rubini odwróciła się i zobaczyła Parwati. Natychmiast podbiegła do drzwi i zamknęła je. Lecz nie zrobiła tego z powodu antypatii. Postąpiła jak rasowa artystka, która chce się chwalić jedynie dopracowanym rezultatem. Mimo to Parwati nie mogła się powstrzymać. Ukryła się w cieniu na werandzie i patrzyła przez okno. Dziewczynka tymczasem położyła jedną dłoń na drugiej, tak że kciuki się zbiegły, a ręce splotła w ósemkę na wysokości talii — to była ryba. Potem złączyła kciuk i palec wskazujący jednej ręki, a drugą uniosła wysoko nad głowę i kręciła nią. Ramiona poruszały się, a ręka nad głowę wykonywała nagle, szarpane ruchy; jednocześnie głowa tkwiła nieruchomo, gdyż nie spełniała żadnej funkcji — to był paw. Parwati mogła przysiąc, że widzi, jak mięśnie pleców Rubini drżą, jak gdyby ożywiały je duch najdumniejszego ze wszystkich pawi.

Na Pawiej Wyspie, wśród wysokich białogłowych traw, zbudowano dla Rubini miniaturową scenę ze ścianami pomalowanymi w kwiaty i ze złożonymi ornamentami na dachu. Wiezorami, gdy odbywały się przyjęcia, Kupu zawoził ją łódką na wyspę. Aksamitna czerwona kurtyna rozsuwała się, odsłaniając drobną postać tancerki. Goście podnosili do oczu lornetki teatralne otrzymane od kelnerów, a Rubini składała dłonie w powitalnym geście. Rozbrzmiewała muzyka, a ona uśmiechała się i rozpoczynała występ.

Rubini nie przypominała swojej matki, kobiety tragicznej i pełnej tęsknoty. Drobną ognistą postać w jasnopurpurowym

stroju podskakiwała energicznie, małe nóżki w ciemnych spodniach krzyżowały się i wirowały, spódniczki fruwały aż do talii. Ciało wznosiło się i opadało, ręce śmigwały, pięty spotykały się z sobą, stopy tupały, a pawie pióra u kostek pyszniły się kolorami.

Niebo zaczerwieniło się, gdy blask zachodzącego słońca padł na wodę, a Rubini zmieniła się w zarys wciąż rozedrganej niepokojem postaci. Kasu Marimuthu obserwował ją z coraz większą dumą i miłością. Jakąż radość mu sprawiała. Jakże on ją kochał! Grajek z długim fletem przestał grać, a Rubini się ukloniła. Wszyscy bili brawo i chwalili wspaniałą taniec. To był triumfalny finał.

^ Jej matka była sławną tancerką z Indii — wyjaśniał z dumą Kasu Marimuthu, wkładając na głowę Rubini wianek z białych kwiatów. Gdzieś w niewidzialnym dla ludzkiego oka miejscu tancerka się uśmiechnęła. Zachowaj to, kiedy odejdziesz.

Pewnego dnia pod wpływem kaprysu dziewczynka postanowiła wykonać Artenadiswaran, taniec boga, który był pół mężczyzną, pół kobietą. Taniec był trudny, niewielu wyszło z tej próby obronną ręką. Wymagał nadzwyczajnego panowania nad ciałem, toteż wykonanie go przez dziewczynkę w jej wieku było czymś niezwykłym. Rubini zdołała tego dokonać. Przez cały czas jego trwania jedna połowa jej ciała stąpała sztywno i dumnie, a druga posuwała się miękko i z wdziękiem. Nagrodzono ją burzliwą owacją, taniec przyniósł jej sławę. Podziwiając Rubini, nawet służący zapominali, że wymagająca mała dama z byle powodu wpada w niekon-

trolowany gniew. Przywary stały się nieodłącznym dopełnieniem jej nadzwyczajnego talentu.

Tak oto wszyscy zjednoczyli się w opiece nad cudownie uzdolnioną dziewczynką. Każde jej życzenie stawało się rozkazem. Kiedy coś zgubiła, całe domostwo nieruchomiało, aż rzecz udało się odnaleźć lub zastąpić inną. Jediną osobą, którą nie ośmielała się komenderować, była Maja. Tylko ona umiała skłonić ją do jedzenia, sprzątania lub wyrażenia skruchy za niegrzeczność.

Malarzowi z Anglii powierzono zadanie uwiecznienia cudownego dziecka. Mieszkał w domu przez dwa miesiące. Ukończony portret odsłonięto w bibliotece. Była to doskonała, śmiała kompozycja na purpurowym tle. Rubini w ozdobnej szacie stała na przyjęciu. Piękna, niewinna, jaśniejąca, o otwartym sercu. Nietknięta jeszcze spokojem, więc zagadkowa. Jaka przyszłość czekała to dziecko, karmione frykasami i otoczone powszechną czcią?

— Wspaniała — oznajmił Kasu Marimuthu.

— Oszłamiająca — orzekł nauczyciel tańca. W istocie Rubini była jego najlepszą uczennicą. Spodziewał się, że pewnego dnia zdobędzie sławę, nie żywił co do tego najmniejszych wątpliwości. Powtarzał to często i chętnie. W nagrodę Kasu Marimuthu postanowił zabrać córkę na małą wycieczkę, lecz wrócił następnego dnia.

Parwati stała w drzwiach, ale Rubini zignorowała ją, wbiegła po schodach i znikła w głębi domu, wołając psa.

— Co się stało? Dlaczego tak szybko wróciliście? Jej mąż wzruszył ramionami.

— Płakała całą noc, bo martwiła się, że coś złego może cię spotkać.

Parwati nie odpowiedziała, lecz przypomniały jej się słowa Mai. „Kiedy już się do ciebie przywiąże, będzie trzymała cię na dystans, gdy będziesz w pobliżu, ale gdy przyjdzie jej rozstać się z tobą na dłużej, będzie płakała. Ten niepokój bierze się z lęku przed następną stratą i porzuceniem”.

## Narodziny

By pomóc w urzeczywistnieniu hipotezy, że zwykły kamień w sprzyjającej atmosferze może zmienić się w klejnot, Maja zaczęła dodawać więcej jaj do diety Kasu Marimuthu. Jego nasienie miało dzięki temu stracić nieco goryczy. Dla wzmocnienia łona Parwati dawała jej do żucia liście *ashoka*, a na trzy dni przed początkiem okresu do kubka ludzkiego mleka dosypywała trzy zmielone białe kwiaty *Adhatoda vasica* i trzy kwiaty *Morinda correia*.

Niespełna rok później Parwati przekazała Kasu Marimuthu dobrą nowinę. Ten uśmiechnął się szeroko. Była to doprawdy wspaniała niespodzianka.

— Uczcijmy to — rzekł i sięgnął po butelkę whisky.

Miesiące ciąży mijały sennie i powoli. Parwati wypijała napoje podawane przez Maję, jej sylwetka zmieniała się, a ona miała apetyt na *tosai* z mielonym kokosem. Maja mieliła je i mieszała z olejem sezamowym, a Parwati siedziała

w kuchni na posadzce. Wachlowała sobie twarz i szyję papierowym wachlarzem, a Kalichan leżał z łbem opartym na przednich łapach i nie spuszczał z pani oka.

— Ogrodnik znalazł dzisiaj na mojej grządce warzywnej gniazdo szerszeni. Przed chwilą mi je pokazał — powiedziała Parwati.

— Ile miało wejść? — spytała Maja.

— Tylko jedno, tak mi się wydaje.

— Znaczy, że to będzie chłopiec — oznajmiła Maja. I rzeczywiście był to chłopiec.

Przyszedł na świat nocą, podczas gdy Kalichan stał na korytarzu, skomlać, drapiąc pazurami w drzwi, a w końcu wyjął z żalu, że oddzielono go od cierpiącej pani. Na domiar wszystkiego w chwili narodzin dziecka nagle i niespodziewanie zaczęły ryczeć krowy. Parwati słyszała je ze swojego pokoju. Mimo bólu słyszała również głos Kupu, który im śpiewał.

Kobiety oddały noworodka w ramiona ojca. Miał ciemną karnację, lecz to, co nie spodobało się Kasu Marimuthu u żony, teraz wywołało w nim przyływ miłości. Gładził skórę chłopca, tulił do twarzy i wdychał jego słodką woń. Niech nosi imię Kuberan.

Zawezwano astrologów. Przemówili jednym głosem: gwiazda syna klóci się z gwiazdą ojca. Albo trzeba mu przekłuć uszy jak dziewczynce, by nie szkodził ojcu, albo symbolicznie sprzedać do świątyni za garść ryżu, jak gdyby do ojca już nie należał.

Uczyniono jedno i drugie, ale nic nie pomogło. Silny jak u wołu organizm Kasu Marimuthu, który do tej pory wydawał się niezmożony, nagle zaczął zdradzać pierwsze oznaki nadwątlenia.

— Dlaczego musisz tak dużo pić? — zapytała Parwati, chociaż wiedziała, że mąż ani myśli przestać.

— Och, ty — rzucił drwiąco. — Tylko poszukaj, a znajdziesz mnie w mojej świątyni.

Parwati popatrzyła na męża, który zdawał się pomniejszony, słaby i nieskończenie daleki.

— Jak mam cię znaleźć w twojej świątyni?

— Najpierw spójrz na mnie bez wyrzutu. Jestem po drugiej stronie. Przekroczyłem granicę i teraz istnieję jedynie w starej pieśni, której nikt już nie pamięta. Można się ze mną spotkać tylko w napełnionej szklance.

Parwati pokręciła głową.

— Nie mogę. Rankiem muszę się modlić. Kasu Marimuthu parsknął śmiechem.

— Mogłabyś wszystko ofiarować na ołtarzu. Bóg niczego nie odrzuca, a zwłaszcza porannych wyziewów posłusznej żony alkoholika, której serce jest czyste.

Parwati wyciągnęła rękę po drinka i usiadła obok męża na podłodze. Kasu Marimuthu złożył zmęczoną głowę na jej kolanach i niebawem zasnął. Parwati delikatnie odgarnęła kosmyk włosów z jego czoła. Pochyliła się i ucałowała zmęczoną, pomarszczoną skórę. Pił dlatego, że wszystkie pieniądze świata nie dały mu szczęścia. Parwati wyprostowała głowę i zobaczyła stojącą w drzwiach Rubini.

— Czy *papa* jest chory? — spytała przerażonym szeptem dziewczynka.

— Nie, jest tylko zmęczony. Rano wszystko będzie dobrze. Idź już spać.



Dziewczynka odwróciła się posłusznie i poszła do łóżka. Parwati odprowadziła wzrokiem jej drobną postać znikającą na schodach. Myślała, że Rubini będzie zazdrosna o brata, lecz gdy ojciec go jej pokazał, dotknęła policzka niemowlęcia i z dumą nazwała go swoim maleństwem. Okazało się, że to Kalichan pała nienasyconą zazdrością o nowego członka rodziny. Warczał groźnie, ilekroć Parwati podniosła dziecko lub je ucałowała. Wówczas Kasu Marimuthu krzyczał na niego i pies przestawał warczeć; kładł się z pyskiem na łapach z nieszczęśliwą miną. Mąż ostrzegał Parwati, żeby nigdy nie zostawiała dziecka sam na sam z psem, lecz ona nie traktowała tego ostrzeżenia serio. Powtórzyła mu opowieść, którą usłyszała od matki, siedząc na jej kolanach. Była to historia o mężczyźnie, który zostawił swojego pierworodnego syna pod opieką ulubionego zwierzaka, mangusty. Pewnego dnia po powrocie do domu pan ujrzał mangustę stojącą nad kołyską z zakrwawionym pyskiem. W straszliwym gniewie przeciął mangustę na pół, lecz później znalazł w kołysce gaworzącego syna, a obok zagryzioną kobrę. — Widzisz więc, że nawet manguście można zaufać... Kasu Marimuthu zmarszczył brwi zniecierpliwiony. Nie miał czasu na ludowe gawędy.

— Kalichan nigdy nie był zbyt bystry — przekonywała Parwati — ale z czasem przyzwyczai się do dziecka i uzna je za część rodziny. Spójrz na niego, uśmiecha się.

Pies nauczył się podnosić wargi, kiedy był zadowolony.

Wyglądało to jak szczyrzenie kłów, ale nim nie było.

— Na Boga, dość tych andronów! — mruknął Kasu Ma-

rimuthu i odszedł. Nie potrafił uwierzyć, że psy mogą się uśmiechać.

Kamała usiadła na drewnianym taborecie i ułożyła niemowlę na swoich chudych nogach. Kuberan krzyczał bez ustanku, a ona kapała go i nacierała oliwą tak energicznie, że Parwati czasem bała się, iż dziecko wyśliźnie jej się z rąk. Później wkładała mu do buzi kciuk, naciskając na podniebienie, a drugą ręką ciągnęła za nosek.

— Co ty wyprawiasz?

— Dzięki temu będzie miał ładny ostry nos jak Bengalczyk. Maja pokręciła głową, lecz Kamała przysięgała, że robiła to swoim dzieciom i wszystkie miały wysokie nosy.

Pewnego dnia wieczorem Parwati weszła do pokoju i nogi się pod nią ugięły. Kalichan trzymał w pysku ramię synka tuż obok szyi. Jego kły były obnażone, lecz jeszcze nie przecięły skóry dziecka. Parwati uklękła i łagodnym głosem jąła przemawiać do psa.

Mówiła, że dziecko jest maleńkie. Powiedziała Kalichanowi, że to on jest jej pierwszą miłością, a dziecko jest małe i niegroźne.

Poprosiła, żeby go nie krzywdził. Obiecała, że będzie go kochać aż do śmierci. Kalichan wypuścił dziecko i się cofnął. Chłopczyk krzyczał z przerażenia, ale Parwati nie podeszła do niego.

Wyciągnęła ręce do psa.

— Chodź tutaj, głuptasie — powiedziała. Pies przydreptał do niej i stał z zawstydzoną miną, otoczony jej ramionami. — Nie rób tego więcej.

Kalichan patrzył na nią tak potulnie, wstydząc się swojego postępu, że zachciało jej się płakać. Pies zaczął się trząść i skomleć ze strachu i wyrzutów sumienia. Kasu Marimuthu,

który stał pod drzwiami, wbiegł do pokoju, pochwycił dziecko w ramiona i kołysał tak długo, aż przestało zanosić się płaczem.

— Kuberanowi nic się nie stało — rzekła błagalnie Parwati, lecz Kasu Marimuthu, którego twarz wyglądała jak chmura gradowa, nawet na nią nie spojrzał. Bez słowa oddał jej dziecko i przywołał psa. Kalichan poszedł za nim, zerknąwszy smutno na Parwati, która przytuliła syna i wyjrzała przez okno. Kasu Marimuthu zamierzał ukarać psa. Biedny Kalichan nie lubił siedzieć w zamknięciu. Od tej pory będzie musiała bardziej uważać. Nie zostawi psa z chłopcem, dopóki ten trochę nie podrośnie.

Musnęła nosem buzię dziecka. — Nie bój się, pewnego dnia się zaprzyjaźnicie — powiedziała. — On nie chciał cię skrzywdzić, w przeciwnym razie bez trudu ugryzłby cię do krwi. Pokocha cię, zobaczysz.

Wtuliła twarz w szyję syna i wciągnęła zapach dziecka i psa, dziękując Bogu, że weszła do pokoju w samą porę.

Nagły huk wystrzału przeszył jej ciało.

Parwati zeszywniała i mimo woli ścisnęła dziecko, które znów się rozplakało. Trzymała sztywno w ramionach krzyczącego synka, nie kołysząc go ani nie próbując utulić. Oddała go Mai, kiedy ta stanęła przed nią. Wtedy pobiegła szklanym korytarzem, a potem w dół po białych schodach. Stanęła jak wryta na trawniku.

Kasu Marimuthu szedł w stronę domu ze strzelbą w zwisającej bezwładnie ręce. Jego ramiona były przygarbione, a twarz poszarzała, gdyż wiedział, że zrobił coś strasznego. Na widok Parwati zatrzymał się i czekał. Kupu i ogrodnik

zblizali się do białej plamy rozciągniętej na ziemi. Tego ranka Parwati wygładziła dłonią sierść Kalichana, używając jedynie rosy z trawy. Uniosła drżącą rękę do oczu. Nie było w nich łez, ale palący gniew. Nieopisany gniew. Jej wzrok skupił się na metalowym przedmiocie w dłoni Kasu Marimuthu. Pragnęła chwycić ten bezduszny zimny wynalazek.

— Pies nie był twój. Nie powinieneś był go zabijać — rzekła spokojnie. Kasu Marimuthu osunął się na ziemię, trzymając się za zapadniętą klatkę piersiową. Na jego twarzy malowało się niedowierzanie. To przyjdzie nagle i chciała, żeby tak właśnie się stało. Przeciągnęła dłonią po twarzy i zrobiła krok w jego stronę. Jej twarz przypominała dziwną maskę, oczy zaś wyglądały jak jeziora czarnej nienawiści.

Zabił psa, bo był wielkim panem, a wielki pan musi wykonywać wielkie gesty. Nie mógł odseparować psa od dziecka, poczekać ani nawet go komuś oddać. On był wielkim i ważnym człowiekiem. A ona kim była? Skąd wzięła się ta zimna żądza krwi? W głębi serca wiedziała, że zemsta jest bezsensowna. Zła nie da się naprawić. Parwati zaczęła bać się samej siebie. Nie wolno jej bliżej podchodzić, wiedziała o tym. Cofnęła się o krok. Jej mąż, niepohamowany dureń, wyciągnął drżącą rękę i zrobił krok naprzód, szukając śmierci. Odwróciwszy się, pobięła wzdłuż domu, przez bramę i do dżungli.

Usiadła w świątyni i zasłoniła usta dłonią. Przypomniła sobie słowa Mai wypowiedziane na samym początku. „Siedź bardzo spokojnie, a przyciągniesz do siebie wszystko”. Tak też uczyniła. Siedziała z zamkniętymi oczami, nie myśląc i nie poruszając ani jednym mięśniem. Jak długo pozostała

w tej pozycji, nie umiała powiedzieć. Nagle usłyszała szuranie po kamiennej posadzce i głuchy odgłos stapania. Nie czuła strachu ani niepokoju. Odgłosy zbliżyły się, lecz ona nie zareagowała. Gdy umilkły, otworzyła oczy i zamrugała. Przed nią stała Mary! Samica była już bardzo stara, jej futro przyprószyła siwizna. Parwati nie widziała jej od trzech lat i myślała, że Mary zginęła z ręki kłusowników, którzy chcieli schwytać jej dziecko. Jakże się ucieszyła na jej widok! Szkoda, że nie miała dla niej kanapki z dżemem truskawkowym. Na myśl o tym rozplakała się bezradnie, łzy zaczęły płynąć po jej twarzy.

Mary położyła rękę na kolanach Parwati, a skórzastym palcem wskazującym drugiej dłoni dotknęła załzawionego policzka. A potem zrobiła coś bardzo osobliwego. Uniosła brodę Parwati i po prostu spojrzała jej w oczy. Ta też patrzyła. Ślepie mały różnią się od ludzkich tym, że nie sposób odczytać z nich żadnej myśli. Wydawały się przez to wolne od upływu czasu i pozbawione głębi, jak gdyby nie znały początku ani końca.

To stało się nagle. Parwati poczuła, że rzeczywistość uległa zachwianiu — takiego słowa użyła, opisując później to zdarzenie Mai — a powietrze jak gdyby zamieniło się w wodę. Jej świadomość uniosła się wraz z wirującym powiewem czarnego wiatru. Całkowicie zatraciła poczucie stałości i stała się nieważka, poruszała się łukiem, nie do góry, lecz w dół. Coś wciągało ją przez wąską szczelinę wiodącą w głąb ziemi. Nie bała się, dopóki nie poczuła w sobie pustki, straty i przejmującego żalu.

Męski głos krzyknął „Nie!” prosto do jej ucha i Parwati odrzuciła głowę do tyłu. Nagły ruch sprawił, że małpa od-

skoczyła. Przez dłuższą chwilę małpa i kobieta spoglądały na siebie ze zdumieniem, a potem Mary powoli i bezszelestnie wycofała się i znikła z pola widzenia.

Parwati czym prędzej opowiedziała Mai o tym, co zrobiła Mary. — Małpa nie była sprawcą tego, co się stało — wyjaśniła Maja. — To ziemia w tamtym miejscu powoduje, że wiry energii, których w normalnych okolicznościach nie czuje się, nie widzi i nie słyszy, stają się wyczuwalne. Mówiłam ci, że ta ziemia ma wielką moc. W chwili smutku zapomniałaś o swoich drobnych troskach, nadziejach i pragnieniach i na głębszym, ważniejszym poziomie połączyłaś się z innym stworzeniem. Dlatego wir energetyczny pozwolił ci odczuć swoją obecność i dopuścił cię do tajemnicy. Powiedziałam, że otacza cię nie tylko twoja przeszłość, ale i przyszłość, czekając na to, by móc się objawić. Czas nie jest linearny, lecz sferyczny, można go zatem zmienić dzisiaj, teraz. W momencie tego połączenia wiązka energii pozwoliła ci ujrzeć to, co jest wokół ciebie, co mówi ci terażniejszość.

— Miałam odczucie niewysłowionego żalu. Twarz Mai nie wyrażała niczego.

— Musisz mi to powiedzieć, proszę. Jak mogę zmienić przyszłość, skoro nie wiem, co mam zmienić? — dopytywała się Parwati.

— Jesteś tutaj, ponieważ chciałaś doświadczyć miłości we wszystkich jej przejawach. Twój syn poddał próbie twoje wyobrażenie miłości.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Nosiłaś go w swoim brzuchu, więc nigdy nie pozostaniesz obojętna na najmniejszą krzywdę, która mu się dzieje, lecz on sprawi ci ból.

— Dlaczego? Co widzisz w przyszłości?

— Nie potrafię spoglądać w przyszłość. Nikt nie umie prorokować z niezachwianą pewnością. Nic nie jest ustalone, więc nikt nie może wiedzieć na pewno. My, Azjaci, jesteśmy fatalistami, słuchamy naszych wróżbitów i wzdychamy: „Takie jest przeznaczenie”. Przyszłość to zbiór prawdopodobieństw. W każdej chwili zmieniamy przyszłość za sprawą naszych myśli, decyzji i czynów. Istnieją nawet sposoby, by zmienić przeszłość, jeśli się wie, jak to zrobić. Najmniejsza zmiana wrednym człowieku może wywołać wielkie fale w jego przyszłości, a czasem cała przyszłość ludzkości może się odmienić z powodu drobnej decyzji jednej osoby w malutkim zakątku świata. Parwati poczuła przyływ niechęci.

— Jeśli tak jest, to dlaczego z takim spokojem twierdzisz, że słodkie maleństwo, które nie uczyniło dotąd nic złego, pewnego dnia przysporzy mi żalu?

— Z gwiazd wynika, że istnieje takie prawdopodobieństwo, lecz koncepcja, że ty lub ktokolwiek inny jest ofiarą, to złudzenie. Nic, co ci się przydarza, nie jest złe. Nigdy. Wszystkie zdarzenia zostały starannie wybrane, aby cię wypróbować, aby przekonać się, czy jesteś gotowa do przejścia na następny poziom. Ludzie nie zdają sobie z tego sprawy, ale wnosimy się tylko wówczas, gdy na wszystkie wyzwania reagujemy z głębi serca. Bezwarunkowa miłość nie jest

emocją, dlatego swobodnie płynie przez ciało. Jest potężną, niezmienną, wieczną i nieograniczoną energią i tak jak ogień ma moc przemiany. Ciebie, a być może i jego.

— A jeśli go nie odmieni?

— Także wówczas będzie to doskonały skutek twojej miłości.

Trudno objąć to rozumem, lecz wszystko już jest doskonałe.

Wszechświat składa się tylko z trzech sił: pozytywnej,

negatywnej oraz z równowagi. Kiedy wahadło uzyskuje spokój?

Gdy przestaje się wahać i zatrzymuje się dokładnie pośrodku, w

punkcie równowagi. Wiedz, że wszystko dąży właśnie do tego,

do idealnej równowagi. Ilekroć widzisz chaos lub zamęt, dostrzeż

w tym poszukiwanie spokojnego środka. Czy to będzie człowiek,

zwierzę, sytuacja, kraj, czy planeta, wszystko podlega temu

samemu kosmicznemu prawu. Nie nam sądzić ścieżkę wybraną

przez kogoś innego. Pamiętaj, że ci, którzy pałają gniewem, są

sfrustrowani i rozczarowani albo też znaleźli się w miejscach, w

których zabijają, oszukują i kłamią; oni również już mają w sobie

boskość, tyle że jeszcze nie uzyskali równowagi. Pozwól mu

dojść do równowagi na jego sposób. Można ją osiągnąć w ciągu

tysiąca istnień albo w ciągu jednego, ale wszyscy ją osiągniemy.

•••

Tego wieczoru Kasu Marimuthu nie przyszedł do domu na

kolację, a Parwati leżała w łóżku dręczona wizją zadrapań, które

pies zrobił na drzwiach, gdy zamykała go w pokoju. Mąż wrócił

wczesnym rankiem. Jego kroki zatrzymały się na chwilę przed

drzwiami. Potem przekręcił klamkę i wszedł,



lecz widząc, że żona nie otwiera oczu, mimo że długo stoi obok niej, położył coś na stoliku nocnym i wyszedł.

Była tu muszla pełna niedotykalskich kwiatów. Parwati musnęła palcami miękkie płatki. Kasu Marimuthu wyrażał żal. Między kwiatami leżała niezdarnie złożona kartka papieru. Parwati wyprostowała ją i przeczytała ukośnie nabazgrane słowa. *On się nie bronił, poddał się przeznaczeniu z uśmiechem. To było prawie ujmujące.*

Zadrzała.

Gdy nazajutrz rano zeszła na śniadanie, mąż skończył już posiłek i zbierał się do wyjścia. Odsunął krzesło od stołu i pożegnał się, mówiąc „Dzień dobry” do miejsca znajdującego się piętnaście centymetrów od twarzy Parwati.

•••

Przyszły lutowe deszcze, nieodzowne dla dobrych zbiorów mango. Parwati odwróciła głowę i zapatrzyła się na potop za oknem.

## Choroba

Kasu Marimuthu doznał udaru w wieku pięćdziesięciu dwóch lat. W pierwszej chwili Parwati pomyślała, że jego krzyk jej się przyśnił, więc nic nie zrobiła. Lecz krzyk powtórzył się i był jeszcze głośniejszy. Zeskoczyła z łóżka i po chwili znalazła męża leżącego z ręką podwiniętą pod tułowie. Jego oczy były wywrócone, a usta się wykrzywiły. Pobiegła po Maję, a potem patrzyła z niepokojem, jak ta staje nad nim okrakiem, biorąc jego nadgarstek między kciuk i pierwszy palec.

— Wezwać lekarza?

— Nie — odparła Maja. — Daj mi półtorej godziny. Zachodnia medycyna nie zna lekarstwa na ten paraliż, więc zwłoka nie zrobi różnicy. W czasie tych pierwszych najważniejszych godzin usunę to zeszywnienie.

— Dobrze — zgodziła się bez wahania Parwati. Coraz głośniejsze, choć wciąż niezrozumiałe dźwięki wydawane

przez Kasu Marimuthu świadczyły jednak o tym, że ma on poważne obiekcje wobec zamiarów Mai.

— Obudź Kamalę i każ jej podgrzać dwie garście soli i jedną garść czarnego pieprzu.

Parwati ruszyła biegiem. Powróciwszy, zobaczyła, że Maja uciska kciukiem i palcem wskazującym opuszki palców Kasu Marimuthu. Następnie agrafką odpiętą ze swojej bluzki przekłuła na nich skórę. Kasu Marimuthu krzyczał i mamrotał z bólu i strachu, a ona nakłuwała palce jego stóp. Potem masowała je ruchami do góry. Kasu Marimuthu wydawał ciche jęki.

Kamala wbiegła z solą i pieprzem zawiniętymi w białą ściereczkę. Maja poprosiła o nasiona pieprzu długiego. Kamala pobiegła spełnić polecenie, a Maja przycisnęła gorący kompres do głowy Kasu Marimuthu. Ten krzyknął z wściekłością. Parwati wzdrygnęła się, a Maja przemawiała do niego uspokajająco, nie przerywając jednak zabiegu. Kazała Gopalowi przytrzymać ręce pana, a sama zaczęła przesuwając kompres w dół, na jego czoło i wykrzywioną grymasem twarz. Szczególną uwagę zwróciła na usta, potem zaś przesunęła kompres na szyję i klatkę piersiową. Dotknęła kompresem pach, a następnie tułowia, bioder, zgięć kolan i wreszcie podeszew stóp. Kasu Marimuthu zaczerwienił się od gorąca. Ogromne krople potu, zgromadzone na czole i skroni Mai, spływały strużkami po jej szyi do ciemnego zagłębienia między piersiami. Bluzka na jej plecach była cała mokra.

Gdy Kamala wróciła z nasionami, Maja rozwarła usta Kasu

Marimuthu i wsunęła mu nasiona pod język. Jak tylko kompres się ochłodził, Maja poleciła Kamali ponownie go rozgrzać. Kasu Marimuthu stękał, a Maja oklepywała jego palce, stukała w nadgarstki, międlila brzuch i naciskała całym ciałem na jego plecy. Później znów, głucha na krzyki pacjenta, przykładła kompres do miejsc, które wciąż pozostawały sztywne i nieruchome.

— Wezwijcie lekarza — wykrztusił nagle Kasu Marimuthu. Jak na dany przez kogoś znak, jego oczy wróciły na swoje miejsce. Popatrzył ze zdumieniem na Maję. Mówił cokolwiek niewyraźnie, ale jednak mówił. Zabiegi uzdrowicielki poskutkowały!

Maja się uśmiechnęła.

— Teraz jest wiosna i wszystko można wyleczyć. Będę mu podawała posiłki bez soli, oleju i mięsa i będę go masowała przez kolejnych dziesięć dni, a ty musisz go kąpać w gorącej wodzie i ubierać na czerwono.

Po przybyciu lekarz zastał Kasu Marimuthu siedzącego na krześle. Był słaby i zbolący, lecz wyglądał normalnie. Doktor stwierdził, że zaszła pomyłka, że to niemożliwe, by Kasu Marimuthu przed dwiema godzinami naprawdę miał udar lub został sparaliżowany. To musiał być przejściowy skurcz mięśni albo jakiś atak.

— To niemożliwe, by wyleczyć paraliż za pomocą gorących okładów i półtoragodzinnego masażu, nawet najbardziej energicznego — warknął, spoglądając na Maję z całą mocą swojego autorytetu. Był wszak jednym z bogów tej społeczności.

— Za sto lat większość tego, co czynicie w imię medycyny, będzie uważana za barbarzyństwo — odparła Maja. Wyprostowała się, prezentując swój imponujący wzrost.

Lekarz spojrział surowo na Parwati.

— W przyszłości proszę mnie wezwać niezwłocznie. Widziałem, ile szkody mogą wyrządzić te niewykształcone znachorki nawet w najlepszych zamiarach.

Otworzył czarną skórzaną torbę, wyjął z niej lśniący stetoskop i osłuchiwał klatkę piersiową Kasu Marimuthu. Usatysfakcjonowany, przeprowadził pozostałe rutynowe badania. Na koniec zamknął torbę i orzekł, że fizycznie Kasu Marimuthu nic nie dolega, po czym wyszedł.

^ Może pan wstać — powiedziała Maja, lecz Kasu Marimuthu odmówił.

— Nie mogę, przed chwilą miałem poważny zawał.

— Gdyby tak było, runąłby pan na ziemię ze sparaliżowanym całym ciałem, a nie tylko lewą stroną. Zrobiłabym panu zimny okład na głowę i wywołała wymioty. Odzyskałby pan władzę w prawej ręce. Powłóczyłby pan prawą nogą, lecz mimo to mógłby pan chodzić.

Po kilku dniach, wbrew diagnozie lekarza i zapewnieniom Mai, że może chodzić, Kasu Marimuthu zrobił coś osobliwego.

Zamówił fotel na kółkach i usiadł w nim. Kupił także srebrną laskę, którą umieścił z tyłu na oparciu fotela, lecz nigdy nawet nie spróbował jej użyć. A później, jako że nie lubił być wnoszony i znoszony po schodach, wynajął chińskich robotników, by zbudowali windę.

Ubrany w szlafrok, powiedział do Parwati:

— Nie wiem, dlaczego tak jest, ale czuję się tak, jak czują się pisarze.

W istocie pisarstwo wcale go nie interesowało. Jego prawdziwą pasją było czytanie. Gdy po raz pierwszy poprosił, by Parwati weszła po kręconych schodach do biblioteki i przyniosła mu książkę, ta zorientowała się, że mąż zna położenie każdej z nich. W końcu nie był to przypadkowy zbiór. Kasu Marimuthu bardzo starannie wybrał tysiące tomów do swojej kolekcji.

Pewnego wieczoru, gdy siedział na werandzie i czytał, zauważył, że jego syn zagląda do krzewów kwiatowych rosnących obok narożnika domu. Znalazł tam gniazdo ptaków. Kasu Marimuthu chciał krzyknąć, powiedzieć mu, żeby nie dotykał piskląt, gdyż matka je porzuci. Wtem głos zamarł mu w gardle i tylko spoglądał na syna z rosnącym przerażeniem. Malec wyjął pisklę z gniazda i trzymał w zagłębieniu dłoni. Potem rozprostował rękę, odsłaniając drżące, głośno ćwierkające stworzonko. Usiłowało stanąć na nóżkach i się zachwiało. Chłopiec podniósł dłoń na wysokość oka. Następnie chwycił maleńką główkę między kciuk a palec wskazujący i rozmyślnie przekręcił szyję. Ćwierkanie ucichło.

Oczy Kasu Marimuthu niemal wyszły z orbit, gdy patrzył na to lekkomyślne okrucieństwo. W polu widzenia pojawiła się Maja. Chłopiec niczym we śnie uniósł głowę i spojrzał na nią. Jej ciężka dłoń powędrowała do jego twarzy i pogłaskała ją czule. Chłopiec zapadł w swoisty trans. Delikatnie dotknęła jego grdyki, a Kasu Marimuthu instynktownie zakrył

dłonią swoją szyję. Miał dziwne wrażenie, że również doświadczył czegoś podobnego.

Spoglądając chłopcu prosto w oczy, powiedziała:

— Możesz postępować lepiej, wiem, że cię na to stać. Nie zasmucaj serca swojej matki. Widziałam przyszłość i nie wygląda ona dobrze, ale nie jest wykuta w kamieniu. Nic takie nie jest. Możesz ją zmienić, możesz być inny. Wystarczy postanowić. Przyszedłeś tutaj, by nad sobą zapanować, pamiętasz o tym?

Wyjęła z dłoni chłopca martwego ptaka i się oddaliła. Ten długo wychodził z transu. Przez chwilę stał, zmieszany, lecz potem wzruszył ramionami, podniósł patyk leżący u jego stóp, rzucił go byle gdzie i pobiegł w stronę plaży.

Kasu Marimuthu patrzył w zamyśleniu w dal. Przypomniawszy sobie słowa Parwati: „Maja przebywa na tym świecie, ale z niego nie jest. Ona jest niezwykła”.

Wieczorem, gdy Maja przyszła zrobić mu masaż, zapytał:

— Czy to prawda, że potrafisz zajrzeć człowiekowi w lewe oko i zobaczyć zwierzę, które najbardziej przypomina?

Maja rzuciła mu przelotne spojrzenie i przytaknęła, a potem znów zajęła się ucieraniem małej gałązki, jak gdyby każda najdrobniejsza drobinka była drogocenna.

— Powiedz mi zatem, co dostrzegasz w oczach mojej córki?

Maja uśmiechnęła się do siebie.

— Teraz, gdy jest młoda, widzę w nich pawia. Pięknego, próżnego i pewnego siebie. Jednak z czasem nabierze dobroci i będzie dawać miłość.

— A mój syn?

— Ma wąskie ramiona wilka i niewdzięczne spojrzenie krokodyla, które sprawi, że pożre serce swojej matki.

— Co można z nim zrobić?

— Nic. W boskim planie jest doskonałym wehikułem swojego rozwoju.

Kasu Marimuthu ze zdumieniem patrzył na kucharkę.

— Teraz tego nie zrozumiesz, panie, a ja nie umiem ci tego wytłumaczyć.

Kasu Marimuthu zamknął oczy. Wkrótce odejdzie, a wraz z nim umrze ta odrobina dyscypliny, którą chłopiec nad sobą miał.

Nazajutrz wezwie swojego adwokata i dokona zmian w testamencie, przekazując żonie więcej pełnomocnictw.

— Powiesz mi, co widzisz we mnie?

— Tygrysa. Samotnego, zranionego, przerażonego i atakującego na oślep.

— Jakie zwierzę nosi w lewym oku Sita?

Maja oderwała się na chwilę od swojego zajęcia i spojrzała na niego.

— A jak myślisz, panie?

— Sarnę. Dobrą, niewinną i łagodną. Maja wybuchnęła śmiechem.

— Och, panie, wcale nie znasz swojej żony. Ona nie jest sarną, lecz śnieżną panterą. Nieuchwytną, odważną, tajemniczą i nieodgadnioną.

Kasu Marimuthu cmoknął, wyrażając niedowierzanie.

— Ależ to niemożliwe. Zawsze jest taka cicha, płochliwa i spokojna.



Nawet kiedy się na niej kładę, pomyślał.

— Jest tak spokojna, panie, że widziałeś ją i nie rozpoznałeś.

— Pozwala sobą rządzić synowi, a to nie świadczy o jej tajemniczości i instynkcie drapieżcy, prawda?

— To przywilej, który podarowała mu jej miłość.

Kasu Marimuthu zamilkł na chwilę. Potem zadał pytanie, którego jego serce pragnęło najbardziej:

— A tancerka?

— Była łabędziem ze złamanym sercem. Jej partner odszedł i zostawił ją.

Kasu Marimuthu zamknął oczy, by ukryć ból. On jednak wsączył się do jego ust.

— Wciąż ją kocham — szepnął łamiącym się głosem.

— Wiem o tym — odparła Maja tak łagodnie, jak nigdy by się po niej spodziewał.

## Ostatnie dni

Maja włożyła palce w rzadkie ciasto z mąki ryżowej, by nakreślić wzór na podłodze tuż za drzwiami pokoju Kasu Marimuthu.

— Pentagram? — zauważył po chwili pan domu.

— A więc tak to się nazywa. Nie znałam angielskiej nazwy.

— Co zachodni symbol czarów ma wspólnego z hinduizmem?

— Jeśli uważasz, panie, że to jest symbol czarów, to znaczy, że męska energia, władająca Ziemią od trzynastu tysięcy lat, nasyciła jeszcze jeden symbol kobiecej władzy negatywnym znaczeniem. Te splecione trójkąty są znakiem bezwarunkowej miłości.

Kasu Marimuthu zaśmiał się krótko.

— Dlaczego wielkie i świeckie zgromadzenie, jakim jest rząd Stanów Zjednoczonych Ameryki, miałoby wykorzystywać symbol bezwarunkowej miłości jako oznakę potęgi

wojskowej i umieszczać je na każdym czołgu, samolocie bojowym czy pocisku?

— Człowiek zaczyna się zastanawiać, kim naprawdę są ci ludzie u władzy, prawda? — Maja się uśmiechnęła. — Używają go, bo zdają sobie sprawę z jego nieograniczonej mocy. W czasach wielkich mędrców i ludzi o czystych sercach strzała wypuszczona po wyszeptaniu do niej mantry mogła trafić w cel znajdujący się w odległości wielu kilometrów. Teraz światem rządzą ludzie pozbawieni skrupułów i jeśli ich pasożytniczy byt ma trwać, muszą zaprzeczyć mocy takich symboli, muszą zniszczyć ich dobre imię i zabronić innym ich wykorzystywania. Kasu Marimuthu zmarszczył brwi i splótł ramiona.

— Czemu święty symbol pozwala wykorzystywać się w niewłaściwy sposób?

— Rasa ludzka przywykła osądzać, lecz prawa uniwersalne nie osądzą. Prawo jest prawem. Czy siła ciężenia rozróżnia między zbrodniarzem a świętym? Wszystkie święte symbole podlegają powszechnym prawom kosmosu, należą do każdego, kto ich pragnie, i użyczają swej mocy zarówno do leczenia, jak i do niszczenia. Istnieje starożytne podanie o nikczemnym królu, który przez setki lat sumiennie odprawiał pokutę. Wreszcie zjawił się przed nim Pan Siwa i oznajmił, że podaruje mu wszystko, co zechce: bogactwo, władzę, nieśmiertelność... Jednak od wielkiego boga niszczyciela król zażyczył sobie tylko jednego: mocy zamieniania w popiół wszystkiego, czego tknie! By wypróbować swoją nową moc, król powiedział, że dotknie głowy darczyńcy. Śiwa rzucił się do ucieczki, bo cóż

innego mógł zrobić? Król rozpoczął pościg. Obserwujący to z nieba Wisznu wybawca zamienił się w niewyobrażalnie piękną kobietę i stanął królowi na drodze. To była miłość od pierwszego wejrzenia. „Wyjdź za mnie!”, krzyknął król. „Przysięgnij na swoją głowę”, odparła skromnie niewiasta. Król bez zastanowienia dotknął swojej głowy i obrócił się w popiół. Te postacie są alegoriami, lecz Śiwa to moc, która nie może odmówić prośbie złego króla, tak samo jak nie może jej odmówić świętemu. Podobnie energia zawarta w tym pentagramie przekaże swój dar każdemu, kto jej użyje.

— Na Boga, nie mogę uwierzyć, że prowadzę z tobą taką dyskusję! Ty nawet nie słuchasz radia! Co możesz wiedzieć o tym, co dzieje się po drugiej stronie globu?

— Nic nie wiem o wielkich sprawach tego świata, więc może powiesz mi, panie, skąd pochodzi Statua Wolności?

— Jest darem francuskich wolnomularzy — odparł Kasu Marimuthu.

Maja podniosła głowę, by spojrzeć na niego.

— Czyżby od jednego z tych zachodnich tajnych stowarzyszeń?

— spytała ze śmiechem. — W prawej ręce trzyma wysoko pochodnię, symbol swojego małżonka, boga słońca. Bo w rzeczy samej jest boginią królową religii babilońskiej, o czym świadczą także ciernie wokół jej głowy.

Kasu Marimuthu zmierzył Maję ostrym spojrzeniem. Ta kobieta postradała zmysły.

— Do czego prowadzą te wszystkie androny?

— Do skupienia mocy chłodnej, ściśle pragmatycznej, starożytnej linii rodowej, nie do końca ludzkiej. — W tym

momencie Kasu Marimuthu uniósł raptownie brwi i uśmiechnął się sceptycznie, lecz Maja mówiła dalej: — Jej przedstawiciele posiadli już większość bogactwa na Ziemi i mają niewyobrażalną władzę, ale tak skrzętnie ukrywają się w cieniu, że niemal nie istnieją. Ich celem jest wyłączna władza, dominacja nad światem, jeden ogólnoswiatowy rząd. W dążeniu do niego nigdy nie podejmują ryzyka. Zajrzawszy za kulisy, zobaczyłbyś, panie, że ich pieniądze mają wpływ na wszystko: na partie rządzące i opozycyjne, na głowy państw, rządy, światowe organizacje, banki centralne, przemysły żywnościowy i farmaceutyczny, media oraz na wszystkie tajne agencje szpiegujące ludzi. W subtelny sposób masy zostaną zahipnotyzowane i ogłupione za pomocą systemu szkolnictwa oraz stałej rozrywki tak otepiającej zmysły, że w pewnej chwili nie wystarczy już nawet twarda pornografia. Zdezorientowani ludzie nie zauważą, że ich władza jest systematycznie ograniczana, a zdolność wykorzystywania prawdziwego potencjału została zdławiona. Za niespełna sto lat rozpocznie się proces zwany globalizacją, który umożliwi coraz bardziej nielicznym koncentrować w swoich rękach władzę nad rzeszami. Jako pierwszy powstanie centralny rząd w Europie. — Chwileczkę — rzekł Kasu Marimuthu, którego te rewelacje bardzo rozbawiły. — Ponieważ ty to mówisz, jestem w stanie wyobrazić sobie ludzi skrzyżowanych z kosmitami. Ale centralny rząd w Europie to już obłąd. Oni się nawzajem nienawidzą. Wiesz o tym, że w Europie toczy się wojna, która uniemożliwi to, o czym przed chwilą powiedziałaś?

— Wojna to jedynie okazja, z której odpowiedni ludzie umieją skorzystać. Powstanie jedno państwo europejskie, a później Ameryka połączy się z Meksykiem i Kanadą.

— Amerykanie nigdy do tego nie dopuszczą.

— Stany Zjednoczone Ameryki to miejsce, w którym stoczona zostanie ostateczna wojna dobra ze złem na Ziemi. Deklaracja Niepodległości, mówiąca o równości, wolności i spełnieniu, napisana przez Ojców Założycieli, była zaczątkiem świętej wizji, która miała kiedyś przekształcić cały świat. Jednakże do głosu doszły podstępne siły. Pewnego dnia syn i wnuk skazanego wyrokiem zostanie prezydentem Stanów Zjednoczonych i świat dowie się, czym jest permanentna ekonomia wojny. Będzie to polityka polegająca na dostarczaniu broni obu stronom konfliktu, tak aby świat trwał w stanie lukratywnej wojny. No i ropa! Czego oni dla mej nie zrobią?! Wtedy wynajdą pożyteczne określenie, jakim jest terrorizm. Ludzie dzierżący władzę skierują atak na własny naród i obarczą winą terrorystów. W imię bezpieczeństwa uchwalone zostaną drakońskie prawa, kochający wolność naród amerykański stanie się jednym z najbardziej kontrolowanych na świecie. Wszystko to będzie prowadziło do osiągnięcia celu, którym jest światowy rząd, budząca trwogę globalna armia, społeczeństwo posługujące się jedną walutą i nieużywające gotówki oraz stworzenie systemu chipów umieszczanych w ciele. Ludzkość upodobni się do stada owiec.

— Jeśli wszyscy będziemy manipulowanymi zwierzętami, jaka pozostaje nadzieja na przyszłość? — spytał z udanym przestraczem Kasu Marimuthu.

— Dla nas zawsze pozostanie prawo karmy, inny doskonały przykład prawa, które nikogo nie dyskryminuje. Wszystkie działania mają swoje konsekwencje. Niech ludzie o tym wiedzą. Krzywda zawsze tworzy popiół. System zacznie pękać. Ciemność zawsze służy światłu. Ludzkość rozwija się w stronę szamańskiej świadomości, wszyscy obudzimy w sobie świadomość swojej mocy. Pewnego dnia ludzie zrobią to, co należy, nie dbając o konsekwencje dla nich samych, i tego dnia wszyscy znów będziemy wolni. Może nie za naszych czasów, lecz z pewnością zanim skończy się czas Rubini, wszyscy musimy wzniecić w sobie świadomość, gdyż w przeciwnym razie będziemy przeklęci. Bo wszyscy jesteśmy w sposób nierozzerwalny połączeni i dopóki choć jeden człowiek jest zgubiony, wszyscy jesteśmy zgubieni.

## Nadejście boga

Kufer pełen książek poświęconych wszystkiemu, co japońskie, zamówiony przez pana domu, nadszedł. Kasu Marimuthu wybrał te, które uważał za najważniejsze, i kazał Parwati je przeczytać. — Poznaj swojego wroga — rzekł.

Ona jednak przerzucała pobieżnie kartki. Jałowe wywody o cesarzach, szogunach, samurajach i traktatach portowych.

Odrzuciwszy je, kucnęła przy kufrze i wybrała tom poświęcony japońskiej sztuce. Patrzyła na nieznane krajobrazy nakreślone kilkoma prostymi ruchami pędzla, lecz nie mając wrażliwości kulturalnej pozwalającej docenić taką surowość środków wyrazu, odłożyła książkę i wybrała inną. Przeglądała strona po stronie, aż napotkała rysunek gejszy. Patrzyła na białą niczym kość twarz z pomalowanymi na szkarłatny kolor ustami. Dotknęła ryciny, jak gdyby coś ją do tego przymuszało. Jej palec wydał się bardzo ciemny na tle plamy twarzy.



Czy były to oczy nieznannej kobiety, zimne i odległe, czy też myśl o ludzkiej twarzy zamienionej w maskę, ale Parwati poczuła pokrewieństwo z tą smutną istotą. Przeczytała umieszczony poniżej opis. Anonimowa gejsza z dziewiętnastego wieku. Autor starał się wykazać, że gejsze nie były prostytutkami, lecz nadzwyczaj wyrafinowanymi kobietami, które służyły mężczyznom i zabawiały ich w herbaciarniach. Jak można zabawiać mężczyznę, jeśli nie za pomocą ciała?

Parwati dotarła do zbioru listów miłosnych, które gejsze napisały do swoich kochanków. Nie było w nich nic wzniosłego, lecz dzięki nim Parwati po raz pierwszy poznała smak romansu literackiego. Przykuły jej uwagę. Odniosła wrażenie, że wszystkim, którzy poznali miłość w Japonii, pisany był zły los. Gejsza zawsze zostawała ze złamanym sercem albo popełniała samobójstwo. Spojrzała ponownie na nieznaną kobietę. Czy ty także się zabiłaś?

Na samym dnie kufra znalazła książkę o seksie, określoną eufemistycznie mianem „dźwigni sprzedaży”. Była pełna rysunków mężczyzn i kobiet oddających się lubieżnym czynnościom. Całkowicie zaszokowana, ale także zafascynowana, studiowała je szczegółowo. Obrazki były coraz bardziej nieprzyzwoite. Stronice zapełniały okropne postacie z wywróconymi oczami, wijące się pod nienaturalnej wielkości genitaliami.

Jedna ilustracja była bardziej odpychająca od wszystkich innych. Przedstawiała kobietę w objęciach olbrzymiej ośmiornicy, lecz ośmiornica miała dziób wsunięty między nogi

kobiety i zdawało się, że ją pożera. Parwati dziwiło i dezorientowało to, że kobieta nie wyglądała na przerażoną, cierpiącą ani zdjętą odrazą. Wprost przeciwnie: jej twarz wyrażała czystą ekstazę. Cóż za nieprzyzwoite plemię, pomyślała, lecz niespodziewanie dla samej siebie wydarła kartkę, złożyła ją we czworo i wsunęła za bluzkę.

•••

— Pamiętasz Samuela Westa? — zapytał Kasu Marimuthu.

— Tak. Dlaczego pytasz?

— Wybuchł wielki skandal. West bierze rozwód.

— Och!

— Zagustował w tobie, jak mi się zdawało. — Widząc nagłą zmianę wyrazu twarzy żony, Kasu Marimuthu spytał cierpko: — Czy z tego ziarna coś wykiełkowało?

Parwati opanowała się, spojrzała mężowi prosto w oczy i odparła:

— Bez podlewania ziarno nie wykiełkuje.

— West może tutaj powrócić — rzekł enigmatycznie, lecz Parwati nie pociągnęła wątku.

Minęły trzy miesiące; Parwati wciąż zmagala się z podstawami, tymczasem Kasu Marimuthu całkiem dobrze opanował japoński. Jednocześnie jednak jego skóra przybrała dziwne, woskowożółte zabarwienie. Skarżył się na nudności, gorączkę, dreszcze, wymioty i bóle w brzuchu. Jego organizm zaczął przenosić merkaptany prosto do płuc. Lekarz stwierdził, że są to późne objawy nieżyty wątroby, a Maja nazwała ten stan tchnieniem śmierci. Jednak nawet wtedy łaknienie al-

koholu było w nim tak silne, że nikt oprócz Parwati nie mógł się doń zbliżyć.

— Potrzyj mnie za rękę. Boję się — wyszeptał. Parwati ujęła dużą suchą rękę męża i nie puszczała jej, dopóki nie zasnął.

Maja siedziała na bujanym fotelu na parterze.

— Zasnął? — spytała.

— Tak — odparła Parwati, siadając na bujanym krześle naprzeciwko. Zakołysała się lekko, jej zmęczone powieki opadły. Nagle głośny krzyk zburzył ciszę. Parwati poderwała się odruchowo. Kasu Marimuthu zbudził się i potrzebował pomocy. Maja także wstała.

— Ja pójdę.

— Jesteś pewna? — zapytała Parwati, opadając z powrotem na miękkie poduszki.

Otworzywszy drzwi, Maja zobaczyła, że zaczerwieniony Kasu Marimuthu rzuca się na łóżku. Odsunęła moskitierę, a on przestał jęczeć i spojrzał na rosłą kucharkę. Tchnęła spokojem i wyglądała bardzo schludnie. Zanurzyła palec w szklance z wodą stojącej przy łóżku i przesunęła nim po spękanych ustach Kasu Marimuthu. Jego język, pokryty białym i żółtym osadem, wysunął się, by liznąć chłodnego płynu.

— Puść — powiedziała. — W swoim nowym otoczeniu nie potrzebujesz tego gnijącego ciała.

Kasu Marimuthu ze strachu otworzył oczy i usta. Górna warga Mai pokryła się wilgocią, gdy kobieta położyła mu

rękę na brzuchu i długimi powolnymi ruchami jąta nacierać jego poplamioną skórę olejem sezamowym nasączonym ziołami. Siła i ciężar jej dłoni sprawiły, że lęk Kasu Marimuthu znikł. Oczy się zamknęły.

— Wiem o tym — rzekł. — Nie jestem taki jak mój dziad. Nikt nie musi wkładać mi do ust ziemi i złota. Jestem gotów wszystko zostawić. I tak nigdy nie dało mi to szczęścia.

Maja skinęła głową i spokojnymi ruchami dalej nacierała mu brzuch. Chory pogrążył się we śnie.

•••

Dwudziestego piątego sierpnia, gdy na Londyn spadły pierwsze bomby, Kasu Marimuthu przestał wstawać z łóżka. Odwiedzało go mnóstwo lekarzy, lecz żaden nie był przekonany, że pacjent ma szansę wrócić do zdrowia.

— Parwati! — zawołał Kasu Marimuthu.

Spojrzała na niego, szeroko otwierając oczy. Po raz pierwszy użył jej prawdziwego imienia.

— Wiedz, że cieszę się, iż się z tobą ożeniłem. Byłem głupcem, goniąc za urodą. To tylko garść powietrza. Kiedy odejdę, nie noś wdowiego białego sari i pod żadnym pozorem nie próbuj prowadzić interesu. Natychmiast wszystko sprzedaj, bo w przeciwnym razie twoja rodzina, która nawet nie kiwnęła palcem, by uchronić cię przed moim gniewem, zjawi się tutaj i rozgrabi wszystko, co zbudowałem. — Parwati spoglądała na niego pustym wzrokiem. Usłyszała tylko to, że kochał ją z litości. Kasu Marimuthu chwycił jej dłoń. — Nie bądź głupia, musisz mi uwierzyć. Przyjdą tu, żeby cię okraść, jeden

po drugim. Przymierzaj, że sprzedasz wszystko bez zwłoki. Zostawiłem wystarczająco dużo, żeby niczego wam nie brakowało przez pokolenia.

— Obiecuję — powiedziała Parwati i w tym momencie mogła przysiąc, że naprawdę zamierza to zrobić.

— Japończycy nadchodzą. Są grubiańscy i nieludscy. — Parwati pomyślała o kobiecie z ośmiornicą. — Będiesz bezpieczna, bo oni nie lubią ciemnej karnacji. — W tym momencie Parwati przemknęła myśl o białoskórej gejszy. — Ale zrób wszystko, by ochronić moją córkę. Obetnij jej te piękne włosy. Ubierz ją na niebiesko, to nie jest jej kolor. Każ krawcowi uszyć jej szerokie koszule ze starego materiału. Zmień ją w chłopca i ukrywaj najlepiej, jak się da. Nie posyłaj jej nawet do szkoły, bo tam też przyjdą. Ucz ją sama w domu. Przy wejściu do domu umieść ogromny portret Mahatmy Gandhiego. Japończycy traktują dobrze wszystkich tych, u których znajdują jego podobiznę.

•••

Naczelny kapłan świątyni Pulliara przybył z grupą kapłanów bramińskich. Mieli wysoko upięte włosy i pękate brzuchy. Zjawili się specjalnie po to, by odprawić obrzęd *yagna*. W celu zachęcenia bogów do udzielenia błogosławieństw choremu zebrali się wokół dużego ceglanego paleniska przy wejściu domu i rozpalili ogień. Główny kapłan uniósł grubą drewnianą łyżkę i zaczął wrzucać w płomienie porcje czystego *ghee*, orzechów, przypraw, słodkiego ryżu, kwiatów, korzeni, banknotów, mleka oraz soli.

Ogień był coraz gorętszy, a oni podsycali go jeszcze bardziej nieustającym śpiewem. Powtarzali tajemne mantry sanskryckie kończące się słowem *swaha*. Głosy kapłanów różniły się, były głębokie, przenikliwe, niskie, piskliwe i wysokie, lecz pięknie łączyły się z sobą, wibrowały i wznosiły do crescendo, które zabrzmiało tak potężnie, że włoski na rękach Parwati się zjeżyły. Ktoś powiedział: „Wrzuć do ognia jakiś klejnot”, więc Parwati zdjęła bransoletę z nogi i kapłani cisnęli ją w płomień. Karmili ogień przez jeden dzień i jedną noc. Nadpłynęły ciemne chmury, piorun rozdarł niebo i spadła ulewa. Bogowie przyjęli dary. Nagle wszyscy poczuli nadzieję, że Kasu Marimuthu wróci do zdrowia.

Żywili ją aż do chwili, gdy ktoś ze służby znalazł w popiele stalowe okucie importowanego buta Kuberana. Zaciskając nerwowo ręce z zakłopotania, pobiegli do pani. Któż mógł popełnić takie świętokradztwo? Parwati poczuła, że jej dłonie robią się mokre. Zawołano Kuberana. Początkowo zaprzeczał, lecz po chwili ktoś sprowadził z kuchni Maję. Kuberan odczuwał przed nią lęk. Kucharka stała przed nim ze splecionymi na piersi rękoma i patrzyła tak długo, aż się przyznał. Nie miał złych zamiarów, chciał tylko zobaczyć, jak pali się jego but. Wydukał, że wrzucił but do ognia po tym, jak kapłani skończyli odprawiać modły. Służący gapili się nań oczyma szeroko otwartymi ze zdumienia. Rubini przyniosła różgę i podała Parwati.

— *Papa* jest zbyt chory, więc ty musisz go ukarać — rzekła do macochy.

Parwati ścisnęła cienką różgę w dłoni i spojrzała żałośnie na Kuberana. Nigdy dotąd go nie uderzyła. Syn patrzył na

nią bez wyrzutów sumienia. Zagryzła wargę. Wszyscy uważali, że swoim postępkim okazał lekceważenie świętemu obrzędowi, lecz ona nie patrzyła na to w taki sposób. Był rozpieszczony i wymagający i umiał postawić na nogi wszystkich domowników, gdy zginęła mu zabawka, lecz ona widziała w nim po prostu psotne dziecko. Wiercił dziury w zewnętrznych ścianach domu i podglądał służące w toalecie, a raz nawet wstał w środku nocy, by pomalować na zielono rzadkie okazy ptaków z kolekcji ojca. Parwati stanęła przed nim. Czy tego chciał, czy nie chciał, zepsuł ceremonię *yagna*, a później kłamał.

— Jest mi naprawdę przykro, *arna* — powiedział drżącymi wargami.

Parwati krajało się serce, lecz służba patrzyła. Kara była konieczna.

— Wyciągnij rękę — rozkazała surowo.

Kuberań spełnił polecenie. Wydawał jej się taki mały i bezbronny. Parwati uniosła wysoko różgę, a malec błyskawicznym ruchem odsunął dłoń i różga trafiła w blat stołu. Serce Parwati biło bardzo szybko. Syn przyglądał jej się bacznie, w jego oczach znów pojawił się błysk. Trzeba jakoś poskromić tego chłopca, pomyślała.

— Powinnaś go smagnąć — rzekła w ciszy Rubini, a potem skierowała wzrok na brata. — A ty nie powinieneś był tego robić.

— On jednak tylko uśmiechnął się do niej łobuzersko.

Dziewczynka przez chwilę patrzyła na niego ze zdumieniem.

— Jeśli coś stanie się tacie, to będzie twoja wina! — zawołała, po czym wybiegła z płaczem.

Parwati kazała wszystkim odejść.

— Czemu to zrobiłeś? — spytała syna, który spoglądał na niej bez cienia strachu.

Kuberan zastanowił się przez chwilę, a później pokręcił głową.

— Nie mam pojęcia — odparł ponuro.

— Ale wiedziałeś, że *zeyagna* jest odprawiana za tatę, prawda?

Chłopiec kiwnął głową. Wydawało się, że w tym geście jest odrobina smutku.

— Nie kochasz ojca?

Nagle oczy Kuberana wypełniły się łzami. Do tej pory nie pomyślał o skutkach swojego postępku.

— Idź do pokoju i nie wychodź, dopóki ci nie pozwolę. W drzwiach Kuberan zatrzymał się i odwrócił.

— Jeśli tata umrze, to nie będzie moja wina, prawda?

— Nie — odparła cicho Parwati. Kasu Marimuthu leżał tymczasem w łóżku na piętrze i z każdą chwilą był coraz słabszy. Dwa dni później wróg wylądował na brzegach Wysp Malajskich. Z plantacji w Malakce dotarła wieść, że słychać odgłosy wybuchów. To nie Japończycy bombardowali wyspę, lecz Brytyjczycy niszczyli swoje pozycje strategiczne. Przedsiębiorcy zaczęli wyprowadzać się ze swoich bungalowów. Wyjeżdżam do Dżohor stop, brzmiał pierwszy telegram. Niebawem wszyscy się ewakuowali. Brytyjczycy opuścili tonący okręt. Samoloty przelatywały po niebie trójkami. Parwati nigdy nie wiedziała, czy są brytyjskie, czy japońskie. Wiedziała tylko, że wszyscy powinni biec do schronu.



Kasu Marimuthu przyciągnął do siebie Parwati za ramię tak, że jego usta znalazły się tuż koło jej ucha.

— Jak jest po japońsku „przyjaciół”?

Parwati pokręciła głową. Słowo już wyleciało jej z pamięci. Mąż przyciągnął ją ponownie.

— *To-mo-dachi* — wyszeptał.

— *Tomodachi* — powtórzyła Parwati, a on uśmiechnął się ze zmęczeniem.

— Ból zniknął. — Jego oczy były pełne spokoju, a twarz promieniała. Nigdy nie wyglądał lepiej niż w tej chwili.

Parwati czyściła lampkę oliwną w kaplicy, gdy usłyszała ciche brzęknięcie. Uniósłszy głowę, zobaczyła, że mały posążek Mai stracił drugą rękę. Parwati stała przez chwilę zaszokowana, a potem rzuciła się pędem do kuchni, wołając:

— Maju! Maju!

Kucharka zaczęła biec w stronę, z której dochodził głos Parwati. Stanęły, znalazłszy się w zasięgu swojego wzroku.

— Odpadło drugie ramię Nagamy.

— A zatem czas odejść.

— Nie możesz nas teraz zostawić! — krzyknęła Parwati. Maja pokręciła głową.

— To nie ja odejdę, lecz ty. Ja tylko za tobą podążę.

— O czym ty mówisz?

— Poczekajmy na to, co się stanie.

•••

Kasu Marimuthu zaczął wymiotować krwią. Ziemia, która go nosiła, zapragnęła go odzyskać. Nie przeżyje nocy. Maja

zapaliła w jego pokoju świecę pomarańczową i kadzidelko sandałowe, by ułatwić oddzielenie eterycznej powłoki od ciała.

— Nie opuszczaj mnie, *papa* — zaszlochała Rubini.

— Dziecko, nie zatrzymuj tatusia, bo, może utknąć pomiędzy dwoma światami — pouczyła łagodnie Maja. — Jego misja tutaj spełniła się, a on musi pożegnać się z przeszłością. Już otworzyła się brama i przybywają piękne istoty, by go odprowadzić. Niech towarzyszy mu twój śpiew.

Wczesnym rankiem Kasu Marimuthu ogarnął nagle gorączkowy niepokój. Przywołał wzrokiem Parwati, a gdy się zbliżyła, chwycił ją za rękę i przyciągnął ją do udreżonej twarzy. Otarł się kłującym policzkiem o jej twarz, jego gorący i cuchnący oddech owionął jej szyję. To był jego ostatni przyływ siły. Już niedługo, za parę minut odejdzie. Jego słowa były zaledwie szeptem:

— To ważne. Nie obcinaj włosów, Parwati. Wypowiedziawszy te ostatnie niepojęte słowa najbogatszy człowiek w Kuantanie wpadł w ramiona śmierci.

Jego synowi wręczono zapaloną pochodnię, by obszedł z nią trumnę. Parwati się rozpłakała. Nie dlatego, że złamano jej serce, lecz dlatego, że otwierająca się przed nią przyszłość była ponura i niepewna. Dawny zwyczaj sati odszedł w niepamięć, lecz los hinduskiej wdowy był nędzny. Gdyby była braminką, musiałaby ogolić głowę; mimo to obyczaj nakazywał, by stała się kimś niewidzialnym, mniej niż nikim. Nie wolno jej było dłużej nosić *kum kum*, kolorowych ubrań i biżuterii. W wieku dwudziestu sześciu lat została kobietą, której ludzie nie zapraszają na wesela i inne wystawne

spotkania. Nawet podczas ślubów własnych dzieci nie wolno jej było udzielać błogosławieństw ani brać udziału w żadnych obrzędach. W gruncie rzeczy dobra matka miała całkowicie się usunąć, gdyż symbolizowała zły los.

Pogrzeb był imponujący. Dom wypełniło mnóstwo ludzi, większości Parwati nigdy przedtem nie widziała. Chuda ciemnoskóra kobieta otoczona pięcioma małymi urwisami rzuciła się na podłogę obok trumny i szlochała tak rozpaczliwie, że Parwati kazała służącemu dowiedzieć się, kim ona jest. Jej mąż był zbieraczem kauczuku i pijakiem, który bił ją bezlitośnie. Gdyby nie wypłacana co miesiąc zapomoga Kasu Marimuthu, kobieta i jej dzieci umarłyby z głodu. W ciągu kilku godzin siedem innych kobiet z gromadkami żalosnych dzieci przyszło, by opłakiwać szczodrego dobroczyńcę.

Parwati zdjęła *thali*, ucałowała je i włożyła do trumny. Później najstarszy przyjaciel Kasu Marimuthu przyniósł je z miejsca kremacji i włożył do ręki Parwati. Zgodnie z obyczajem podarowała medalion świątyni.

Tej nocy obudził ją dźwięk dzwonek.

Dzyń, dzyń, dzyń — niosło się po pustych szklanych korytarzach i schodach, przez dziedziniec i w stronę gabinetu. Było coraz cichsze i tam zamarło. Parwati leżała bez lęku. Wiedziała, że to dzwonki małej tancerki Rubini, ale co, u licha, dziewczynka robiła o tej porze nocy? Pierwsze dźwięki klasycznej hinduskiej muzyki, zagrane zbyt głośno, wystraszyły ją. Zapaliły się światła sceny na wyspie. Parwati zsunęła się z łóżka i wyszła na balkon. Rubini wiosłowała ku wysepce.

Parwati sięgnęła po lornetkę teatralną. Dziewczynka wkroczyła na zalaną blaskiem scenę i momentalnie oddała się muzyce. Taniec rozpierał Rubini, roznosił ją, tańczyła dla ojca. Ubrana w żalobną szatę Parwati obejrzała ostatni i najlepszy występ taneczny Rubini.

•••

Portret Gandhiego przybył równocześnie z adwokatem. Młodzi służący powiesili podobiznę naprzeciwko wejścia, a Parwati stanęła przed prawnikiem z dwojgiem przytulonych do niej dzieci. Ten oznajmił, że zmarły mąż zostawił jej wszystko oprócz posagu Rubini, domu w Bangsarze w Kuala Lumpur oraz kawałka ziemi, który miał pójść na opłacenie edukacji syna.

Ufając w roztropność żony, na jej ręce złożył obowiązek podziału bogactwa między dzieci, gdy nadejdzie czas. W banku Coutts znajdował się rachunek z sześćdziesięcioma tysiącami funtów szterlingów, który miał zostać automatycznie przeniesiony na jej nazwisko. Parwati otrzymała kopie praw własności ziemi i majątku, które przeszły w jej ręce.

Po wyjściu adwokata Parwati schowała cały plik urzędowych papierów za książkami w ogromnej bibliotece. Tego samego dnia wieczorem razem z Mają wzięły wszystkie klejnoty znajdujące się w sejfie i zakopały je pod drzewem tulipanowca.

Po upływie trzech dni goście przestali nawiedzać dom. Odziana w białe sari poszła nakarmić kobrę. Gdy przykucnęła obok ołtarza, by nalać mleka, usłyszała z tyłu szelest

rozsuwanych liści. Odwróciła się nie szybko, lecz powoli... Tak długo czekała na ten moment. Olbrzymia kobra ze złotym wybrzuszeniem na głowie zsuwała się po pnączach do drewnianej klatki. Bóg Parwati okazał się ogromny! Przez całe lata przychodziła tam, żeby go karmić, a on tak wspaniale wyrósł. Do tej pory nikt go nie spotkał. Wąż syczał i był czarny jak noc, a mimo to Parwati wcale nie odczuwała lęku.

Nie podpełzł, żeby napić się mleka, ale pozostał w cieniu obok świątyni, zwinąwszy swoje wielkie cielsko. Powoli i majestatycznie uniósł łeb nad ziemię, rozłożył kaptur i spojrzał na Parwati. To był jej bóg. Złożyła dłonie i padła na kolana. Długo na siebie patrzyli. W końcu wąż złożył kaptur i popęzł tak blisko, że otarł się o jej włosy. Patrzyła, jak wypija mleko i zjada jajka. Brał je delikatnie w paszczę, a potem ją zamykał. Połknąwszy wszystkie jajka, oddalił się cicho tą samą drogą, którą nadszedł. Parwati wciąż siedziała na ziemi, z radości kręciło jej się w głowie. Cóż za zaszczyt i szczęście. Bóg wysłuchał jej modłów. Pozostała tam przez kilka godzin przekonana, że teraz z pewnością nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo.

•••

Samuel West przybył po południu i spacerował niecierpliwie po werandzie. Gdy Parwati stanęła w drzwiach, spojrzał na nią z zaskoczeniem.

— Nigdy cię taką nie widziałem.

Ręka Parwati mimowolnie powędrowała do jej obnażonej szyi. West zawsze widywał ją umalowaną i w ozdobnym stroju.

— Wdowa się nie upiększa — odparła cicho.

— Muszę z tobą pomówić — oznajmił nagłym tonem. Parwati spojrzała w jego oczy koloru morza. Samuel West nie stracił nic ze swej urody.

— Oczywiście, panie West — powiedziała. Odwróciła się i zaprowadziła go na dziedziniec.

West się rozejrzał.

— Gdzieś na osobności.

Parwati zamknęła drzwi gabinetu i odwróciła się do gościa.

— Japończycy nadchodzą — oznajmił West. — Musisz stąd jak najprędzej wyjechać. Zarezerwowałem dla nas bilety z Singapuru do Stanów. Nie jestem tak bogaty jak twój mąż, to oczywiste, ale mogę dobrze o ciebie zadbać.

Parwati była zdumiona.

— Nie mogę z panem odejść... Muszę myśleć o dzieciach i o Mai.

— Dzieci i Maja też mogą pojechać.

— Mimo to nie mogę.

— Dlaczego?

— Czy w Ameryce nie macie segregacji rasowej? West spojrzał na nią dziwnie.

— Ja jestem z Północy.

— Kim będę w pańskim kraju? Nie będą się na mnie gapić, wytykać palcami i śmiać się ze mnie?

West się zawstydził.

— Nigdy nie zrobiłabym tego moim dzieciom. Twarz Parwati wyrażała zdecydowanie.

— A zatem i ja zostanę — powiedział West.

— Nie wolno panu, tu nie jest bezpiecznie dla cudzoziemców. Proszę wyjechać, panie West. Spotkamy się po wojnie.

— Czy w żaden sposób nie mogę wpłynąć na to, abyś zmieniła zdanie?

— Nie — odparła Parwati, uśmiechając się, aby złagodzić odmowę.

— Ale my naprawdę spotkamy się po wojnie — rzekł z determinacją. Parwati spojrzała mu w oczy i była zdumiona. A więc rzeczywiście mu na niej zależy. Przynajmniej chwilowo.

— Bezpiecznej podróży, Samuelu.

— Jesteś piękna nawet bez ozdób — powiedział ponuro i odszedł, nie oglądając się za siebie.

•••

Japończycy dotarli do Kuantanu.

Parwati znalazła Rubini w jej pokoju. Dziewczynka siedziała przy biurku. Miała zapłakane oczy, lecz patrzyła na Parwati surowym wzrokiem. Panowała nad bólem, nie chcąc niczyjogo współczucia. Już wcześniej dała jasno do zrozumienia, że nie podporządkuje się władzy macochy.

— Musimy ci obciąć włosy.

Rubini, ubrana w za szeroką, niebieskoszarą koszulę, spojrzała z przyganą na białe sari Parwati.

— Kiedy żył mój ojciec, musiałam się powstrzymywać, żeby nie powiedzieć, co o tobie myślę. Trzęsłam się z wysiłku tak bardzo, że musiałam wychodzić z pokoju. Teraz przynajmniej nie będę musiała tego robić. Nie jesteś moją matką,

więc mi nie rozkazuj. Ciesz się, że nie jesteśmy w Afryce. Tam wdowy muszą pić wodę, w której obmyto ich mężów. Parwati westchnęła ze zdziwienia.

— Niczego nie rozumiesz. Oni już tirsą. Nikt nie jest już bezpieczny. Musimy obciąć ci włosy. Twój ojciec tego chciał.

— Obetnij swoje, jeśli chcesz. I jeszcze jedno. Odwołaj moje lekcje tańca. Nie zamierzam więcej tańczyć.

— Dlaczego?

— Bo tego nienawidzę. Tańczyłam tylko po to, by sprawić przyjemność tacie, żeby być jego idealną córką. Chciałam spełnić jego oczekiwania, być podobna do matki — odparła dziewczynka, po czym wyszła.

•••

Do kliniki pod drzewem przykuśtykała kobieta, skarżąca się na bolesne pęknięcia skóry na podeszwach stóp. Maja poradziła jej, żeby codziennie przez kwadrans moczyła nogi w swoim moczu.

— Zobaczysz, że rany błyskawicznie się zagoją.



## *Tomodachi*

Kupu siedział na ziemi i ostrzył sierp, a Parwati stała na balkonie, gdy przed dom zajechał samochód. Miał wyrwane drzwiczki i wystawały z niego obnażone trzy miecze. Parwati przypomniała sobie, że nikt, kto zobaczył japoński miecz, nie zapomniał jego lśniącego ostrza. Wykute z przeznaczeniem do ścinania głów były dla kości tym, czym nóż jest dla masła.

Samochód zatrzymał się i wyskoczyli z niego okupanci. W tupaniu ich butów było coś brutalnego, barbarzyńskiego. Słowa, które do siebie wypowiadali, brzmiały jak szczeknięcia.

Parwati podbiegła do schodów i zobaczyła, że służba zgromadziła się za Mają niczym stadko wystraszonych owiec.

— Gdzie jest Rubini?

— W dżungli — odpowiedziała bezgłośnie Maja.

Mimo obaw, czy zdoła sama stawić czoło niepewnej przyszłości, Parwati bez wahania zbiegła po schodach i stanęła przed Mają.

Wrogowie, śmiesznie niscy mężczyźni w prze-

poconych kombinezonach, miękkich czapkach z klapkami na uszy i szyciu i butach z cholewami naciągniętych na bufiaste spodnie, wbiegli na dziedziniec. Jednak w ich twarzach nie było nic zabawnego. Z gniewnymi, zaciętymi minami, niecierpliwie szukający okazji do zaczepki, wyglądali, jakby stwarzali jedność z błyszczącymi mieczami, które dzierżyli w dłoniach.

Nagle znieruchomieli i się rozejrzeli. Z ich ust popłynęły okrzyki podziwu: „O ho, ho, ho, ho”. Wnet jednak opamiętali się i zaczęli wydawać krótkie gardłowe warknięcia. Mahatma Gandhi uśmiechał się z obrazu spokojnym, dobrotliwym uśmiechem.

Opór bez przemocy.

Złożywszy ręce za plecami, Parwati bardzo nisko się ukloniła.

— *Ohayó gozaimasu.*

Źle wychowani żołnierze nie odpowiedzieli. Warknęli coś, poruszając mieczami. Parwati słyszała, że lepiej, jeśli się tak zachowują, gdyż nie dało się zrozumieć ich bełkotliwego angielskiego, a oni momentalnie wściekali się na każdego, kto nie rozumiał, czego chcą. To zaś wprawiało w ruch lśniące miecze.

Okazało się jednak, że bez trudu zrozumiała ich toporne poczynania. Chcieli przejąć dom w imieniu cesarza.

Zmarły mąż Parwati trafnie odgadł, że dom zostanie skonfiskowany na rzecz wyższego dobra cesarstwa. Poczynił przygotowania, by rodzina przeprowadziła się do pomieszczeń nad sklepem. Naturalnie, pod warunkiem że Japończycy nie zabiorą także sklepu. W takim wypadku mieli się przenieść

do domku na plantacji kauczuku przy drodze do Pekanu. „Weź samochód — rzekł. — Tam nigdy nie wejdą. Japończycy boją się naszych dżungli”.

Parwati w mgnieniu oka przybrała znieawidzoną postać wijącej się, czołobitnej pochlebczyni.

— *Hai, hal* — Oczywiście, natychmiast, proszę pana. Proces przekazywania własności uległ zakłóceniu jedynie wówczas, gdy posepny żołnierz wpędził na teren posiadłości dzieci. Chłopiec płakał, a twarz dziewczynki pobladła. Parwati nie wierzyła własnym oczom. Czy to możliwe, by po tym wszystkim, co powiedział przed śmiercią jej mąż, byli tak nieprzygotowani, naiwni i bezradni?

— Mmm... — mruknął jeden z żołnierzy. Odgłos dobiegł z głębi gardła i był niczym zeschnięty liść, toteż nie zadźwięczała w nim prawdziwa groźba natychmiastowej przemocy.

Drugi Japończyk podszedł do Rubini, złapał ją za włosy i siłą obrócił jej twarz ku górze. Marszcząc nos, wydawał odgłosy przypominające „och”, „ho, ho”, „o ho, ho”. Jeden ze służących wciągnął głośno powietrze, lecz dziewczynka zacisnęła mocno powieki i się nie rozplakała. Parwati zaczęła trząść się ze strachu. Nie mogła nic zrobić. To nie byli mężczyźni, ale bestie. Kolejny żołnierz zbliżył się do Rubini. Nie śmiał się ani nie robił lubieżnych uwag, lecz po prostu gapił się na dziewczynkę wzrokiem pełnym wyczekiwania. Tak się ucieszyli ze swojego odkrycia, że nie usłyszeli nadjeżdżającej ciężarówki.

Gdy trzasnęły drzwi, spojrzeli na siebie z zaskoczeniem. Jakiś żołnierz wbiegł na dziedziniec i stanął na baczność.

Pozostali żołnierze natychmiast odepchnęli Rubini na bok i ustawili się w szeregu na baczność, salutując uniesionymi rękami. Pojawił się jakiś mężczyzna w towarzystwie drepczącego obok lokaja. Miał na sobie przepasany mundur z odznakami i medalami na klatce piersiowej i ramionach oraz czapkę z twardym daszkiem. Na kołnierzu widniały złote gwiazdki. On także miał miecz, lecz broń spoczywała w pochwie u jego boku. Nosił się prosto i wyniośle, jego twarz była płaska i nieruchoma. Od pierwszej chwili było jasne, że nie jest jednym z nich. Szybkim, gniewnym i poirytowanym spojrzeniem ocenił sytuację.

Podszedł do stojących w szeregu żołnierzy i w iście japońskim stylu zdzielił każdego po kolei w twarz, aż się zatoczyli. Uczynił to, doskonale się kontrolując. Owa samokontrola była straszniejsza niż rozbuchane bestialstwo żołnierzy. Ich policzki zaczerwieniły się; mięsień na szczęce jednego z nich drgał gwałtownie, lecz wszyscy spoglądali przed siebie w absolutnej ciszy. W ciągu kilku minut przybysz sprowadził do roli niekompetentnych popychadeł tych, którzy jeszcze przed chwilą kroczyli po ziemi niczym głowy zatknięte na czubki mieczy. Powietrze zgęstniało, gdy zawisła w nim absolutna władza tego człowieka nad żołnierzami. Powiedział coś bardzo cicho i nie było to barbarzyńskie warczenie, ale szereg groźnych syknięć. Parwati zrozumiała jedno słowo: *bakayaro*; było to przekleństwo oznaczające mniej więcej tyle, co „pieprzony kretyn”.  
— Tak jest — przytaknęli chórem żołnierze.

Potem ów mężczyzna, chłodny i opanowany, odwrócił się do Parwati. Jeszcze nigdy nie widziała tak małych, czarnych i przerażających oczu. Zdjął ją prawdziwy strach, odczuła go niczym uścisk zimnego metalu w brzuchu. Ukłoniła się jeszcze niżej niż poprzednio. Nigdy by nie pomyślała, że może wykonać tak głęboki ukłon. Jeszcze kilka centymetrów i jej czoło dotknęłoby ziemi. W zasięgu wzroku Parwati pojawiły się wyglansowane skórzane buty, inne od topornych buciorów żołnierzy. Nie odezwał się, więc nie podnosiła głowy.

— Przedłużanie ukłonu uważane jest za oznakę braku szacunku — rzekł po angielsku. Mówił z rwaną intonacją, ale nienagannie. To tak zaskoczyło Parwati, że straciła równowagę i wylądowała na rękach. Po raz pierwszy zobaczyła przybysza z tej służalczej postawy. Jego skóra miała mlecznoszafranowe zabarwienie, nos był gładki, a policzki odstające. Zaznaczyło się na nich nikłe zaróżowienie. Górna warga była grubsza od dolnej, lecz obie ściągnięte w linię prostą. Oczy były czarne, a chcąc je opisać, należałoby użyć jednego słowa, które charakteryzuje wszystkie oczy ludzi Orientu: nieprzeniknione. Ogólnie rzecz biorąc, Parwati ujrzała coś w rodzaju oddychającej maski do cna podejrzanego ksenofoba.

Zachód stanowił dla niego kwintesencję tego, co jest zaprzeczeniem heroizmu: uważał, że jest to zepsuta kultura ludzi słabych, pogrążonych w dekadencji i łaknących osobistej korzyści. Kupcy pozbawieni ideałów, poczucia moralności, duchowości i honoru. Jednocześnie ubierał się na europejską modłę, podziwiał francuską architekturę, korzystał z brytyj-

skiej strategii walki na morzu i zachodniego uzbrojenia. Przybył, by wyplenić chorobę westernizacji na całym globie.

Wtem jednak okazało się prawdą to, co twierdzą *rishi*: możliwe jest przejrzeć na wskroś duszę człowieka, patrząc mu w oczy. W jednej chwili w oczach tego mężczyzny, który zabija, nim zada pytanie, ujrzała nie faszystowskiego tyrana, lecz drzwi, które stoją przed nią otworem. Owa ciemność objawiała wszystko, co można było o nim wiedzieć, wszystko, co miało znaczenie. Nie znając jego imienia i nie wiedząc, skąd pochodzi i jak lubi spędzać czas, zrozumiała, że kiedyś używał rąk do pracy i że praca ta miała charakter pokojowy. Wiedziała, że jest surowy i wymagający, lecz wiedziała również, że kiedyś był zacny i wielkoduszny. Że to bezwzględne i bezlitosne postępowanie nie było wrodzone, ale wyuczone.

Minęła chwila, drzwi się zamknęły. W ciemnych jak pancerz rogatego chrząszcza oczach czaiło się coś innego.

— Muszę przeprosić za moich ludzi. Obawiam się, że zwiadowcy nie są dobierani na podstawie cnoty wrażliwości.

— Nie skrzywdzili nas.

— Doskonale. Jeśli jeszcze tego nie uczynili, ja stawiam sprawę jasno. Macie dwadzieścia cztery godziny na opuszczenie zabudowań. Wolno wam zabrać rzeczy osobiste, ale musicie zostawić wszystkie meble, samochody oraz służbę — oznajmił, jak gdyby była to najbardziej naturalna rzecz na świecie, jakby miał wszelkie prawo pozbawiania ludzi domostw. Parwati wiedziała jednak, że nie tego chciał. Zapragnął czegoś więcej, czegoś znacznie cenniejszego.

Wzrok Parwati pomknął ku Rubini. Ach, jak ty wyglądasz, maleńka, te oczy i loki. Powinnaś była posłuchać ojca i pozwolić mi obciąć sobie włosy. A ja powinnam była cię przytrzymać i ostrzyć. Co my teraz poczniemy?

Oczy Japończyka podążyły za wzrokiem Parwati i spoczęły na dziewczynce. Jednak słowa, które popłynęły z ostro wyciętych ust, nie wieściły zagłady dziecka.

— Jeśli chcesz ją ocalić, możesz zająć jej miejsce — rzekł miłym głosem.

Parwati otworzyła szeroko oczy i usta z niedowierzania. Czy bezczeszczenie ludzi, których Japończycy rzekomo chcieli wyzwolić, także odbywało się w imię cesarza? Nieprzeniknione oczy przewiercały ją na wskroś.

Wiedziała, że cios spadnie, ale tego się nie spodziewała. Ojciec i koleżanki z klubu twierdzili, że najeźdźcy łakną jedynie kobiet o białej skórze. Że gwałcą je i wykorzystują tylko raz. Myśli Parwati krążyły bezradnie. Może źle go zrozumiała?

— Bardzo przepraszam, panie generale. Nie usłyszałam pana. Czy zechciałby pan powtórzyć?

— Słyszałaś.

Ani cienia litości, uśmiechu zachęty. Nic prócz ściany, życzenia, by została jego *ianfu*, dostarczycielką przyjemności. Zaledwie tydzień temu Parwati włożyła białe sari wdowy.

— Pospiesz się, czas jest cenny — warknął niecierpliwie Japończyk.

— Nie mogę. Jestem wdową, mój mąż zmarł w zeszłym tygodniu.

Nieruchome usta się rozwarły.

— Proszę mnie dobrze zrozumieć. To nie jest prośba.

W jego oczach Parwati ujrzała coś, czego nigdy nie widziała w oczach swojego męża ani w oczach Samuela Westa. Pod pozornym chłodem kryło się nagie, nieukrywane i bezwstydné pożądanie. Ten mężczyzna pragnął jej, i to bardzo! Nie tylko na jeden raz. Nagle zrozumiała, że nieznajomy Japończyk nie potrafi niczego przed nią ukryć. Jakby na jakimś nieznanym, pierwotnym poziomie coś ich łączyło. Albo jakby kiedyś już go poznała, zasmakowała go.

Parwati opuściła wzrok. Co się z nią dzieje? Zamrugła oczami, a Japończyk znów spojrzał na Rubini, tym razem znacząco.

Mówili zbyt cicho, by ktoś mógł ich usłyszeć. Wszystko wydawało się takie nierzeczywiste.

— Chciałabym poprosić o pewną łaskę... Czy byłoby możliwe, żeby moje dzieci, służba, przyjaciele i mieszkający tutaj ludzie nie dowiedzieli się o tym... układzie?

Japończyk posepnie ściągnął brwi.

— Za wiele chcesz. Prosisz o to, o tamto. Dość. Kiedy spotykasz Japończyka, nie proś tak obcesowo. Mówi się łagodnie: „Jeśli wolno, czy mogę prosić?”. I tylko jedną rzecz naraz.

— Jeśli wolno, czy mogę o coś prosić, panie generale?

— Oczywiście — odparł mężczyzna, pochylając głowę.

— Czy byłoby możliwe, żeby nikt się nie dowiedział? Jakiś błysk pojawił się w jego oczach.

— Myślę, że można to załatwić.



— Jestem bardzo wdzięczna. Bardzo panu dziękuję. Japończyk wykonał oficjalny, sztywny ukłon. W jego wzroku nie było nic niegrzecznego, ale kiedy znów spojrzał na Parwati, pojawiła się tam ledwo wyczuwalna nuta przebiegłości. Tak jakby Parwati swoją prośbą wciągnęła go w jakąś grę. Był uśmiechniętą pustynią, pozwalającą przejść karawanie kupców. W połowie drogi mógł przestać się uśmiechać. Oni ryzykowali dla zysku, a Parwati dla dziecka. To było poświęcenie. Czy istniała inna alternatywa?

— Potrzebna wam pomoc przy przeprowadzce?

— Nie, proszę pana. Będę mieszkała w sklepie męża w mieście.

— Możesz zatrzymać swoje osobiste rzeczy w jednym z pokoi. Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, możesz przyjść i to odebrać. Parwati powoli skinęła głową. W osłupieniu patrzyła na poruszające się usta Japończyka.

— Jutro o północy pošlę kogoś po ciebie — rzekł. Pożądanie na jego twarzy było tak wyraźne, że ze wstydu musiała opuścić wzrok.

— Proszę go posłać na tyły sklepu Kasu Marimuthu przy Wall Street.

Japończyk skinął krótko głową i się oddalił. Skarceni żołnierze zrobili to samo, uprzednio rozwiesiwszy flagi przy wejściu do domu. Służący rozpoczęli pakowanie, a Parwati stanęła na balkonie i niewidzącymi oczami patrzyła na morze. Stała tak przez dłuższy czas, gdy usłyszała za sobą jakiś ruch. Była to Rubini. Jej twarz pobladła i wyglądała dziwnie,

a piękne włosy były potargane i pozbawione ozdób, które lubiła w nie wplatać. Tym razem jej się upiekło, ale co będzie później? Trudno jej będzie uniknąć zbrukania.

Rubini trzymała w dłoniach nożyczki. W jej oczach nienawiść mieszała się z gniewem.

— Pod palcami tego człowieka wyczułam smród odchodów — oznajmiła ze złością.

Biedne, biedne dziecko. Dopiero teraz zrozumiała, że musi się oszpecić.

W milczeniu wystawiły krzesło na balkon i Rubini usiadła.

Parwati zebrała jej włosy i wzięwszy głęboki oddech, obcięła je tuż przy szyi.

— Będę musiała je trochę wyrównać — powiedziała, przekazując obfite pukle Rubini. Dziewczynka położyła je sobie na kolanach i przykryła dłońmi.

— Wiesz, muszę się zmagać z sobą za każdym razem, gdy mnie dotykasz — rzekła łamiącym się głosem. Dłonie Parwati znieruchomiały. Dziewczynka mówiła dalej: — Ilekroć cię widzę, przypominam sobie, jak pytałam mamę o tatę i słyszałam: „Poszedł do domu do swojej żony. Nie możemy być samolubne, musimy nauczyć się dzielić”. Widzę tę noc, kiedy podobno zmarła od gorączki. Byłam przy niej. Widziałam, jak wypija truciznę z roślin. Oni myślą, że nie wiem, a ja nie mogę zapomnieć jej poparzonych ust i brody, widoku mamy wijącej się na podłodze. Zanim umarła, krzyczała: „Nie opuszczam cię, zawsze o tym pamiętaj! Robię to, żebyś nie była bachorem tancerki!”. Żebym mogła zamieszkać w domu ojca. Nie była samolubna. Ale ja czułabym się szczęśliwsza

jako bachor tancerki. Nie powinna była tego robić, nie byłam tego warta.

Odwróciła zapłakaną twarz do Parwati.

— Wiem, że jesteś dobra i że to wszystko nie jest twoją winą. Naprawdę mi przykro, ale gniewam się na ciebie bez przerwy i czasem muszę się wyładować. Kiedyś nawet zdawało mi się, że specjalnie doprowadziłaś do takiej sytuacji, ukradłaś mojej mamie należne jej miejsce w tym domu i ukradłaś jej mnie. Nawet teraz czasem łapię się na myśli, że gdyby nie ty, ona żyłaby tu ze mną. Zachowywałam się wobec ciebie niewybaczalnie źle, czuję się winna z tego powodu i wstyd mi, bo wiem, że na to nie zasługujesz. Byłam dla ciebie okropna i niegrzeczna, a ty ani razu nie podniosłaś na mnie głosu. Nigdy nie zdołam cię pokochać, ale obiecuję zrobić co w mojej mocy, żeby być dla ciebie najlepsza jak to możliwe.

Kiedy ostatni czarny kosmyk spadł na podłogę, Parwati zamknęła nożyczki i odłożyła je na stół.

— Przykro mi z powodu twojej mamy. Kiedyś obejrzałam jej taniec. Była najsmutniejszą i najpiękniejszą kobietą, jaką widziałam. Może to zabrzmie dziwnie, ale ja też chciałabym, żeby wciąż żyła.

Rubini podeszła do lustra i stanęła jak wryta. Poczowała się tak, jakby patrzyła na kogoś innego. Jej twarz ściągnęła się i dziewczynka wybiegła z pokoju.

• • •

Tej nocy Parwati śniło się, że jest na pogrzebie męża. Trumna została już zamknięta, lecz ona poprosiła, żeby ją

znowu otwarto. Ciało Kasu Marimuthu było spuchnięte i poplamione, lecz wyglądało zdrowo i rześko jak w dniu ślubu. Gdy tak patrzyła, nagle otworzył oczy i usiadł. Niecierpliwie zrzucając z siebie wianki, zapytał: „Co się z wami wszystkimi dzieje, u licha? Przecież jeszcze nie umarłem”. Parwati obudziła się i leżała cicho w ciemności.

Japoński generał dotknął jej oczami.

Powinna jednak pamiętać, że jego pożądanie nie jest niczym szczególnym. Nauczyła się już, że mężczyźni mają swoje „potrzeby”. Nawet japońskie władze, stosujące drakońskie metody i środki, musiały akceptować sypianie z cudzoziemkami jako godne pożałowania, lecz nieuniknione zło. Ale czyż Maja nie powiedziała, że na tym świecie tak jest, że to, czego pożądasz, pożąda ciebie? Światło przyciąga światło. Dobra kobieta przyciągnie do siebie dobrego mężczyznę. Piękno będzie szukało piękna. A co ona do siebie przyciągnęła? Złodziej przychodzi do złodzieja.

Nie mogąc zasnąć, Parwati wstała i chodziła cicho po domu od pokoju do pokoju, przyświecając sobie świeczką. Potem poszła na plażę, usiadła i patrzyła, jak piasek sypie jej się z ręki. Właśnie tak się czuła. Wszystko się wymykało. Im mocniej ścisnęła, tym szybciej się wyslizgiwało. Wsłuchiwała się w szum fal, dopóki nie zapaliło się światło w kuchni. To Maja się obudziła.

## Anglofob

W tych czasach w mieście były tylko dwie ulice: Main Street i Wall Street. Na obu leżał gruz, lecz nie uniemożliwiał poruszania. Sklep mieścił się na rogu Wall Street. Był obłożony drewnianymi panelami, które odpadały. W dni świąteczne wejście dekorowano girlandami z jaśminu. Tonące w półmroku wnętrze wypełniały worki z suszoną fasolą, orzechami, soczewicą i ryżem. Po lewej stronie drzwi znajdował się stół, na którym stały mahoniowe skrzynki pełne przypraw. Sięgające do sufitu regały, zajmujące wszystkie ściany, mieściły obfite ilości kamfory, mydła, pasty do zębów, puszek importowanej żywności, proszków do czyszczenia, sody i glinianych lamp. Kasa była prostym drewnianym pudłem z przegródkami. Obok niej siedział mężczyzna w białym *veshti* i podliczał rachunki. Nad kasą znajdował się ołtarzyk modlitewny z wizerunkami Lakszmi i Pulliara okolonymi girlandami kwiatów. Na zapleczu sklepu, w ciemności, powoli dojrzewały duże banany.

Na piętrze znajdowały się dwie sypialnie, salonik i łazienka. Dzieci były spokojne i przygaszone. Postawiły walizki i podeszły do okna, by wyrzeć na ulicę. Nagle Rubini krzyknęła, bo zobaczyła szczura. Pracownicy ze smutkiem pokręcili głowami i stwierdzili, że nie sposób się ich pozbyć. Próbowali wszystkiego, lecz całe hordy gryzoni przychodziły i odchodziły wedle upodobania. Karaluchy używały sobie z taką samą swobodą. Było ich takie mnóstwo, że czasami spadały z góry niczym deszcz. Ich ulubionym łądownikiem były ludzkie włosy. Rubini otworzyła parasolkę i nie zamknęła jej, dopóki nie znalazła się wewnątrz moskitiery.

Parwati chciała, by Maja zamieszkała z nią w jednym pokoju, lecz kucharka odmówiła. Za bardzo zakłócałaby jej spokój.

Modliła się i przyrządzała zioła o najdziwniejszych porach.

Znalazła sobie łąwę na dole i oznajmiła: „To mi wystarczy”.

Umieściła ją w magazynie. Poszła do znajdującej się tuż obok kuchni i wciąż ją porządkowała o godzinie szesnastej, gdy sprzedawca *vadai* zjawił się z koszem towaru na głowie.

— *Arna* — zawołał smutnym głosem od tylnych drzwi. Maja wyszła do niego.

— Mam dzisiaj bardzo dobre *vadai*.

Kupiła cztery sztuki za pół centa i zaniósła na górę wraz z czajnikiem herbaty.

W porze kolacji z kuchni niósł się cudowny zapach. Pracujący na parterze mężczyźni byli uszczęśliwieni. Słusznie oczekiwali, że będą teraz mogli liczyć na smakowite uczyty.

W sklepie nie było elektryczności, ale Maja znalazła starą

lampę naftową. Zapalili ją i usiedli wokół; Rubini trzymała w dłoni parasolkę. Seans kinowy, rozpoczynający się o osiemnastej, dobiegł końca i o godzinie dwudziestej pierwszej na ulicy zapanowała dziwna cisza. Maja wyszła coś załatwić, lecz wróciła przed dziesiątą. Weszła do swojego pokoju i zamknęła drzwi. O wpół do dwunastej Parwati czekała za drzwiami. Zbierało się na burzę, a żaby robiły rwetes w rowach, bała się więc, że może nie usłyszeć pukania. Niebo rozdzierały białe błyskawice i grzmoty. Wkrótce spadnie deszcz. Otworzyła drzwi po pierwszym pukaniu. Ukłoniła się szoferowi, on uczynił to samo. Wsiadła do samochodu. Zatrzymali się. Nie padło ani jedno słowo. Wspięła się po schodach, czując, że serce podchodzi jej do gardła. Nacisnęła klamkę i stała się gościem we własnym domu. Było tak samo, lecz podobnie jak deszcz zmienia oblicze pustyni, jej nieobecność w osobliwy sposób odmieniła obraz domu w pamięci Parwati. Zalegały w nim cienie, których przedtem nie widziała, i panowała inna, nieznaną cisza. Była także wielkość. Kiedyś mieszkała w tym domu i go nie doceniała. Podeszła do gabinetu i cicho zapukała.

— Wejść.

Japończyk siedział przy biurku, ubrany w białą wojskową koszulę. Nie miał marynarki i miecza. Na sztywnym kołnierzyku błyszcząły dwie złote gwiazdki. W kałamarzu znajdował się czarny atrament. Szklany przycisk do papieru spoczywał na czarno-białej mapie z czerwonymi kropkami

i krzyżami. Mężczyzna wstał i skinął głową w stronę krzesła. Parwati podeszła bliżej.

— Ten dom — zaczął konwersacyjnym tonem Japończyk — jest pełen zachodniego luksusu i wszelkich przejawów absurdu.

Parwati nie skomentowała tego. Japończyk zbliżył się do okna i, stojąc tyłem, rzekł:

— Twój mąż musiał być bardzo dziwnym człowiekiem. W sejfie nie ma nic oprócz pliku bezużytecznych papierów.

Spojrzała na niego. Oto wróg, jeden z tych, o których opowiadał jej mąż. Mówił, że przyjdą, by pokazać Malajczykom różnicę między jasną krwią tętniczą i ciemną, żylną. Nie ufaj im. Oni tylko udają, że przynoszą światło. Nigdy nie zapominaj, że nie przychodzą wyzwalać, ale zabierać bez pytania. Japończyk nieco się do niej odwrócił. Na jego twarzy malowała się surowość, nawet gdy tonęła w cieniu. Spoglądali na siebie w niebieskawym świetle.

— Który pokój jest twój?

— Pierwszy w zachodnim skrzydle.

— A pokój z lalkami?

— Należał do pierwszej żony męża.

— Rozumiem — powiedział Japończyk, podchodząc do niej.

Uwagę Parwati przykuły ruchy jego rąk, gdy się poruszał. Nie wyglądały ciekawie. Stał na wprost niej. — Zaprowadź mnie do swojego pokoju.

Nie warto było nic mówić, a to, co było warte powiedzenia, nie mogło zostać powiedziane. Parwati odwróciła się i ruszyła schodami na górę. Jej bose stopy nie wydawały żadnego



dźwięku w zetknięciu z kamieniem, lecz jego buty dudniły głucho. Będzie pamiętała ten odgłos aż do dnia śmierci. Deszcz rozpadał się mocniej. Parwati otworzyła drzwi i weszła do swojego starego pokoju. Japończyk zamknął drzwi. Światło błyskawicy wydobyło z ciemności palmy kokosowe, uginające się pod naporem wiatru. Liście powiewały gwałtownie w jedną stronę.

Okna były otwarte i wpadał przez nie deszcz. Parwati podeszła, by je zamknąć.

— Nie — powiedział Japończyk. — Deszcz to błogosławieństwo.

— Dla nas także — odparła, opuszczając ręce. Zdjął czapkę. Był ogolony na łyso.

— A gdybym ci powiedział, że twojej córce nic nie groziło i nic nie zagrozi? Czy wówczas też położyłabyś się ze mną?

Parwati spojrzała na niego zdezorientowana.

— Przepraszam pana, ale nie rozumiem. Japończyk wzruszył ramionami.

— Nigdy jej nie chciałem. Jest dzieckiem, a ja potrzebuję kobiety. Zostań albo odejź, jeśli wolisz. Nie będzie żadnych konsekwencji, cokolwiek zrobisz.

— Naprawdę tak pan myśli?

— Masz moje słowo.

Wiedziała, że mówi prawdę. Mogła zostać lub odejść. Ogarnęła ją radość, że tak łatwo uniknęła niewoli.

— Bardzo panu dziękuję... — zaczęła. Japończyk z przesadną grzecznością otworzył przed nią drzwi. Nie mogąc uwierzyć, ruszyła w ich stronę. Pozwolił jej przejść. Jego

twarz niczego nie wyrażała. Parwati przebiegła szklanym korytarzem i długimi schodami w dół. Jednaką w połowie drogi nagle się zatrzymała. Przed kim ucieka? Pozwolił jej odejść, nie musiała o to walczyć. Przypomniła sobie, co zobaczyła w jego oczach przy pierwszym spotkaniu. Kiedyś, zanim nauczono go bezwzględności, był łagodny i delikatny. Potem pomyślała o Pięknej, o jej twarzyczce w kształcie serca i szmaragdowych oczach. Słabo oświetlone wnętrze stało się w jej umyśle domem Bestii. Na górze Bestia czekała, aż ona ją ocali. Korytarze szeptały to, czego on nie mógł: „Ocal mnie, ocal mnie”. Parwati zamierzała jednak wrócić z mroczniejszych, bardziej intrygujących pobudek. Dlatego, że tak chciała.

Odwróciła się powoli i weszła po schodach. Japończyk stał przy oknie wyprostowany, z rękami splecionymi za plecami, i patrzył na padający deszcz. Obrócił się. Jego twarz nie zdradzała ani radości, ani zaskoczenia.

— Rozbierz się — rzekł beznamytnie. Ta gra miała się rozegrać na zimno. Pod czułością musiałyby się kryć romans, substancja, emocje. Nie chciał, by myślała, że jest czymś więcej aniżeli chwilową przyjemnością. Żeby wiedziała, że nie obejrzy się po tym, jak z niej skorzysta. Mimo to jego prośba ją zaskoczyła. Widziała niezliczone rysunki w książce o „dźwigni sprzedaży”. Przedstawiały one pary w różnych stadiach roznegliżowania, lecz ani jedna para nie była całkowicie rozebrana.

Podeszła, by zgasić światło.

— Nie gaś — powiedział. Okna były otwarte. Ktoś stojący

na plaży widziałyby, co dzieje się wewnątrz domu. Ogrodnik lubił czasem spać ze swoimi orchideami, ale padało i na pewno jest u siebie. Na plaży nie powinno być nikogo.

Tak czy inaczej, seks zawsze odbywał się w ciemności. Po cichu, naprędce, ukradkiem, jak gdyby popełniany był niewypowiedziany grzech. To poczucie było tak przemożne, że Parwati zawahała się, stojąc na środku pokoju. Zdjąć ubranie? A ten nieznajomy będzie patrzył? Japończyk wydał przez zamknięte usta odgłos zniecierpliwienia.

Ręce Parwati powędrowały do lewego ramienia. Poruszyła niezręcznie palcami. Wszak robiła to tysiące razy. Odpięła broszkę. Z rozdzierającym odgłosem szpilka spadła na posadzkę. Rozpięła sari i zebrała od spodu fałdy. Jakież to nieefektywne. Na pewno nie to pragnął zobaczyć. Materiał opadł białym kręgiem wokół jej stóp. Bluzka od sari miała guziki. Pod spodem było gołe ciało. Parwati się zawahała. On nie może chcieć, żeby obnażyła się do końca. Nawet jej mąż o to nie prosił.

Japończyk patrzył na nią intensywnie, ale świadczyło o tym jedynie przechylenie jego głowy, gdyż czarne oczy całkowicie kryły się w ciemności. Ostatni guzik puścił i Parwati wyplątała się z białego odzienia. Rozwiązała węzeł halki i stanęła naga. Wstydziła się, wstydziła się tak bardzo, że krew napłynęła jej do twarzy i zadudniła w skroniach. Mimo to chciała ukryć za drżącymi rękoma nie swoje ciało lecz twarz. Wtedy zbliżył się do niej. Zaskoczył ją jego oddech. Nie było w nim woni alkoholu. Jedną ręką objął Parwati w talii i być może z powodu burzy jego dotknięcie wywołało iskrę elektryczności. Musiał to poczuć. Uniósł brwi.

Dotknął jej policzka.

— Łzy? ^

— To deszcz — skłamała. Nie wiedziała, dlaczego płacze. Spojrzała na jego paznokcie. Były krótko obcięte i czyste. Nie rozebrał się całkowicie, zdjął tylko spodnie. Położył ją na łóżku. Obserwowała jego twarz, rozszerzone nozdrza. Otwarte usta oddychały szybko, a źrenice nie były już zwężone, lecz otwarte jak ciemne tunele. Nie sposób było odgadnąć, dokąd prowadzą. Zanim zaczęła nimi podążać, usłyszała dobrze znane westchnienie i wszystko się skończyło. Trwało jeszcze krócej niż z jej mężem. Jednak tym razem Parwati żałowała, że dobiegło końca.

Po raz pierwszy ocieranie się, ruchy mężczyzny w jej ciele sprawiły jej przyjemność. Na chwilę osunął się na bok; dyszał ciężko, opierając ciężar ciała na prawym łokciu, a lewą trzymając lekko na brzuchu Parwati. Przypadkowo jej ręka otarła się o jego przedramię. Orientalny aksamit, a pod nim naprężone mięśnie. To było dla Parwati coś nowego. Dotąd знаła tylko zwiotczone ciało męża. Odruchowo zamknęła dłoń. Japończyk uniósł się na ręce i spojrzał na Parwati. Popatrzyli na siebie w milczeniu. Potem on wstał bez słowa i się ubrał.

— Przyjdź jutro — rzekł, wychodząc.

Parwati leżała na łóżku, wsłuchując się w dudnienie butów na schodach i w drzwiach. Wstała, zgasiła lampę i wyszła na balkon. Księżyc świecił bardzo jasno. Wciąż padało, lecz ona nie potrzebowała parasolki. Japończyk maszerował szybko. Nagle zatrzymał się i spojrzał na Parwati. Jego twarz była blada w świetle księżyca. Patrzyli na siebie.

Kilka minut temu ich ciała poruszały się w jednym rytmie, a teraz znalazły się w innych miejscach, w innych przestrzeniach. Jej ciało było ciepłe, suche i znajdowało się wysoko, a jego było zimne, mokre i obnażone, lecz mimo to ona była słaba i bezbronna, a on dzierżył władzę. Co zobaczył? Zapewne niewiele, może cień, zarys sylwetki. Było ciemno. Ona także dostrzegła jedynie blady owal, lecz nagle pojęła tajemnicę klauna z malowidła. Czuł się zmieszany tym, że ktoś odkrywa go wzrokiem, i ona również patrzyła na niego ze zmieszaniem. W takiej chwili obserwator staje się obserwowanym, zaciera się linia przebiegu spojrzenia. Chciała się cofnąć, ale nie mogła. Wpadła w pułapkę wzroku mężczyzny, któremu chciała się potajemnie przyjrzeć. To było jak wyzwanie. Jeśli pierwsza ucieknie spojrzeniem, przegra.

Japończyk odwrócił głowę i zniknął, kierując się w stronę plaży. To nie był gwałt. Zrobiła to dobrowolnie, ale oczekiwała od niego czegoś więcej. Wiedziała, że rozmyślnie narzucił się jej w taki sposób. Chciał, by poczuła się zbrukana jak pospolita dziwka. Oddaliła się od okna i weszła do łazienki. Długo stała pod płynącą wodą. Płakała w całkowitym milczeniu. Co teraz? Utraciwszy ochronę jednego mężczyzny, automatycznie przeszła na własność innego? Sama to wybrałaś, drwił cichy głos w jej głowie.

Ubrała się pospiesznie, otworzyła frontowe drzwi i wyszła w noc. Nigdzie nie było widać szofera. Na terenie posiadłości znajdowali się wartownicy. Na jej widok obrócili głowy i unieśli broń, lecz uświadomiwszy sobie, że to ona, skierowali spojrzenia w inną stronę, jak gdyby Parwati była duchem.

Przestało padać, lecz ziemia była mokra i pełna kałuż; brzeg sari szybko nasiąkł wodą. Jednakże Parwati tego nie czuła. Poszła na plażę i usiadła na mokrym piasku. Księżyc wyszedł zza chmur; w oczach mężczyzny stojącego na skraju plaży siedząca samotnie kobieta z pochyloną głową musiała stanowić smutny widok. Dokąd zmierza? Któż by uwierzył, że wielka i bogata Rolls-Royce *mami* upadnie tak nisko? Widziała koleżanki z klubu zebrane przy robótkach. „Co takiego? Wdowa po Kasu Marimuthu została nałożnicą japońskiego żołnierza? Ileż ten człowiek miał pieniędzy”.

Jakaś ręka zamknęła jej usta. Dobrze się stało, bo w przeciwnym razie Parwati by krzyknęła. Zjawił się tak niespodziewanie i bez ostrzeżenia. Szybkim ruchem nachylił się nad nią i przesunął językiem od szyi do ucha. Poczowała przyjemne mrowienie w brzuchu. Gdy jej ciało rozluźniło się, przysunął wargi do jej ust. Przestraszyła się. Nigdy jej nie całowano. Perwersyjnie pomyślała o paniach z klubu. Czy którąś z nich całowano kiedyś w taki sposób? Trzymała usta zamknięte, ale on rozsunął je językiem. Zapomniała o mamuśkach.

Pchnął ją na piasek i szybko rozebrał. Jego ciało było blade i bardzo gładkie. Doznała szoku, widząc, że jest niemal całkowicie pozbawione owłosienia. Dotknęła gładkiej skóry, pod którą przeżyły się żelazne mięśnie.

A potem zrozumiała, że dotąd nie wiedziała nic o kochaniu się z mężczyzną. Jeden płynny ruch i nie znajdowała się już pod nim, lecz na nim. Patrzyła mu w oczy, a on patrzył na nią. Poruszał nią i nagle poczuła, że ogarnia ją rozkosz, jakiej nigdy przedtem nie zaznała. To był wstrząs. Miejsce, które

dotąd kojarzyło się jedynie z dyskomfortem cyklu miesięcznego i obolałością po ruchach jej męża w suchym wnętrzu, a także z bólem porodu, stało się źródłem, z którego płynęły niezwykle doznania.

Rozchodziły się stamtąd nieznane fale sięgające aż po czubki palców. Traciła nad sobą kontrolę i płynęła w ciemny wir; zdawało jej się, że kona. Nagle ogarnął ją lęk. On mnie zabije, pomyślała. Oparła kolana o ziemię i odepchnęła się od niego, otwierając usta do krzyku. Musiał spodziewać się takiej reakcji albo miał doskonały refleks, bo przytrzymał dłoń na jej karku, drugą zaciskając jej usta.

— Jeśli krzykniesz, zbiegną się wartownicy. Służba ma zakaz opuszczania kwater po zmroku, ale ktoś może cię usłyszeć, a przecież nie chcesz, żeby się dowiedzieli, prawda?

Szept dobiegł do Parwati jak gdyby z oddali, przez jej zdławiony okrzyk i bicie serca. Służący, wartownicy. O wszystkich zapomniała. Obezwładniona, z rozwartymi szeroko oczami, przeżyła swój pierwszy orgazm.

Wciąż byli z sobą złączeni, kiedy się na niego osunęła.

Teraz wiedziała już, co czuła kobieta schwytana w macki olbrzymiej ośmiornicy. Teraz rozumiała. Wtem uświadomiła sobie, że on nie dał upustu swojej rozkoszy. Och, ta żelazna męska samokontrola. Parwati uniosła się nieco i otworzyła usta. Ale on nie pozwolił jej przemówić.

— Czas na ciebie — rzekł. Czy wiedział, że kobieca potrzeba miłości jest tak absolutna, że kobieta odda się nawet

najbardziej nieznanemu i budzącemu lęk? Ktoś powinien mu powiedzieć, iż kiedy mężczyzna dotknie kobiety w taki sposób, ona zaczyna widzieć, słyszeć, smakować, wąchać i odczuwać sercem. A serce jest ślepe nawet na najgorsze poniżenie.

•••

Parwati wkradła się do sklepu niczym złodziej. Czuła się winna i zhańbiona swoją bezwstydną reakcją na jego dotyk. Otworzyła się na niego łatwo i chętnie. Zakrywając dłońmi piekące policzki, zapukała cicho do Mai. Kucharka otworzyła drzwi. Parwati przysiadła na ławie, na której spała Maja. Nie mogła spojrzeć jej prosto w oczy, ale musiała zrzucić ten ciężar z piersi. I tak nie zdołałaby zachować przed Mają tak wielkiej tajemnicy.

— Bez wahania przyjąłem miłość, którą ofiarowało mi życie. Żle postąpiłem?

— Dojrzałaś Boga w jadowitej kobrze. Któż może cię winić?

— Ale on jest wrogiem.

— Czy Bóg nie mówi: „miłuj swojego wroga, boja w nim jestem”?

Zanim Parwati zdążyła odpowiedzieć, Maja przyłożyła palec do ust młodej kobiety i pokręciła głową.

— Jeśli odradzamy się raz po raz, przeważnie wśród tych samych ludzi, raz jako córka, potem jako matka, kiedy indziej jako syn lub stryj, by później powrócić jako żona bądź nawet zakazana kochanka, to czy seks nie staje się mało ważny w ogólnym wymiarze rzeczy? W ostateczności, *da*, liczy się



tylko miłość. Seks to funkcja biologiczna, taka jak jedzenie. To człowiek narzucił na niego wszystkie zakazy, bo zapanowałby chaos, gdyby ojciec spał z córką, a siostra z bratem. Bądź dla siebie cierpliwa. Rośniesz i się uczysz. Wszystkie drobne kroki, które podejmujesz i uważasz za nieistotne, mają kluczowe znaczenie dla twojej duszy. Każdy jest cudem samym w sobie. Wykorzystaj je, by sięgnąć wielkości. Przestań marnować czas na żale, wyrośnij ze wstydu i zażenowania, i raduj się każdym doświadczeniem. Niech twoje życie będzie jak wspaniałe święto. Nie uświadamiasz sobie tego, ale jesteś bogiem doświadczającym cielesności.

• • •

Następny dzień minął jak we śnie. Parwati nie mogła przestać myśleć o minionej nocy. Usłyszała głos Rubini dobiegający spoza moskitiery:

— Maju, czy możesz coś poradzić na te obrzydliwe karaluchy?

— Mogę podjąć z nimi negocjacje, ale owady są w gruncie rzeczy władcami tej ziemi i jeśli nie chcą odejść, niewiele mogę zrobić.

Potem dobiegły do niej słowa syna:

— *Arna*, ty nie słuchasz. — Mówił coś do niej, a ona nie usłyszała ani słowa. Uśmiechnęła się do niego, pragnąc zamaskować poczucie winy. On nigdy się nie dowie. Nie przyjdzie mu do głowy, że jego rodzicielka może mieć jakieś potrzeby, że rola ślepo oddanej matki nie zaspokaja wszystkich jej pragnień.

O dziesiątej leżała w łóżku całkowicie ubrana pod cienkim kocem, wsłuchując się w odgłosy nocy. We wszystkich przydrożnych rowach kryły się dzieci. Miały nasłuchiwać budzącego trwogę odgłosu butów lub szczękania miecza i ostrzegać ojców zebranych wokół radioodbiorników w czyimś domu. Parwati czekała na ten sam odgłos, by czym prędzej pospieszyć do kochanka.

Adari spowijała całkowita ciemność, gdy tam przybyła. Poszła go szukać w gabinecie oświetlonym blaskiem dwóch lamp naftowych. Miał na sobie kimono. Lekki ubiór. Nałożył na nie jedwabną białą marynarkę sięgającą do ud. Jego blade ręce były ukryte w szerokich rękawach. W oczach Parwati Japończyk wyglądał pięknie.

— Dlaczego nie palą się światła?

— Coś się stało z generatorem.

Parwati zdławiła śmiech, który zmienił się w ciche kasznięcie. Mieszkała w tym domu dziesięć lat i generator ani razu nie był zepsuty. To Kupu wyraził w ten sposób swój bunt przeciwko nowym panom.

— W kuchni są ryby. Przyrządź mi je. — Namiętność nie karmi się czułymi słowami i melodyjnymi pieśniami.

Parwati wzięła lampę i poszła do kuchni. Ryby leżały przy zlewozmywaku zawinięte w gazetę. Odwinęła je czubkami palców. Tak strasznie cuchnęły. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak jego rodacy mogli je spożywać na surowo. Mdliło ją, gdy patroszyła i myła ryby. Nie miała pojęcia, gdzie co się znajduje, musiała szukać ryżu, przypraw i oliwy. Wiedziała, że Japończycy nie są przyzwyczajeni do chili, toteż do

zamarynowania ryb użyła tylko kurkumy i soli. Ryż się gotował, a ona zeszła do piwnicy po butelkę sake. Nowi właściciele mieli jakieś plany względem piwnicy, gdyż drewniane regały zostały zepchnięte do ścian. Pomieszczenie straszło pustką.

Na stół powędrowały miska i drewniane pałeczki. W domu panowała głęboka cisza. Drzwi biblioteki były zamknięte, gdy Parwati je mijała. W kuchni zaparzyła sobie herbaty i usiadła, by poczekać, aż ryż się zagotuje. Kiedy był prawie gotowy, zaczęła smażyć rybę. Zniosła posiłek do jadalni i zapukała cicho w zamknięte drzwi. Nikt nie odpowiedział. Miała zapukać ponownie, kiedy Japończyk otworzył i wyszedł. Nie skierował się do jadalni, ale do salonu muzycznego, z którego usunięto wszystkie sprzęty. Pozostały tylko niski stół, kilka poduszek oraz mata. Usiadł na poduszce, a Parwati stanęła niepewnie w zielonkawych cieniach.

— Jedzenie — mruknął niecierpliwie.

W milczeniu przyniosła posiłek i postawiła go na stole. Nalała sake do kieliszka.

Na ten widok Japończyk uniósł brwi, lecz spróbował alkoholu.

— Okropne. — Otwartą dłonią wskazał sąsiednią poduszkę. Parwati usiadła. Wziął butelkę i chciał nalać alkoholu dla Parwati.

— Dziękuję, generale, ale ja nie piję.

— Nie odmawiaj mi — rzekł grzecznie i napełnił kieliszek. Uniósł swój. — Twoje zdrowie.

Napiła się. Och, nie był to uspokajający trunek! Japończyk

wskazał ręką jedzenie. Chciał, żeby Parwati zjadła razem z nim. Schyliła głowę.

— Jestem wegetarianką.

— Sprawiłoby mi przyjemność, gdybym zobaczył, jak jesz — odparł cicho. Nałożył kawałek ryby do swojej miseczki i podsunął ją Parwati.

Spojrzała na rybę i przypomniała sobie jej oślizgłą skórę i płaskie martwe oczy. Popatrzyła na Japończyka. Okazywał łagodne zaniepokojenie. Wzięła kawałek między palce i uniosła. Rybi zapach był tak silny i odrażający, że nie zdołała wsunąć jedzenia do ust. Odłożyła je do miseczki.

Powoli podniosła wzrok na Japończyka. Obserwował ją sadystycznie, a ona poczuła uciążliwy ból, emocję, której nie potrafiła nazwać. Nie może być narzeczoną, która nie miała kwiatów na własnym ślubie.

Oderwała kęs i zakrztusiła się od rybiej woni, lecz mimo to wzięła kawałek ryby do ust. Udało się. Spojrzenie Japończyka się zmieniło. Parwati przekonała się jednak, że przeżucie ryby to zupełnie inna sprawa. Ze zwierzęcej tkanki wypłynął oleisty smak i zapach. Powinna była po prostu połknąć kęs. Żołądek zaczął zwracać pokarm i musiała pobiec do łazienki. Obmyła usta i zobaczyła w lusterku nad umywalką swoje wodniste oczy.

Wybrał sobie niewłaściwego przeciwnika. Ona mu pokaże. Jeśli chce wojny, będzie ją miał.

Wróciwszy do salonu, zobaczyła, że Japończyk skończył jeść i odpakował galaretkę z czerwonej fasoli.

— Zjedz ze mną deser — zaprosił serdecznie.

Patrząc mu w oczy, nabrała galaretki palcami i włożyła ją sobie

do ust. Palce otarły się o usta, wargi zamknęły się na palcach, palec musnął wargę. *Madame* Reginę byłaby dumna z tego przedstawienia. Japończyk znieruchomiał. Bardzo pomалу przeżuwała galaretkę, mimo że była pozbawiona smaku. Patrząc mu w oczy, oblizwała dolną wargę. Tak, to była wojna.

— Chodź — rzekł, wstając. Parwati bez słowa podążyła za nim. Później leżała obok niego, do cna wyczerpana. Nie miała nawet siły woli, żeby się poruszyć. Ile razy ją brał? Leniwie usiłowała sobie przypomnieć. Trzy... nie, cztery. Pewnego dnia wróci do ojczyzny i będzie udawał, że wszyscy cudzoziemcy są nieokrzesanymi barbarzyńcami. Nikt się nie domyśli, że jest nienasycony i nigdy nie miał dość jednej niekulturalnej cudzoziemki. Parwati poczuła, że zamykają się jej oczy. Zасыpiała. Przy alejce obok mostu, którą postanowili pójść, stała wierzba płacząca.

— Co to za perfumy, których używasz do włosów? — zapytał cicho. Odwróciła się, by na niego spojrzeć. Jego oczy były zamknięte. On też był wyczerpany i nie całkiem obecny. Pokonała wojownika.

— Odynamiam je mirrą. W przeciwnym razie za długo schną — odparła Parwati. Mówiła miękkim głosem, którego dotąd nie znała. Japończyk otworzył oczy i przyznał, że nie zna tego wyrażenia. Studiował w Ameryce, lecz angielski zawsze będzie dla niego drugim językiem, który może zaskoczyć intonacją, gramatyką lub słownictwem. Sprawdzili wyrażenie w słowniku.

— Ach tak — rzekł z uśmiechem. — Teraz poznaję.

Nagle poczuła bliskość z tym człowiekiem. Nabrała pewności: tak, on jest tą piękną duszą, za którą tęskniła. Uśmiechnęła się do niego z ufnością.

To go otrzeźwiło. Odsunął się.

— Mam żonę i dziecko w Tokio — powiedział cicho. Nie wiedząc dlaczego, rozplakała się. To było takie głupie.

Japończyk niezgrabnie dotknął jej ramienia.

— Ja także dziwnie się czuję — oznajmił.

•••

Wciąż było ciemno, kiedy Parwati wyszła. Na dziedzińcu, na którym Kasu Marimuthu urządzał wystawne przyjęcia, żołnierze w białych koszulkach zbierali się na poranne ćwiczenia pod flagą ze wschodzącym słońcem. Wróciwszy do sklepu, położyła się pod moskitierą i zauważyła, że nie słyszczyć szmeru nóg szczurów ani odgłosu karaluchów spadających na siatkę. Przemowa Mai odniosła skutek.

## Pragnienie

Kobiety sprzedawały na centymetry swoje złote łańcuszki, by mieć pieniądze na oliwę i ryż, tymczasem *apu* zarabiał na klientach, którzy przychodzili do sklepu handlować na kwitnącym czarnym rynku. Jednak Parwati nie zauważała jego przedsiębiorczości ani nie zwracała uwagi na świetny stan rachunków, uwidoczniły w księdze, którą przekazywał jej w każdy środowy wieczór, a którą ona oddawała mu nazajutrz, nie zajrzawszy ani razu do środka. Jak mogła cokolwiek zauważyć, skoro żyła tylko dla nocy?

Za dnia, gdy dzieci były w szkole, spała lub siedziała przy oknie na piętrze, marząc o nim albo snując nieprawdopodobne scenariusze. Spotykają się na ulicy, wchodzą w zaułek i zapamiętane uprawiają seks w ciemnej bramie. Spotykają się przypadkowo w miejscu publicznym, on podchodzi do niej, głaszcze jej dłoń i mówi głośno: „Jesteś moja. Zabiję każdego mężczyznę, który się do ciebie zbliży”. Coraz częściej ryzy-

kowała, żeby się z nim zobaczyć. Wiedziała, że to niebezpieczne, ale się nie przejmowała.

Dreszcz strachu przeszywał ją zaledwie raz w tygodniu, gdy brała czarną parasolkę i szła przez miasto na spotkanie z klubowiczkami. Tam musiała nie tylko słuchać, ale i obficie wyklinać okupantów. Bestie. Potwory. Gwałcą, okradają, mordują. A teraz ci obrzydliwcy oddają mocz na ulicach! Wstrętni. Brak słów na taką ohydę.

Pewnego razu Padi *mami* spojrzała z ukosa na Parwati.

— Na ciebie chyba świeci szczęśliwa gwiazda. Oni nigdy nie nachodzą cię w sklepie, prawda? Nawet bandyci (w tych czasach tym słowem określano komunistów) nie kradną ci towaru.

Raptem zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Parwati odpowiedziała Padi *mami*, rozumiejąc jednak, że zwraca się do wszystkich, gdyż podzielały tę samą opinię.

— Japończycy odebrali nam dom, posiadłość, piekarnię i samochody. Czy to nie wystarczy? A jeśli chodzi o bandytów, to wiadomo, że nigdy nie przychodzą do miasta.

Kobiety współczująco kiwały głowami, lecz w głębi duszy były zadowolone, że okupacja nieco wyrównała różnice finansowe.

Kundi *mami* wstała, podciągnęła luźny koniec sari zwisający nad jej stale rosnącym zadkiem i odsłoniła tacę z ciasteczkami z tapioki.

— Chodźcie — zachęciła uprzejmie. — Nie rozmawiajmy już o tym narodzie, który jada ryż z cukrem.

Myliła się co do tego. Ryż z cukrem nie stanowi normalnej



diety japońskich mężczyzn. Parwati wiedziała o tym, bo gotowała dla jednego z nich. Kiedyś patrzyła, jak Maja, będąc wegetarianką, zmusza się do skubania kurczaka. Oskubane kurczaki przypominały jej małe dzieci, budziły zbyt wielką litość, by można je było kroić. Wyniośle twierdziła, że sumienie nigdy nie pozwoli jej zabić zwierzęcia. Teraz wiedziała, że potrafi to zrobić, gdyż jej kochanek lubił curry z kurczaka, pod warunkiem że nie jest zbyt pikantne. Przyrządzała także inne potrawy, które mu smakowały: rekina, aligatora, jagnię (choć wciąż nie mogła znieść jego zapachu, gdy się piekło); parę dni temu — Kamala byłaby wstrząśnięta — ugotowała wołowinę.

Jej kochanek lubił również inne potrawy. *Sambor* z mango, zrobiony przez Maję, jadł łyżką z miski, jakby to była zupa. Japońską osobliwość, zieloną herbatę, którą wlewało się do miski ryżu i jadło pałeczkami. Potrawa nie przypadła Parwati do gustu, poza tym zostawiała gorzki posmak w ustach, lecz Japończyk zapewnił ją, że jest ulubionym daniem większości jego rodaków. Przekonała się, że tego smaku można się nauczyć, i polubiła ją, zwłaszcza z gotowaną soją. A gdy ogrodnik wykopał słodkie ziemniaki, ugotowali je.

— Byłyby doskonałe z pieczoną ośmiornicą — rzekł, pożerając je na zimno.

*Apu* przerwał rozmyślenia Parwati, gdy wbiegł na górę i bez tchu oznajmił, że japoński generał chce się z nią widzieć.

— Do niczego się nie przyznawaj — wyszeptał, mocno mrugając okiem. — Niczego nie mogą udowodnić. — Wyobraził sobie, że generała ściągnęły tu jego machinacje na czarnym rynku.

— Przeprowadź go — odparła -spokojnie Parwati. *Apu* zszedł hałaśliwie po drewnianych schodach. Maja poszła na targ, dzieci do szkoły, a Parwati była sama w domu. Mieli nie spotykać się w ciągu dnia. To było niezgodne z zasadami, zakazane. Stała i czekała, trzymając ręce wzdłuż ciała.

Był w mundurze i wyglądał olśniewająco. Bez słowa rozwiązał kok włosów Parwati.

— Marzyłem o tobie — wyszeptał generał i wziął ją tak, jak mężczyzna bierze kobietę, której bardzo pragnie. Wdowa wygięła kark w łuk, ręce jej kochanka mocno zaciskały się na jej biodrach. Odwrócił ją i delikatnie pogładził po policzku. Nie wiedział, że cała jego namiętność nie dotknęła jej tak jak głośnięcie po twarzy. Spojrzała w jego skośne oczy.

— Dlaczego teraz przyszedłeś?

— Chciałem zobaczyć twoją piękną twarz — odparł.

— Mam zbyt ciemną skórę, by być piękna. — Parwati nie zapomniała gejszy o białej twarzy.

— Tak, w mojej ojczyźnie czeni się biel, ale ja nauczyłem się, że kwiat może być równie piękny, gdy rośnie w cieniu.

Parwati spoglądała na niego. Na zewnątrz bestia, w środku oślepiający blask. Chwyła ręką pasek i przyciągnęła go ku sobie. Zbliżył się chętnie. Drugą ręką nachyliła do siebie jego głowę i pocałowała w usta. Mocno, wciągając jego język, ssąc chciwie, pragnąc czegoś, czego nie mogła mieć. Pozwolił jej. Gdy przestała, jej usta pulsowały. Nagle puściła pas.

— Nie zapomnij mnie — rzekła, odwracając się. Pociągnął ją tak mocno, że odbiła się od niego. Jego twarz zmieniła się w jasną plamę, usta uderzyły o jej zęby. Zabolalo,

lecz ona pragnęła, by ta napaść bez serca trwała i trwała. Ale nie. Skończyła się bez ostrzeżenia, równie nagle, jak się zaczęła.

Parwati miała w ustach słony smak soli.

— Ani ty mnie — powiedział i zostawił ją. Schowana za zasłoną, patrzyła, jak jego wyprostowana sylwetka znika we wnętrzu czekającego jeepa. Nie odwrócił się i nie spojrzał. Parwati stanęła przed lustrem. Kim jest ta potargana, spuchnięta, godna pożądania kobieta? Popatrzyła sobie w oczy. Kim naprawdę jest ta rozpustnica? Kobieta uśmiechnęła się uwodzającym, znaczącym uśmiechem. Pewną dozę samokontroli trzeba zachować. Drżącymi palcami zawiązała włosy.

•••

Maja, która właśnie wróciła z rynku, rozmawiała przy tylnych drzwiach z ojcem narkomana.

— Kiedy nachodzi głód narkotyczny, posól plasterki cebuli i daj mu do zjedzenia, a przemożne łaknienie odejdzie. To pewne jak to, że siedzę przed tobą. — Spoglądając mu prosto w oczy, dodała: — Zrób tak samo, kiedy będziesz chciał wytrzeźwieć po pijaństwie.

## Włosy

Ubrany w białe bawełniane kimono siedział wygodnie w salonie muzycznym, czując, że jest w pokoju z sobą i ze światem.

Spojrzał na nią, a ona natychmiast wzięła ze stołu dzbanek z ciepłym sake i napełniła jego czarękę aż po brzeg. Nie chciała zachęcać go do opilstwa, lecz rygorystyczny kodeks zachowania krępował go zazwyczaj tak silnie, że kiedy pił, robił to z zamiarem upicia się do cna. Opróżnione naczynie usprawiedliwiało wszystko, pozwalało nawet na okazanie ludzkich emocji. Uwolniony od nieustannej poprawności i dyscypliny, mówił jej różne rzeczy, czasem nawet opowiadał o poufnych sprawach wojskowych. Nie należało o nich wspominać następnego dnia. Kiedyś Parwati popełniła błąd i nawiązała do czegoś, co powiedział w nocy. Jego twarz wyrażała zimną przyganę.

— Możemy wygrać tę wojnę. Dyscyplina zawsze weźmie górę nad dekadencją. Mamy tajne raporty brytyjskiego rządu

z tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego roku, dotyczące stanu ich sił zbrojnych. Wniosek był taki, że armia lądowa i lotnictwo są w złym stanie, a ich duma, flota, nie ochroniłaby przed atakiem brytyjskich miast, a co dopiero reszty imperium. W raporcie znalazło się mocne stwierdzenie, że należy unikać wojny z Japonią, Włochami i Niemcami jednocześnie.

— Cóż to zatem za chwała, zabijać bezbronnych? — spytała Parwati.

Spojrzał na nią pogardliwie. Było w nim tyle dumy.

— Najśławniejsi samurajowie pachnieli krwią setek, czasem tysięcy mężczyzn. Oni nie znali litości.

Parwati patrzyła na niego w milczeniu. Z początku dziwiła się, że widzi człowieka gotowego zabić bez zastanowienia. Teraz jednak wiedziała, że Japończycy nauczyli się otaczać czcią bezlitosnych ludzi. A obowiązek zapewniał im czyste sumienie. On nigdy nie zrywał się ze snu z powodu koszmarów. Działo się tak za sprawą szkolenia w armii japońskiej. Każdy był traktowany brutalnie, aż wreszcie wsączała się w niego przemoc. Nawet jeśli ktoś miał w sobie odrazę do przemocy, to po szkoleniu, mimo że się w niej nie pławił, uznawał, że jest to jedyny sposób traktowania wroga, cudzoziemca, obcego.

•••

Szkolenie pozwalało mu z czystym sumieniem skazywać podwładnych na nieproporcjonalnie okrutne kary za drobne przewinienia.

Pewnego razu Parwati usłyszała przeciągłe zawrodożenie dochodzące z piwnicy. Zamarła, lecz krzyk ustał równie nagle,

jak się rozpoczął, udała więc, że go sobie wyobraziła. Jeńcy wojenni. Co mogła zrobić? Zaczekać, aż dobrze się naje i upije, i zapytać: „Czy ta tortura była konieczna?”.

— To jest wojna — odpowiadał spokojnie, jakby to wszystko tłumaczyło. Jakby było naturalne, że jeden człowiek okrada drugiego, dręczy go i traktuje pogardliwie jego kobiety tylko dlatego, iż zdobył je za pomocą oręża. Właśnie to czyniła wojna ze zwycięzcą: dawała mu poczucie mocy, nie zaś dobra. Zdarzały się jednak czasem, choć rzadko, takie momenty, że zrzucał z siebie wymyślne i ekstrawaganckie zasłony. Kiedyś powiedział:

— Kochamy je, ponieważ upadają.

— Kobiety? — spytała Parwati.

— Kwiaty wiśni.

Poczuła, że próbuje uchwycić coś, co wymyka się z rąk. Innym razem postawiła go przed obrazem klauna.

— Powiedz mi, czemu to malowidło tak mnie niepokoi.

— Ono niepokoi każdego, kto je zobaczy. Popatrzyła na jego wyrazisty profil.

— Mojego męża nie niepokoiło. Podobało mu się.

— Wobec tego twój mąż był kłamcą. Kupił je, bo zakłóciło jego spokój, i powiesił tutaj. Siedział tyłem do obrazu, a goście na niego patrzyli. Chciał widzieć ich reakcję, ich poczucie niepewności. Pragnął czuć, że nie jest osamotniony w swoim lęku.

— Znam kobietę, która nie kłamie, a która powiedziała mi, że nic nie czuje, patrząc na ten obraz.

Kochanek spojrział na Parwati.

— W takim razie może się uważać za szczęśliwą. Nie ma żadnych ziemskich żądz, których mogłaby się wstydzić.

— Nie rozumiem.

— Każdy, kto spojrzy na to malowidło, dostrzega w klaunie siebie, żałosnego z pragnieniami, które ma i które dopiero do niego przyjdą. Gdy ja patrzę na obraz, jestem klaunem, a ty łabędziem, ale kiedy ty na niego patrzysz, ty jesteś klaunem, a ja łabędziem. Zawsze kiedy coś zdobywamy, odbieramy wolność. Zabrałem ci coś, czego nie powinienem, ale ty także mnie uwięziłaś.

Parwati spojrzała na obraz innymi oczami, jego oczami.

Rzeczywiście, to niesłuszne, że takie dumne i gniewne stworzenie tkwi bezradnie w rękach człowieka. Właśnie to ją niepokoiło. A jeszcze bardziej rozpacz w oczach klauna, świadomego ukrytej ceny swojego pragnienia.

— Chciałam ci to powiedzieć od dawna. Jestem ci bardzo wdzięczna za to, co zrobiłeś dla Rubini. Gdybyś się nie zjawił...

— Mężczyźni by ją wykorzystali — dokończył beznamiętnym głosem. Parwati zadrżała.

— Dlaczego mnie wybrałeś?

— Z powodu włosów. To było pierwsze, co zobaczyłem. Długie, sięgające ziemi. Perukarze mówią, że chińskie włosy są dobre, ale japońskie są lepsze. Nie widzieli i nie dotykali twoich włosów.

Parwati popatrzyła nań ze zdumieniem.

— Moje włosy są proste. Nie są tak piękne i kręcone jak włosy Rubini.

Teraz z kolei on się zdziwił.

— W Japonii mamy taki makaron.

Jakie to dziwne, że to, co w jej kulturze uchodziło za piękne, w innej było uważane za niegodne uwagi. Kochanek ujął w dłoń jej włosy, pozwolił, by wysunęły się z palców, westchnął i zamilkł.

— Wydawały mi się tak piękne, że musiałem się do nich zbliżyć, jak gdyby zawołała mnie przeszłość. Mój ojciec pracował jako fryzjer w dzielnicy gejsz w mieście Gion. Mawiał, że były kiedyś czasy, gdy dało się powiedzieć o człowieku wszystko, spojrzawszy na jego włosy. Można było określić, czym się zajmuje i z jakiego kraju pochodzi. Każda klasa społeczna miała własny styl uczesania.

— Co byś zrobił, gdybym nie przyszła pierwszej nocy?

— Potrzebowałem tylko kobiety, ale kiedy pojawiłaś się ubrana na biało, bez makijażu, przestraszyłem się tak, jak mężczyzna boi się tego, co może go zniszczyć. Gdybyś nie przyszła, znalazłbym inną i sprawiłaby się równie dobrze. Brzegi wyspy opuściłby ten sam mężczyzna, który na nie przybył.

•••

Znacznie później Parwati wdrapała się przez niezamknięte okno na parterze i ruszyła do kuchni, w której paliło się światło.

Stała w drzwiach i patrzyła. Była za bardzo przejęta tym, co zobaczyła, by poczuć, że przeszkadza. Rubini ubrana w nocną koszulę, z bosymi stopami, leżała zwinięta na kolanach Mai. Na stole stał talerz z niedojedzonym mlekiem



kokosowym z zieloną fasolką *apam*. Głowa dziewczynki spoczywała na piersi Mai, a jej wzrok skierowany był na jej twarz. Maja śpiewała głosem, który Parwati usłyszała tylko raz, w tę noc, gdy dowiedziała się o śmierci matki. Całkowicie o nim zapomniała; dopiero teraz wróciło wspomnienie. Co się stało wtedy, na wielkim kamieniu? Pamięć przynosiła jedynie strzępy: wiatr, wołające ją niespokojne fale, księżyc wschodzący nad wodą i ten straszliwy smutek, który sprawiał, że czuła się tak, jak gdyby tonęła w ciemnej zimnej wodzie. Dopiero ten głos dotarł z niewyobrażalnej głębi, by ją ocalić. „Śpij, wszystko będzie dobrze”, szeptał. Poszukała w pamięci. Czy coś jeszcze zostało powiedziane? Nic więcej się nie pojawiało.

Maja spokojnie uniosła głowę.

— Rubini miała zły sen, a ponieważ nie było cię w łóżku, przestraszyła się. Powiedziałam jej, że często wychodzisz wieczorem na spacer i zawsze bezpiecznie wracasz do domu. Rubini zsunęła się z kolan Mai i przez chwilę wydawała się zagubiona, spoglądając to na jedną kobietę, to na drugą.

— Nie wiesz, że niebezpiecznie jest wychodzić w nocy? — rzekła gniewnie do Parwati. — Coś mogłoby ci się stać, i co byłoby wtedy z nami wszystkimi? Ale ciebie to nie obchodzi, prawda? Jak ty w ogóle weszłaś do środka? Nie weszłaś drzwiami frontowymi ani tylnymi, bo słuchałam.

— Chodź do mnie — powiedziała Parwati i targana emocjami podeszła i przytuliła drobne, pełne gniewu ciało. Wciąż miała na sobie woń kochanka. Dziecko w pierwszej chwili zeszywniało, a potem zaczęło się gwałtownie wiercić. Parwati

puściła pasierbicę, a ona czym prędzej od niej odskoczyła. Zawsze musiała zachowywać dystans między sobą i swoimi uczuciami.

— Już jestem i nic nie stanie się ani mnie, ani wam — rzekła łagodnie Parwati.

Rubini zagryzła wargę. Na jej twarzy zmagaly się z sobą sprzeczne emocje. Nie mogąc ich wyrazić, odwróciła się nagle i z rozdzierającym szlochem wbiegła po trzeszczących schodach na górę.

Maja podsunęła Parwati szklanke mleka.

— Weź to z sobą i zanieś jej.

## Kimono

Japończyk przesunął w stronę Parwati płaskie tekturowe pudełko.  
— To dla mnie?

Skinął głową, więc Parwati uniosła wieczko. Ręcznie czerpany teksturo wy papier był związany jasnoniebieską wstążką.

Rozwiązała ją ostrożnie. Wiedziała, że Japończycy bardzo poważnie traktują wręczanie i odbieranie prezentów.

Lekkomyślne potraktowanie daru stanowiło obrazę dla darczyńcy. Wewnątrz znajdowała się warstwa bibuły, a w niej piękne jedwabne kimono w pastelowych odcieniach szarości przepiórczego jaja. Pogładziła materiał. Był to niesłychanie delikatny, luksusowy jedwab, tak cienki, że prawie przezroczysty. Podniosła kimono. Było pięknie uszyte i ozdobione wzorem białej trawy; w dotyku przypominało skórę żywego zwierzęcia. Oprócz tego miało proste fioletowo-różowe *obi*.

— Gejsza nie może prezentować się krzykliwie, chyba że jest na scenie.

— Jest piękne — powiedziała Parwati, dotykając materiałem policzka.

— To bardzo wyjątkowe kimono — ciągnął poważnym tonem Japończyk. — Ozdobiono je wzorem jesiennych traw, ale jest utkane z najłżejszego jedwabiu, dlatego nosi się je latem. Wedle tradycji gejsza wybiera kimono z kwiatami, roślinami, owadami lub ptakami odpowiednimi dla danej pory roku. Gałązki sosny na purpurowym tle w styczniu, kwiaty śliwki w lutym, kwiat wiśni wiosną, żaby, deszcz lub małe pstrągi w czerwcu, cykady w środku lata, liście klonu jesienią, róże na szaroniebieskim tle w październiku i płatki śniegu zimą. Żadnej gejszy nie przyszłoby do głowy włożyć jesiennych traw w ciągu lata, dlatego to ubranie może nosić tylko cudzoziemka.

Kazał Parwati zdjąć wszystkie rzeczy. Ona jednak nauczyła się nagości. Początkowo czuła się bardzo dziwnie. Pochodziła z kraju, w którego kulturze obnażone ciało postrzegano jako nieprzyzwoitość, chyba że było martwe. Teraz jednak Parwati nie potrzebowała i nie chciała się już okrywać. Kochanek podszedł do niej z tyłu i bardzo powoli i starannie przesunął językiem od jej szyi aż do końca kręgosłupa. Chciała się do niego odwrócić, lecz westchnął cicho i rzekł:

— Nie poruszaj się.

Usłyszała, że się oddala. Stała na środku pokoju jak obnażony, słaby, drżący i wilgotny noworodek.

Po chwili znów znalazł się blisko. Poczowała dotyk czegoś

zimnego. Kątem oka dostrzegła jasny pędzel pokryty białą farbą. Precyzyjnymi ruchami Japończyk nakreślił na jej karku kształt przypominający rozwidlony język węża.

Następnie obszedł ją i nałożył grubą warstwę farby na jej twarz, szyję i pierś. Jego twarz wyrażała czyste skupienie. Nazywało się to *kata*, czyli właściwy sposób wykonywania zadań. Celem, bez względu na to, co miało nim być — ogród, wiersz bądź atramentowy rysunek — była zawsze doskonałość. Lekkiimi jak piórko pociągnięciami sprawił, że brwi Parwati stały się czarne i proste, niczym skrzydełka ćmy. Potem podkreślił czerwienią jej oczy, przedłużając linie w kącikach, i zaróżowił skórę wokół nosa. Z patyczka z czerwonym i szafranowym barwnikiem na dolną wargę Parwati spadła kropelka intensywnej czerwieni i rozprysła się, tworząc kształt półkorony. Wysoce rozpraszające. — Pomalowana dolna warga jest znakiem nowicjuszki. Wszyscy wiedzą, że wciąż jesteś dzieckiem — rzekł.

Później zajął się jej włosami.

— Twoje włosy są długie i bujne, nie będę więc potrzebował sierści jaka, by utrzymać wszystko na swoim miejscu. — Długo przeciągał metalowymi wałkami po włosach Parwati, aż stały się gładkie, lśniące i niewiarygodnie proste. Smarując mały grzebyk ze skorupy żółwia olejem *bintsuke*, wyjaśnił, że takiego samego używają zapaśnicy sumo, by ich koki mocno się trzymały. Za pomocą grzebienia rozprowadził więcej pomady i wyćwiczonym ruchem profesjonalisty przeciągnął po włosach drugim i środkowym palcem. Do tego były stworzone te dłonie.

Gdy włosy przylegały całkowicie płasko, Japończyk zakasał rękawy.

— Jesteś gotowa? — Zebrawszy część włosów z czubka głowy, pociągnął mocno, żeby upleść z nich kok. Parwati krzyknęła. — Wiem, *anata* — pocieszył ją. — Każda gejsza ma w tym miejscu łysą głowę właśnie z tego powodu.

Ostrożnie nawinał włosy na rolkę papieru i zaczesał do przodu, by utworzyć węzeł. Włosy z tyłu zostały przesunięte do góry i naprzód i spięte w sztywną pętlę, utrzymywaną na swoim miejscu kawałkiem lakierowanego drewna. Potem wykonał manewr, który różnił japoński kok od wszystkich innych: dwie części boczne zostały nawoskowane i przywiązane sznurkiem do środkowej, tak by częściowo zasłaniały obie strony twarzy. Przód został spięty, a wsunięty w środek czarny papier nadał mu bufiasty kształt. Głowa Parwati zrobiła się nieprzyjemnie ciężka i zaczęła boleć na czubku.

— Ozdoby włosów — oznajmił Japończyk, wsuwając czarne grzebyki w boczne koki oraz za uszy. Zwisające z nich paciorki sięgały aż do brody. Niektóre ocierały się o łopatki. — W Japonii nie ma już gejsz. Noszą fartuchy i granatowe spodnie i szyją spadochrony w fabrykach — dodał z żalem w głosie.

Parwati poczuła dotyk tkaniny na skórze. Od wewnątrz kimono miało brzoskwiniowy kolor, było lekkie i chłodne. Cóż za ulga. Japończyk owinął ją podszewką. Samo kimono było ciężkie i niewygodne i miało tren, który wirował i otaczał stopy Parwati niczym woda. Zawiązał je tak, by przez rękaw

i spod rąbka wyzierała podszewka. Seksapil oznaczał dla japońskich mężczyzn tajemnicę, sugestię czegoś gorszego ukrytą pod wieloma warstwami tkaniny. Rękawy zwisały do bioder.

Gdy po tych wszystkich zabiegach kimono znalazło się na swoim miejscu, Japończyk zajął się *obi*, które było dłuższe i cięższe niż sari. Owinął je wokół talii Parwati, przez cały czas umieszczając na plecach poduszcзки i usztywnienia, żeby dodać mu rozmiarów. Była to ciężka praca, Japończyk zaczął dyszeć. Jego ramiona pokryły się potem, mięśnie prężyły się z wysiłku. Dopiero gdy zakończył owijanie, otarł czoło.

— Gotowe.

Dołożył jeszcze tylko romantyczny dodatek, wąski biały jedwabny sznurek, którego końce sięgały do podłogi. Podał Parwati papierowy wachlarz w kształcie liścia *gingko* z pięknie wykalfigrafowanymi czarnymi literami.

— Co oznacza ten napis? — zapytała.

— Fumiko.

Czy tak miała na imię właścicielka tych wszystkich wymyślnych rzeczy i pięknego wachlarza z olejnego papieru? Była kochanka? Parwati nie dociekała dalej. Po co, skoro bambus był postarzały, a łądyżki nadżarte przez owady. Japończyk przykucnął i włożył jej na nogi *tabi* — białe lniane skarpetki — oraz chodaki. Wsunęła w nie stopy. Kochanek wtarł jej za uszami olejek kameliowy i cofnął się o kilka kroków.

Zgasił światło, zapalił kilka świec, przyjrzał się jej uważnie w miękkim świetle, a następnie z aprobatą skinął głową i wskazał lustro. Parwati chwyciła tren.

— Lewą ręką — zgał surowo.

Chodaki były bardzo niewygodne i głośno stukały. Chciał, żeby stawiała drobniutkie kroczi, jak gdyby miała na sobie coś bardzo ciasnego, co kończyło się na połowie łydek. Powiedział, że nawet podczas rozsuwania parawanu kobieta nie może pozwolić, by jej kolana rozchyliły się na więcej niż kilka centymetrów.

— Możesz klękać, siadać na piętach, ukłonić się w pasie, ale twoje kolana zawsze muszą być razem.

Parwati ruszyła, szurając nogami; *obi* kołysało się ciężko w ślad za nią. Czowała się śmiesznie w baśniowym świecie, który z takim trudem stworzył.

— *Matte, matte*, zaczekaj, zaczekaj. Musisz sunąć po ziemi.

Kimono i normalny chód kłóca się z sobą.

Stanała i czekała. Podszedł do niej ze sznurkiem. Rozchylił kimono i związał jej kolana.

— Teraz idź.

Rzeczywiście, teraz Parwati mogła sunąć. Szła powoli, jak największa, najwspanialsza gejsza na świecie. Poczowała się tak, jakby nagle stanęła na chwiejnym balkonie w dzielnicy rozkoszy. Spoglądała na wijące się alejki pełne małych, krytych trzcina drewnianych chat w sercu miasta. Były tam świątynie ze smukłymi kolumnami, cynobrowe pałace, teatry i ogrody, w których kochankowie wznosili wzrok na księżyc. Ktoś mieszał kadzidło, a ktoś inny sztukę i piękno. Było dokładnie tak, jak na dziewiętnastowiecznej rycinie w książce przywiezionej w drewnianym kufrze.

Wreszcie lustro. Ależ ta kobieta nie była nią! Parwati



przyglądała się sobie ze zdumieniem. Cała skrępowana. Biała twarz i szyja, wynurzające się jakby z mroku, przypominały lalkę lub kobietę motyla. Była odległa, wyniosła, tajemnicza, a zarazem niesłychanie podniecająca. Fantazja stworzona po to, by napędzić króla lub wielkiego wojownika obłąkańczym pożądaniem. Ta kobieta wiedziała, jak się przytulić, lecz nigdy nie tracić głowy bądź serca. Celowo ją zdeformował i spodobało jej się to, lecz rozumiała, że to uwodzicielskie stworzenie przeznaczone było jedynie do ciemności lub półmroku. Uniosła rękę. Nawet jej ruchy były delikatniejsze, bardziej czarujące i grzeczne. Co, u licha, z nią się stało? Czy stała się elementem owych namiętnych opowieści o samurajach, złoczyńcach i pięknych białych kusicielkach, w których bohater i bohaterka jakże często żegnają się z życiem?

— Spójrz, jaka jesteś piękna — rzekł, głaszcząc mały, niepomalowany skrawek jej karku. Ich spojrzenia spotkały się w lustrze.

Ukryta za bujną zasłoną pięknych ozdób, Parwati mogła wiele rzeczy udawać. Wszak tym razem nie będzie konsekwencji, nie było przejścia do prawdziwego świata. Słońce musi powrócić, by ściąć głowę najciemniejszej nocy. Spojrzawszy z ukosa, wyszeptła jego imię. Jej głos był inny, wyższy, wabiący. Miała wrażenie, że mówi w innym języku.

— Musimy znaleźć dla ciebie nowe imię — oznajmił generał. Gejsza skromnie skinęła głową. Tak, chętnie pozna swoje nowe imię. Przyda się, kiedy będzie sunąć uliczkami oświetlonymi papierowymi latarniami.

— Sakura.

— Podoba mi się.

— Chodź, napijemy się herbaty.

*Obi* było sztywne, a on kazał jej siedzieć prosto. Zaparzył herbatę. Jego ruchy przypominały precyzyjny układ choreograficzny, wykonany w skupieniu i oszczędnie, przez co sprawiał wrażenie spokoju. Odłożył mieszadełko. Parwati uniosła do ust spienioną zieloną herbatę i napiła się powoli.

Wyginając się, uklękła. Położyła ręce płasko na podłodze, oparła na nich głowę i pozostała bez ruchu. W tej pozycji czekała, by służyć swemu panu.

•••

Kupu leżał na posadzce w środkowej komorze okrągłej wieży i spoglądał przez okienko na gwiazdy. Wyobrażał sobie, jak daleko się znajdują, z czego zbudowane są ich ciała i kto je zamieszkuje. Zamknął oczy i być może zmorzyłby go sen, gdyby nagle nie poczuł na zamkniętych powiekach, że gdzieś zapaliło się światło. Światło w samym środku nocy? Podbiegł do okna i stał się świadkiem nadzwyczajnej sceny.

Grupa około dwudziestu mężczyzn w brązowych habitach z kapturami, niosących w dłoniach zapalone pochodnie, zebrała się w kręgu wokół kamienia komunikacyjnego. Nie sposób było zobaczyć ich twarzy, lecz całkowity bezruch zwiastował coś groźnego i strasznego. Coś jeszcze zwracało uwagę: ich sylwetki nie były jednolite, brzegi rozmywały się, falowały.

Jedna ze zjaw opuściła krąg, zbliżyła się do ściany wieży i stuknęła w podnóże schodów. Następnie spojrzała w okno,

przy którym stał Kupu, i skinęła na niego. Nie miała twarzy, tylko głęboki cień pod kapturem. Kupu poczuł zimny dreszcz przebiegający przez całe jego ciało. Postać wróciła na swoje miejsce w kręgu. Następnie wszystkie powoli się rozplynęły. Kupu przez chwilę stał przy oknie, wstrząśnięty tym, co ujrzał, a potem odwrócił się i zobaczył swoje ciało, wciąż śpiące na posadzce. Na moment ogarnęło go przerażenie; pomyślał, że nie żyje. Z wolna podszedł, a raczej podpłynął do leżącej postaci, ukląkł nad nią i popatrzył. Nigdy nie widział siebie z takiej pozycji. Był z siebie jeszcze mniej zadowolony niż w czasie rzadkich okazji, gdy mógł zobaczyć swoje odbicie w lustrze lub powierzchni wody. Usiłował dotknąć nieruchomego ciała i nagle został w nie boleśnie wessany. Usiadł, oszołomiony i zdezorientowany. Czyżby to wszystko mu się przyśniło? Zręcznie zbiegł po pozbawionych poręczy schodach do miejsca, w którym zjawa stuknęła w ścianę. Uderzył ją podstawą dłoni i cały kamienny blok zaczął rezonować niczym kamerton. Cofnął się, zdumiony. Zabrzmiało to tak, jakby stado ptaków biło skrzydłami, szykując się do lotu. Kupu odgadł, że odgłos symbolizuje lot w nieznaną. Tak jak powiedziała Maja: ani jeden kamień nie istnieje bez celu lub bez tajemnicy.

•••

Nadszedł maj, a Maja, starannie omijając żółte główki czosnku na targu, przynosiła do domu jedynie najbielsze. Rok dobiegł końca i znów był styczeń.

## Dar

*Adari, styczeń 1943*

Zastała go stojącego na balkonie. Spoglądał w morze, a ona długo patrzyła z tyłu na jego prostą jak stempel sylwetkę. Wreszcie zawołała go, a on odwrócił się, przepełniony goryczą i nienawiścią.

— Zabijemy wielu Amerykanów — wycharczał. Jego głos zdradzał przeraźliwe wewnętrzne znużenie. On także musiał je usłyszeć, bo powtórzył zdanie i tym razem zabrzmiało jak pozbawione emocji stwierdzenie wodza, przekonanego do prostej filozofii „rasy panów”. Już raz dokonali tego skutecznie w Korei. Nagłym ruchem uniósł w stronę Parwati dłonie z rozpostartymi palcami.

— Tyłu zginęło z mojej ręki. — Parwati zaczęła bardzo delikatnie wycierać rąbkiem sari dłonie, jak gdyby chciała z nich usunąć plamę. Generał patrzył na nią, najpierw gniew-

nie, a potem ze smutkiem. Oparł głowę na jej lewym ramieniu. — Mam dla ciebie podarunek.

Prezent znajdował się w prostym, niezapakowanym pudełku. Gniew nie ustawał, był poza kontrolą. Parwati nigdy wcześniej czegoś takiego nie doświadczyła. Pudełko spadło na ziemię, a jej oskarżycielski wzrok wybiegł na spotkanie jego spojrzenia.

— Skąd to wzięłeś? Jest kradzione, prawda? Czy nie wiesz, że miałam znacznie więcej takich rzeczy i nic mnie to nie obchodziło?

Odrzuciła prezent od siebie tak mocno, że uderzył w ścianę i się rozpadł.

— Naturalnie — odparł cicho Japończyk. Jednak Parwati wiedziała, że bardzo go zraniła.

Bez wahania zarzuciła mu ręce na szyję.

— Przepraszam, tak bardzo mi przykro. Ja tylko nie chcę, żebyś plamił się z powodu błyskotek. Nie bądź taki sam jak reszta. — Wsunęła dłoń pod szorstki materiał munduru i poszukała bicia serca. — Daj mi więcej tego, niczego innego nie pragnę — wyszeptała gwałtownie. Wzięła go za rękę i razem pobiegli na plażę. Oboje rozpaczliwie chcieli zmazać to, co się właśnie stało. Chcieli się w sobie nawzajem zatracić, poczuć płynącą między nimi rozkosz. Potwierdzić, że w tym krótkim starciu nic nie utracili. Być znowu jednym.

Pływali w ciemności, ich ciała ocierały się o siebie. Śmiali się stłumionym śmiechem, dłonie przecinały wodę cicho niczym wiosła.

Powietrze ochłodziło się, a ich ciała cudownie się rozgrzały.

Kochali się w deszczu, leżąc na morskich glonach wyrzuconych na brzeg. Deszcz przestał padać, niebo wypełniło się tysiącami gwiazd, księżyc był prawie w pełni.

Gdy później, osuszywszy się, leżeli w ciepłym łóżku, Parwati odwróciła się leniwie do kochanka.

— Wszystko w porządku?

— Hmm... — Jego głos zawsze był surowy, lecz Parwati wiedziała, że taki jest sposób bycia tego mężczyzny, nawet w łóżku. Tylko raz powiedział: *Suki desu*. Znaczyło to tylko „Lubię cię” i stanowiło słaby wyraz przywiązania. Jednak nawet to wyznanie sprawiło mu dyskomfort. Wolał okazywać swoje uczucia za pomocą ciała.

Skierowała wzrok na sufit.

— Chciałabym, żebyś poznał Maję.

— Poznałem ją.

Zaskoczona Parwati oparła się na łokciu.

— Jak to? Kiedy ją poznałeś?

— Pierwszej nocy, zanim do mnie przyszłaś. Spędziłem wieczór poza domem, a po powrocie zastałem ją czekającą za drzwiami. Odruchowo skierowałem miecz w jej brzuch. Najbardziej wryło mi się w pamięć to, że chociaż ją zraniłem, bo na klindze była krew, ona nawet nie mrugnęła. „Jeśli ją złamiesz, poderżnę ci gardło we śnie”, powiedziała. Skąd tej niepiśmiennej upartej babie przyszło do głowy, by grozić japońskiemu żołnierzowi? Gdyby to był któryś z moich kolegów, z miejsca by ją zastrzelił. Po wygłoszeniu tego niezwykłego oświadczenia powoli się wycofała, nie spuszczając mnie z oka. Poczuję się dosyć dziwnie.

Parwati nie mogła wydobyć słowa. Ujrzała Maję siedzącą skromnie na podłodze w kuchni. Spinką do włosów wyciągała szpik z kurzej kości, a syn Parwati otwierał usta i zbierał to, co zwisało ze spinki. Ta kobieta musiała być zrobiona ze stali. Wszak widziała w miasteczku gnijące na palach głowy i słyszała o bezlitosnej brutalności japońskiego żołnierza.

•••

Wróciwszy do kwatery w sklepie, Parwati postawiła puszki z łososiem w konserwie i kiełbaski, które dostała od kochanka. Zapytała Maję o incydent.

— Cóż znaczy miecz w moim brzuchu? Śmierć jest niczym. Nie jestem przywiązana do ciała. Ono stanowi tylko wehikuł potrzebny mojej duszy do osiągnięcia większej świadomości i oświecenia. Ludzie są zagubieni. Gdyby nie było śmierci, jak nieśmiertelna dusza mogłaby kontynuować swoją wędrówkę?

## Nowe *thali*

Nadeszły ostatnie dni października 1944 roku. Parwati wkładała swoje zwyczajowe białe sari, gdy do pokoju weszła Rubini.

Usiadła na łóżku i patrzyła na nią w milczeniu, lecz gdy Parwati była już prawie ubrana, dziewczynka powiedziała:

— *Mami*, wydaje mi się, że ładnie ci w czerwonym. Dlaczego nie nosisz w domu czerwonego sari? Nikt prócz nas tego nie zobaczy.

Wieczorem Parwati zjawiła się u kochanka z kwiatami we włosach i w kolorowym sari. Spojrzał na nią z zaskoczeniem.

— To moje ślubne sari — rzekła cicho. Mężczyzna odwrócił się, wyraz jego twarzy uległ zmianie. Parwati nieśmiało dotknęła wygiętych pleców. Mięśnie drgnęły pod jej ręką.

— Dlaczego? — zapytała.

— Nie wiem. Wydawało mi się, że ze mnie kpisz. Mówiłaś mi, że nigdy nie zostaniesz moją narzeczoną. — Japończyk westchnął ciężko. — Wszystko to szarada. Cesarska kwatera



główna wprowadzała nas w błąd. Przegrywamy wojnę. — Westchnął ponownie. — Jedna wielka klapa!

Jego słowa przyniosły natychmiastowy ból. Parwati wiedziała, że tak się stanie, że alianci zwyciężą, a on będzie musiał wrócić w hańbie do Japonii. Chciała, by wojna się skończyła, żeby dzieci mogły chodzić do normalnej szkoły i żeby znów zapanował rozum, lecz myśl o rozstaniu z ukochanym była nie do zniesienia. O północy w zagłębieniu na plaży urządzili sobie piknik. Później leżeli obok siebie. Ciszę zakłócił nagły hałas w oborze. Parwati przetoczyła się na brzuch i zobaczyła Kupu, który biegł z czworaków w stronę obory. Oparłszy brodę na nadgarstku, obserwowała go z ukrycia. Wartownik odezwał się do Kupu, a ten się zatrzymał. Zamienili kilka zdań i Kupu poszedł dalej. — Co się dzieje? — spytał generał. Jego głos nie zdradzał najmniejszego zaniepokojenia.

— Któraś krowa musi się cielić — mruknęła Parwati. Przez zasłonę dymu zobaczyła, że Kupu zapala lampę.

Jego ruchy były płynne i zwarte. Pochylił głowę i zniknął za drewnianymi deskami. Parwati wyobraziła sobie, jak przemawia łagodnie do zwierzęcia. Nagle przypomniała jej się ta chwila w dżungli, gdy pomyślała, że jest piękny, i chciała go dotknąć. Wciąż tak uważała, lecz pragnienie nie chciało lub nie potrzebowało zaspokojenia.

— O czym rozmyślasz?

— O niczym — odparła, wracając do pierwotnej pozycji.

Japończyk usiadł.

— Czy w obliczu tej pustej tykwy sake, drewnianych pałeczek i resztek pożywienia zgodzisz się mnie poślubić?

Jego twarz tonęła w czarnych cieniach. Parwati nie widziała oczu ukochanego. W armii japońskiej nie seks stanowił tabu, lecz miłość. To była niepisana zasada. Mieli nie zabierać z sobą żon i nie zostawiać potomstwa.

— To nie zrujnuje ci kariery?

— Urodę kobiety ocenia się na podstawie mężczyzn, których zdoła zrujnować.

Parwati zamknęła oczy, lecz łzy i tak wydostały się spod powiek.

— Tak, zgadzam się — wyszeptała.

— Pójdziemy nocą do twojej świątyni. Niech twoi bogowie będą świadkami, że jesteś kobietą, którą wybrałem.

— Nie mam *thali*.

Generał ściągnął z palca sygnet.

— Czy to wystarczy?

•••

Tej nocy zawędrowali do odległej świątyni. Znajdowała się tak daleko, że nie wiadano tam o istnieniu wdowy po Kasu Marimuthu. Była to mała świątynia Murugana, bóstwa wybranego przez jej matkę. Wkraczając do świątyni, Parwati zauważyła, że posadzka jest brudna, i ogarnął ją wstyd. Powinniśmy utrzymywać nasze świątynie w czystości, pomyślała. Winniśmy naszym bogom lepsze domostwa. Zerknęła na Hattorisana. Jego świątynie na pewno były czystsze.

Wyrwali ze snu kapłana; wyszedł w pospiesznie zawiązanym *veshti*, przerażony, z niechlujnie upiętymi włosami. Jego wzrok raz po raz wędrował do miecza wiszącego u pasa japońskiego generała.

Drżącą ręką sięgnął do płonącej kamfory. Narzeczeni wymienili się wiankami. Generał posmarował czoło Parwati cynobrowym pudrem. Kapłan podsycał ogień i podsunął im, by mogli zbliżyć dłonie do ciepła. Jego twarz lśniła perłście w blasku kamfory. Uśmiechnął się do niej, lecz ona płakała. Dlaczego? Ponieważ to było nierealne. Nic, co zdarza się nocą, w tajemnicy, nie jest rzeczywiste. Tylko głupcy i zakochani podejmują takie kroki. Delikatnie otarł łzy z jej twarzy, one jednak nie przestawały płynąć, więc przyłożył palec do drżących ust. Podniosła na niego wzrok, łzy stanęły kamieniami w jej gardle. W jego wzroku dojrzała tęsknotę za jutrem, za kolejnymi wspomnieniami, za dalszym ciągiem.

— Kocham go, naprawdę go kocham — rzekła zapalczywie do kamiennego posągu.

Nie mogła wiedzieć, że posąg już to wszystko widział.

Kochanków, którzy stawiali wszystko na nic. Jej dłonie powędrowały do girlandy z kwiatów jaśminu. Wzięła ślub, lecz to nie było prawdziwe małżeństwo. Byli skazanymi przez los kochankami z japońskiej legendy. Gdy o świcie rozdzwonią się lśniące dzwony, oni odbiorą sobie życie.

— Czuję się szczęśliwy jako twój mąż. — Jego oczy jaśniały, gdy otaczał ramieniem jej kibić.

Jej mąż! Tak, jej mąż. Jakże kochała tego mężczyznę, który

powinien rozsiewać woń krwi. Któż ośmieli się jej zaprzeczyć? I nie był to sen. Kamienie, po których stapała, raniły jej stopy. Obejrzała się po raz ostatni. Wąż się uśmiechał. Wszystko, o co prosiłaś. A co z „na zawsze”? Czyżby część znaczenia umknęła? Kapłan pożegnał się, lecz dogonił nowożeńców w połowie drogi do samochodu.

— Poczekaj! — zawołał. — Zapomniałaś parasolki!

— Zatrzymaj ją — odparła. Żaby wciąż rechotały, ale przestało padać. Zbliżał się świt, powinni się pospieszyć. Parwati spojrzała w jego zaciekawione oczy. Był zacnym człowiekiem. Chciał wrócić tam, gdzie było ciepło i bezpiecznie. — Módl się za mnie. Spojrzał na nią z litością.

— Naturalnie — rzekł po tamilsku. — Poświęciłaś się dla innych. Chciała powiedzieć mu, że tak nie jest, że kocha tego mężczyznę, ale słowa uwięzły jej w gardle. Nadal potrzebowała aprobaty obcego. Jej miłość nie była zatem tym cudownym uczuciem, które sobie wyśniła. Skinęła głową i się odwróciła.

— Idź z Bogiem — zawołał.

Nie przyznała się do winy, dopóki nie dotarli do samochodu. Jednak kiedy drzwi otworzyły się przed nią, powiedziała do męża:

— Zaczekaj na mnie chwilę.

Sylwetka kapłana rysowała się na tle krawędzi świątyni.

— To nie było poświęcenie. Ja go kocham — powiedziała

Parwati do spowitej cieniem twarzy. Wydawało jej się to ważne. Przynajmniej przed kapłanem nie chciała być hipokrytką, wolą się obnażyć. Nie powinno się łączyć przedstawicielowi Boga.

— Wiedziałem, ale udawałem, mając na względzie twoją dumę.

— Pobłogosław mnie, to jest miłość.

— Jesteś teraz w rękach Boga, dziecino. Parwati popędziła do samochodu.

Mąż spojrzał na nią.

— Coś się stało, *anatol*

— Chciałam tylko we właściwy sposób podziękować kapłanowi.

•••

W izbie nad sklepem Maja doglądała glinianego garnka stojącego na piecu. W środku od dwóch dni warzyło się lekarstwo.

— Jak długo jeszcze? — zapytała Parwati.

— Garnek może pęknąć w każdej chwili i lek będzie gotowy.

Parwati z roztargnieniem skinęła głową.

— Maju, jeśli szukałam pięknej duszy, w której mogłabym się zakochać, dlaczego po prostu nie zakochałam się w Kupu?

Trudno o piękniejszą duszę.

— Jak się nazywa ta zabawa, w której porządkuje się kawałeczki o różnym kształcie, żeby utworzyć obrazek?

— Układanka obrazkowa.

— No właśnie. Każde z nas przyszło na ten świat z kilkoma kawałkami układanki wielkiej jak wszechświat. Ilekroć kogoś spotykamy, nieświadomie pokazujemy mu nasze kawałeczki, by sprawdzić, czy ma takie, które pasują do naszych. Jeśli ich nie ma, idzie swoją drogą, a my nie mamy z nim więcej do czynienia. Ale jeśli je ma, ha... Wtedy pojawia się pociąg, nienawiść, zazdrość, miłość, cierpienie i nauka. Kupu nie ma kawałków, których potrzebujesz. Ale nie wolno ci go nie doceniać. Ma inne kawałki, inne rzeczy do zrobienia, ważne rzeczy. Bycie zwykłym stróżem do nich nie należy. Choć wydaje się prostym stworzeniem, czasem bardziej przypomina zwierzę niż człowieka, jest skomplikowany, bardzo skomplikowany. Są w nim zdumiewająco wielkie, ponadczasowe myśli.

— Dziś wyszłam za generała — wyrzuciła z siebie nagle Parwati.

— Hm! Jesteś szczęśliwa?

— Tak, ale to nie potrwa długo, prawda?

— Nie ma nic na tym polu rozkładu, co może trwać i co trwa. Nawet kamienie rozpadną się w proch. Wszystko się zmienia. Sztuka polega na tym, by całkowicie zanurzyć się w chwili, przeżyć ją, a gdy odchodzi, nie mieć ani krzty żalu czy chęci spojrzenia wstecz. Wiedzieć, że odejdzie, i nie opłakiwać. Zostawić.

— To trudna sztuka — zauważyła Parwati.

— Bez wątpienia — mruknęła Maja.

Parwati ukryła swoje *thali* w szafie. Nie dlatego, że się wstydziła, lecz dlatego — tak sobie powiedziała — że było

zbyt cenne, by pozwolić je splamić choćby przelotnym zardrosnym spojrzeniem.

• • •

Głęboko w dżungli w blasku księżyca Kupu siedział samotnie, bez kobiety, na schodach świątyni. Jego twarz wyrażała ogromny smutek. Delikatny powiew wiatru poderwał kosmyk włosów na jego głowie i zatrząś liśćmi. Kupu uniósł wzrok, by nie widzieć stosu martwych pszczoł wokół swoich stóp. Potem jego spojrzenie powędrowało ku mówiącemu kamieniowi.

Głaz leżał wyrwany, obliczem do ziemi. Kupu pomyślał o japońskich żołnierzach, którzy dokonali tego zniszczenia. Zagadkowe plemię; ich dusze okrywało nocne światło. Byli posepni i siali śmierć, potrafili ściąć drzewo dla jednego kokosa i wysadzić ul, żeby zdobyć plaster miodu. Dziś przyszli, by wykopać srebrne misy wielkie jak świątynne dzwony i wywieźć je w siną dal.

Nie mieli pojęcia, co naprawdę uczynili.

Kupu zadrżał. Kamień mówił, wyrażał coś nieprzyjemnego i odstrasającego. Już nie chciał nosić ciężaru mężczyzny. Kupu podniósł się powoli, zmęczonym ruchem. Nie wolno mu dłużej obciążać kamienia. Nagle poruszył głową i zamarł; znał na wskroś tę dżunglę i jej mieszkańców, nie wyobrażał sobie, co mogło wydać tak smutny szloch.

Przypomniawszy sobie, co powiedziała kiedyś Maja: „Człowiek ma niewielu przyjaciół wśród żywych stworzeń na ziemi, gdyż nikczemnie się z nimi obchodzi”. Poczł wewnętrzny

niepokój. Gdy dźwięk ucichł, okolica nabrzmiała oczekiwaniem strachu, jak gdyby ziemia sama prosiła, by ją zraniono. Maja miała słusność. Misy trzymały w szachu złe duchy, a teraz, gdy ich zabrakło, energia, która do tej pory ożywiała i chroniła, zmieniła kolor na czarny. Kupu wyczuwał bezszelestną, niemą groźbę, szykującą się do dzieła zniszczenia.



## Utrata

Dzieci zachorowały na ospę wietrzną i stały się marudne. Maja związała w pęczki liście *neem* i kiedy dzieci skarżyły się na swędzenie skóry, Parwati nacierała je liśćmi. Nacierała im też ciała olejem rycynowym, żeby strupy łatwiej odpadały. Dni i noce płynęły powoli. Minał ponad tydzień, nim Parwati mogła się wymknąć z domu. Gdy samochód podjechał pod dom, zauważyła, że imponująca żelazna brama znikła; przypuszczalnie wywieziono ją do fabryki w Japonii i przetopiono na amunicję. Dom skrywała ciemność, lecz tym razem nie była to sprawka Kupu. Ropa do generatora niemal całkowicie się wyczerpała. Wojna przybierała bardzo zły obrót. Świece dopalały się powoli. W niektóre noce jej mąż prawie wcale się nie odzywał, lecz Parwati nauczyła się nie zadawać pytań, nawet gdy bardzo pragnęła usłyszeć jego głos. Jednak tej nocy wolała, żeby zachował milczenie.

— Dzisiaj zabiłem węża — oznajmił. — Ogromną czarną kobrę. Miała ponad trzynaście dłoni długości. Odciałem jej łeb.

Parwati poczuła, że rozpada się na drobne kawałki i unosi w dal. On jednak nie zauważył, że dzieje się coś złego.

— Wstrząsające, prawda? Pomyśleć, że tak olbrzymie zwierzę mogło żyć na tym terenie.

By nie zdradzić głosem swojego przerażenia, zapytała szeptem:

— Gdzie ją znalazłeś?

— I właśnie to jest najdziwniejsze. Zobaczyłem ją z okna naszej sypialni, leżała po prostu na trawniku. Zbiegłem na dół i w pierwszej chwili nawet nie miałem pewności, czy wąż żyje, bo mimo mojego tupania nie próbował się bronić ani uciekać. W ogóle się nie poruszył. Tylko leżał i patrzył na mnie, jak gdyby rozumiał, co zamierzam zrobić, i chętnie się na to godził. —

Generał pokręcił głową. — To było naprawdę dziwne. Później zrobiło mi się smutno. Takie piękne zwierzę.

Bóg zginął. Ale że akurat on go zabił! Teraz boska siła, która sprowadziła go do Parwati i chroniła ich wszystkich, prysła.

Parwati wiedziała już, że nadszedł czas, by ją opuścił.

— Co się stało? — zapytał.

— Nic — odparła. — Boję się węży.

— Ten już nie żyje.

Zmusiła się do uśmiechu, choć wewnątrz konała z bólu.

Nazajutrz udała się do złotnika i poprosiła, żeby zrobił dla niej posąg zwiniętego węża z rozpostartym kapturem.

— Ze złota?

— Z czystego złota.

Mężczyzna obserwował ją przebiegle spod zmierzwionych siwych brwi. Z jego informacji wynikało, że wśród miejscowych nie ostał się nikt bogaty.

— Jak duży ma być posążek?

— Około piętnastu centymetrów.

— To może sporo kosztować, a ja nie przyjmę bananowych pieniędzy — zastrzegł. — Zapłata musi być w brytyjskiej walucie. — Mówił to, wiedząc, że za transakcje dokonywane w innej walucie niż bezwartościowe japońskie papierki grozi kara śmierci.

— Mam pieniądze — odparła Parwati.

— Będę potrzebował zaliczki.

Posążek był gotowy w ciągu tygodnia. Złotnik przyniósł go z zaplecza i postawił na szklanej gablocie.

— Jest doskonały — orzekła Parwati i zabrała lśniąca figurkę do domu. W obecności Mai zdjęła ze ścian wszystkie obrazki. Wydaje ludziom. Mały bóg wąż będzie stał samotnie na jej ołtarzu.

•••

Gdy tej nocy przybyła do Adari, ktoś był z jej mężem w gabinecie. Usiadła w salonie muzycznym i słuchała głosów dochodzących z sąsiedniego pokoju.

— Co powiedziałaś? Chcesz zginąć? — zapytał nieznany głos. Nie był to krzyk, lecz utajona groźba. Obcy wyszedł, a wtedy zjawił się generał. Z jego twarzy biło znużenie.

— To był funkcjonariusz Kempeitai. Japonia znalazła się w wielkim niebezpieczeństwie, drugorzędni dowódcy, tacy

jak ja, nie zdołają jej pomóc. Teraz wiem, że moja ojczyzna wyruszyła na wojnę, której nie mogła wygrać, bo nie miała ani odpowiedniej techniki, ani wystarczająco silnej armii. Japonia to bogata kraina, a Japończycy są szlachetni, ale ta wojna jest błędem. Nie ma mowy o „wspólnym dobrobycie”, w obozach internowania pienią się tropikalne choroby, tubylcy nas nienawidzą. Wszystko to powinno się skończyć. Z tą myślą uwolniłem wszystkich jeńców wojennych. Alianci powinni zwyciężyć, lecz jeśli tak się stanie, nie będę mógł tu pozostać ani zabrać cię z sobą.

Generał przesunął dłonią po ogolonej głowie w geście wyczerpania i poczucia klęski.

— Nie pozostaje nic innego, jak tylko się upić — odezwał się pustym głosem.

Upili się więc podłym miejscowym grogiem. Parwati wiedziała już, co miał na myśli jej mąż, gdy mówił: „Jest mi to potrzebne”. To była spuścizna przemocy, straszliwe blizny, które pozostawiała na sprawcach.

— Wreszcie pojąłem — rzekł smutno.

— Co takiego? — spytała Parwati.

— Ten dziwny wiersz:

*Stara sadzawka, plusk  
wskakującej żaby.*

— Stara sadzawka... plusk wskakującej żaby — powtórzyła wolno Parwati. Precyzja i oszczędność słowa, właśnie tego

oczekiwała od jego narodu. Mimo to jakże prędko znalazła się nad zmaconą zieloną wodą. Czemu jednak służyła ta zagadka? Mąż utkwiał w niej spojrzenie.

— Żaba jest oddana staremu stawowi. — Zamilkł na chwilę, wciąż zamyślony. — Nie, nawet nie oddana. Czasowo użyczona. Otóż to. Niezależnie od kuszącego plusku, czy pierwsza lepsza żaba warta jest utraty spokoju? Czy jesteś tego warta? Naprawdę? Usnął na poduszkach, a Parwati czuwała, obserwując go. Nie mogąc zasnąć, Parwati stanęła przy oknie i zobaczyła Kamalę siedzącą na ganku czworaków. Nagle zatęskniła za jej nieustanną paplaniną, za komicznymi omyłkami. Prześliznęła się bezszelestnie po trawniku i delikatnie położyła dłoń na ramieniu Kamali. Staruszka podskoczyła ze zduszonym wrzaskiem.

— Och, *ama*\ Skąd się tutaj wzięłaś?

— Ciii — powiedziała Parwati, skrywając uśmiech. Bywałam tu od lat, ale dopiero teraz ci się pokazałam. — Przyszłam zobaczyć dom.

— Nie martw się o dom, *arna*. Wiem, że wszystkie parapety na górze są pokryte gołębimi kupami, ale ani się obejrzysz, jak biali ludzie wygrają wojnę. Ty wrócisz, a śmiali chłopcy wyczyszczą okna, prawda? Tymczasem ja i dziewczyny robimy, co w naszej mocy.

Parwati usiadła na betonowym odpływie wody.

— Jak się miewa Maja? Jest zdrowa? — dopytywała Kamala. — Parę dni temu tu mnie bolało. — Służąca położyła

ręką pod prawym kolaniem. — Szkoda, że nie było tu Mai, ona zaraz by mnie wykurowała. Bardzo za nią tęsknię. A jak się czują dzieci?

— Maja ma się świetnie. Dzieci chorowały na ospę, ale już im lepiej. A co u ciebie?

— Brakuje mi pieczywa kukurydzianego. Od czasu zamknięcia piekarni dostajemy tylko chleb, który przywożą pociągami, a on zawsze jest czerstwy. Trudno mi gryźć moimi zębami, przecież wiesz.

— Jak oni cię traktują?

— Och, boję się ich. Są tacy zaciekli. Nigdy nie rozmawiają ani się nie uśmiechają, czasem warczą na mnie, kiedy od razu nie rozumiem ich gestów. Za pierwszym razem, jak im ugotowałam, wypulili jedzenie, bo było za ostre. Zaczęłam dodawać więcej mleczka kokosowego i wtedy przestali pluć i warczeć. — Kamala zamilkła i pokręciła głową. — W piwnicy dzieją się okropieństwa. Ludzie są tam torturowani. Kilka razy drzwi pozostały otwarte, usłyszałam krzyki. Jejku! Oni wynoszą stamtąd trupy, nawet w biały dzień! Teraz niespokojne duchy wprowadziły się do domu i boję się tam postawić stopy. Czasem słyszę śpiew ducha kobiety, raz ją nawet widziałam. Była bardzo piękna, ale biała jak ziarnka ryżu. Miała na sobie długą suknię i drewniaki, a w rękach trzymała papierowy wachlarz. Stała na plaży i patrzyła w morze. Powiem ci, *arna*, że w życiu tak się nie przestraszyłam. Uciekłam i schowałam się w izbie. Ale ty się nie bój. Kiedy wrócisz, Maja zaraz znajdzie sposób na pozbycie się tych duchów. Poza tym

wszystko idzie bardzo dobrze — zakończyła Kamala, posyłając Parwati słodki uśmiech bezzębnych ust.

Parwati zostawiła starą służkę i godzinami spacerowała po plaży. Wyczuwszy nieprzyjemny zapach, podążyła za nim i znalazła martwego żółwia. Poświeciła na niego latarką. Pysk zwierzęcia był pełen czarnej krwi, piasku i much plujek. Nazajutrz znikł. Zapewne pogrzebali go rybacy.

## Zmiana modlitwy

Uklękła i usiadła na skrzyżowanych piętach, a on włączył gramofon i stanął przy oknie. Wiatr rozwiewał jego białe kimono. Pokój wypełnił wysoki kobiecy głos śpiewający przy akompaniamencie jednego instrumentu smyczkowego. Muzyka brzmiała dziwnie i nie przypadła Parwati do gustu.

— Obawiam się, że nie mam dobrego słuchu — oznajmiła. —

Mąż po długich staraniach dał za wygraną.

Generał podszedł do niej.

— Słuchaj, ale tym razem nie za pomocą uszu. — Wsunął sobie do ust palec wskazujący Parwati i uniósł go nad jej głowę. —

Słuchaj skórą. Zapomnij, jak wyglądasz, otwórz usta i smakuj językiem. Ta muzyka ma w sobie dramat, pozwól jej się opętać, bądź opętana — szeptał. — Słyszysz ten dźwięk? To jest

*shamisen*. Gra na tym instrumencie wymaga wielkich umiejętności. Żadna rozchichotana *maiko*



tak nie zagra. Tylko najstarsze i najwytrawniejsze spośród gejsz potrafią tak szarpać struny.

Parwati wsłuchiwała się w jęklive tony. Puste, smutne, samotne, jakże dalekie od bogatych akordów. Osławione japońskie samoograniczenie?

— Robi się go z kociej skóry i wykorzystuje tylko skórę dziewiczej kotki. Jeśli kotka zostanie choć raz pokryta przez kocura, ten zostawi na jej skórze zadrapania, które pozbawią dźwięk doskonałości.

Dźwięki trwały dalej i przypominały drapnięcie, mimo że kocur nie miał z nimi nic wspólnego.

— Musisz usłyszeć tę muzykę sercem albo odwrócić się od niej raz na zawsze. — Generał patrzył Parwati w oczy. — Słyszysz?

— Nie — odparła.

Odwrócił się do okna i stanął tyłem do Parwati.

— Już prawie po wszystkim. W czasie tajnych negocjacji ze Stanami Zjednoczonymi, prowadzonych za pośrednictwem Watykanu wiosną ubiegłego roku, cesarz zgodził się na warunki kapitulacji. Jednak Amerykanie grają na zwłokę, a ich bombowce B-dwadzieścia dziewięć rujnują Tokio. Sprowokowali nas do tego, żebyśmy popełnili pierwszy błąd i zaatakowali Pearl Harbor, a teraz, jak się zdaje, chcą przeprowadzić inwazję Japonii. Wypróbować nową broń atomową na żywych celach. Parwati milczała. Cóż można było rzec? Wtedy generał powiedział coś naprawdę niezwykłego. Seppuku. Siedziała oszołomiona, jak gdyby otrzymała cios.

Jej ukochany zawsze pesymistycznie patrzył na życie, lecz dlaczego mówi o seppuku? To delikatniejsze słowo na określenie harakiri. Jak można wbić sobie sztylet w brzuch i przeciągnąć go, by po chwili upaść na swoje parujące organy? Patrzyła na jego plecy, z przerażeniem słuchając, jak głuchym, pozbawionym emocji głosem oznajmia, że śmierć jest nieskończenie lepsza od kapitulacji. W Japonii uważano, że honorowy samuraj ginie w ten sposób i pozostaje czysty niczym opadający kwiat wiśni. Że kurczowe trzymanie się życia, zamiast skoku w śmierć za wielkie ideały, jest zwyczajem tchórzliwej burżuazji. Starożytne kodeksy uczyły wojowników, że jeśli zachodzi wątpliwość, czy żyć, czy zginąć, zawsze lepiej jest zginąć. Czyż on sam w czasie odpraw nie mówił do swoich żołnierzy: „Dość półśrodków. Wszyscy powrócicie martwi”?

Był jeszcze jeden ważny powód, by wybrać śmierć. Parwati milczała, a jej ukochany opowiadał o *giri*, czyli honorze. O całkowicie ślepy i bezkompromisowym zobowiązaniu wobec rodziny, grupy, cesarza. Poznała jeszcze jedno nowe słowo: *giri-ninjó*. Oznaczało ono obowiązek wobec żony, dzieci, rodziców. W porównaniu z nim wołanie miłości było — lub powinno być — rzeczą trywialną. On i Parwati nie mogą być razem.

Nastąpiła pauza. Potem generał zapytał, czy Parwati chce popełnić z nim podwójne samobójstwo. *Shinju*. Tak jak Hitler i Ewa Braun, jednakże nie w akcie wojny czy buntu, lecz skruchy.

Parwati widziała obrazy przedstawiające podwójne samo-

bójstwa. Wyglądały okropnie. Mężczyzna leżał na kobiecie, z jego pleców sterczało ostrze miecza, a jej usta były rozdarte od ucha do ucha, jak gdyby uśmiechała się ohydnie, triumfalnie. Pomięte, przesiąknięte krwią ubrania. Obraz był straszny, lecz wszak wszyscy przekłęci przez los kochankowie z najpiękniejszych legend popełniali samobójstwo.

Kult honorowego samobójstwa był jednym z aspektów kultury jego ojczyzny, ale czy ona mogła odebrać sobie życie? Co się stanie z jej dziećmi? Nigdy nie wyzwolą się z tej hańby, zawsze będą splamione z powodu jej czynów. Dzieci z dobrych rodzin nie będą chciały zawierać z nimi związków. „Niedobre geny”, tak się będzie mówiło. A co się stanie z jej duszą? Pomyślała o nie wiadomo jak długim błędzeniu w postaci ducha lub demona, zagubionego i udęczonego.

Wzniosła na niego błagalne spojrzenie. Otworzyła usta, a on szybkim jak błyskawica ruchem zakrył je dłonią. Nagłość i gwałtowność tego ruchu sprawiła, że rozwarła szeroko oczy. Jego palce poruszyły się, pogładziły ją po policzku, delikatnie rozmasowały miejsce wokół ust. Popatrzyła na niego, na łagodność w oczach i surowość ust. Muzyka przestała grać. Cofnął dłoń.

— Nie zamartwiaj się. W końcu to nie jest takie ważne. Idź odpocząć — rzekł niespodziewanie szorstkim głosem. To był szczyt jego czułości, ale również jego ostatnie słowa. Ona nie może za nim podążyć, lecz on musi umrzeć. To była dlań jedyna droga. Uśmiechnął się. Nie odpowiedziała uśmiechem. Jednak szok nie przesłonił jej faktu, że kiedyś właśnie o to się modliła. Marzyła o takim mężczyźnie, który bez za-

stanowienia włożyłby dla niej rękę w ogień. Który poświęciłby dla niej życie.

Bóg wąż stanął na wysokości zadania.

Co ma zrobić teraz, gdy już wie, że nie chce tego, o co prosiła? Czy wciąż powinna bić pokłony i to akceptować? Co się stanie, jeśli kobieta zmienia zdanie i nie chce się na to godzić?

Parwati leżała obok niego do świtu, a potem wróciła do mieszkania nad sklepem. Nie wiedziała, co począć. Skóra wydawała jej się lepka. Długo siedziała z czołem opartym na czubkach palców i rozmyślała. Później podjęła decyzję.

Jeśli kobieta nie akceptuje, wraca do ołtarza. Spojrzała na zwiniętego węża.

— Byłam wtedy dzieckiem, nie rozumiałam, o co proszę.

Wybacz mi. Teraz jestem kobietą i proszę, by został oszczędzony. Niech na żadnym z jego bandaży nie będzie mojego imienia. Niech żyje, nawet jeśli będzie żył beze mnie. Udziel mu błogosławieństwa, pozwól mu żyć.

• • •

Wszedł do barwionej henną moskitiery, pod którą leżała.

— Gdybym był teraz w Japonii, zbliżałby się sezon na chryzantemy — powiedział cicho. Parwati otworzyła usta ze zdziwienia. Czyżby już ją zostawił i wrócił do ojczyzny?

Wypuściła z dłoni książkę i usłyszała głucho uderzenie o podłogę. Chłodna bryza owionęła jej gorącą, wilgotną skórę. Ręka Parwati opadła ciężko na jego ramię. Lampa gazowa wydzielala silną woń. Gdzieś krzyknął paw, wiatr poruszył

liśćmi drzew. Generator milczał. Pamiętała wszystko. Najdrobniejszy szczegół został uchwycony jak na żywej, oddychającej fotografii. Miała ich tysiące. Wszystkie były przepięknymi, cennymi sekretami podobnymi do zakopanego skarbu.

•••

Ósmy maja 1945. Wojna w Europie zakończyła się, przez radio podano, że w Londynie odbyły się liczne marsze patriotyczne oraz uliczne zabawy. Wysoko w powietrzu amerykańskie bombowce leciały w kierunku Singapuru. „Świetnie, Japończycy niebawem stąd znikną”, mówiły mamuśki.

•••

Szósty sierpnia 1945. Radio BBC podało, że na Hiroszimę spadła pierwsza bomba atomowa. Generał Hattori stał na balkonie z popielatą twarzą i niewidzącymi oczami patrzył na morze.

•••

Ósmy sierpnia. Druga bomba. Miasto Nagasaki zamieniło się w morze gruzu. Parwati pamiętała handlarza słodczy na Cejlonie, który pewnego dnia niespodziewanie postradał zmysły. Wybiegł na ulicę z rozczochranymi włosami i zaczął garściami rozdawać smakołyki. Gdy synowie go odszukali, siedział na progu, jadł cebulę i śmiał się bez powodu.

Piętnasty sierpnia. Cesarz Hirohito został zmuszony, by ogłosić przez radio, że nie jest Bogiem. Japonia „zniosła to, co jest nie do zniesienia, i wycierpiała to, czego nie sposób ścierpieć”.

•••

Drugi września. Japonia złożyła kapitulację na ręce generała Douglasa MacArthura. Wojna dobiegła końca, lecz na Półwyspie Malajskim trwała jeszcze do trzynastego września 1945 roku. Japońscy dygnitarze wjechali samochodami, na których zatknięto białe flagi. Tłum drwił, lecz oficerowie nie reagowali. Obie strony złożyły podpisy na akcie kapitulacji. Wczytywano nazwiska oficerów, a ci rytualnym gestem oddawali samurajskie miecze na znak całkowitego rozbrojenia cesarskiej armii japońskiej.

•••

Kobiecie, która zgłosiła się do niej z bólami przedmiesiączkowymi, Maja powiedziała:  
— Wyrzuć kalendarz gregoriański, który trzymasz w domu. Twoje ciało jest skołowane, bo wie, że w roku jest trzynaście miesięcy, a nie dwanaście. Śledź cykle księżyca, przyjmij nów za pierwszy dzień miesiąca, pełnię za środek, a czwartą kwartę za ostatni dzień. Nigdy więcej nie będziesz cierpiała z powodu bólów i depresji przed okresem, w jego trakcie i po nim.

## Deficyt

Miała pełne szuflady bananowych pieniędzy. Rozdała je dzieciom; Rubini bawiła się nimi w sklep, a Kuberan, mały potwór zniszczenia, ułożył swoje banknoty w kupki i spalił. Palić pieniądze! Parwati powinna wzdrygnąć się na myśl o tym, ale ona była rada, że nie zarobi. To był brudny pieniądz. Zastanawiała się, co mamuśki zrobią ze swoimi. Czy ze łzami w oczach będą robić z nich origami w kształcie kwiatów i piesków?

Adari. Wiedziała, że dom został zbombardowany, wiedziała, że ucierpiał, lecz wyszczerbiona sylwetka, którą ujrzała... Wszystkie szyby były strzaskane, dach się zapadł, a to, co zostało, rzucało długie cienie. W samym środku ruiny tkwiła metalowa klatka Kasu Marimuthu. Tylko ona pozostała nietknięta. Parwati pamiętała, jak się bał, że zostanie w niej uwięziony w czasie pożaru. Jej mąż miewał dziwne lęki.

Pomyślała o tysiącach zakurzonych książek płonących w tym piekle i nagle przypomniała sobie, że właśnie za nimi ukryła dokumenty własności domu. Adwokat będzie miał kopie, pocieszyła się. Samotny paw na wyspie rozpostarł ogon i z determinacją wykonał dla niej taniec. Pozostałych nigdzie nie było widać. Obserwowała go, dopóki nie odszedł, zamiatając ogonem po ziemi.

Zbliżyła się do pomieszczenia generatora. Budynek rozpadał się, lecz nagle wychynął z niego Kupu, boso i w łachmanach.

— *Arna* — jęknął, padając do nóg Parwati. Biedak musi się teraz żywić tym, co wyrośnie z ziemi, pomyślała i zdjęła łańcuszek, by mu go podarować. On jednak energicznie pokręcił głową. — Po co mi to, *amal* Las i morze mnie wykarmią, a później staną się moim grobem.

Parwati spojrzała na dom.

— Co tu się stało?

— To było straszne, okropne, ale nic nie mogliśmy zrobić — odparł Kupu. Jego wargi drżały. — Zaczęło się, gdy japońscy żołnierze ukradli srebrne misy spod posadzki świątyni. Później to spadło na nas ze wschodu i zachodu. Przyszło pod przebraniem komunistycznych powstańców z pistoletami, strzelbami, karabinami i granatem. Trzymali nas na muszce i podpalili dom. Drewniane podłogi łatwo się zapaliły, a od wielkiego gorąca zaczęły pękać szklane płyty. Odchodziliśmy coraz dalej, aż znaleźliśmy się w morzu. Żelazne belki zawały się jedna po drugiej. Hałas był ogłuszający, płomienie skakały w powietrze na wiele metrów. Dziwię się, że nie widziałaś ich z miasta. Kiedy czerwone drzewo pośrodku



domu pękło w ogniu, rozpląkałem się. Nigdy nie zobaczę niczego bardziej rozdzierającego serce...

Patrząc na Kupu, Parwati nagle zauważyła, że jego tik zniknął. To musiał być przejaw radzenia sobie z tym, co nie do zniesienia. Teraz, po powrocie na swoją ziemię, znów był wspaniały.

— Muszę zobaczyć świątynię — oznajmiła Parwati.

— *Arna*, mam złe wieści — odrzekł smutno Kupu. — Dzień po tym, jak zabili węża, Brytyjczycy zbombardowali świątynię. Musieli ją wziąć za japoński posterunek. Ale chodźmy tam, zobaczymy, co zostało.

Parwati obejrzała w milczeniu ruinę, a później Kupu bez słowa wyprowadził ją z dżungli na skraj domu i tam się pożegnał.

Patrzyła, jak z głową pochyloną niczym u tygrysa idzie przez długie, falujące i mieniące się trawy; spadł na nią wielki smutek.

Nigdy więcej go nie zobaczy, czuła to w sercu. Podaruje mu skrawek świętej ziemi, bo był jego prawowitym właścicielem.

Ruszyła w drogę i nagle usłyszała, że Kupu woła ją po imieniu.

Odwróciła się. Stał na samej linii lasu.

Przyłożyła dłonie do ust.

— Co się stało?

Kupu milczał przez chwilę; pomyślała, że wiatr porwał jej głos.

Jednak wiatr przyniósł jego odpowiedź, usłyszała ją tak, jakby

Kupu stał tuż obok.

— Pokochałem cię od pierwszej chwili, gdy cię ujrzałem. Po tamtym dniu w lesie przez trzy noce nie spałem z żalu, że nie mam prawa cię dotknąć.

Parwati opuściła ręce. Przez chwilę patrzyli na siebie. Kupu był tak daleko, że nawet nie widziała rysów jego twarzy.

— Chciałem, żebyś wiedziała — zawołał i się odwrócił.

— Poczekaj! — krzyknęła, lecz on już wszedł w zieloną ścianę i znów stał się częścią dżungli. Stała jeszcze chwilę w miejscu, choć wiedziała, że Kupu już nie wróci.

Stąpając wśród ruin, minęła czarny pień drzewa i szła dalej w stronę zachodniego skrzydła. Północna ściana sali balowej zawałiła się i hulał po niej wiatr. Pojawienie się Parwati wystraszyło bladokórą iguanę, która czmychnęła spłoszona. Parwati weszła schodami na górę. Stopnie trzeszczały pod jej stopami, były niestabilne i niebezpieczne. Zatrzymała się, zamknęła oczy, poczuła w ustach smak konserwowego łososia i usłyszała zew *shamisen*. Czyjeś usta całowały ją po plecach wzdłuż kręgosłupa, od góry do dołu. Pocałuj jeszcze raz. Nie znikaj tak prędko. Bez ciebie wszystko jest bólem. Otworzyła oczy. Bóg zmysłów musi opuścić swój tron, wtedy jej serce wróci do zdrowia.

W oddali rybacy wracali z połowu; wyglądali jak małe drobne figuryńki. Ich kobiety czekały przy rozpalonych ogniskach. Pracowici, błogosławieni ludzie. Parwati stała kilka godzin, a oni przyrządzili ryby, zjedli je, spakowali rzeczy i wyszli. Słońce zachodziło, dom wypełnił się wrogimi cieniami. Ci, których zamordowano w piwnicy, podczas gdy ona kochała się na piętrze, wstawali i bezlitośnie pokazywali ją palcami. Ogarnął ją strach. Wiedziała, że nigdy więcej nie będzie mogła tam mieszkać. Wiatr wyśpiewywał dziwne

melodie na zbitym szkle. Jakieś małe zwierzę zakwiliło. Parwati pobiegła przed siebie na oślep.

Kierowca siedział na kamieniu przy samochodzie. Zjadł ryby; ości leżały u jego stóp. Wstał na widok Parwati, lecz ona uniosła rękę i mężczyzna usiadł. Poszła na plażę. Mąż odszedł bez niej. Stała na skraju wody, jedną dłonią osłaniając oczy i spoglądając w stronę horyzontu, tam gdzie słyszała warkot jeepa. Odwróciła się, jej serce biło mocno. Wrócił po nią, po właścicielkę zrujnowanego pałacu.

Trzymał w dłoniach długie płaskie pudełko i był ubrany tak samo jak wtedy, gdy po raz pierwszy go zobaczyła. Oficjalny, dumny generał. Stał i patrzył na nią. Jej sari powiewało na wietrze tak, jak kimono nigdy nie powiewa. Wiedziała, że ją zapamiętuje. Bo nie przybył po to, by ją zabrać lub zostać. To było pożegnanie. Zrobiła krok, a on ruszył w jej stronę. Jedna ręka poruszała się swobodnie obok tułowia, lecz jego krok był powolny i zmęczony. Generał przeciągał tę chwilę.

Parwati się zatrzymała. Nagle ogarnęło ją wielkie zmęczenie. Niech przyjdzie, kiedy chce. Czekają ją tyle samotnych nocy. Od morza zawiął zimny wiatr, więc objęła się ramionami. Generał zdjął czapkę i stanął przed nią. Spojrzała w jego zniszczoną twarz. Wojna, wojna. On przegrał coś więcej, nie tylko wojnę. — Znalazłeś siły, żeby mnie opuścić? — Nie wyrzekła tego. — Powiedziano mi, że cię tu zastanę — odezwał się. Jego szczęki były zaciśnięte.

Kąciki jej ust opadły; uznał to za uśmiech.

— Dasz sobie radę? — spytała. Generał wzruszył ramionami.

— A ty?

— Myślę, że tak.

Widząc jego zrezygnowane spojrzenie, rozpaczliwie wtuliła twarz w jego pierś. Metalowe dodatki munduru wpiły się w jej policzek. Generał pachniał inaczej niż przedtem. Piżmo, czyli strach. Przed niepewną przyszłością, przed zmianą, przed utratą twarzy. Los gorszy niż śmierć. W snach podnosił dłoń ze sztyletem i wbijał w ciało pod zwisającym rękawem. To była klęska, lecz według nowej szkoły myślenia większą odwagą było stawienie czoła nowemu dniowi i zbliżającej się karze. Gdy się odezwał, nie mówił o rozpacz i klęsce, lecz o nadziei.

— Wrócę po ciebie, Sakura. Przysięgam. Będziesz na mnie czekała?

— Będę mieszkała w sklepie i czekała aż do dnia twojego powrotu — odparła, mimo że w jej uszach dźwięczały słowa Kasu Marimuthu. „Sprzedaj sklep. On doprowadzi cię do ruiny”. Generał uśmiechnął się lekko.

— Wrócę, moje słowo jest pewne. Parwati odpowiedziała uśmiechem.

— Moje również.

— Jeśli z jakiegoś powodu utracimy kontakt i nie będziemy mogli się skomunikować, pamiętaj, że w dniu, w którym ten kraj wyzwoli się spod brytyjskiego panowania, spotkamy się

na głównym dworcu w Kuala Lumpur. Powiedzmy w południe na peronie, z którego odchodzą pociągi do Kuantanu.

— Będę tam — obiecała.

— Ubierzesz się na niebiesko czy na biało?

— Na biało z niebieską lamówką.

— A ja będę o tym marzył.

— Kochankowie skazani przez los. — Parwati uśmiechnęła się ironicznie. — Brakuje tylko bambusowego mostu.

— Muszę już iść. Trzeba doprowadzić do końca sprawę kapitulacji.

— Tak, musisz iść — rzekła prawie niedosłyszalnie. Twój przodek patrzy.

Zamiast ją pocałować, odsunął ją lekko od siebie, wykonał energiczny zwrot z plecami prostymi jak lufa karabinu i od-maszerował. Można by pomyśleć, że wypełnił czyjś rozkaz. Śmieszny człowiek. Jak można odmaszerować od ukochanej? Mimo to Parwati nie poskarżyła się i nie rozplakała. Rozumiała go. Upadek bohatera był zbyt prędko. Pomyślała o tym wszystkim, czego sobie nie powiedzieli. Trwające od pokoleń wychowanie w milczeniu i samoograniczeniu utrwaliło się w każdej komórce ciała. Ten mężczyzna nie mógł okazać emocji, a z pewnością nie tego dotkliwego, rozdzierającego bólu. Nawet Parwati rozumiała, że byłoby to nie na miejscu na pustej wietrznej plaży.

Kierowca otworzył przed nim drzwiczki i zamknął je, gdy generał wsiadł. Obszedł samochód i uruchomił zapłon. Jej stopy... Jakże pragnęły za nim pomknąć! Odwrócił do niej zastygłą twarz. Silnik jeepa ożył. Generał wyciągnął rękę.

Ciało Parwati zareagowało momentalnie, poderwało się. Otworzył usta, by dać wyraz rozpaczy, może krzyknąć jej imię, lecz wiatr porwał głos, a pojazd uniósł jej ukochanego.

Stała tak przez długi czas, spoglądając w dal.

W pudełku znalazła parasolkę. Poryw wiatru poniósł wyrzucone opakowanie i wieczko na fale. Parwati rozłożyła parasol i spojrzała na wzór. Kwiat wiśni. Uniosła parasolkę nad głowę. On nie wróci, jeszcze nie teraz. Ale pewnego dnia... Przyrzekł, a był jednym z tych mężczyzn, którzy dotrzymują słowa.

Parwati wyjrzała spod parasolki i zobaczyła na wpół zasypane w piasku stare gazety. Strząsnęła z nich piach i owinęła podarunek. Nawet teraz istniało zagrożenie, że ktoś zobaczy i powie: „To byłaś ty”.

Jej ręka powędrowała do nieotwartych kopert schowanych w bluzce. Jeden list pochodził od Samuela Westa, lecz zauroczenie Europą definitywnie się skończyło. Podarła go na kawałki, a wiatr porwał je, nim dotknęły ziemi. Drugi przyszedł z domu. To nie mogły być dobre wieści. Spojrzała ponuro na niezgrabne bazygroły brata widniejące na taniej niebieskiej kopercie. Później, pomyślała, chowając list za bluzkę.

Usiadła na huśtawce i zaczęła się bujać. Każde wahnięcie niosło ją coraz wyżej w niebo, a cienie coraz bardziej się wydłużały.

Prawdziwa miłość potrafi czekać.

## Rubini

Patrzył na zbliżającą się kołyszącym krokiem dziewczynę. Włosy miała krótko obcięte, lecz ozdobiła je grzebykami i tanimi błyskotkami. To prawda, że sukienka to tylko sukienka i nic więcej, lecz jeśli trzynastoletnia dziewczynka upina ją wysoko agrafkami, a do tego wkłada buty na obcasie należące do matki, wówczas sukienka staje się uwodzicielską szatą Izebel. Od ślicznej twarzyczki odcinał się szkarłat wydętych ust.

Spojrzenia, które przyciągała, świadczyły jednoznacznie, że dziewczynka powinna okazać więcej umiaru i powściągliwości w ubiorze, lecz wojna dobiegła końca, Japońcy odeszli, a ona mogła pławić się w kobiecości, której odmawiano jej przez cztery długie lata.

Zmierzyła go szybkim pogardliwym spojrzeniem i nie znalazłszy nic godnego uwagi, popłynęła dalej, skupiając się na ciekawszych widokach. Gdy go mijała, żując gumę niczym

Amerykanka, odwrócił głowę i skierował tęskny wzrok na jej biodra. Wiedział, że jej pogarda jest autentyczna. Mimo to spojrziała na niego. Naprawdę nań popatrzyła; jej oczy spoczęły na nim. To wystarczyło, gdyż młodzian był nią kompletnie oczarowany od pierwszej chwili, gdy zobaczył, jak z okazji Dnia Sportu turlała się ze szczytu piramidy ciał. Był w starszej klasie. Zobaczywszy ją, poczuł się tak, jak gdyby ktoś zawołał z niebotycznej wysokości: „Kolor, światła, muzyka”.

Usilnie słuchał plotek o jej rodzinie i obserwował ją z daleka, lecz zawsze robił to bez nadziei; córka wielkiego Kasu Marimuthu pozostawała poza jego zasięgiem. To jednak działo się przed wojną. Wojna wiele zmieniła i teraz, rzecz by można, dziewczyna znalazła się prawie na wyciągnięcie ręki. Powinien udać się do pięknej, trzymającej się na uboczu wdowy, zwanej niegdyś Rolls-Royce *mami*, a teraz po prostu Kadai (Sklepowa) *mami*. Podobno nie obcięła włosów od czasu śmierci męża i teraz sięgały aż do ziemi. Raz czy dwa mignęła mu w oknie na piętrze. Pewnego dnia, może nie dzisiaj ani jutro, ale pewnego dnia usiądzie przed nią i poprosi o rękę dziewczyny. Do tego czasu będzie czekał. Jego uczucie nie było tymczasowe, nijakie ani przejściowe.

Prawdziwa miłość potrafi czekać.

Jakiś samotny żołnierz z plemienia Gurkhów docenił wyniosłość dziewczyny i zaczął klaskać. Ktoś się przyłączył.

Dziewczynka-kobieta zarumieniła się, uśmiechnęła i uniosła brodę odrobinę wyżej. Oklasków było coraz więcej, aż wreszcie klaskała cała ulica.



Parwati wstała z krzesła i podeszła do okna, żeby zobaczyć, co się dzieje. Ach, ta Rubini. Uśmiechnęła się smutno. Życie zmieniało się z dnia na dzień.

Nie powiedziała jeszcze córce, że wszystkie akty własności licznych posiadłości ziemskich strawił ogień i nikt nie wie, gdzie są kopie przechowywane przez adwokata ojca. Człowiek ten zginął, obcięto mu głowę, a wszystkie dokumenty wywieziono do Japonii, gdy Japończycy znaleźli radio w jego biurze. Parwati nie wiedziała, gdzie znajdują się nieruchomości, nie sposób więc było ich zlokalizować, zwłaszcza tych leżących za granicą.

Wydawało się prawie niemożliwe, by Parwati mogła ubiegać się o posiadanie ziem, których położenia nie знаła.

Prawnik, z którym się skontaktowała, potwierdził, że wiele posiadłości właśnie z tego powodu nie ma właściciela. Przypuszczał, że po upływie pewnego czasu rząd zgłosi do nich roszczenia. Mógł ją tylko zachęcić, by postarała się przypomnieć sobie, gdzie znajdują się tereny należące do męża. Parwati nie mogła sobie przypomnieć, bo nigdy tego nie wiedziała. Słyszała jedynie o plantacji kauczuku w Malakce. Mąż powiedział jej o niej tylko dlatego, że chciał, by rodzina schroniła się tam w razie problemów w Adari. Mąż nigdy nie obdarzył jej zaufaniem w sprawach finansowych i biznesowych. Dla niego na zawsze pozostała nieuczoną wieśniaczką.

Parwati usiadła i powtórnie przeczytała list od starszego brata. Miała nie sprzedawać sklepu; zostało to podkreślone dwa razy. Zamierzał przyjechać, aby jej pomóc. Rozumiała, co kryje się za ową „pomocą”, i wiedziała, że powinna mu

odpisać, iż mąż dał jej ścisłe polecenie, żeby sprzedała sklep. Ale co z przyrzeczeniem złożonym Hattoriemu? Mniejsza z tym, niech przyjeżdża. Niech zabiera, jakie to ma znaczenie. Jest z rodziny, a Parwati miała więcej, niż potrzebowała ona i jej dzieci. Gdy powiedziała Mai, że jej brat przyjeżdża, by objąć sklep, ta skinęła głową i rzekła:

— Któż może wiedzieć, ile wody w studni wypije żaba?

• • •

Jednak Kuberan zażądał podwyżki kieszonkowego w zamian za utratę wolnego miejsca i prywatności, gdyż w jego pokoju stało jeszcze jedno łóżko. Brat Parwati postarzał się i wyglądał bardziej surowo.

— Prowadzenie sklepu to męska robota — oznajmił. — Ty zostań na górze i opiekuj się dziećmi.

Nie podobała mu się Maja; nazywał ją wariatką w malajskim stroju i chciał, żeby Parwati się jej pozbyła.

— Ona należy do rodziny — odparła Parwati z takim zdecydowaniem, że brat porzucił temat. Biedny *apu* został rychło odsunięty od obowiązków z powodu rzekomej niekompetencji. Brat całkowicie przejął stery, a Parwati miała się nie pokazywać i siedzieć cicho, dokładnie tak samo jak wtedy, gdy mieszkała na podwórku domu ojca.

Budziła się każdego ranka, kąpała, ubierała i odmawiała modlitwę. Cztery pokoje na górze opuszczała tylko wówczas, gdy schodziła na posiłki; nie spotykała się nawet z koleżankami z Klubu Czarnej Parasolki. Przeważnie śniła na jawie

o przeszłości; o morzu zalanym słońcem, o Kalichanie wy-  
legującym się pod rozgrzanym promieniami słońca murem w  
ogrodzie, o Kupu przedzierającym się przez wysokie trawy, a  
przede wszystkim o Hattorisanie stojącym na balkonie  
i spoglądającym na zalany blaskiem księżyca ocean. Po powrocie  
dzieci ze szkoły wysłuchiwała ich opowieści, uśmiechała się, w  
odpowiednich momentach kiwała głową, a niekiedy nawet  
rzuciła słowo komentarza. Czas mijał za oknem małego  
mieszkania, prawie nie dotykając jej życia.

1953

Parwati stała przy oknie i wspominała pierwsze dni po odejściu Hattori-sana. Leżała wówczas osamotniona na wąskim łóżku i myślała wyłącznie o swojej stracie. Bała się nawet zasnąć, żeby Rubini nie obudziła jej tak jak kiedyś potrząsaniem za ramię i nie zasypała pytaniami, na które Parwati nie chciała odpowiadać.

— Kim jest Hattori-san? Czemu go przyzywasz?

— To stary przyjaciel twojego ojca — odparła momentalnie, mimo że była otumaniona i na wpół śpiąca. Ta instynktowna przebiegłość przyprawiła ją o ból serca.

Rano Maja usiadła na brzegu jej łóżka.

— Miłość to cudowna rzecz. Smakujemy ją raz po raz i częstokroć zapominamy, że jesteśmy tu tylko przechodniami. Nic nie trwa wiecznie. Tragedia puka do naszych drzwi, lecz szczęśliwi są ci, którzy pamiętają, że ona także jest tylko gościem. Nawet pęknięte szkło cię nie zrani, jeśli nie zbliżysz

się do jego krawędzi. Miłość, każda miłość, bez względu na to, jak długo trwa, jest darem. A gdybym powiedziała, że mogę sprawić, iż twój ból zniknie, jeśli w zamian wyrzekniesz się wszelkich wspomnień o nim?

Parwati usiadła powoli, marszcząc brwi.

— Nie chcę zmienić ani jednej chwili, wszystko jest cenne.

Niczego nie mogę się wyrzec.

Wstała z łóżka i obie zeszły na dół do kuchni, by oddzielić kwiaty hibiskusa od łądyg i mieszać je z miodem i sokiem z limy.

— *Arna!* — zawołał ze schodów chłopiec, który pomagał w sklepie.

Odwróciła się od okna.

— Tak, Kriszna?

— Dyrektor szkoły przyszedł. Chce się z tobą zobaczyć. Parwati ściągnęła brwi.

— Wprowadź go i przynieś herbatę i ciastka.

— Dobrze, *arna*.

Poprawiła sari, zapaliła światło na klatce schodowej i czekała.

Dyrektor ostrożnie wspinał się po stromych drewnianych stopniach. Gdy znalazł się na szczycie, przywitała go grzecznie.

— Niech pan wejdzie i usiądzie — zaprosiła, wskazując długą kanapę.

Dyrektor rozejrzył się po skromnej siedzibie.

— Jak się pani miewa? Od dawna się nie widzieliśmy. Nie jest tajemnicą, że bardzo podziwiałem pani męża, dlatego o wiele trudniej się z tym pogodzić... — Dyrektor zawiesił

głos; widać było, że czuje się niezręcznie. — Obawiam się, że chodzi o pani syna. Zawsze sprawiał kłopoty, ale usiłowaliśmy go w miarę możliwości trzymać w ryzach bez niepokojenia pani. Nawet wtedy, gdy zostawił odchody w szafie sprzątacza i wydrapał brzydkie słowa na blacie biurka. Parwati otworzyła szeroko oczy.

— Kuberan to zrobił? Jest pan pewien?

— Przyznał się do tego.

— Przyznał się do tego?

— Oczywiście po tym, jak koledzy na niego naskarżyli. —

Nastąpiło krótkie, lecz straszne milczenie. Mężczyzna zbierał myśli. — Jestem tu dzisiaj, bo tym razem, niestety, posunął się za daleko. Jedna z koleżanek oskarżyła go o to, że próbował ją zgwałcić.

— Co takiego?! — Głos Parwati zabrzmiał chrapliwie. Dobrze, że siedziała, bo zakręciło jej się w głowie i omal nie zasłała.

— Nie mam wyboru, muszę go wydalić ze szkoły. Jest wyjątkowo inteligentny, rzecz jasna, i mimo kompletnego zaniedbywania nauki zawsze miał pierwszorzędną ocenę. Istnieją inne szkoły, które mogą go przyjąć, albo może pani uczyć go prywatnie. Mogę wskazać pani nazwiska świetnych nauczycieli. Parwati otworzyła usta i westchnęła raptownie.

— Zaraz! Chcę wiedzieć, co dokładnie zrobił mój syn. Dyrektor szkoły poruszył się niezgrabnie.

— Podobno zaciągnął tę dziewczynkę na tyły stołówki. Gdyby nie sprzedawca makaronu, który przyszedł jej na

ratunek, Kuberan by to uczynił. Już zerwał z niej bieliznę i ugryzł ją w... klatkę piersiową. Miała także zadrapania... Parwati poczuła, że się czerwieni.

— Rozumiem... — Jednak nie była w stanie zrozumieć. Jej uwielbiany syn miałby leżeć na jakiejś dziewczynce, gryźć ją i drapać? Uniosła głowę. — Kiedy to się stało?

— Wczoraj po południu.

Przypomniała sobie kolację; zachowanie Kuberana niczego nie zdradzało. Zacisnąwszy usta, wstała.

— Chcę panu szczerze podziękować za to, co pan zrobił. Jestem wdzięczna, że pan przyszedł. Mój mąż zawsze mówił: „To wspaniały człowiek, ten Thuraisingam”.

Dyrektor także się podniósł; jego twarz wyrażała żal. W obecności wdowy po Kasu Marimuthu postępek jej syna budził w nim jeszcze większą odrazę. Nie umiał sobie wytłumaczyć, jak tak cudowni rodzice mogli spłodzić takiego potomka.

— To wielki komplement z ust takiego człowieka, jakim był pani mąż. Chcę również zapewnić panią, że ta sprawa jest i będzie traktowana przeze mnie z najwyższą dyskrecją. Do widzenia, pani Marimuthu.

Parwati nie wyciągnęła ręki do dyrektora ani nie odprowadziła go na dół; stała, obejmując się ramionami. Była tak wstrząśnięta, że miała w głowie kompletną pustkę. Gdy tylko ucichły kroki dyrektora, na schodach rozległo się stukanie skórzanych sandałów brata, za dużych o dwa numery. Zacisnęła powieki. Nie, nie teraz, gdy jest tak bardzo załamana i bezbronna! Wzięła głęboki oddech i usiadła na krześle.

Brat wsunął głowę przez drzwi.

— Czego chciał dyrektor?

— Przyszedł zakomunikować, że musi wyrzucić Kuberana ze szkoły.

— Że co?! — Brat wszedł do pokoju. Jego oczy się zaokrągliły.

— Dlaczego?

— Był kłopot z jakąś dziewczynką.

— Jaki kłopot? Jest w ciąży?

— Nie, do tego nie doszło.

— A więc w czym problem?

Parwati zakryła szyję ręką, a drugą dłonią otarła twarz. Brat wciąż patrzył na nią z zaciekawieniem, a ona przypomniała sobie słowa, które Maja wypowiedziała na jego widok: „Znam takich jak on. »Przywiozę wór złota«, powiedział do żony”.

— Jestem nieco zmęczona — rzekła Parwati. — Możemy później pomówić?

— Gdzie jest teraz chłopak?

— Nie wiem. Porozmawiajmy później, dobrze? Proszę.

— Jak sobie życzysz — odparł tonem pełnym urazy, wychodząc z pokoju. Parwati ukryła twarz w dłoniach. Mai nie było w domu; musiała spędzić na krześle długie godziny. Wreszcie wstała i podeszła do okna.

Nie wiedziała, co wstrząsnęło nią bardziej: ohyda przestępstwa czy nieznośna nonszalancja, którą Kuberan okazał później.

Próbowała znaleźć dla niego jakieś okoliczności łagodzące. A jeśli to nie był gwałt? Może młodzięcza namiętność poniosła go za daleko? W ostateczności najbardziej martwił



ją jego zatrważający brak sumienia. Patrzyła tępo na mężczyznę sprzedającego marynowane owoce na rożnie. Zastanawiała się, czy jest szczęśliwy, spełniony. Na pewno ma w domu żonę, synów i córki.

Usłyszała kroki. Kuberan stał oparty swobodnie o futrynę.

— Przypuszczam, że chcesz ze mną porozmawiać — oznajmił, prostując się i pewnym krokiem wchodząc do pokoju.

— Tak — odparła Parwati i odwróciła się, stając na wprost syna. Padło na niego wieczorne światło, a ona uświadomiła sobie, że na tej przystojnej zepsutej twarzy nigdy nie będzie miejsca na wyrzuty sumienia. To zło i niegodziwość wpędzą go w przyszłości do jakiegoś brudnego więzienia. Jednocześnie zrozumiała, że mimo to nigdy nie zdoła skierować przeciw niemu gniewnego słowa. Popatrzyła na niego z litością. Nie wiedziała, co gotuje mu przyszłość, lecz obawiała się, że może ona nie być tak różowa, jak jej się zdawało. A miała tak wielkie nadzieje. — Co powiedziałby twój ojciec, gdyby żył?

— Nie mógłby mnie zbyt krytykować, bo sam spłodził dziecko z nieprawego łoża.

— Jak możesz się z nim porównywać? Usiłowałeś zgwałcić dziewczynkę!

Kuberan z pełnym cierpienia westchnieniem osunął się na kanapę.

— Tak się składa, że ona była bardzo chętna — wycedził przeciągle. — Jak sądzisz ty i ten zadufany dureń, dlaczego znalazła się ze mną na tyłach stołówki z rozpiętą bluzką,

kiedy nam brutalnie przerwano? Szczerze powiedziawszy, dawała sygnały, że podoba jej się to tak samo jak mnie aż do ostatniej chwili, gdy ona chciała przestać, a ja nie. Obawiam się, że na tym etapie zabawy nie mogłem okazać wyrozumiałości dla podpuszczania mnie. Ale mniejsza z tym...

— Mniejsza z tym? Wyrzucają cię ze szkoły, Kuberanie!

— To chyba żadna strata, co? Szkoły służą do hodowania rzetelnych pracowników, a ja nie zamierzam pracować. Poza tym uważam koncepcję dyrektora z prywatnym nauczaniem za całkiem niezgorszą. Później mógłbym studiować prawo w Anglii.

— Studiować prawo w Anglii? Cóż to za szalony pomysł! Nie stać nas na to, w każdym razie nie teraz.

— Moglibyśmy, gdybyśmy wykorzystali sześćdziesiąt tysięcy funtów zdeponowane w Couttsie.

Parwati stanął przed oczami obrazek, jak cała ich trójka — ona, Rubini i Kuberan — wybrali się do adwokata. Pięcioletni wówczas Kuberan miał na sobie krótkie spodenki. Od tego czasu minęło całe życie. Pamiętała jego ogromne niewinne oczy, którymi patrzył na mężczyznę czytającego napisany skomplikowanym prawniczym żargonem testament Kasu Ma-rimuthu. Nigdy nie przyszło jej na myśl, że syn nie tylko zrozumie, ale także wykorzysta tę informację.

— Umowa stoi? Parwati spojrzała na syna.

— A mogę ufać, że w czasie domowych lekcji będziesz się dobrze zachowywał?

Kuberan roześmiał się beztrąsko.

— Można to tak nazwać.

Jakiż to instykt każe mu drwić i nicować absolutnie wszystko?

Czyżby sprawdzał, jak daleko może się posunąć?

— No dobrze, będę się... zachowywał.

— Wiesz, że będziesz musiał uzyskać oceny, które są wymagane, by zostać przyjętym na brytyjską uczelnię?

— Mogłabyś to sobie darować. Owszem, wiem o tym.

— Tylko nie zawieź mnie po raz drugi.

— Nie będziesz tego żałowała, mamó — rzekł Kuberan.

Przetoczył się ku niej niczym ogromny niezdarny psiak i objął ją. Ten spontaniczny pokaz przywiązania tak ją zaskoczył, że przez chwilę stała z opuszczonymi bezwładnie ramionami. Potem uniosła je i objęła syna. Zauważyła, że wyrósł i zmężniał; jego ciało było teraz szczuplejsze i twardsze. Jej śliczny synek stał się obcym mężczyzną.

Wstał i ruszył w stronę drzwi.

— Tak czy owak, musisz przyznać, że wydawanie pieniędzy na moje wykształcenie i tak jest lepsze niż pozwalanie, by wuj wykradł resztkę naszego spadku — rzucił mimochodem przez ramię, przekraczając próg.

Parwati znów stanęła przy oknie. Długa kolejka ludzi świadczyła o tym, że za chwilę zacznie się seans tamilskiego filmu.

Zmarszczyła brwi. Czas przestał mieć dla niej znaczenie, lecz wydedukowała, że musi to być dwudziesty pierwszy dzień miesiąca, bo właśnie wtedy wypłacano pensje i wyświetlano tamilskie filmy. Jakże ochoczo wlewali się do środka przez otwarte drzwi. Kiedyś o tej porze ona także zaczynała poddawać się radosnej magii. Teraz zapowiadała jedynie puste

łóżko i chrapania brata w sąsiednim pokoju. Jej syn naturalnie miał rację. Brat bezczelnie łągał, twierdząc, że nic nie zarabia po tym, jak wyrzucił *apu* i sam zaczął się wszystkim zajmować.

— Takie czasy — mówił, wzruszając ramionami. — Ciężkie czasy, nikt nie ma pieniędzy na to, żeby je wydawać.

Sklep ledwie wychodził na swoje, lecz on co miesiąc wysyłał pieniądze żonie i dzieciom. Parwati nie zadała sobie trudu, by sprawdzić, jakie to sumy. Jej brat stawiał nowiutki dom rodzinny od fundamentu po dach.

Pewnego dnia stanął przed Parwati i oznajmił, że wraca do rodziny. Pocieszył ją, że niebawem przyjedzie drugi brat, by zająć się prowadzeniem interesu. Parwati skinęła głową. Co właściwie znaczyły dla niej pieniądze?

• • •

Kuberaan dotrzymywał słowa. Zachowywał się nienagannie i uczył pilnie pod okiem zatrudnionego przez matkę nauczyciela. Egzaminy zdał z wzorowymi ocenami. Miał wyjechać razem z synem Kundi *mami*, który także został przyjęty przez tę samą uczelnię.

— Przyślę ci kartkę, kiedy dotrę na miejsce — rzucił wesoło, siedząc w taksówce.

## Klucze do nieba

Wraz z pierwszym listem Kuberan przysłał paczkę ciasteczek Jaffa. Parwati raczyła się nimi powoli, na sam koniec zostawiając pomarańczowe nadzienie, które rozpływało się na języku. Poczęstowała nimi Kundi *mami*, gdy ta przyszła do niej w odwiedzin.

— Ach, te ciasteczka — rzekła koleżanka. — Mój syn powiada, że w Anglii są bardzo tanie. Te dobre są zawsze sprzedawane w puszkach. Tak jak czekoladki, które mi przysłał. Nazywają się Quality Street.

Parwati spuściła wzrok. Co z tego, że są tanie, skoro jej smakowały. Liczyła się intencja.

— Złożyłam ślubowanie, że w każdy piątek będę chodziła boso do świątyni aż do dnia, w którym mój syn zda egzaminy — oznajmiła poważnym tonem Kundi *mami*.

— Ach tak — westchnęła Parwati, wyciągając w stronę

gościa tackę z ciastkami. Kobieta poczęstowała się dwoma naraz.

— Widzę, że wciąż trzymasz tę hinduską służącą.

— Maja jest bardziej towarzyszką niż sługą. Kundi *mami* zmarszczyła brwi.

— A czy kiedyś pracowała u ciebie jako służąca?

— Niezupełnie. W rzeczywistości jest uzdrowicielką, i to dość sławną. Każdego popołudnia na tyłach sklepu ustawia się kolejka ludzi, którzy chcą się z nią zobaczyć.

— Co?! Pozwalasz jej w ten sposób korzystać ze swojego domu?! Aleś ty naiwna, moja droga. Tak jak nie wystawia się miotły w gablocie, tak należy temu hinduskiemu mot-łochowi pokazywać jego właściwe miejsce. Nadają się wyłącznie na służących, a i wówczas trzeba ich uważnie obserwować, bo inaczej obijają się i kradną.

Parwati wstała nagle.

— Miło, że wpadłaś, ale przypomniałam sobie, że obiecałam odwiedzić przyjaciółkę.

Kundi *mami* ze zdumienia otworzyła usta, a następnie dźwignęła z krzesła swój zadek, który z biegiem lat przybierał jeszcze bardziej imponujące rozmiary. Trzęsąc się z ponizienia i złości, ruszyła sztywno ku drzwiom. Wiedziała, że Parwati nie była z nikim umówiona. Wszyscy wiedzieli, że nie wychodzi już z domu.

Parwati zeszła na dół do kuchni. Radio było włączone, Maja ugniatała ciasto na *chapatti*. Spojrzała na twarz kucharki, by stwierdzić, czy ta coś usłyszała. Jednak Maja uśmiechnęła się tylko i zapytała:

— Twój gość już wyszedł?

— Tak. — Parwati rozejrzała się po nieskazitelnie czystej kuchni.

— Postanowiłam, że od tej pory będziemy gotować razem.

Maja przestała gnieść ciasto i spojrzała w oczy pracodawczyni.

— Cieszę się, że jestem twoją służącą. Sprawia mi to przyjemność. Rani to dumę niektórych ludzi, ale wszyscy jesteśmy tutaj po to, by służyć. Od najniższego sługi do najjaśniejszego króla, na takim lub innym poziomie, wszyscy komuś służymy. Nie zmieniaj niczego między nami dlatego, że ta pani coś powiedziała.

— A zatem słyszałaś.

— Nie sposób było nie usłyszeć.

— Bardzo mi przykro. Ona już taka jest, złośliwa w gębie. Nie przejmuj się nią.

— Czemu miałabym się przejmować? Kobiety takie jak ona to dar, bo trzymają w dłoniach klucze do nieba. Choć na pierwszy rzut oka wydają się wrogami, w istocie dostarczają nam cennych sposobności okazywania łagodności i cierpliwości. Postępowania z miłością. Wiele je to kosztuje, bo łzy, które ja wyleję, one ocierają ze swych oczu. Wyciągając do drugiego rękę i obdarowując go, obdarowujesz siebie, takie jest prawo wszechświata. Jeśli dziś spojrzysz na mnie krzywo, jutro, pojutrze, za rok lub za dziesięć lat, kiedy nawet ona sama zapomni, że tak postąpiła, padnie na nią równie pogardliwe spojrzenie, a wtedy ona wybuchnie gniewem.

— Złoszczę się, kiedy ktoś patrzy na ciebie z góry.

— Pracowałam kiedyś w wytwórni lalek. Najpierw robi się tułów z miękkiej tkaniny, a potem doszywa ręce i nogi z delikatnej porcelany. Włosy dokleja się, kiedy głowa zostaje dołączona i pomalowana. Później ubiera się ją i lalka jest gotowa. Jeśli się zastanowić, jesteśmy tacy sami. Udoskonalani krok po kroku. Każdy z nas znajduje się na innym etapie drogi do doskonałości. Uważasz się za lepszą od swojej przyjaciółki dlatego, że ty masz już włosy, a ona nie ma? Nie pogardzaj nikim ani nikogo nie osądzaj. Bycie człowiekiem to trudna sztuka, ale jest też coś pocieszającego: nikt nie zbacza z drogi. Wszyscy osiągną doskonałość. Bóg nie kocha mnie bardziej niż ciebie czyją, wszyscy jesteśmy jego dziećmi.

Maja podjęła ugniatanie ciasta.

— O czym teraz myślisz? — spytała po chwili Parwati. Kucharka uśmiechnęła się szeroko.

— Właśnie głowiłam się, co chciałabyś dzisiaj zjeść do *chapatti*. Soczewicę czy dobrze wypieczone ziemniaki z fasolką z puszki?

— Ziemniaki z fasolką, tak myślę.

— Jestem tego samego zdania — odparła Maja. Uśmiechnęły się do siebie. Ich uśmiech wyrażał nieśmiertelną miłość, która trwała już od stuleci.

•••

Drugi brat Parwati siedział przy kasie i wyglądał na ulicę. Zdążył sobie przywłaszczyć o wiele więcej, niż poprzedni się ważył, lecz wciąż było mu mało. Miał świadomość, że wyniszcza sklep, ale nic go to nie obchodziło. Jako przed-



stawiciel ojca w celu wyprowadzenia sklepu na prostą nalegał, by Parwati sprzedała plantację kauczuku w Malakce. Początkowo Parwati się opierała.

— Ona jest własnością dzieci — odparła. Ojciec napisał list z nakazem sprzedaży plantacji. Parwati ją sprzedała.

— Dlaczego pozwalasz im rozebrać wszystko, co *papa* nam zostawił? — spytała z wyrzutem Rubini.

Parwati pokręciła głową.

— Przykro mi, ale muszę słuchać ojca.

Tydzień przed wyjazdem drugiego brata i przybyciem trzeciego dowiedziała się przez głuchy telefon, że jej syn ożenił się z białą kobietą. Napisała do niego list, a on odpowiedział na kartce pocztowej.

*Twoje źródło podaje nieświeże nowiny, pisał. Żona odeszła. Baba z wozu, koniom lżej, i tyle.*

Parwati poszła do Mai, która mieszkała coś w czarnym kociołku.

— Ach, tu jesteś — rzekła do Parwati. — W samą porę. Podaj mi te zioła. Dzień będzie gorący, więc postanowiłam naszykować to na później.

Parwati wsypała kilka garści ziół do wrzącego mleka.

— To prawda, Maju. On się ożenił i nic mi nie powiedział.

— Hmm... — mruknęła Maja. Jej oczy były jak bezdenne studnie współczucia.

## Kupu

Stał bez ruchu, wsłuchując się w dżunglę, w której panowała śmiertelna cisza. Nagle na niebo wypłynęło siedem dużych kul światła. Były jaskrawopomarańczowe i miały przezroczyste otoczki. Mimo to Kupu patrzył prosto w ich środek i widział na wskroś, jak gdyby zrobione były z kolorowego szkła. Poruszały się niespiesznie i statecznie, a zarazem płynnie niczym wielkie ryby w głębinie. Gdy się zbliżyły, miał wrażenie, że zmierzają w jego stronę i są świadome jego obecności.

Z gąszczu drzew ktoś wywołał jego imię, a potem, o dziwo, rozległy się dziecięce głosy. Bez świadomego namysłu, jak gdyby kierowany pradawnym wspomnieniem zakodowanym w komórkach ciała, opadł na kolana i w starożytnym geście poddaństwa i posłuchu zakrył dłonią usta.

Świetliste kule równocześnie znieruchomiały. Przez chwilę człowiek i kule zastygli w bezruchu i ciszy. Człowiek zamrugał

oczami, a kule zgasły same z siebie i ponownie zaświeciły. Roześmiał się, uważając, że okazują w ten sposób poczucie humoru. Przez kilka minut kule stały w miejscu, a potemwały się oddalać powoli, po królewsku.

Zapragął, by wróciły, lecz raptem ogarnęło go wielkie znużenie. Położył się na wznak, a przed nim ukazały się wysokie, rozciągnięte postaci; niektóre miały skrzydła, a u innych z karku wydobywały się strumienie światła. Jednak wszystkie mieniły się połyskliwymi kolorami. Nie były ani rodzaju męskiego, ani żeńskiego. Przemówiły do niego po kolei, w piękny sposób, lecz bez słów. W nabożnym zdumieniu słuchał ich świętych nakazów. Niekiedy słowa przychodziły doń w postaci kul białego światła; zawisały nad czubkiem jego głowy, a potem wlewały się w niego, przenikały przez skórę, wsączały się do ciała, do krwi i kości. Były błogosławieństwem i wskazówką i zmieniały go raz na zawsze.

•••

Kule oddaliły się, gdy było już widno, a dżungla znów rozbrzmiewała dźwiękami. Kupu usiadł ostrożnie. Jego serce biło gwałtownie, lecz nie czuł strachu. Poproszono go, by ułożył na właściwym miejscu srebrne misy i odbudował nad nimi świątynię. Zmarszczył brwi. Cel tych działań był dlań niejasny. Może mu nie powiedziano albo powiedziano, lecz po prostu zapomniał. Rozejrzył się. Świat wyglądał dokładnie tak samo jak przed przybyciem świetlistych kul, a Kupu pamiętał niebiańskie istoty tak, jak pamięta się cudowny sen, lecz gdy spojrzył na stos gruzu, ze zdziwieniem uświadomił

sobie, że wie dokładnie, w którym miejscu należy ułożyć każdy kamień, by odbudować świątynię. Należało ją zbudować wedle nowych zasad, gdyż ludzie nie rozumieli już dawnych obyczajów. W każdym razie nie rozumieli ich na jawie. Na miejscu mówiącego kamienia miało stanąć bóstwo, z którym ludzki umysł umiał się utożsamiać. W wyobraźni Kupu wizerunek bóstwa był czysty niczym kryształ.

Z małej skórzanej sakiewki wiszącej u jego boku wydobył perłę. Położył kulkę o barwie masła na dłoni, pogładził ją i pomyślał o tej, która mu ten skarb podarowała. Momentalnie powróciło wspomnienie tej chwili, gdy podejrział ją tańczącą pod roziskrzonymi żyrandolami po powrocie japońskiego generała. Lękał się, że zostanie zauważony, lecz podszedł bardzo blisko do drzwi balkonowych i jak zahipnotyzowany patrzył, jak dwoje bez reszty pochłoniętych sobą ludzi krąży po ogromnej sali balowej. Przeważnie sprawiało mu radość, że żyje z darów ziemi, że dzięki swoim umiejętnościom i instynktowi potrafi radzić sobie w swojej samotni. Jednak wspomnienie jej w objęciach innego sprawiło, że poczuł się tak, jakby na rozstaju dróg wybrał zły kierunek. Nigdy nie pojął, dlaczego tego dnia w dżungli nie zareagował we właściwy sposób, gdy każda komórka jego ciała krzyczała, co ma robić. On tymczasem stał bez ruchu, nie dając niczego po sobie poznać i pozwalając jej wymknąć się z jego ramion. Teraz zapragnął ją wezwać, usłyszeć swój głos wołający jej imię.

Szept rozpląnął się w pustce. Łza oderwała się od oka i spłynęła po twarzy. Starł ją szorstkim gestem i wyprostował

ramiona. Gdy krowy się narowiły, dawał im siemienia. Czy teraz sam powinien się nim nakarmić? Skąd to poczucie rozpacz i klęski, zatruwające jego myśli? Co z tego, jeśli nie przeżyje już z nią żadnych przygód, ale pozostaną mu tylko te minione i przywołane w pamięci po tylekroć, że odmieniły się i rozrosły, wzbogaciły się o nowe dialogi i wyimaginowane chwile czułości i namiętności?

Nie wykorzeni tej jej części, która w nim została, to oczywiste, lecz musi przyciąć niespokojne korzenie, bo inaczej niechybnie go zaduszą. Koniec końców to tylko echa. Wszystkie nieprawdziwe, wszystkie zwodnicze. Teraz pojął, że życie oznacza kapitulację, nie zaś spełnienie. Rezygnacja z siebie jest jedyną drogą.

Młoda małpka zakwiliła u jego stóp. Wziął ją na ręce. *Haimo*, rzekł w języku, który wymyślił, żyjąc w dżungli. Małpka wdrapała mu się na ramię i gaworzyła przyjaźnie. Kupu stał niezdecydowany. Musi wybrać się do miasta, mimo że myśl o opuszczeniu wspaniałej dżungli napawała go trwogą. Nie wychodził z niej od lat. Prawie zapomniał, jak poruszać się wśród samochodów, zgiełku i ludzi, lecz miał do spełnienia zadanie, boskie dzieło. Dmuchnął małpce w pyszczek, a ta czmychnęła na drzewo. Dwa wykarmione przez Kupu złotoszyje koguty, śpiące w koronie drzewa, obudziły się i zapiąły. W starym pniu odszukał podartą koszulę, którą zarzucił sobie na grzbiet, a na opaskę biodrową wciągnął spodnie. Poczul się dziwnie. *Haimo*, powtórzył i ruszył do miasta.

W zamian za perłę zamówił srebrne misy. Były gotowe w ciągu dwóch tygodni. Bystre oko Kupu, wyrobione dzięki

życiu w dżungli, pozwalało mu wypatrzeć, zanim został zauważony. Ten sam instynkt pozwolił mu wyczuć, w którym miejscu trzeba umieścić lśniące misy. Następnie wrócił do dżungli i udał się do miejsca nad strumieniem, w którym nieziemskie istoty kazały mu kopać. Znalazł tam glinę i wybrał ją gołymi rękami, a potem zaczął lepić swojego boga.

Pracował wiele godzin. Gdy zapadła noc, zapalił lampę i lepił dalej. Ani zmęczenie, ani ból nie zjawily się, by mu przeszkodzić. Nie przestał nawet wówczas, gdy jego ręce zgrabiały i pojawiły się na nich rany. Poruszały się samorzutnie i bez wytchnienia, wahania czy wątpliwości. Kiedy jego dzieło było już wyższe, stanął na kamieniu i lepił dalej, aż zrobiło się znacznie wyższe. Zstąpił z kamienia, czując ból w grzbiecie i rękach, i odszedł na kilka kroków. Pozostało jeszcze pomalować posąg. Wiedział, gdzie szukać owoców, liści, żywicy i owadów, które należy zdobyć i zgnieść w celu otrzymania barwników, lecz to zrobi później.

Gdy znalazł się daleko i w blasku lampy zobaczył wspaniałość swego dzieła, upadł na kolana i patrzył na nie ze zdumieniem. Kupu nie był rzeźbiarzem, lecz promieniejący posąg, wyższy niż wszystkie, które widział, wyglądał dokładnie tak, jak wizja odkryta przed nim przez anioły. W krzakach nieopodal dał się słyszeć jakiś szelest, lecz Kupu nie zwracał na niego uwagi. Złożywszy dłonie, pochylił głowę i jał się żarliwie modlić do cudu, który ujrzał.

## Bala

Parwati z zaciekawieniem spoglądała na siedzącego przed nią młodzieńca. Bala nie olśniewał urodą, jego skóra była ciemna, on zaś był biedakiem, lecz przybył z nadzieją, by ubiegać się o rękę Rubini. Parwati słuchała go z uwagą, gdyż ciekawiło ją, dlaczego ktoś taki wyobraża sobie, że może zainteresować sobą Rubini. Wiedziała, że z całą pewnością zostanie odrzucony. Chłopak oznajmił, że kocha jej córkę. Kocha ją tak bardzo, że wziąłby ją nawet bez jej okazałego posagu. Zamierzał ją utrzymywać ze swojej pensji nauczycielskiej.

— Wydaje mi się, że moja córka jeszcze nie jest zainteresowana zamążpójściem — przerwała mu łagodnie Parwati.

Jej słowa ani trochę nie podcięły młodzieńcowi skrzydeł.

Uśmiechnął się grzecznie, jak gdyby miał do czynienia z dzieckiem lub kimś, kto nie jest w pełni władz umysłowych.

— Chętnie zaczekam.

Parwati zamilkła na moment. Pomimo zasłużonej opinii Rubini jako do cna zepsutej, wybrednej damulki, pogłoski o jej urodzie i wielkim posagu zostawionym przez ojca rozprzestrzeniły się na wszystkie strony. Oświadczyzny napływały z całej Malezji.

Lekarze, prawnicy, księgowi, biznesmeni. Jednak dziewczyna odrzucała je konsekwentnie i niezawodnie: ten za niski, ten ma zbyt ciemną skórę, ten jest za gruby, ten ma brzydką cerę, ten jest brzydki, ten łysy, a ten głupi.

— Może powinieneś wiedzieć, że jak dotąd moja córka odrzuciła trzydziestu dwóch kandydatów — oznajmiła Parwati.

Widoczne przez okulary oczy młodego mężczyzny pozostały spokojne.

— Wszystko przychodzi do tego, który czeka — stwierdził mądrze zalotnik.

Parwati westchnęła.

— Naturalnie możesz czekać tak długo, jak sobie życzysz, ale muszę się ostrzec, że moja córka nosi w sercu postanowienie, aby poślubić lekarza.

— Matko, powiedziałem, po co tutaj przyszedłem — rzekł łagodnie chłopak. — Jeśli kiedyś z jakiegokolwiek powodu twoja córka zmieni zdanie, będziesz o mnie pamiętała?

Parwati pomyślała, że jest trochę pomyłony. Albo też prostoduszny i za bardzo naczytał się książek.

— Dobrze, będę pamiętała — obiecała, byleby się go pozbyć. Odszedł, lecz co miesiąc przysyłał Rubini kwiaty i czekoladki, które ona, rzecz jasna, całkowicie ignorowała. Kiedyś



Parwati zapytała o niego, a Rubini uniosła dumnie brodę i najbardziej rozkapryszonym głosem stwierdziła, że to idiota. — Gardzę nim! Ani mi się śni wychodzić za kogoś takiego! Że też ma czelność prosić!

Oświadczyzny nadchodziły jedne po drugich i były szybko odrzucane, lecz gdy Parwati zaczęła wpadać w desperację, pojawił się lekarz. Był wysoki, przystojny i jasnowłosy, a do tego miał bardzo długie i czarne rzęsy. Zdawało się, że ilekroć spuszcza wzrok — a zdarzało się to często — jego rzęsy sięgają aż do policzków. W czasie wizyty rzadko się odzywał, lecz Parwati odniosła wrażenie, że jest zacnym i dobrze wychowanym chłopcem. Wciąż odbywał praktykę w Dżohor, lecz miała się skończyć przed ślubem. Postanowiono, że młoda para przeprowadzi się do Kuala Lumpur i zamieszka w domu, który Kasu Marimuthu zostawił w spadku Rubini.

Dalsze pozostawanie Parwati, samotnej wdowy, w Kuan-tanie stało się niepraktyczne i wywoływało plotki. Sprzedała więc sklep i za uzyskane pieniądze kupiła mały trzypokojowy domek z tarasem przy drodze do pięknego piętrowego domu Rubini. Nowi właściciele obiecali, że będą kierować pocztą pod nowy adres, lecz zamykając drzwi po raz ostatni, Parwati wpadła w taką rozpacz, że nie umiała nawet odpowiedzieć na pytanie, które skierował do niej taksówkarz.

Jednak gdy przechodziła przez składane drzwi nowego domu, jej ciało było spokojne i pełne rezygnacji. To nie był najgorszy dom. Miał pokój stołowy od frontowej strony,

a pośrodku świetlik, który Maja mogła wykorzystywać do suszenia składników lekarstw. Znajdujący się obok korytarz prowadził do trzech pokoi. Parwati wybrała pokój najbliższy stołowego, a Maja ten, który sąsiadował z kuchnią. Kobiety rozpakowały się prędko i rozpoczęły przygotowania do wielkiego wesela. Wybrano najlepszy dzień i porę: piętnastego lutego o godzinie czternastej. Osiemset osób miało być świadkami zaślubin córki Kasu Marimuthu.

## Wesele

Niezwykłej urody i bardzo kosztowne sari zostało utkane w Indiach i doręczono osobiście przez posłańca. Zwieńczeniem wielu miesięcy przygotowań miała być zabawa dla gości w ogromnej sali. W małym pomieszczeniu na zapleczu siedziała Rubini otoczona gromadką kobiet, które skakały nad jej ubiorem. O wpół do drugiej weszła Parwati i poprosiła wszystkich, by na chwilę opuścili pokój. Rubini spojrzała w oczy macochy i coś ścisnęło się w niej ze strachu.

Przystojny miły chłopiec okazał się tchórzem bez kręgosłupa, który godzinę przed ślubem postanowił wyznać, że ma już żonę, Malajkę, i trzymał swoje małżeństwo w tajemnicy. Nosił muzułmańskie nazwisko i miał syna. Rubini spuściła głowę i długo pozostawała w tej pozycji. Gdy ją uniosła, była inną dziewczyną. Odgarnąwszy kosmyk włosów z poblądłej twarzy, zapytała beznamiętnym, pustym głosem:

— Czy ten chłopak od kwiatków i czekoladek mieszka gdzieś w pobliżu?

— Tak — odparła Parwati. — Zdaje mi się, że mieszka wspólnie z kilkoma kawalerami w domu w Brickfields. Dlaczego pytasz?

— Poślij do niego wiadomość, że jeśli wciąż mnie chce, może zająć miejsce mojego narzeczonego.

— Co takiego? Przecież nim gardzisz. Nawet nie wiesz, jak ma na imię.

Rubini obracała w palcach paciorek zdobiący strój.

— A więc jak ma na imię?

— Bala. Ale to nie jest konieczne... Znajdziemy ci kogoś innego. Jesteś młoda i piękna, będzie wielu innych.

Rubini uniosła wzrok. Jej oczy były duże i martwe. Powoli, z uporem pokręciła głową. Kosmyk włosów zatańczył na jej policzku.

— Wyjdę za niego albo za nikogo — oznajmiła cichym głosem. Kobiety patrzyły na siebie w milczeniu. Parwati odwróciła się i zeszła na dół.

— Czy to słuszna droga postępowania? — spytała Mai.

— Musimy szanować nauki, które wybrała sobie w tym wcieleniu.

Przyjaciel, którego Parwati posłała do Bali z propozycją Rubini, wrócił razem z nim. Z błyszczącymi oczami Bala rzucił się kornie do stóp Parwati.

Delikatnie dotknęła jego ramienia.

— To nie mnie powinieneś dziękować. Nie wybrałabym

cię dla mojej córki, ale zawsze będę ci wdzięczna za to, że przybyłeś jej na ratunek. Chodź, poszukamy dla ciebie ubrania w garderobie mojego syna.

— Nie trzeba — odparł Bala. — Trzymam je w gotowości od dziesięciu lat.

— Och — westchnęła delikatnie Parwati i odeszła. Bala włożył kremowo-złote nakrycie głowy. Pieczołowicie wytarł okulary, po czym umieścił je na nosie. Następnie spojrzął na swoje odbicie w lustrze i nie mógł powstrzymać triumfalnego uśmiechu. Pochłonięty szczęściem, nie usłyszał, że ktoś wchodzi. Podskoczył, widząc inne oblicze w lustrze.

Odwróciwszy się gwałtownie, stanął twarzą w twarz z postawną niewiastą. Wiedział, że jest ona służącą rodziny, lecz kiedy spojrzął jej w oczy, czas — by użyć tego wyświechtanego zwrotu — stanął w miejscu. Postąpił tak, jak postępują wszyscy mężczyźni wobec przemożnej mocy: pokłonił się jej, jednocześnie próbując rozpaczliwie rozpoznać jej źródło, by nim zawładnąć.

Kobieta uśmiechnęła się nagle; jej zęby i dziąsła znaczyły czerwone plamy. Bala westchnął, a jego westchnienie stanowiło wyraz zakłopotania. A zatem mylił się: ta kobieta faktycznie była jedynie służką. Wtem jednak otworzyła usta i wypowiedziała słowa tak piękne, że stały się dlań drogowskazem na resztę życia.

— Synku, droga małżeństwa jest pełna cierni i można ją przejść tylko bosymi stopami. Ilekroć jednak cierń wbije się w twoją skórę, śpiewaj z radości, bo ten cierń zadałby jej delikatnej stopie ból o wiele większy. Pewnego dnia spojrzysz

przed siebie i zobaczysz, że ciernie zniknęły, a droga prowadzi w sam środek tęczy.

Zabrakło mu słów, więc patrzył na nią w milczeniu.

— Bądź dla niej dobry. Bala skinął głową.

— Idź zatem — zakończyła Maja. — Twoje wielkie marzenie czeka.

Młodzieniec się uśmiechnął.

• • •

Gdy Bala zajął miejsce na podeście obok brata Rubini, po zgromadzeniu przeszedł szmer. Nastąpiło zamieszanie, niektórzy goście ze strony pana młodego wstali i ruszyli do wyjścia. Bala nie zwracał na nich uwagi i dumnie patrzył przed siebie. Nikt mu nie zmąci magii tej chwili.

— Chłopak od kwiatków i czekoladek zatriumfował — mruknął pod nosem Kuberan, przeciągając sylaby. — To doprawdy nadzwyczajne, że tylu ludzi zwlokło się z łóżek, żeby zobaczyć ślub mojej siostry. Przyszłoby ich trzy razy tyle, gdyby wiedzieli, że zobaczą poniżenie córki Kasu Marimuthu.

Balę tak bardzo zdumiały sardoniczne drwiny Kuberana z hańby siostry, że odwrócił głowę, by nań popatrzeć. Kuberan nie odwzajemnił spojrzenia.

— Nie ma powodu do obaw, staruszkule, ona to przeżyje — rzucił z rozbawieniem. — Pod tym względem zgadzam się z Nietzschem: wszystkie śluby wiecznej miłości są samooszukiwaniem.

Teraz Bala już wiedział, dlaczego zarówno nauczyciele, jak i koledzy nie znosili tego chłopca. Przypomniawszy sobie słowa dyrektora: „Ten chłopak to nicpoń i nic nie przywoła go do porządku. Dla niego jedyna różnica między chodzeniem a niechodzeniem do szkoły polega na tym, że drugie śniadanie zjada w stołówce, a nie przy maminy stole”.

— Z całą mocą opowiadam się za tym, by filozofia zastępowała religię, lecz uważam, że Nietzschego należy cytować z najwyższą ostrożnością — odparł sztywno. — Jego mądrość wyrosła na słonej wodzie i gorzkiej ziemi.

— Oto na scenę wkracza zarumieniona panna młoda — sztywno odwrócił głowę w stronę drzwi i momentalnie zapomniał o jego zjadliwych i raniących uwagach. Z uwielbieniem patrzył na pannę młodą. Nikt nigdy nie widział jej piękniejszej i bardziej olśniewającej. Wzrok miała opuszczony aż do chwili, gdy znalazła się przed podestem. Wtedy podniosła na niego oczy. Jednak w ich martwych głębinach nie było ani nieśmiałości, ani gotowości do flirtu. Dłonie Bali zrobiły się zimne i wilgotne.

Zajęła miejsce opuszczone przez brata; Balę owionęła woń jej perfum. Zapachniało bogactwem. Nie wiedząc czemu nasunęła mu się myśl o Paryżu, w którym nigdy nie był. Spojrzał na jej pokryte henną dłonie i palce, które spoczywały bezwładnie na jej łonie, dopóki nie nadszedł czas, gdy zawiązał jej na szyi *thali*. Raz jeszcze zbiły go z tropu jej nieruchome oczy, spoglądające na niego z całkowitą obojętnością. Zadrżały mu ręce i wypuścił koniec łańcuszka. Jego nerwowe spojrzenie spot-

kało się z zaciekawionym spojrzeniem matrony stojącej za młodą parą. Uśmiechnął się do niej niepewnie. Kobieta wsunęła dłoń za bluzkę panny młodej, chwyciła łańcuszek i włożyła Bali do ręki, a ten bez dalszych trudności zdołał zawiązać *thali*. Rubini apatycznie odwróciła głowę, gdy na państwa młodych posypał się ryż.

Później krewni, przyjaciele i inni goście złączyli się w jedną plamę. Bala prawie nic nie zapamiętał. Nowożeńców zawieziono do ich nowego domu w Bangsarze. Mąż Rubini przechadzał się po urządzonej w zachodnim stylu pomieszczeniach i myślał o pustym pokoju, w którym mieszkał z jeszcze jednym nauczycielem.

Wreszcie zapukał cicho do drzwi głównej sypialni, poczekał chwilę, a potem wszedł do środka, mimo że nie padło ani jedno słowo zachęty. Jego małżonka siedziała na skraju bogato zdobionego łóżka. Przebrała się w miękką koszulę nocną, która wydawała się w całości zrobiona z małych koronkowych kwiatuszków. Patrzyła w milczeniu na Balę. Przez chwilę spoglądał na nią, nie wiedząc, jak się zachować. To nie była ta dziewczyna, którą znał. W tamtej był ogień i namiętność, a ta przypominała bryłę kamienia i lodu. Mimo to podszedł do niej.

— Dobrze się czujesz?

Lodowata panna młoda skinęła głową.

— Jesteś zmęczona? Pokręciła głową.

— Masz ochotę zjeść ciastko albo owoc? — zaproponował Bala, podsuwając żonie pełną tacę.



Rubini zareagowała tak, jak poprzednio.

— Naprawdę nic ci nie jest? Ponownie pokręciła głową.

Wzrok Bali padł na krągłość piersi ukrytych pod koronkami.

Rubini biernie odnotowała mimowolny ruch. Bala zgasił nocną lampkę. Sypialnia pograżyła się w głębokich cieniach, ale tylko na chwilę. Światło znów zalało pokój. Bala spojrzał żonie w oczy, a ta obojętnie odwzajemniła spojrzenie.

— No dobrze — rzekł spokojnie, lecz ręce, którymi pchnął ją lekko na plecy, były drżące i niezgrabne. Osunęła się bezwładnie. Musiał unieść nieco Rubini, by ją rozebrać, a potem długo gmerał palcami przy nieznanym sobie zamku stanika. Był niemal zaskoczony, gdy wysunęły się z niego jej piersi. Znieruchomiał, gdy się zakołysały. Wsunął palce pod białe koronkowe majtki, czule wybrane z myślą o innym mężczyźnie. Pociągnął i ze złośliwą satysfakcją usłyszał odgłos pękającego materiału. Majtki się zsunęły.

Rubini leżała naga.

Przez kilka minut nie mógł oderwać wzroku od piękna, na które padało światło nocnej lampki. Sięgnął ręką do jej kolan, a one rozsunęły się łatwo, bez najmniejszego oporu, tak jak w jego snach. Nie chciał spoglądać w oczy, które z pewnością nań patrzyły, jednak jego wzrok samorzutnie pomknął na chwilę do góry. Patrzyła na niego spokojnie, a co gorsza bezosobowo.

Wytracony z równowagi usiłował się na nią wsunąć i wydawało mu się, że trwa to w nieskończoność.

Poddał się, nie mogąc nawet znaleźć otworu, w który mógłby wniknąć. Zupełnie inaczej to sobie wyobrażał. Co gorsza, zaczął tracić wzwód. Kładąc ręce z boku na jej ramionach i zamykając oczy, znów zobaczył ją kroczącą ulicą, ubraną jak do boju, dumną, świadomą swojej seksualności i niełękającą się jej. Z zamkniętymi oczami Bala odbył stosunek z bezwładnym i niereagującym pięknym ciałem.

Później wyszedł z niej i wciąż nie patrząc jej w oczy, usiadł w nogach łóżka, opierając czoło na dłoniach. Spełniając swoje wielkie marzenie, zdruzgotał je. Czuł, że jego poniżenie jest całkowite, a rozczarowanie nie do zniesienia. Nigdy więcej nie będzie mógł na nią spojrzeć. Cała nieodwzajemniona miłość, trwająca przez lata, prysła w ciągu kilku minut. Tak, to była prawda: nadzieję spełnienia można nazwać nieuchronnym rozczarowaniem.

Nikt nie zdołałby spełnić iluzji, którą karmił w sobie przez lata tęsknoty i samotności.

Zmęczonym gestem potarł oczy. To on popełnił błąd, godząc się na rolę zastępcy. Ale jak poradzić sobie teraz z jej oskarżycielskim spojrzeniem? Kochała innego mężczyznę i zawsze będzie go karać za to, że nie jest tym drugim. Bala poczuł, że serce twardnieje mu w piersi. Jak mogła kochać takiego tchórza? Miał o niej lepsze zdanie. Przesunął się nieco i w zasięgu jego wzroku znalazła się nieruchoma stopa Rubini. Spojrzał w tamtą stronę. Była tak piękna i delikatna, że jego serce znów zmiękło. Ujął stopę w dłoń, ścisnął ją lekko i uniósł do nosa. Okazała się tak samo wonna jak całe

ciało Rubini. Wciąż był nią oczarowany. Przesunął nią po swoim policzku.

Drugą ręką pogładził jedwabistą łydkę. Mięśnie pod skórą nie napięły się i nie drgnęły. Bala westchnął. Nie było wyjścia, ale on nie chciał wychodzić. Opuścił nogę Rubini i delikatnie złożył ją na materacu. Potem wstał i obszedł łóżko. Rubini nie poruszyła się; tylko jej oczy — suche i beznamiętne, niewzruszone tym, co Bala zrobił jej ciału — skierowały się na niego. Usiadł obok niej i wziął bezwładne ciało na ręce. Uniósłszy jej twarz tak, że jego usta znalazły się w jej pachnących włosach, rzekł:

— Przez wiele lat wierzyłem, że zrobiłbym wszystko za tę noc z tobą, a teraz wiem na pewno, że zrobiłbym wszystko, by się nie zdarzyła. Tak bardzo mi przykro. Nie umiem odwrócić tego, co się stało, ale jedno mogę ci obiecać: nigdy więcej cię nie dotknę, jeśli mnie o to nie poprosisz.

W pierwszej chwili myślał, że jego słowa i powolne kołysanie jej nieruchomego ciała nie spowodowały żadnej reakcji. Nagle poczuł wilgoć na piersi. Ta wilgoć spływała w dół i rozszerzała się między ich połączonymi ciałami. Rubini płakała bezgłośnie, nie poruszając się. Trzymał ją tak długo, nawet wówczas, gdy zmorzył ją sen. Rozbolały go ręce, lecz ilekroć chciał ją położyć, przypominał sobie, że prawie na pewno trzyma ją w ramionach po raz ostatni.

O brzasku przez szczeliny w zasłonach do sypialni zaczęły się sączyć promienie słońca.

Wtedy niechętnie położył jej ciało na materacu i stał, patrząc na nie. Było nieosłonięte, bezbronne, posiniaczone i boleśnie piękne. Serce zabiło mu w piersi tak mocno, że

ledwie mógł to wytrzymać. Nie może jej zawieść. Musi znów uczynić z niej olśniewającą istotę, której widok wywołał kiedyś spontaniczny aplauz wszystkich idących wówczas tą samą ulicą. Nachylił się i złożył długi pocałunek na jej włosach. Rubini się nie poruszyła. Delikatnie niczym motyl musnął wargami jej powieki, czoło, a na koniec lekko rozchylone usta. Wciąż leżała bez ruchu. Wyprostował się. Nastąpił na pierwszy cierń i przeżył to.

— Śpij dobrze, pani Bala — powiedział, a potem zgasił światło i wyszedł. Ubrał się szybko w drugim pokoju. Wezwano go na ślub w ostatniej chwili, toteż nie zdążył poprosić o urlop i musiał iść do pracy. Na parterze zostawił krótką wiadomość obok telefonu oraz, na wszelki wypadek, numer telefonu szkoły. Jeszcze nie całkiem się rozwidniło, gdy otworzył drzwi frontowe i zastał tam czekającą sprzątaczkę. Nie chcąc zakłócać porannej ciszy, wyprowadził motor na drogę i dopiero wtedy uruchomił silnik. Nie wolno mu było narażać żony na poniżenie, jakim byłaby dla niej jazda na tylnym siedzeniu motocykla. Miał trochę oszczędności, kupi za nie samochód.

Czując na twarzy rześkie poranne powietrze, zrobił to, czego nie czynił od czasu, gdy był nastolatkiem. Uniósł obie ręce wysoko nad głowę, tak aby chłodny wiatr owionął całe jego ciało, i roześmiał się na cały głos. Przepęniała go radość. Jaką cudowną i magiczną rzeczą jest życie.

• • •

Bala był w połowie przedostatniej lekcji, gdy przyszedł do niego chłopiec z kancelarii i oznajmił, że ktoś dzwoni w waż-

nej sprawie. Z mocno bijącym sercem Bala pospieszył do gabinetu dyrektora. Ten odwrócił się, słysząc jego kroki, jednak nauczyciel nie przywitał się z nim, tylko chwycił czarną słuchawkę. Z ulgą usłyszał, że powodem alarmu jest to, iż lunch się nie udał, i że w związku z tym powinien zjeść posiłek w mieście.

— Nie martw się, zjem go, nawet jeśli okazał się katastrofą — rzekł, opierając się o biurko. — Tak, jestem absolutnie pewien.

— Odłożył słuchawkę na widełki.

— Wszystko w porządku? — spytał dyrektor z krzywym uśmiechem.

— Tak, w najlepszym porządku — odparł z roztargnieniem Bala. Rubini podała mu lunch i stała, obserwując, jak je. Uśmiechając się, wziął jedzenie do ust, pogryzł i spojrzał na nią z niekłamanym zaskoczeniem.

— To wcale nie jest katastrofa. Naprawdę bardzo mi smakuje. Rubini zmarszczyła brwi.

— Naprawdę? Nie szkodzi, jeśli powiesz, że jest niesmaczne. To mnie nie dotknie. Pierwszy raz coś przygotowałam.

— Ależ nie, mówię prawdę! Jest pyszne — zachwycił się Bala, z zapalem pochłaniając niedogotowany ryż, kawałki kurczaka w wodnistych brązowych popłuczynach, papkowane warzywa, których nie umiał rozpoznać, mogła to być kapusta, oraz rzadki jogurt.

Zmiótłszy wszystko z talerza, poklepał się po brzuchu

i udał się na górę nieco odpocząć. Rubini poszła odwiedzić macochę.

— Co jest do jedzenia? — spytała, zaglądając pod wieczka pojemników stojących na stole.

— Nie jadłaś z mężem?

— Ugotowałam coś dzisiaj na próbę. Ryż, curry z kurczaka i oberżynę; podejrzałam to u Mai. Chyba nie wyszło zbyt dobrze, ale zdaje mi się, że Bali naprawdę smakowało.

Nakładając sobie jedzenie, nie zauważyła spojrzenia, które wymieniły między sobą Parwati i Maja.

— Ach, zapomniałabym powiedzieć, że postanowiłam pracować jako wolontariuszka w sierocińcu. To straszne, że te biedne dzieci muszą żyć w takich warunkach. Jednej dziewczynki naprawdę mi szkoda. Jest malutka i nikt nie chce jej adoptować, bo ma chorą nóżkę. Nie wyobrażam sobie, jak ktoś mógł oddać tak urocze maleństwo.

— Może sama ją adoptujesz? Ta sugestia przeraziła Rubini.

— O nie! To zbyt wielka odpowiedzialność.

— W ciągu dnia będziesz zajęta, więc będę gotować trochę więcej, żeby starczyło dla ciebie i dla Bali.

— Ależ nie, to będzie tylko kilka godzin dziennie. Myślę, że dam sobie radę. Poza tym Bala ubóstwia moją kuchnię. A to jest naprawdę pyszne, Maju.

## Sri Nagawati

Nadeszła wiadomość, że Kupu zmarł, a wraz z nią list do Parwati. Spojrzała na brudną niezaadresowaną kopertę, dotknęła śladów palców na papierze i pomyślała, że mogą to być odciski Kupu. Nie otworzyła listu od razu, lecz położyła go na ołtarzyku; przez cały dzień, krzątając się wokół swoich spraw, z niejasną przyjemnością myślała o liście. To było tak, jakby on sam na nią czekał, pełen życzliwości i dobrej woli. Dopiero gdy wszyscy zasnęli, wzięła do ręki swój smutek.

List został napisany na kartce z zeszytu. Kupu musiał użyć zaostzonego końca gałązki. Popatrzyła na lepki atrament i raptem, przyjrzawszy się dokładniej, uświadomiła sobie, że to krew. Zwierzęcia? A może jego samego? Długo trwało, zanim odczytała słowa. Kupu pisał jak dziecko — grubymi, pająkowatymi gryzmołami, trudnymi do odcyfrowania, a jego ortografia była fatalna. Zdumiewające, że ten człowiek w ogóle umiał pisać. Nigdy nie przyszłoby to jej na myśl, choć poznała tylko jego maleńką część. W Kupu kryło się o wiele więcej.

*Parwati!*

*Moja bogini woła. Jestem całkowicie wykończony, ale chcę wiedzieć, że leżąc tutaj, na przemian płonąc i trzęsąc się, tęsknię jedynie za dźwiękiem twojego głosu. Usłyszeć go ostatni raz, nim odejdę. Zastanawiam się, czy wciąż jest tak jak wtedy, gdy pierwsze promienie słońca sączyły się przez liście? Musisz prędko odwiedzić moją świątynię, bo ona długo nie przetrwa. To będzie ulga, gdy gorączka tym razem zwycięży.*

*Kupu*

— Co on ma na myśli, mówiąc, że świątynia nie przetrwa?

— Nie mam pojęcia—odparła z zadumą Maja — ale wiem, że Kupu był wysoce zaawansowaną duszą, spełniającą ważną misję. Jeśli mówi, że świątynia nie przetrwa, to tak będzie.

— Po co ktoś miałby budować tymczasową świątynię?

— Albo świątynia spełni swoją funkcję do czasu zniszczenia, albo jej zniszczenie spowoduje bardzo ważną przemianę.

Parwati chciała udać się na miejsce z Mają, lecz Rubini stwierdziła zdecydowanie, że same nie zdołają odbyć takiej podróży.

— Wszak wy nawet nie znacie drogi! Maja uśmiechnęła się skromnie.

— Tak, masz rację. Zabierz nas tam zatem, dwie staruszki. We trójkę odbyły podróż do Batu Tujuh. Było południe, gdy na horyzoncie ukazało się stalowoszare morze. Parwati zamknęła na chwilę oczy i odniosła wrażenie, że znów siedzi w rolls-roysie Kasu Marimuthu, który po raz pierwszy wiezie



ją do Adari. Za chwilę otworzy oczy i ujrzy lśniący w promieniach słońca klejnot.

— Ojej, patrzcie! — zawołała Rubini. Parwati otworzyła oczy. Zobaczyła jaśniejący dziesięciopiętrowy hotel.

Rubini zostawiła samochód parkingowemu i wraz z towarzyszkami podróży weszła przez szklane drzwi do pozbawionego duszy gmachu z polerowanego chromu i marmuru.

W klimatyzowanym pokoju stało podwójne łóże oraz metalowe składane łóżko, które Maja od razu sobie zaklepała. Parwati wyszła na balkon. Wszystko się zmieniło, nawet plaża. Odebrano morzu nieco lądu i utworzono szmaragdową lagunę w kształcie litery U, otoczoną palmami. Na plaży nie było nikogo, lecz w hotelowych basenach pluskały się dzieci, a na leżakach opalali się cudzoziemcy. Spojrzała dalej na morze i nagle czas się cofnął. Ileż razy stała dokładnie w tym samym miejscu, patrząc w błękitną dal i niezmiennie marząc o wielkiej miłości? I ona pewnego dnia nadeszła.

Przeglądając błyszczące broszurki, ułożone w kształt wachlarza, Parwati znalazła na jednej z nich świątynię Kupu. Wedle opisu umieszczonego pod zdjęciem był on współczesnym Tarzanem, który w następstwie boskiej interwencji, po ujzeniu siedmiu błyszczących kul światła, postanowił odbudować zburzoną w czasie wojny starożytną świątynię.

Dżungla skurczyła się znacznie; postawiono też drogowskazy kierujące turystów do świątyni. Otaczał ją wysoki mur. Jego widok wstrząsnął Parwati. Pomyśleć, że Kupu, zbieracz miodu i pasterz krów, wzniósł tak wspaniałe gmach.

Co chciał wyrazić, pisząc, że świątynia długo nie postoi?  
Wyglądała nadzwyczaj solidnie, a tworzące ją kamienie zostały tak pięknie spasowane, że trudno było sobie wyobrazić, iż niegdyś stanowiły część innej budowli.

Parwati wspięła się po niskich schodkach, pokonała otwartą przestrzeń wewnątrz muru i zobaczyła bożka Kupu. Wysoka na ponad półtora metra kobra spoczywała na zwiniętym ciele. Na jej kapturze widniał obraz ludzkiej twarzy.

— Sri Nagawati — przeczytała na głos Rubini napis nad wejściem do przedsionka bogini węża. Skierowała kroki ku staremu drzewu, na którym mieszkała kiedyś rodzina siaman-gów. Teraz jednak już ich tam nie było. Podnóże drzewa usłane było darami w postaci mleka, jaj i lalek. Składali je ludzie, modląc się przy tym o płodność.

Parwati zmarszczyła brwi, spoglądając na boginię. W jej twarzy było coś znajomego. Nagle zrozumiała, że patrzy na swoją podobiznę: ta sama długa szyja, szeroko rozstawione oczy, nawet kamienny niebieski nos był podobny do jej nosa. Poruszona, odwróciła się do Mai i już wiedziała, że podobieństwo również nie uszło jej uwagi.

— Czyżby Kupu zdołał nabrać wszystkich na fałszywą boginię?

— Cii, moje dziecko — szepnęła Maja, spoglądając znacząco w stronę Rubini. Skinęła ręką na Parwati i poprowadziła ją do jednej z wielu kolumn, zbudowanych z białych kamieni zaczerpniętych z pierwotnej świątyni. Wyrwała sobie włos z głowy i pokazała, że kamienie są dopasowane tak dokładnie, iż nie sposób wcisnąć między nie nawet włosa. Podjęła taką

samą próbę w innym miejscu i w jeszcze jednym. Zawsze z tym samym skutkiem. Odwróciła się do Parwati.

— Naprawdę myślisz, że Kupu zdołałby tego dokonać własnymi siłami?

Parwati wolno pokręciła głową.

— Otóż to. Wszystko, co zobaczył i czego doświadczył, wydarzyło się, ale pamiętaj, że rzeczy cudowne muszą współistnieć ze zwyczajnymi. Tak jest we wszystkich religiach będących dziełem człowieka. Boskość, przechodząc przez ludzkie sumienie, plami się ziemskimi wspomnieniami, zwyczajami, wierzeniami i najgłębszymi pragnieniami swoich założycieli, staje się więc na poły mitem, na poły prawdą. Religia pustyni będzie mówiła o drzewach, chłodnym cieniu i cudownym szmerze płynącej wody. Niebo założone przez księcia, który oddał całe swe bogactwo żebrakowi, będzie inkrustowane drogocennymi klejnotami. Ciemnoskóra rasa znajdzie sobie boga o błękitnej skórze, a biali ujrzą swojego w bogu błękitnookim. Owo skażenie egoizmem stanowi źródło odmienności wszystkich religii, lecz istota jest zawsze ta sama. We wszystkich religiach słyszymy: Jam jest Bogiem, ja istnieję. Oto jeszcze jedna z moich twarzy. Jest piękna, czyż nie? Kupu po prostu dostrzegł Boga w ukochanej. Mówiłam ci już o tym, prawda? Nie jesteś małą niewolnicą Boga. Ty jesteś Bogiem.

Parwati spojrzała ponownie na boginię i przypomniała sobie Kupu w obłoku mgły. Na jego ramieniu siedziała cyweta i zlizywała sól z jego palców.

— Muszę pójść do dżungli i poszukać pewnej rośliny,

która, mam nadzieję, nie znikła tak jak wiele innych. Do zobaczenia w hotelu — rzekła Maja.

Parwati skinęła głową i kucharka odeszła.

— Wygląda pani znajomo — powiedział szczupły mężczyzna w średnim wieku, który podszedł do Parwati. Pełnił w świątyni funkcję stróża. — Jestem pewien, że się spotkaliśmy, ale nie pamiętam gdzie. — Ściągnął brwi. — Pani nie pochodzi z tych okolic, prawda?

— Nie, jesteśmy z Kuala Lumpur. Przyjechałyśmy tylko na weekend. Znałam Kupu przed laty.

Słyszając to, mężczyzna padł na ziemię i dotknął czołem jej stóp. Wielce zakłopotana Parwati czym prędzej poprosiła go, żeby wstał.

Nieznajomy zrobił to i otarł łzy z oczu.

— On był tak wielkim człowiekiem, że czuję się zaszczycony, ilekroć spotykam kogoś, kto go znał. Pani musiała go znać jako młodzieńca. Jaki on był?

— Łagodny, dobry i uczciwy. Umiał nawiązać kontakt z każdym stworzeniem, które napotkał na swej drodze.

Mężczyzna z aprobatą skinął głową, słysząc te piękne słowa.

— Cóż to takiego? — spytała Parwati, wskazując ścianę wypełnioną różnymi przedmiotami.

— To wota tych, których modlitwy zostały wysłuchane. Ta bogini jest niezwykle potężna, a świątynia z dnia na dzień zyskuje coraz większą sławę. Ludzie zjeżdżają z całych Malajów, by prosić o łaski. Raz nawet pojawiła się pewna muzułmanka, cierpiąca na bezpłodność. Złote kolczyki, które bogini ma w uszach, kobieta złożyła w darze z okazji pierw-

szych urodzin dziecka. A tamten złoty łańcuch jest od Chińczyka, który zapytał o numery na loterii i wygrał drugą nagrodę.

— Powie mi pan coś o świątyni i o Kupu?

— Wie pani oczywiście o tym, że oprócz muru, zbudowanego przez hotel, Kupu wznosił całą świątynię gołymi rękami w ciągu siedmiu dni, nie jedząc i nie odpoczywając.

— Dlaczego tak wielki hotel postanowił zbudować mur, reklamować świątynię w broszurce i kierować tutaj gości brukowaną i oświetloną ścieżką? Trudno uznać ją za atrakcję turystyczną.

— Początkowo właściciel hotelu, Chińczyk, rozgniewał się, że nie może odkupić świątyni od Kupu, mimo że dziesięciokrotnie zwiększył pierwotną ofertę. Zdaje się, że planował stworzenie w tym miejscu pola golfowego, a świątynia stała na samym środku terenu. Miejscowi nie ośmielili się zrobić niczego ze świątynią, więc sprowadził robotników z Dżohoru. Zaczęli wycinać drzewa, lecz Kupu przestrzegł ich, żeby nie ścinałi tego — stróż wskazał stary dom siaman-gów — bo mieszka w nim święty duch. Ale oni przyszli nocą, gdy Kupu kąpał się w strumieniu. Jednak przy pierwszym uderzeniu siekiery z pnia zaczęła się sączyć krew i robotnicy uciekli z krzykiem. Nazajutrz biznesmen osobiście przyszedł, by spotkać się z Kupu. Ten zapowiedział mu, że hotel będzie przynosił wielkie dochody, jeśli świątynia nie ucierpi. Wie pani, jacy są Chińczycy. Wystarczy im obiecać zysk, a zrobią wszystko. Właściciel hotelu niezwłocznie zbudował mur otaczający świątynię, miał to być gest wsparcia i pokuty. Interesy, jak mi się zdaje, idą świetnie.

## Wykładnia sceptyka

— No dobrze, zacznijmy od najłatwiejszego, czyli od postaci z pochodniami, które ujrzał Kupu — rzekł pogodnie Bala. — Jak ustaliłyście wspólnie z Mają, cały ten teren pocięty jest liniami energii. Wiadomo, że w miejscach skrzyżowania kilku linii powstają obrazy osób, obiektów lub zdarzeń, coś w rodzaju samopowtarzalnego hologramu. W tym wypadku było to obrzędowe zgromadzenie pierwotnych budowniczych lub użytkowników świątyni. Drugie wytłumaczenie jest równie proste i odwołuje się do halucynacji. Miejsca, w których występują anomalie magnetyczne, emitują fale radiowe lub mikrofałe, przenikające w głąb mózgu i wywołujące reakcje komórek nerwowych. Prowadzi to do powstania halucynacji. Często zdarza się, że wskutek tego zjawiska człowiek słyszy wypowiedane na głos swoje imię. Mogą do tego prowadzić muzyka lub dźwięki, zwłaszcza te, które charakteryzują się stałym rytmem, takie jak odgłos

spadających kropel w jaskini lub powtarzające się echo w pustym wnętrzu. Nie zapominajcie, że Kupu wsłuchiwał się w szum wiatru wśród drzew. Czy nie słyszycie tego samego odgłosu w czasie wichury? Parwati z wolna skinęła głową.

— Otóż to. Kupu zobaczył swoje ciało śpiące na kamiennym podłożu. Nazywa się to doświadczeniem pozacielesnym, regularnie praktykują je mnisi i szamani, ale czasem stan taki może się przytrafić zwykłym ludziom, takim jak wy i ja, zwłaszcza przed zaśnięciem lub tuż po przebudzeniu. Jest bardzo prawdopodobne, że Kupu doświadczył tego stanu, ponieważ spędzał dużo czasu w silnym polu magnetycznym. Potężne przepływy prądów nieustannie oddziaływały na jego płat ciemieniowy. No i wreszcie siedem lśniących kul światła, które mu się ukazały. Światła takie są zjawiskiem naturalnym. Zaobserwowano je w obu Amerykach, niektórych częściach Anglii, Szkocji i Chin. Zdawało się, że zjawy te okazują świadomość bądź reagują na zachowanie ludzi, lecz są to wykwyty ziemskiej energii, powstałe w wyniku rozładowania napięć sejsmicznych i innych zjawisk elektromagnetycznych. Odrobinę trudniejsze, lecz wciąż możliwe, jest wyjaśnienie obecności wysokich aniołów. Są to powszechnie występujące cykle, dające energię i życie wszystkim ziemskim organizmom: oddech każdego żywego stworzenia, bicie serca, przyływy i odpływy, fale światła i dźwięku. Wszystko, nawet najdrobniejsza cząstka, stanowi powtarzający się cykl. Ów cykl jest stały i wszyscy jesteśmy częścią tego rezonansu. Nasza planeta również ma swoją harmonię, jest nią górne

F na skali muzycznej. Istnieją na Ziemi miejsca, gdzie występuje on obficie niż w innych. Jakkolwiek jego częstotliwość znajduje się znacznie poniżej progu ludzkiej słyszalności, nasi przodkowie wiedzieli o jego istnieniu i byli świadomi jego skutków. Budowle megalityczne, piramidy, kaplice modlitewne i świątynie wznosili właśnie w tych miejscach. Dzięki medytacji, postowi, odosobnieniu, bólowi, biciu w bębny i substancjom narkotycznym człowiek może wprowadzić się w stan uniesienia współbrzmiący z częstotliwością Ziemi, przybliżając się w ten sposób do tego, co uważa za Boga. Skutkiem takich zabiegów jest poczucie stanu iluminacji, czyli przekonanie, że nawiązało się kontakt z Bogiem lub istotami boskimi. Wówczas dochodzi do głosu szczególna, istniejąca od momentu urodzenia, ludzka zdolność rozpoznawania twarzy na kawałku papieru. Ta umiejętność dostrzegania swoich wizerunków oznacza, że można ujrzeć ludzkie oblicze w piasku, wodzie, kamieniu, dymie, a nawet w chmurach. Mając świadomość, że nie widzi siebie, człowiek wnioskuje, że musi widzieć Boga. Zjawisko to nosi nazwę antropomorfizmu. Kupu przypisał ludzkie cechy wężowi i nazwał go boginią. Przekształcanie wspaniałych baśni w zrytualizowane wierzenia religijne zdarza się od wieków.

— Ale... — zaczęła Parwati. Bała uniósł dłoń.

— Pozwól mi dokończyć. Jeśli chodzi o kamienie dopasowane tak dokładnie, że Maja nie zdołała wcisnąć między nie nawet włosa. Czy to nie ty powiedziałaś, że Kupu to najwspanialszy naśladowca i że jego umiejętność obserwacji



była niezrównana? To on prowadził wykopaliska i znał doskonale kształt budowli, sugeruję więc, że po prostu ustawił kamienie dokładnie w takim samym porządku, w jakim je znalazł.

Parwati chciała zauważyć, że świątynia została odbudowana w zupełnie innym kształcie, lecz Bala rozpedził się, a ona nie chciała mu przerywać potoku wielkich słów.

— Jestem pewien, że gdybyście sprawdziły wraz z Mają całą budowlę, natrafiłybyście na wiele miejsc, w które włos mieści się swobodnie. Kupu wykonał swoje dzieło w ciągu siedmiu dni. Mogę powiedzieć tylko tyle, że znanych jest wiele przypadków, gdy kobiety dźwigały samochody wielokrotnie cięższe od nich samych, kiedy pod nimi znalazły się ich dzieci. Ludzie potrafią wykazać się nadludzką siłą lub wytrzymałością w stanie podwyższonej świadomości lub gdy mają przekonanie o słuszności swoich czynów.

Bala nie robił przerw nawet na zaczerpnięcie oddechu.

— Tak doszliśmy do krwawiącego drzewa. Z pewnością nie jest to pierwszy przypadek tego typu. Istnieje wiele relacji o podobnych zdarzeniach. Zdaje mi się, że gdyby ludzie podchodzili do tej sprawy mniej histerycznie, znaleźliby proste wyjaśnienie tego zjawiska, jakim jest żywica. Brązowa żywica w blasku lampy ma nie tylko barwę, ale i konsystencję krwi. Na koniec zajmijmy się tym, co ty sama przeżyłaś w tej starożytnej świątyni. Wszystkie dowody wskazują na to, że w tym miejscu skorupę ziemską cechuje jakaś skaza. Zarówno stare, jak i nowe pęknięcia skorupy skutkują powstawaniem rys w skałach, z których wyzwalają się takie gazy jak siar-

kowodór, etylen i metan. Gazy te powodują zaburzenia oddechu, dezorientację, halucynacje, nagłe przemęczenie, raptowne napady głodu, krwawienia menstruacyjne, ataki paniki, zaniki bolesnych dolegliwości oraz utratę poczucia czasu. Starożytni Grecy nazywali takie stany *atmos entheos*, co oznacza „boskie opętanie”. Najślawniejszym jest, rzecz jasna, wyrocznia w świątyni w Delfach. No dobrze, skończyłem. Co chciałaś powiedzieć?

Parwati otworzyła usta, lecz wnet je zamknęła. Milczenie bywa czasem najlepszą odpowiedzią.

## Niepodległość 31 sierpnia 1957

Na nowo wybudowanym stadionie świętowano najwspanialszą chwilę w historii kraju: flaga Zjednoczonego Królestwa, Union Jack, była opuszczana, a w górę po raz pierwszy wędrowała flaga Malezji z księżycem, gwiazdami i paskami. Tunku Abdul Rahman, pierwszy premier Malezji, uniósł rękę i siedem razy wypowiedział słowo *Merdeka*, czyli „niepodległość”. Nikt nie zwrócił uwagi na Parwati, która szła ubrana w białe sari z niebieską lamówką, do połowy ukryta pod czarną parasolką. Z pewnością nikt, kto widział jej pewny krok, nie odgadłby, jak bardzo jest zdenerwowana i jak wilgotna jest jej dłoń zaciśnięta na rączce parasolki. Część świątecznych pochodów musiała się już zakończyć, gdyż ludzie wylewali się strumieniami na ulicę, machając flagami i głośno się śmiejąc. Sprawiali wrażenie pijanych radością. To był wspaniały dzień.

Zbliżało się południe, gdy weszła do chłodnego wnętrza dworca kolejowego. Ileż to razy tu była, odgrywając w głowie tę scenę. Peron, na którym mieli się spotkać, był pusty, jeśli nie liczyć mężczyzny siedzącego tyłem do Parwati. Opierał czoło na dłoni. Jednak ten gest... Parwati ruszyła w jego stronę, zrazu niepewnie, a potem coraz szybciej. Nagle się zatrzymała.

Uświadomiła sobie, że mężczyzna jest o wiele za młody. Powinna rozglądać się za kimś starszym. Nagle dotarło do niej z absolutną jasnością: nigdy więcej go nie zobaczy. Mimo że ani razu do niej nie napisał, znajdowała dlań wymówki i dopuszczała do siebie możliwości, że jej ukochany zapomni o swoim przyrzeczeniu. Czy była jedną z wielu kobiet porzuconych w tamtych czasach?

Nieopodal stała drewniana ławka. Parwati usiadła na niej z rezygnacją.

Ogłaszano komunikaty o odjazdach pociągów, peronach i godzinach, a ona spoglądała pustym wzrokiem na plamę nieba. Pierzaste chmury pojawiały się na niej i odpływały. Stopniowo Parwati uzmysłowiła sobie, że jest intensywnie obserwowana. Odwróciła się bez obawy. Porcelanowa lalka w drewnianych trepach, doskonała pod każdym względem, stała i przyglądała się jej. Parwati rozpoznała ją w jednej chwili: żona Hattoriego. Zmierzyły się wzrokiem.

Parwati wstała, a kobieta ruszyła w jej stronę drobnymi, delikatnymi kroczkami. Parwati starła pot zbierający się na jej czole. Czowała się masywna i niezgrabna w obliczu urokliwej figuryнки. Pewnie zachodzi w głowę, co opętało jej męża, by

połączyć się z takim stworzeniem. Wtem zaświtała jej straszna myśl. Jeśli ona tu jest, to...

— Proszę usiąść — rzekła dźwięcznym głosem żona Hattoriego. To naturalne, że przemawia w taki sposób.

Parwati osunęła się ciężko na ławkę, a nieznajoma przycupnęła obok niej. Przez chwilę obydwie milczały.

— On zachorował w obozie, do którego go posłano. Pozwolili mu wrócić do domu dopiero na dwa tygodnie przed końcem. Przed śmiercią poprosił mnie o ostatnią przysługę. Stracił pani adres i nie mógł się skontaktować. Poprosił mnie, żebym przyszła na to spotkanie.

Tyś we mnie, a ja w tobie. Czyżby teraz — śmierć w tobie?

Parwati odwróciła głowę i spojrzała na upudrowaną twarz.

— Dlaczego zechciała pani przyjść? — spytała pełnym napięcia głosem.

— Aby przekazać pani to.

Kobieta wyciągnęła ręce z podłużnym pudełkiem. Jego widok sprawił, że serce Parwati zaczęło boleśnie bić. A więc wraca do niej. Podarunek przeszedł z rąk do rąk, lecz dłonie ani przez chwilę się nie zetknęły.

— Kazał pani powiedzieć, że się pani myliła. Nie ukradł tego. Kosztowało go to trzy pensje.

Parwati nie umiała się powstrzymać. W obecności sztywnej, bezwzględnie panującej nad sobą kobiety, zaczęła płakać. Ona zaś nie próbowała jej pocieszać. Siedziała nieruchomo, chłodna i twarda jak kamienny posąg, rywalka mimo upływu tak długiego czasu. Parwati nie mogła mieć jej tego za złe. Dobrze znosiła tę sytuację, choć przebywanie w obecności

„pocieszycielki" męża musiało być dla niej straszliwym poniżeniem. Czemu ta laleczka tu przybyła? Może właśnie po to, by zobaczyć ból, który mogła zadać tej drugiej.

— W pierwszej chwili chciałam to wyrzucić. Znienawidziłam go za to, co zrobił, ale nie mogłam się od tego odwrócić. Im dłużej leżało w szafie, tym bardziej nie dawało mi spokoju. Chciałam zobaczyć tę, która sprawiła, że tak wyglądał. Teraz wiem i mogę wrócić w spokoju.

Z tymi słowy wstała i odeszła, stukając głucho drewnianymi chodakami.

Na zewnątrz panował straszliwy upał. Fale gorąca odbijały się od asfaltu i uderzały Parwati w twarz. Kroczyła ślepo przed siebie, aż jej uwagę zwrócił pijak siedzący na przystanku autobusowym i pijący tanią whisky prosto z butelki. Ludzie stali w pewnej odległości od niego i spoglądali nań z obrzydzeniem, lecz on nie zwracał na nich uwagi. Parwati zastanawiała się, dlaczego ten człowiek musi pić w środku dnia. Może spadł na niego jakiś cios. Tak jak na nią. Patrzyła na zaczerwienioną, błyszczącą twarz pijaka i myślała o Hattorim, o tym wszystkim, czego sobie nie powiedzieli.

Wówczas tak samo jak teraz żałowała, że jest taki skomplikowany, że trwające od pokoleń milczenie odebrało mu możliwość okazywania emocji i słabości. Dopiero gdy nie był w stanie utrzymać ich w ryzach, sięgał po butelkę. Nawet miłość należała do tej kategorii. Musiała prześlizgiwać się przez żelazne wrota jego duszy, kiedy oszołomił się alkoholem.

Spojrzenie pijaka spotkało się ze wzrokiem Parwati. Jego

oczy skrywały ból. Krzyknął do niej niewyraźnie, a ona odwróciła się i przyspieszyła kroku.

Dotarłszy do Bangsaru, weszła do pubu. Panował w nim półmrok. Jedyńm gościem był stary Hindus siedzący w kącie i pogrążony w lekturze gazety. Barman, młody Chińczyk z najeżoną czupryną, spojrzał pytająco na Parwati. Uznał, że weszła, by spytać o drogę. Czego taka kobieta szukałaby w pubie?

Zamówiła whisky.

Kelner obsłużył ją z obojętnym wyrazem twarzy. Spojrzała na skromną porcję, którą odmierzył jej menzurką. Oczami umysłu widziała inną rękę, o bardziej kremowym zabarwieniu, nalewającą alkohol hojnie, bez użycia miarki. Nagle poczuła się stara i zagubiona. Jego nie ma, pomyślała. Ta chwila odeszła na zawsze.

— Trochę więcej, proszę — rzekła cicho.

Chłopak nawet nie mrugnął okiem. Nie sięgając po menzurkę, napenił szklanke. Parwati spojrzała w ocienione sterczącą grzywką czarne oczy nieznajomego, który nie mógł wiedzieć o jej cierpieniu, i uśmiechnęła się z wdzięcznością. Nic ich nie łączyło, lecz tego popołudnia, pod nieobecność właściciela pubu, kelner potwierdził prawdziwość słów wypowiedzianych kiedyś przez Maję: „Wszyscy jesteśmy połączeni. Ilekroć widzisz tragedię innego człowieka, przyjmuj ją tak, jakby spotkała ciebie. Wszyscy jesteśmy komórkami jednego ciała. Wiedz o tym, że ani jedna komórka w twoim ciele nie może umrzeć bez jednoznacznej zgody całego organizmu”.

Tego dnia po południu chiński kelner był częścią zdrowego ciała patrzącą na komórkę, która umiera. Mimo że udzielił pozwolenia, gdzieś w nim odezwało się cierpienie.

•••

Kiedy wróciła, dom stał opustoszały. Weszła do swojego pokoju, zamknęła drzwi i na chwilę oparła o nie czoło. Stała przed lustrem i włożyła naszyjnik. W jednym miejscu był wyszczerbiony z powodu uderzenia o ścianę. Ściskając palcami krawędź szafki tak mocno, że pobielaly jej kostki, Parwati płakała bezgłośnie.

•••

Tysiące kilometrów dalej jej syn obudził się na łóżku w obcym mieszkaniu. Pokój był skąpo umeblowany; wyjątek stanowiło ozdobne weneckie lustro nad kominkiem. Słońce wlewało się przez wysokie okna i padało na drewnianą podłogę. W głowie mu dudniło, lecz tego należało się spodziewać. Niepokojący był ostry ból wyczuwalny gdzieś w środku. Wiedział, że dzieje się z nim coś bardzo niedobrego. Nawet jego skóra poszarzała. Musi przestać pić, bo w przeciwnym razie skończy jak ojciec. Wstał ostrożnie z łóżka, nie chcąc budzić śpiącej obok kobiety, i prędko się ubrał. Zamierzał iść do drzwi, lecz skierował się w stronę złoczonego lustra, jakby ciągnęła go tam jakaś tajemnicza siła. Od lat na siebie nie patrzył — w każdym razie nie robił tego uważnie — i teraz prawie bał się tego, co zobaczy. Spojrzał na upstrzone plamkami szkło



i zamrugał. Ten nalany otyły mężczyzna o desperackim spojrzeniu świadczącym o kłopotach finansowych wynikłych z ryzykownych operacji, ten, który zdefraudował pieniądze firmy, to nie może być on. Krętacz, przestępca.

Z głębi jego gardła wydobył się nieprzyjemny krzyk. Chwycił pogrzebacz wiszący obok kominka i z rozmachem trzasnął nim w tafłę lustra. Kobieta wyrwana tak brutalnie ze snu wyprostowała się nagle i rozejrzała z przerażeniem. Widząc, co zrobił, zeskoczyła z łóżka i rzuciła się na niego z gniewnym wrzaskiem na ustach.

Bez zastanowienia uniósł pogrzebacz i z całej siły rąbnął ją w głowę. Kobieta osunęła się i usiadła, trwała tak przez kilka sekund, po czym upadła na bok. Nie pokazała się ani jedna kropla krwi. Mężczyzna z lekkim zaskoczeniem spoglądał na jej zwinięte nagie ciało. Jak łatwo mu to przyszło. Zrobił to przedtem tylko jeden raz pisklęciu w gnieździe. Zabił je, gdyż wiedział, że jego ojciec patrzy.

Zerknął na swoje odbicie w potrzaskanym lustrze. Morderca. Spokojnie zapiał guzik koszuli i wyszedł. Nie zobaczył nikogo w bramie ani w brukowanych prywatnych alejkach. Szedł długo, aż znalazł się obok kina Odeon i nagle przypomniało mu się kino naprzeciwko rodzinnego sklepiku. Usiadł na schodkach i trzymając się za bolący brzuch, poczuł łzy spływające mu po twarzy. Zabawa dobiegła końca. Pozostała tylko jedna możliwość.

Powrót syna marnotrawnego  
1967

— Wiesz, że on wraca tylko po to, żeby tu umrzeć, prawda? — zapytała cicho Maja.

— Czemu go nie wyleczysz? — odpowiedziała pytaniem Parwati.

— Mogę na jakiś czas powstrzymać chorobę, ale rak to energia. Jest żywy i ma świadomość. Gdybyś miała oczy zdolne go zobaczyć, ujrzałabyś szary obłok, który całkowicie przesłania człowieka, wysysając z niego siły. Przychodzi do ludzi, którzy w pewnym okresie swego życia, na najbardziej podstawowym poziomie, odrzucają życie. I zawsze powraca, jeśli chory nie nauczy się w pełni cieszyć światem, jeśli nie odnajdzie w sobie ducha czystej radości. Muszę dodać, że radość to nie szczęście. Szczęście jest uzależnione od czyn-

ników zewnętrznych. Radość płynie z wnętrza bez żadnego powodu.

Samochód Bali wjechał przez otwartą bramę; Parwati podeszła do drzwi, by powitać syna. Zmienił się nie do poznania; musiano mu pomóc przy wysiadaniu, jakby był starcem. Widząc, że opiera się o bok auta, pobiegła do swojego pokoju i przyniosła starą srebrną laskę męża. Kuberan wziął ją i ze zdziwieniem pokręcił głową.

— Trzymałaś ją przez tyle lat.

Parwati nie zdobyła się na to, by przemówić.

Kuberan wyprostował się, zakaszłał, oparł się ponownie o samochód, a potem znów stanął prosto. Z uśmiechem na ustach podparł się laską.

— Jak świetnie pasuje — rzekł, a Parwati poczuła ból. Wszak to był jej syn, który wpadł w pułapkę tego zniszczonego obcego ciała.

Powoli zbliżył się do żelaznej bramy i lekko uderzył laską w wąskie zdobienia. Ten odgłos wystraszył Parwati. Syn spojrział na nią.

— To przywołuje wspomnienia, prawda?

Parwati skinęła głową. Tyle lat minęło od czasu, gdy Kasu Marimuthu jeździł tutaj swoim wózkiem, stukając laską w metalową kłamrę z tyłu.

Kuberan spędził noc w pokoju obok świetlika, lecz nazajutrz przyjęto go do szpitala.

Przyszła pielęgniarka i przedstawiła się jako Mary.

— Chrześcijanka — zauważył Kuberan.

— Tak — potwierdziła radośnie.

— Nie słyszałaś, że wasz Bóg umarł na krzyżu? Drwina pacjenta na chwilę wprawiła pielęgniarkę w szok.

Wyprostowała się i spojrzała nań zimno.

— Jestem odrodzoną chrześcijanką. Nie modlimy się do postaci na krzyżu. Siostra Madeleine, która dyżuruje nocą, jest katoliczką. Może pan porozmawiać z nią na ten temat, jeśli pan sobie życzy.

— Nie omieszkam — odparł Kuberan. Pielęgniarka odeszła bez uśmiechu.

— Czemu się z nią drażnisz? — spytała Parwati. — Ona jest tu po to, by ci pomóc.

— To dobre dla ich dusz — odparł beztrosko Kuberan. Nie zwracając uwagi na matkę, chmurnie spojrzał przez okno.

W porze lunchu zza zasłony w sali Kuberana wychyliła się głowa Rubini.

— Hej, mogę wejść?

— Czemuż by nie?

— Przyniosłam ci coś — powiedziała Rubini i wydobyła z torebki ołowianego żołnierzyka w karmazynowym mundurze i futrzanej czapie, dzierżącego szablę w dłoni.

— Boże drogi, gdzieś ty go znalazła? — zdumiał się Kuberan, przyjmując starą zabawkę i ważąc ją w dłoni.

— W twoim dawnym pokoju, kiedy się wyprowadzałyśmy.

Wiedziałałam, że to twój ulubiony. Tata przywiózł go z podróży do Stanów. Zeskoczył z wystawy sklepu przy Piątej Alei, nieprawdaż? Pamiętam, jak tata przyglądał się, gdy ustawiałeś średniowiecznych rycerzy do wielkiej bitwy przeciwko olśniewającym huzarom.

Kuberaan postawił żołnierzyka na szafce obok łóżka.

— Ale ciebie kochał bardziej. Zawsze byłem o ciebie zazdrosny. Może nawet cię nienawidziłem.

— Wiem, ale ty przynajmniej miałeś oboje rodziców.

— Nie rozumiesz, tu nie chodzi o biologię. Ubóstwiałem ojca, kochałem go bardziej niż kogokolwiek innego na świecie... —

Kuberaan zawiesił głos. — Z jednym jedynym wyjątkiem. Ją kochałem bardziej niż siebie samego.

Rubini uniosła brwi.

— Któż to taki?

Spojrzał na nią z namysłem, a potem przechylił się i wyjął z szuflady portfel. W kieszonce znajdowało się zdjęcie, które podał przyrodniej siostrze. Ta otworzyła raptownie oczy i spojrzała na niego.

— Gdzie jest... Kuberaan uniosł prawą dłoń.

— Nic nie mów. Nigdy o niej nie rozmawiajmy. Rubini spojrzała ponownie na zdjęcie i musnęła je lekko

wskazującym palcem. Potem oddała fotografię Kuberaanowi, a ten wrzucił ją niedbale do szuflady. Nastąpiła pełna napięcia cisza. Starzec leżący dwa łóżka dalej zakaszłał długo i ciężko, z korytarza dobiegł śmiech bawiących się dzieci. Kuberaan odwrócił głowę, by spojrzeć na zaniedbaną starą wdowę, wyglądającą smutno przez okno.

— Pamiętasz, jak skończyłeś pięć lat, a tata kupił ci na urodziny nowiutkiego jaguara? — zapytała Rubini.

— Tak, pamiętam. Co się z nim stało?

— Japończycy go zarekwirowali.

— Jakżeby inaczej. Nigdy nie zapomnę tego pierwszego dnia, kiedy ci brutalnie wtargnęli z buciorami. Gdyby nie nadszedł ten generał...

— To dziwne, ale ja się wtedy nie bałam. Może byłam zbyt niewinna, żeby pojąć, jak straszne rzeczy chodziły im po głowach, a może to zasługa Mai. Kątem oka zobaczyłam, że się do mnie uśmiecha, i już wiedziałam, że nic złego nie może się zdarzyć.

— A jednak podły był z niego drań, prawda? Zawsze się zastanawiałem, co powiedział matce. Przez chwilę wyglądała tak, jakby dostała pięścią w brzuch.

Rubini wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. — Po chwili dodała z zaciekawieniem: — Naprawdę uważasz, że był aż tak brzydki?

— Oczywiście. A ty nie?

— Ależ skąd. Śnił mi się kiedyś. Wszyscy byliśmy na proszonej herbacie w Adari. Tata stał ze szklanką whisky w dłoni w swoim ulubionym miejscu obok sceny, a generał wziął mnie za rękę i powiedział do taty: „Poznał już pan moją córkę?”. Wtedy się obudziłam.

— Zawsze byłaś dziwna. Jak myślisz, co się z nim stało?

— Nie wiem, ale mam nadzieję, że dobrze mu się wiedzie, gdziekolwiek jest — rzekła cicho Rubini z zadumą w oczach.

— Cóż za przedziwna ironia losu, dostać jaguara na piąte urodziny, a w wieku trzydziestu pięciu lat wylądować w trzeciorzędnym szpitaliku.

Rubini zacisnęła usta.

— Nie powinieneś tak mówić. Twoja matka sprzedała dom, żeby spłacić twoje długi i rachunki za leczenie w Anglii. Naprawdę nic jej nie zostało.

— Ale jednak można to uznać za ironię losu, prawda? Mniejsza z tym, nie mówmy już o mnie. A ty? Jesteś szczęśliwa?

— Tak, owszem, chyba jestem.

— Jak to możliwe? Wyszłaś za człowieka, który czyta Flauberta. Rubini parsknęła śmiechem.

— Przestań, bo będę musiała się za nim wstawić.

— Ponad wszelką wątpliwość nie da się go wybronić. Rubini przestała się śmiać.

— Tylko mi nie mów, że kochasz tego faceta — rzekł Kuberan, ze zdumieniem kręcąc głową.

— Nie wygłupiaj się. Wiesz, w jakich okolicznościach doszło do tego małżeństwa.

— A, tak... — Kuberan westchnął ciężko i przewrócił oczami. — Niech to diabli, ale jestem znudzony.

— Czyżbym siedziała tu za długo? Mam odejść?

— Nie o ciebie chodzi. Zawsze byłaś zbyt skora do czmychania i ukrywania się.

Po wyjściu siostry Kuberan zamknął oczy i przywołał w pamięci chwilę, gdy wchodził do nocnego klubu w Londynie.

Niebieskobiałe reflektory na suficie, odciski palców na lustrzanych ścianach i bar, przy którym siedziała blondynka w srebrzystej sukni... I to, co lubił najbardziej, czyli gołe nogi.

Spójrzcie, jak zmierza do niej kołyszącym krokiem.

Cóż za styl i klasa. A ona udaje, że nie zwraca na niego uwagi. Szczerze powiedziawszy, była bez szans.

— Ach, co za nogi — mówi podstępnie.

Ona śmieje się (głupiutkie zachowanie) i zerka nań z ukosa.

— Idę o zakład, że chciałbyś wiedzieć, gdzie się kończą, no nie?

— pyta dziewczyna. Jej akcent jest kiepski (on zdaje sobie z tego sprawę), trochę ciężki i chropawy, ale on nigdy nie miał zamiłowania do akcentów. Co jednak nie było regułą.

— Powiedzmy.

— No to postaw drinka.

— Co jest w szklance?

— Wódka z sokiem pomarańczowym. Podwójna.

— O rany, skarbie!

Kuberan unosi rękę i woła barmana, a w jego głowie dźwięczy ten przesławny wers: *Wina, kobiet i prochu mi dajcie, aż zawołam: „Dość już, przestańcie!”*. Jasne, dla ciebie w Dzień Zmartwychwstania; dla mnie nawet wówczas nie, kolego, myśli. A później w jego ciemnozielonym kabriolecie...

Z góry dobiegło irytujące brzęczenie w najmniej odpowiedniej chwili... Przecież wcale nie krzyknął: „Dość już, przestańcie!”. Niechętnie otworzył oczy. Obok łóżka stała rosła pielęgniarzka z przezroczystym plastikowym kubkiem, w którym było lekarstwo. Spojrzała beznamiętnie na pacjenta. Ta świętoszkowatość rozłościła Kubera. Chciał kogoś zaszokować, wręcz wzbudzić odrazę.

— Wiesz, siostró, naprawdę tęsknię za tymi białymi dziwkami — rzekł konwersacyjnym tonem. — Zwłaszcza za tymi, które gryzły poduszki, kiedy je rżnąłem.



Siostra Madeleine nie zmieniła wyrazu twarzy; Kuberan westchnął i desperackim gestem wyciągnął rękę. Pielęgniarka wysypała małe tabletki na jego dłoń, a potem z niesmakiem patrzyła, jak je połyka.

• • •

Maja rozmawiała w kuchni z kobietą, której lekarze oznajmili, że konieczne będzie usunięcie śledziony.

— Śledziona rozprowadza po całym organizmie *pranę*, siłę życia. Jeśli pozwolisz im sobie ją odebrać, twoja odporność ucierpi i staniesz się podatna na wiele chorób. Mam o wiele lepszy plan dla twojej śledziony...

## Lęk

Kuberan wyszedł ze szpitala po trzech tygodniach; wyglądał znacznie lepiej. Mai akurat tego dnia nie było, więc Parwati naszykowała śniadanie i czekała, aż syn się zbudzi. Jednakże przed południem w jego pokoju wciąż panowała cisza, nie było słychać żadnego ruchu. Początkowo Parwati kręciła się niepewnie w korytarzu. W końcu, nie mogąc dłużej wytrzymać, zajrzała do pogrążonego w mroku pokoju przez nie do końca zaciągniętą zasłonę na okienku drzwi. Dostrzegła dolną partię nóg. Nie spuszczać z nich oka, zawołała syna. Nogi ani drgnęły. Zapukała i poruszyła klamką, lecz drzwi były zaryglowane od środka. Potrząsnęła klamką, uderzyła mocno w drzwi i głośno krzyknęła, lecz nogi nadal tkwiły nieruchomo. Pędząc ze strachem do telefonu, omal nie potknęła się o brzeg dywanu. Ręce drżały jej tak mocno, że ledwo zdołała wybrać numer telefonu córki.

Odebrał Bala.

— Nic się nie stało, jestem tego pewien — rzekł rozsądnie zięć.

— Ale zaraz tam będę.

Parwati wróciła do drzwi pokoju syna; słyszała wyraźnie, że jej głos jest słaby i zdradza przerażenie. Krążyła niespokojnie po korytarzu. Gdyby tylko Maja tu była, myślała.

— Boże, Boże — mówiła do siebie pod nosem.

Strach ścisnął jej pierś, a ona wyszła do bramy, żeby wyglądać na Bałę. Ujrawszy go biegnącego ulicą, nieomal krzyknęła z radości.

— Prędko, prędko! Wydaje mi się, że leży bez przytomności.

Bala wołał i wrzeszczał przed pokojem Kuberana, lecz w środku wciąż panował półmrok i bezruch.

— Odsuń się — rzekł do Parwati, przystawiając ramię do drzwi. Były tanie, więc pękły po pierwszym natarciu, a Bala z rozpędu wpadł do pokoju i wylądował plecami na łóżku. Odwrócił głowę i ku swojemu zdumieniu zobaczył, że ciało Kuberana podryguje niemrawo. Kuberan trząsnął się ze śmiechu tak niemiłosiernie, że aż zgiał się wpół. Udawał umarłego! Bala podniósł się z łóżka i z niedowierzaniem spoglądał na szwagra.

Gdy Kuberan zdołał opanować napad wesołości, Bala powiedział cicho:

— Twój idol Nietzsche zauważył, że kiedy człowiek ryczy ze śmiechu, swoją wulgarnością prześciga wszystkie bydłeta.

Wtedy byłem innego zdania, bo wydawało mi się jasne, że jest akurat odwrotnie. Śmiejąc się, człowiek wznosi się ponad

inne zwierzęta dzięki swej ludzkiej naturze. Teraz, patrząc na ciebie, rozumiem, co chciał powiedzieć.

— Och, na litość — rzekł Kuberan, ocierając oczy i zsuwając nogi z łóżka. — Czy ten koń nie jest dla ciebie za wysoki? Chciałem się tylko przekonać, jak zareagujecie na moją śmierć. Nie trawi was taka ciekawość? — spytał, trzymając się rękami brzegu materaca.

Kompletnie go ignorując, Bala podszedł do Parwati, która nie poruszyła się ani nie odezwała. Uśmiechnął się do niej łagodnie. — Bezsilni i nieszczęśliwi sięgają po ostatnią władzę, która jest im dana, moc sprawiania bólu. To będzie go bawiło. Nie powiem o tym Rubini. Wieczorem przyjdziemy cię odwiedzić. Wszystko w porządku? — Parwati skinęła głową, a zięć pocałował ją w czoło i wyszedł.

Parwati wciąż patrzyła na syna.

— Zrobiłbyś tego psikusa, gdyby Maja tu była?

— Nie — przyznał Kuberan.

— Dlaczego?

— Bo wiem, co zrobi po mojej śmierci.

Parwati nie spuszczała go z oka, a on spojrzał na nią już bez uśmiechu.

— Zrobi to, co uczyniła dla taty. Usiądzie na podłodze i będzie patrzeć w dal, aż wkroczy do świata umarłych, i pokieruje mnie słowami: „Boisz się i dręczy cię lęk, ale nie ma się czego obawiać. Idź w stronę światła. Światło będzie twoim domem. Będzie tobą. Stań się światłem”.

Kuberan opadł na łóżko i wlepił spojrzenie w sufit, a Parwati

uświadomiła sobie, że wrócił do domu nie po to, żeby spędzić ostatnie dni z nią, lecz z Mają. Mina prześmiewcy była jedynie maską, pod którą ukrywał się wylękniony chłopiec.

Tak jak robiła to wiele razy, gdy był dzieckiem, podeszła do jego łóżka. Odwrócił do niej głowę i spojrzał błagalnie.

O co prosił, tego nie wiedziała, lecz uklękła przy łóżku i czule dotknęła bezwładnej ręki. Nagłym szarpnięciem wyrażającym czystą rozpacz rzucił się na jej kojącą dłoń i rozszlochał się niczym zagubione dziecko.

— Słyszałem kiedyś, jak Kamala mówi, że źli ludzie tuż przed śmiercią widzą czarne koty. Ja tylko w tym tygodniu zobaczyłem aż trzy.

— To niedorzeczne. W tej okolicy pełno jest bezpańskich kotów, a większość z nich jest czarnych. Od przedwczoraj widziałam, zdaje się, pięć. Kamala mówiła różne dziwne rzeczy. Kiedy przybyłam do tego kraju, próbowała mi wmówić, że truskawki rosną na drzewach.

Cień uśmiechu pojawił się na ustach Kuberana.

— Naprawdę? Brawo dla niej.

• • •

Tej nocy Kuberan leżał na łóżku przy zgaszonej lampie i patrzył na światło pod drzwiami pokoju matki. Nawet kiedy światło zgasło, leżał cicho i czekał jeszcze przez dziesięć minut. Wtedy wstał ostrożnie, żeby łóżko nie skrzypiało, i na paluszkach przemknął się do kuchni, w której Maja siedziała samotnie na podłodze, rozlewając lekarstwo do buteleczek. Spojrzała na niego i w milczeniu skinęła mu głową.

Kuberaan przyciągnął sobie krzesło i usiadł na nim. Nie czuł się jednak dobrze, siedząc wyżej, usiadł więc na podłodze, opierając się plecami o lodówkę. Wyciągnął przed siebie chude nogi, a potem z szacunkiem przesunął je w bok, tak aby nie były skierowane na Maję.

— Jak się dzisiaj czujesz? — spytała, odrywając na chwilę wzrok od butelek.

— Całkiem dobrze.

— Miło mi to słyszeć.

— Maju?

— Tak?

— Dlaczego ja?

— Siebie o to zapytaj. Sam tworzysz wszystko, co zdarza się w twoim życiu.

— Nieprawda. Nigdy się o to nie prosiłem.

— Prawo wszechświata mówi, że rzecz można poznać tylko wówczas, gdy spojrzy ona na swoje własne odbicie. Tak więc bez przerwy tworzymy dla siebie odbicia. Ludzie wokół nas i nasze choroby właśnie w ten sposób nam służą. Nasza ograniczona zdolność postrzegania sprawia, że choroby i dolegliwości uważamy za coś złego, lecz w istocie stanowią one jedynie odbicia naszego widzenia siebie. Jeśli ktoś odczuwał brak wsparcia, będzie miał łamliwe kości; kto nie czuł się kochany, zachoruje na serce; niski szacunek do samego siebie objawi się w postaci nieprzyjemnych chorób skóry. Choroba to świadomość samego siebie i czas wielkiego wzrostu duchowego. Zastanów się, synku, co cię gryzie?

— Nic — odparł szybko Kuberan. — Ani trochę nie żałuję niczego, co zrobiłem, ale skoro już o tym mówimy, ciekaw jestem, jaka twoim zdaniem czeka mnie kara.

Maja umieściła nakrętkę na butelce i mocno ją zakręciła.

— Nie czeka cię żadna kara. Nikt cię tu nie zesłał, na tę planetę zagubioną w przestrzeni. Wszyscy jesteśmy iskrami światła, które postanowiły się skondensować nie tylko po to, by doświadczać, lecz także po to, by przejść w trzeci wymiar. Żeby pojąć, że człowiek jest nie tylko myślami, emocjami i ciałem, ale też czystą świadomością, wszytkowiedzącą, nieśmiertelną i nieograniczoną. Dopiero wówczas czujemy, że koło odrodzeń się zatrzymuje. A ponieważ jesteś architektem swoich przebudzeń, z własnego wyboru będziesz powracał raz po raz do tej samej sytuacji, aż wreszcie wkroczysz na właściwą drogę.

Kuberan raptownie uniósł brwi.

— Otóż to! Wracam do z grubsza takiego życia jak obecne, a jeśli nie zdołam się poprawić, po prostu dostaję kolejne szanse.

— Czy sprawia ci przyjemność myśl o powracaniu w roli ulubionego syna bogacza? Pamiętaj, że sytuacja może być ta sama, lecz okoliczności zupełnie inne. Jeśli na przykład twoja dusza wyciągnęłaby z tego życia naukę, by opierać się pokusie łatwego zdobywania pieniędzy, mógłbyś powrócić i powierzono by ci wielkie bogactwo, lecz jeśli je ukradniesz, tym razem możesz zostać schwytany i straszliwie cierpieć w więzieniu. Za każdym razem konsekwencje odrzucenia nauk stają się gorsze.

Kubera n patrzył w zadumie na zlewozmywak.

— Może byłoby ci łatwiej, gdybyś pobyt na Ziemi traktował jako święty i uczący pokory akt miłości. Akt przyjmowania ograniczeń fizycznej postaci, którego celem jest przekształcanie negatywnych uwarunkowań człowieka, niespełnienia, bólu, gniewu, chciwości, nienawiści i zagubienia, w miłość. Jesteśmy tu po to, by wypełnić pewne misje, największą zaś i najważniejszą z nich jest kochać samych siebie. Nie w sposób narcystyczny, lecz ze współczuciem i bezwarunkowo.

— Czy to możliwe, by moja dusza była tak mocno pokryta brudem i grzechem, że nie da jej się ocalić? — spytał ze smutkiem Kubera n. Już od dawna nie śnił o szeroko otwartych brązowych oczach. Zabił i uszło mu to na sucho.

— Nie obarczaj się zbyt wielkim poczuciem winy. Myśl, że coś uchodzi nam płazem, to iluzja. Prawo jest sprawiedliwe. Każdy czyn niesie swoje konsekwencje. Jeśli nie w tym życiu, to w następnym musimy zapłacić za nasze grzechy. Wszyscy nosimy w sobie cień. Zdaje mi się, że nawet Jezus musiał spędzić samotnie czterdzieści dni na pustyni, twarzą w twarz ze swoimi demonami, nieprawdaż? — Maja spojrzała na Kubera na, a ten przytaknął jej skinieniem głowy. — Bez wątpienia przekroczyłeś dozwolone granice, lecz tłumaczenia i wymówki są niepotrzebne, a pokuta ma znaczenie zasadnicze.

— W jaki sposób się pokutuje?

— Jest tysiąc sposobów ucałowania ziemi. Istnieje nawet szczególna brama do nieba, ukryta w podeszwach stóp matki. Napraw krzywdy, które tutaj wyrządziłeś.



— O nie — jęknął Kuberan, ponownie opierając głowę o drzwi lodówki. — Tylko nie to.

— Na tej ziemi matczyzna miłość najbardziej zbliża się do boskości. Opowiem ci o naturze tego uczucia. Żyła kiedyś w Indiach matka, która darzyła wielką miłością syna, mimo że był on znieprawionym przestępcą. Pewnego dnia dla zakładu o niewielką ilość złota zabił matkę i wyciął jej serce. Przenosząc je przez próg, potknął się i omal nie upadł. Na szczęście zdołał się złapać futryny. Jednak ślepe serce, które trzymał w ręku, poczuło tylko szarpnięcie, zawołało więc: „Synku, czyś się nie zranił?”. Kuberan skwitował opowiastkę cynicznym uśmiechem.

— Jest inna historia o wzorze matczynej dobroci. Owa kobieta tak kochała swego syna, że nie karciała go, nawet wiedząc, że zszedł na złą drogę. Gdy go schwytano i skazano na śmierć, jego ostatnim życzeniem było widzenie z matką. Ta przyszła, a on poprosił, żeby się zbliżyła, bo chce szepnąć jej coś do ucha. Szlochająca matka spełniła jego życzenie, a on odgryzł jej ucho i powiedział: „Gdybyś kochała mnie bardziej i karciała, nie stałbym teraz pod szubienicą”.

Maja się roześmiała.

— Synku, twoje słowa zawsze miały skrzydła, a gdy ich nie miały, potrafiły przywrócić życie solonej rybie. Gdy byłeś młodszy, mogłam mówić, że jesteś niedojrzały, ale teraz jesteś po prostu głupi. Bóg zawsze umieszcza przynajmniej jedną mądrą duszę w pobliżu młodszej. Jest ona dla tej drugiej drogą ku lepszemu życiu. Tylko głupiec odrzuca w całości jej wskazówki. To prawda, że matka mogła być dla ciebie

bardziej surowa, ale zawsze pokazywała ci różnicę między dobrem a złem.

— Cóż mogę powiedzieć? Kochała mnie tak bardzo, że stała się jednym z wielu nieznośnych życiowych utrapień.

— Miłość zmiękcza serce matki, a serce syna jest twarde jak gład. Uważasz, że emocje zwykłych ludzi są małostkowe i niegodne ciebie. Z mojego miejsca trudno odróżnić cię od tych, których chcesz trzymać na dystans. Nawet teraz, gdy prawie nadszedł czas, by wrócić i zdać rachunek, ty tak samo jak większość ludzi wolisz odkładać do następnego razu coś tak prostego jak próba pokory.

Przez chwilę panowała cisza, a potem Kuberan bez cienia ironii w głosie zapytał:

— Jaki jest Bóg?

— Czy kochałeś kogoś kiedyś naprawdę, tak naprawdę mocno? Czy czułeś, że kochasz tę osobę bardziej niż siebie samego?

Kuberan pomyślał o sercu pełnym niewinnej miłości i w jego oczach pojawił się błysk bólu.

— Tak, kochałem — szepnął.

— A zatem poznałeś już Boga. On nie jest zewnętrzną siłą, lecz sojusznikiem, którego stanowisz część. Ilekroć twoje czyny biorą się z miłości, nie upodabniasz się do Boga, ale się nim stajesz. Przestań się lękać. Nawet jeśli stół nie chce wiedzieć, że jego twórcą jest stolarz, stolarz zawsze będzie uważał stół za swoje wspaniałe dzieło. Wracasz do domu, a tam zobaczysz, jak wspaniały, potężny i wieczny naprawdę jesteś i jak musiałeś się pomniejszyć, by dopasować się do

ludzkiego ciała. Wytrwaj w świadomości, że pochodzisz od dobra, mocy i nieskończonego piękna, a wrócisz do niego. To jest pewne jak to, że tutaj siedzę.

Maja dalej wlewała lekarstwo do butelek; po pewnym czasie Kuberan wstał. W drzwiach zatrzymał się i odwrócił.

— Kiedy umrę, zapalisz dla mnie pomarańczową lampę i się pomodlisz?

— Synku, nie będzie dla ciebie pomarańczowego światła, ale pamiętaj, że nie ja decyduję, dokąd pójdziesz. Trafiamy do miejsc pasujących do naszych ziemskich wibracji w chwili odejścia. Jeśli odejdziesz w mroku i zagubieniu, w mroku i zagubieniu pozostaniesz.

Kuberan nie wiedział dlaczego, lecz nagle jego oczy napęłniły się łzami. Umarł dawno temu, teraz już to wiedział.

• • •

Umieszczono go na ostatnim łóżku na oddziale. Parwati zastała go ściskającego laskę ojca tak mocno, że pobieleły mu kostki.

— Maja nie przyszła? — spytał głosem pełnym napięcia, oddychając płytko.

Parwati położyła ręce na jego zimnych, białych jak wosk dłoniach i zaczęła się modlić.

— Boże, przyjmij do siebie swoje dziecko. Dziękuję za czas, który z nim spędziłam. Był dobrym synem, a ja darzyłam go miłością. Otocz go opieką, dopóki znów się nie spotkamy. Boi się ciemności. Zapal światło, jeśli jest ciemno tam, dokąd go zabierasz. Niech stanie się światłem. Niech się z nim

zjednoczy. — Gdy Parwati tak się modliła, twarz Kuberana rozłuźniła się i zajaśniała łagodnym blaskiem.

Od dyżurki pielęgniarek dobiegł wybuch śmiechu; któraś podzieliła się z koleżankami jakimś żartem. Parwati przypomniała sobie muczenie krów towarzyszące narodzinom Kuberana; teraz, gdy umierał, słychać było śmiech. Nagle uśmiechnęła się, przypomniawszy sobie słowa Mai, która powiedziała, że zmysł słuchu opuszcza człowieka na końcu, a pod nieobecność innych wyostrza się tak bardzo, że słyszalne stają się bardzo odległe dźwięki. Kuberan także się uśmiechnął, słysząc żart pielęgniarek. Potem uśmiech powoli zanikał na jego ustach, a powieki opadły do połowy. Spokój. Parwati nie sprawdzała, czy jej syn wciąż oddycha. Nie wzywała pielęgniarek. Któraś w końcu się pojawi.

Siedziała na krześle obok łóżka i patrzyła na pogrążonego we śnie Kuberana. Jeśli Bóg zsyła dzieci, a później je odbiera, gdy zechce, czemu z tego powodu ronisz łzy? Czy kiedykolwiek do niej należał? Czy to wyniszczone chorobą ciało kiedykolwiek było jej synem?

Niebawem pojawiła się pielęgniarzka.

— Witaj, ciociu. Czy Kuberan śpi? — zapytała pogodnie.

— Tak — odparła Parwati.

Pielęgniarzka popatrzyła na nieruchomego pacjenta, a potem zerknęła szybko na siedzącą bardzo spokojnie kobietę. Parwati odpowiedziała jej pustym spojrzeniem. Siostra zaciągnęła zasłony wokół łóżka; kółka zachrobotwały o metal. Z zawodową wprawą ujęła w palce nadgarstek pacjenta.

— Bardzo mi przykro, ciociu, ale twój syn odszedł.

Parwati skinęła głową, a pielęgniarka naciągnęła prześcieradło na znieruchomiałą głowę Kuberana. Stało się.

Przed drzwiami szpitala Parwati się zatrzymała. Słońce miało barwę *ghee*. Nad jej głową przeleciało wielkie stado gołębi.

Spojrzała na ich trzepoczące skrzydła — szare, czarne, brązowe i białe — i pomyślała, że wyglądają odświętnie. Zrobiła krok na jezdnię, jakiś samochód zahamował z piskiem. Serce podskoczyło jej w piersi. Odwróciła się i zobaczyła zaczerwienionego na twarzy Chińczyka.

— *Loo mau mati kah!* — krzyknął niegrzecznie. W malajskim, jaki słyszało się na targowisku, oznaczało to: „Chcesz zginać?”.

•••

Przybywszy do domu, wśliznęła się do przyciemnionego pokoju syna, unikając spotkania z Mają, która urzędowała w swojej popołudniowej klinice. Usiadła na łóżku i przejrzała jego rzeczy. Tak niewiele zgromadził w swoim życiu. Ani jednej książki, kilka sztuk odzieży, plastikowa zapalniczka, grzebień, przybory do golenia, parę drobiazgów i portfel. Parwati popatrzyła na stary pugilares, spłaszczony od przyciskania do ciała. Przywołał w jej pamięci całą postać syna. Ostrożnie wyciągnęła rękę, dotknęła go, a następnie pogładziła. Ujęła portfel w dłoń i przyłożyła do gołej skóry na mostku. A potem go otworzyła.

Było w nim zdjęcie: Kuberan z już zaokrąglonym podbródkiem, lecz wciąż oszałamiająco przystojny, niesie na rękach ciemnowłosą, cztero- lub pięcioletnią dziewczynkę.

Jej wygląd w niczym go nie przypominał; była biała i wyglądała na małą reżolutną cudzoziemkę, lecz Parwati wiedziała bez najmniejszych wąpliwości, że to jej wnuczka. Odwróciła zdjęcie, lecz z tyłu nic nie było. Nie znalazła też żadnych wskazówek wśród pozostałych rzeczy Kuberana.

Mimo to fakt, że jej syn zostawił dowody swojego sekretnego życia, które mógł tak łatwo zniszczyć, głęboko ją poruszył (ona już pogrzebała w ziemi wszelkie materialne ślady związane z jej potajemną przeszłością). Poruszył ją tak bardzo, że nie poczuła się zraniona tym, iż świadomie pozbawił ją radosnej wiedzy o istnieniu wnuczki. Musiał wiedzieć, jak rozgrzeje się jej serce, gdy dowie się o jego dziecku. Szansa, że kiedykolwiek pozna dziewczynkę, była nikła, lecz gdzieś na świecie przetrwała linia jej krwi. Z tego powodu przebaczyła synowi jego ostatnią zdradę. Jej zięć powiedział:

— *Mami*, twój syn nie żyje, ale nie obawiaj się, że nie będzie komu podpalić twojego stosu pogrzebowego. Ja osobiście powierzę cię twojemu Bogu.

Córka podeszła i dotknęła lekko ramienia Parwati.

— Rubini, ja też kiedyś nie mogłam wydać na świat dzieci. Dopiero Maja napełniła moje ciało ziołowymi lekami i uczyniła je płodnym. Może ty też chcesz skorzystać z jej pomocy?

Śliczne policzki Rubini zarumieniły się głęboko.

— Nie, wszystko samo świetnie się ułoży — odparła, szybko odwracając głowę.

13 maja 1969

Bala wpadł do domu Parwati z wypchanym plecakiem na grzbiecie.

— Rozpoczęły się zamieszki — wy dyszał, zrzucając plecak na podłogę. — Malajczycy wycinają w pień Chińczyków na ulicach Kampung Baru. Wielu zginęło, a zginie jeszcze więcej. Palą się sklepy i domy, oddziały szturmowe i wojsko... — Nagle Bala zamilkł. — A gdzie Maja?

Parwati była tak wzburzona, że przez kilka sekund nie mogła zdobyć się na odpowiedź.

— Za domem — rzekła, biorąc się w garść.

— Bogu dzięki. Bałem się, że wyszła na poszukiwanie pędów lub korzeni. Rubini jest bezpieczna w domu, a ja wpadłem tylko, żeby to przynieść. — Ruchem głowy wskazał plecak. — Prowiant. Kto wie, jak długo potrwa ta zawierucha.

— Wszystko zaczęło się tak nagle. Jak to możliwe? — spytała Parwati.

— Nikt nie wie na pewno, ale sytuacja musi mieć związek z ostatnimi wyborami. Jutro spróbuję dowiedzieć się czegoś więcej. Tymczasem siedźcie w domu i nikomu nie otwierajcie. O dwudziestej tego samego dnia w całym stanie Selangor została ogłoszona godzina policyjna, lecz Bala, ubrany na czarno od stóp do głów, łamał ją co wieczór. Przemykał się, wykorzystując jako kryjówki stojące samochody oraz krzaki, by przekazać Parwati i Mai wieści o wydarzeniach, które docierały do niego pocztą pantoflową. Krążyły straszne pogłoski o strzelaniu do tłumów zwykłych obywateli z karabinów maszynowych, o zwłokach unoszonych przez rzeki, o zabijaniu dzieci, o niedoborach krwi w szpitalach i kostnicach przepełnionych tak, że dowożone ciała musiano wieszać w foliowych workach na hakach u sufitu. Piętnastego maja król ogłosił stan wyjątkowy, zawieszono działalność parlamentu i wyprowadzono z koszar siły wojskowe. Parwati i Maja siedziały przy radiu, z trwogą słuchając wystąpienia premiera, który winą za zamieszki obarczył komunistycznych terrorystów. Dwie doby później noc wciąż rozświetlały ognie płonących domostw i pojazdów. Bala przyszedł, by powiedzieć, że rozruchy nie miały nic wspólnego z działalnością komunistów, lecz z wynikami wyborów. Rządząca partia malajska straciła zbyt wiele na rzecz opozycji i w taki sposób próbowała walczyć o odzyskanie wpływów.

— W całej Malezji malajska młodzież nosi białe opaski, mające świadczyć o ich służbie śmierci. Chodzą z zaostrzonymi bambusowymi włóczniami, by zademonstrować chęć



zglądzenia Chińczyków oraz każdego, kto spróbuje odebrać im władzę polityczną.

— Nie — rzekła Maja. — W tym jest coś dziwnego. Łagodni mieszkańcy Malezji są przedstawiani jako rozwydrzony motłoch, ale prawdziwy prawomyślny Malaj czuje odrazę do wszelkiego chuligaństwa. Czasem z namiętności wpadnie w amok, lecz te zorganizowane bandy zbirów z opaskami na ramionach, działające jednocześnie w różnych częściach kraju, bardziej mi pasują do intrygi politycznej. To robota niewidzialnych rąk. Naród jest wykorzystywany przez partię rządzącą, która dąży do odbudowania swojej pozycji, a zarazem odsunięcia od władzy premiera Tunku. — Maja zamilkła na chwilę. — Ten, kto na koniec znajdzie się u steru władzy, ponosi odpowiedzialność za masakrę.

Gdy w ciągu dnia odwołano na dwie godziny zakaz opuszczania domów, by ludzie mogli zająć się swoimi sprawami, Bala przynosił prowiant oraz nowe opowieści. Na przykład tę o kurczaku, który wymknął się z koszyka na głównym targu i wywołał panikę wśród tłumu, oraz o tym, że przywódcy polityczni wciąż obarczali winą komunistów, mimo iż prawie wszystkie ofiary były narodowości chińskiej.

Później Bala oznajmił, że Maja miała rację: to był zamach stanu. Zastępca premiera Razak wykorzystał stan wyjątkowy, by przejąć rządy i formalnie uprawomocnić władzę Malajczyków.

— Wygląda na to, że już po nas. Teraz mogą wykorzystać większość dwóch trzecich do wprowadzenia poprawki kon

stytucyjnej zezwalającej na dyskryminację wobec członków mniejszości i umacnianie władzy narodowej — mówił Bala. Maja tylko się uśmiechnęła.

— Nie ma nic złego we władzy Malajczyków. Wszak oni byli tutaj przed Chińczykami i Hindusami.

— Jeśli chodzi o ścisłość, to pierwsi byli aborygeni — zauważył posepnie Bala.

— Synku, gdzie na świecie rdzenni mieszkańcy danych terenów, ubrani w sarongi z kory, zostają panami swojej ziemi? Są silnie z nią związani, ale w najmniejszym stopniu nie pragną nią władać. Ciesz się, że to Malajczycy są rasą panującą w tym kraju, a nie Chińczycy. To kwestia tolerancji. Malajczycy patrzą na brązową skórę bez pogardy; nazywają ją *hitam manis*, słodka czerń. To nieomal czułe określenie. Chińczycy, którzy czczą biel, na widok brązowej skóry mówią *hak sek*. Widzą w niej brud, czerń i brzydotę.

Kiedy Bala zjawił się nazajutrz, z jego twarzy biło wzburzenie. Usłyszał pogłoskę, że przekupiono jakichś Hindusów, by dokonali haniebnego czynu i wrzucili odchody do meczetu.

— Jak oni mogli być tak głupi, by wykonać brudną robotę za Chińczyków? Bez wątpienia uczynili to za odrobinę taniego alkoholu! — grzmiał Bala. — Czy nie ma w nich ani krzty dumy?! Nie widzą, że okryli hańbą nie tylko siebie, ale i całą społeczność?! To nie jest nasza walka, ale teraz wszyscy Hindusi w tym kraju będą cierpieć z powodu tego szkaradzieństwa! Durnie! Cholerni idioci!

— Tak, dzisiaj jest czarny dzień dla wszystkich Hindusów — potwierdziła Maja. — Od dziś bardziej niż kiedykol-

wiek przedtem będzie się uważało Hindusa za istotę godną pogardy. Nie miał władzy politycznej ani bogactwa, a teraz zabraknie mu nawet dumy. Pamiętajcie jednak, że spadł tak nisko, ponieważ powtarzano mu po stokroć, iż jest nic niewart, aż zaczął w to wierzyć. Właśnie z tego powodu pozostanie golibrodą, podczas gdy Chińczyk otwiera zakład i zarabia dziesięć razy tyle. A jeśli nie bierze do rąk nożyczek, zadowoli się nędzną robotą przy zamiataniu ulic, sprzątaniu toalet czy cięciu trawy. Miną dziesiątki lat, zanim to się zmieni. Nawet przywódca wybrany po to, by reprezentować Hindusów i stać na straży ich praw, ciemieży i okrada najuboższych z nich. Na plantacjach kuczuku żyją całe kolonie pogardzanych i spychanych na margines Hindusów; gnieźdzą się tam jak szczury, pozbawieni podstawowych praw. Przyjście na świat w tym kraju w hinduskiej rodzinie będzie się równało życiu w hańbie i nienawiści do samego siebie. Taki los czeka Hindusa. Wszyscy będą nim gardzić, będą w nim widzieć brudnego, ciemnego nieuka i żebraka. On zaś uwierzy w tę hańbę i będzie uważał inne rasy za wyższe, zawsze będzie wolał służyć im niż swoim. Wiem, że wrzucenie nieczystości do miejsca kultu jest złe i niewybaczalne. Masz słuszość, stojąc tu w gniewie i oburzeniu z powodu hańby, którą ściągnął na siebie czyn tego człowieka. Ale nadejdzie taki dzień, gdy ten sam Hindus pojmie, że kolor jego skóry nie może go poniżyć, a ci, którzy wpajali mu to za pomocą słowa, czynu i postępowania, błędzili. Tego samego dnia nauczy się temperować swoją namiętą naturę (gdyż Hindus ssie korzenie prosto z mleka matki) i wykorzysta ją w mądry i przebiegły

sposób, by znów wznieść się na wyżyny. W głębi serca Hindus jest bowiem wojownikiem.

Ale Parwati spoglądała w dół, czy nikt nie podejrzewał, że nie jest przekonana. Naturalnie uwierzyła Ponambalam *mama*, gdy ten powiedział jej, że Hindusi zasługiwali niegdyś na podziw, lecz nie widziała możliwości, czyjej naród podźwig-nął się z obecnego upadku.

## Blask

Parwati tłukła składniki w moźdierzcu, starannie owijała je w liście betelu, wkładała je Mai do ust i patrzyła, jak ta powoli je przeżuwa.

— Kiedy moja dusza wezwie mnie do powrotu, nie wolno ci płakać — rzekła nagle Maja.

— Zrobię, co w mojej mocy — odparła Parwati, czule głaszcząc stalowoszarą głowę spoczywającą na jej kolanach.

— Musisz obiecać, że nie będziesz. — Oczy Mai wyglądały jak sadzawki pełne najczystszej wody.

— Dobrze, obiecuję.

Zapadł mrok, światło telewizora stało się niebieskie.

— Wyjdę i zapalę lampę na ołtarzu — powiedziała Parwati, podkładając poduszkę pod stopy Mai i okrywając ją kocem. Z zapaloną lampą poszła do kuchni, by usmażyć jajecznicę.

Dopiero gdy masło puściło bąbelki, wlała ubite jajko.

Podgrzała na patelni trochę mleka. Za oknem zaczął padać

deszcz. Parwati pomyślała o palmach kokosowych nad morzem, targanych porywami wichru. Wszystko zawsze działo się w czasie pory deszczowej. W telewizorze, który stał w dużym pokoju, rozpoczęły się wiadomości. Ostrożnie nalała mleka do kubka i postawiła go na tacy obok jajecznicy.

Zawsze miała dobry słuch, lecz tego dnia odgłos upadającej mosiężnej lampy zabrzmiał jej w uszach jak uderzenie gromu. Popędziła do sypialni i zobaczyła, że Maja leży wyprostowana na podłodze przodem do ołtarza z rękami wyciągniętymi nad głową. Można by pomyśleć, że się modli, gdyby nie olej z przewróconej lampy, błyskawicznie wsiąkający w jej ubranie. Parwati uklękła i podniosła ciężką rękę. Policzek Mai dotknął podłogi. Delikatnie podtrzymując jedną ręką znieruchomiłą twarz, posadziła Maję. Jednak gdy podjęła próbę ruszenia nogi Mai, okazało się, że nie jest w stanie jej dźwignąć. Przyniosła papierową ściereczkę i zdołała zebrać większość oleju. Z cichym westchnieniem wyszła do dużego pokoju. Żelazna brama była już zamknięta, zasunęła więc drewniane drzwi i zaryglowała je. Zgasiwszy światła, wyjęła z szafy koce i rozłożyła je obok Mai, szykując dla siebie posłanie. Dotknęła palców zmarłej, poplamionych atramentem z liści *indica*, i pokręciła głową.

— Odeszłaś tak prędko — wyszeptała, po raz ostatni przytulając się do swojej najważniejszej sojuszniczki. — Widzisz, nie zapłakałam. Teraz trochę się prześpię. Rano Bała zajmie się wszystkim, jest w tym dobry.

Po pogrzebie Bala podszedł do Parwati.

— *Mami*, nie możesz tu sama mieszkać. Tu nie jest bezpiecznie, Rubini się niepokoi. Wiesz, jak ona o tobie myśli. Omówiliśmy to i chcemy, żebyś po upływie trzydziestu jeden dni modłów przeprowadziła się do nas. W końcu cztery pokoje stoją puste. — Bala się uśmiechnął. — Poza tym miło nam będzie mieszkać razem z tobą.

Parwati spojrzała w jego dobre oczy. Jej zięć był niczym skała, niewzruszony w swej sile, cierpliwości i determinacji. Poczowała ciepły przypływ wdzięczności. Dobrze wiedziała, co może dla niego zrobić. Może wprowadzić się do ich domu i gotować. Od dwudziestu lat udawał, że z przyjemnością spożywa nienadające się do jedzenia posiłki szykowane przez żonę. Czas, by córka dowiedziała się od niej prawdy, a ten biedak spróbował dla odmiany czegoś dobrego.

— Chętnie zamieszkam w spiżarni na dole i jeśli to możliwe, zabrałabym z sobą ławę, na której sypiała Maja.

— W spiżarni?

— Naprawdę nie dam rady wspinać się codziennie po schodach.

— Absolutnie wykluczone! Możesz zabrać ławę Mai, ale nie pozwolę ci zamieszkać w naszej spiżarni.

. Trzydzieści jeden dni później Parwati wprowadziła się do spiżarni domu Bali i Rubini. Ława Mai pasowała do niej w sam raz. Zobaczywszy, że Maja odeszła z taką łatwością, Parwati przestała lękać się śmierci.

## Gdy zabrakło Mai

Za dnia, gdy Rubini pracowała w sierocińcu, Parwati gotowała; kiedy Bala przychodził do domu w porze lunchu, jedli razem posiłek. Zdawało się, że czas z nią spędzony sprawia mu przyjemność. Ich relacje były łatwe, zupełnie inne niż pole minowe, po którym poruszał się z jej pasierbicą. Parwati zauważyła, że nigdy się nie dotykają, jakkolwiek było oczywiste, że Bala głęboko kocha żonę, a jej zależy na nim bardziej, niż skora jest to okazać. Gdy przebywała w domu, w powietrzu zawsze wyczuwało się lekkie napięcie wynikające z nierozwiązanych problemów uczuciowych. Gdyby tylko Rubini zechciała opuścić gardę, biedny Bala nie snułby się po domu bezgłośnie jak cień.

Jednak w czasie lunchu dzielił się z Parwate najrozmaitszymi informacjami. Niektóre były zabawne, inne tak mętne, że zastanawiała się, skąd je czerpie, a jeszcze inne tak ważne, że zachodziła w głowę, dlaczego ludzie ich nie znają. Po



wypełnionym rozmową lunchu Bala wracał do szkoły, a Parwati parzyła herbatę, którą wypijała z córką. W porównaniu ze spotkaniami z Balą, były to krótkie i ciche posiedzenia. Wszelako nie wywoływały poczucia dyskomfortu. Później Rubini szła na górę, żeby popracować. Lubiła przynosić do domu tak zwane projekty, czyli plany rozwoju sierocińca. Parwati spędzała trochę czasu, pracując w ogródku, a następnie zaczynała szykować skromną rodzinną kolację. Spożywali ją w milczeniu. Jeśli rozmawiali, to krótko i o sprawach codziennych, nigdy nie poruszając ważnych zagadnień. Czasem Bala włączał telewizor i wtedy cała trójka milkła. Później Rubini zmywała naczynia, a Parwati zostawiała małżonków na noc i udawała się do swojej siedziby.

Spizarnia była malutka i zupełnie pusta, lecz jej się to podobało. Panowały w niej półmrok i cisza, w których było coś wiecznego i niezmiennego. Przypominała ogorzałe twarze rybaków we wszystkich zakątkach świata. Zdawało się, że czas nie gra roli. Światło ulicznej lampy padało przez wysokie okno prosto na posążek węża, a ten roztaczał opiekuńczy blask. Parwati siadała na łóżku i przypominała sobie, z jaką niecierpliwością czuwała za młodu w samotności przy oknie, patrząc na ludzi wchodzących do kina i wychodzących z zeń. Teraz, gdy jej ciało nie było już młode, gdy jej włosy posiwiały, a pożądanie rozplynęło się, musiała się nauczyć cieszyć samotnością i pustką życia. Po latach kraty trzymające więźnia w niewoli stają się dlań cenne. Co wieczór chętnie wracała do tych gasnących godzin. Pozostawiona sobie i otoczona cienistą ciszą, zamykała oczy

i wspominała bogaty świat, którego nie sposób już było odzyskać. Matka czesząca włosy. Wołanie Mai. Kupu w miękkim blasku poranka, otoczony kolorowym ptactwem. Hattori, stojący na balkonie i z lękiem czekający brzasku. Duchy nie tylko uśmiechały się do niej, lecz także poruszały się, czasem nawet podbiegały z twarzami rozjaśnionymi blaskiem lampy. Gdy się zbliżyły, łapała je i trzymała zawzięcie cienkimi kościstymi rękami; chciała zatrzymać je na wieki tuż obok serca. Zamierzała spędzić resztę swoich dni w sekretnym świecie zmierzchu, zapominając o tym, co odpowiedziała kiedyś Maja na jej pytanie: — Jeśli każdy przybywa na świat, by spełnić określone zadanie, to jakie jest moje? Niczego nie zdołałam. Z czego mogę być dumna w ostatniej minucie mojego życia?

Maja odparła:

— *Da*, przyjdzie taki dzień, gdy zainspirujesz kogoś, żeby uczynił coś dla Hindusów w tym kraju. Przywracanie dumy złamanemu narodowi to bardzo długi proces.

Trzydzieści pięć lat później

Hindraf

*Kuala Lumpur, grudzień 2007*

— Przywieziono nową dziewczynkę, biedactwo cierpi na mongolizm — oznajmił kucharz z sierocińca, gdy Rubini przekraczała próg. — Ludzkie okrucieństwo nigdy nie przestanie mnie zaskakiwać. Po śmierci matki tej małej przed czterema laty wuj przywiązał ją do słupa jak psa, żądając pieniędzy od babki, ale staruszka zmarła w zeszłym tygodniu, więc dzisiaj rano podrzucił do nas tę sierotę. Musiał ją kiedyś mocno uderzyć, bo jest głucha na prawe ucho.

Rubini pokonała wąski korytarz, w którym dzieci zostawiały teczki i buty. Przed gabinetem matki Moses zobaczyła dziewczynkę. Biedne stworzenie siedziało na podłodze, mimo że obok stały puste krzesła. Jej włosy były zmierzwione, a sukienka brudna. Miała rany na rękach i nogach. Słyszając kroki, z obawą odwróciła główkę, lecz na widok Rubini jej ciemne oczy nagle powiększyły się ze zdumienia.

Na okrągłej umorusanej buzi pojawił się wielki bezmyślny uśmiech.

— Babcia! — krzyknęło radośnie dziecko.

Serce moje, co ja z tobą zrobię? — pomyślała Rubini i przykucnęła obok dziewczynki. Otoczył ją okropny smród. Nagle mała brudaska, przez cztery lata przykuta do słupa, zarzuciła rączki na szyję Rubini.

— Przyszłaś, żeby zabrać mnie do domu?

Rubini wyplątała się z objęć i powoli pokręciła głową. Dziecko patrzyło na nią pustym spojrzeniem. Rubini zbliżyła usta do niesłyszącego ucha dziewczynki.

— Nie mogę — wyszeptała. — Zawsze przynoszę zgubę tym, których kocham. Już teraz wiem, że nie ścierpiałabym utraty kogoś takiego jak ty.

Dziewczynka odsunęła główkę, nic nie rozumiejąc. Potem nagle uśmiechnęła się, rozłożyła rączkę i pokazała martwą pszczołę. Rubini poczuła przyływ niepojętego uczucia, tak silnego, że wprawiło ją w szok. Wyprostowała się i szybkim krokiem wyszła z ciemnego korytarza na zalany słońcem ganek. Nie zatrzymując się, zostawiła za sobą bramę i znalazła się na ulicy.

Opieka nad dzieckiem będzie nastęrczała zbyt wiele trudności.

„To nieprawda”, odezwał się głos w głowie Rubini. Przysporzy macosze dodatkowej pracy, a nie powinna. „Dlaczegoż to?”, drwił głos. „Wszak to ty będziesz się zajmować małą w domu i zabierać ją z sobą do pracy”. Obowiązki zakłóca spokój Bali.

„Kłamczucha! Dobrze wiesz, że będzie za nią szalał. On uwielbia dzieci”.

Rubini zatrzymała się raptownie.

— Nie — powiedziała z takim zdecydowaniem, że głos musiał zamilknąć. Odwróciła się na pięcie i biegiem wróciła do ośrodka.

•••

Bala wszedł do kuchni w chwili, gdy Parwati stała przy zlewozmywaku, odlewając wodę z garnka z gotowanym ryżem.

— Pomóc ci? — spytał, zmierzając w jej stronę. Parwati pokręciła głową i odwróciwszy się do niego lekko, zobaczyła, że zięć z trudem hamuje wybuch radości. Postawiła garnek i stanęła tyłem do suszarki.

— Co się stało?

Bala pełnym roztargnienia ruchem klapnął na najbliższe krzeselko.

— Pamiętasz, jak dawno temu, trzynastego maja, w czasie rozruchów, Maja oznajmiła, że Hindusi w tym kraju wydobędą się z upodlenia i zajmą należne im miejsce?

Parwati skinęła głową.

— Wtedy zmilczałem, choć bardzo w to wątpiłem. Ale wiesz co? Zdaje mi się, że Maja jednak miała rację.

. — Ach tak — odparła Parwati, siadając obok zięcia.

— Z początku nie powiązałem różnych toczących się wydarzeń ze słowami Mai. Organizacja o nazwie Hindraf złożyła w imieniu malezyjskich Hindusów pozew do Sądu Królewskiego w Londynie przeciwko rządowi brytyjskiemu. Zażądali czterech bilionów amerykańskich dolarów, czyli po

milionie na każdego Malezyjczyka hinduskiego pochodzenia, za sprowadzenie Hindusów na Malaje w charakterze przymusowych robotników i ich wykorzystywanie, a później, po uzyskaniu przez kraj niepodległości, za niezabezpieczenie ich praw w konstytucji. A ponieważ nie stać ich było na opłacenie kosztów procesu, tych pięciu złożyło na ręce królowej Anglii petycję z prośbą, by wyznaczyła swojego doradcę prawnego na ich pełnomocnika. Wymyślili, że przy okazji doręczania petycji brytyjskiej Wysokiej Komisji zorganizują wielki wiec pokojowy, ale policja nie wydała im pozwolenia. Odmowa oznaczała, że każde zgromadzenie w tym miejscu będzie nielegalne. Na przekór groźbom ze strony policji i władz, zamieszczonym we wszystkich gazetach, i blokadom głównych dróg prowadzących do stolicy na wezwanie stawiało się ponad dwadzieścia tysięcy Hindusów z całej Malezji. Nieśli wizerunek Mahatmy Gandhiego, by pokazać, że demonstracja ma charakter pokojowy, lecz mimo to specjalne oddziały policyjne w sile pięciu tysięcy wypuściły na zgromadzonych gaz łzawiący i zaatakowały ich armatkami z chemicznie wzbogaconą wodą. Wielu aresztowano, a premier osobiście podpisał rozporządzenie, by uwięzić przywódców Hindrafu i postawić im zarzuty na mocy ISA1, ale ja postanowiłem przyłączyć się do ruchu.

— Cóż to takiego? — spytała Parwati.

Po powrocie wieczorem do domu Rubini z wyteżoną uwagą wysłuchiwała Bali, który powtórzył jej wszystko, co wcześniej

---

1Internal Security Act — Ustawa o ochronie bezpieczeństwa wewnętrznego.

opowiedział Parwati. Jednak na wieść, że mąż chce przystąpić do ruchu i wziąć udział w manifestacji, spytała:

— Nie mówisz tego serio, prawda? Bala spojrział na nią ze zdziwieniem.

— Dlaczegoż by nie? Kiedy Maja opowiadała o Hindusach i ich nienawiści do samych siebie, myślałem, że to musi być prawda. Widziałem, jak ludzie innych narodowości patrzą czasem na Hindusów. Próbowałem zdystansować się od poczucia wstydu, mówiąc: „W gruncie rzeczy nie jestem Hindusem, lecz Cejlończykiem”. Ale ona miała rację, wystarczy cofnąć się w czasie, by zobaczyć ukrytego w sobie nędznego Hindusa. Bo widzisz, ja także uważam, że Chińczycy są od nas lepsi. Zawsze podziwiałem ich zdyscyplinowanie, przedsiębiorczość, skupienie na dążeniu do celu, umiejętność rezygnacji z przyjemności oraz, choć trudno mi to przyznać, biel ich skóry. Przyjście na świat w kraju, w którym słońce piecze bezlitośnie, oznacza, że wpadasz w pogoń za tą rzadkością, którą jest biała skóra. Ale w zeszły czwartek jechałem ulicą Abdullah i zobaczyłem hinduską dziewczynkę w przydomowym ogródku, zrywającą kwiaty na ołtarzyk. W jednej dłoni trzymała metalową tackę, a w drugiej parasolkę, którą z pewnością osłaniała się przed słońcem, żeby jej skóra nie pociemniała jeszcze bardziej. Widziałem więc tylko ręce i nogi. Niektórzy mają na ciele wiele odcieni, ale jej skóra była równomiernie brązowa i słowo daję, że nigdy nie widziałem gładszej. Nagle uświadomiłem sobie, że w tym zatrutym kielichu jest uświęcone wino. Po raz pierwszy w życiu pomyślałem: „Mój Boże, brązowy kolor jest piękny”.



Bala nachylił się, w jego postawie widoczna była pasja.

— Masz jasną skórę i zawsze mi się to w tobie podobało, i oczywiście nie zmieniałbym w tobie niczego, ale wiem, że się myliłem. Ciemna skóra też może być cudem. Mówi o sercu, które cierpiało z powodu uprzedzeń i dzięki temu stało się miękkie i pełne współczucia. Mówi o człowieku, który dopiero nazwie swoją skórę piękną, którego trzeba nauczyć, aby wybierał brąz z własnej woli, gdyż w niczym nie ustępuje on innym kolorom. Wyobraź sobie, że jesteś tą, która mu to pokaże. Wyobraź sobie twarz tego człowieka, gdy się tego dowie. Zrozumiałem, że nasz upadek nie jest winą innych ras, lecz naszego poczucia niższości. Inni ludzie niczym lustra odbijają uczucia, które w skrytości do siebie żywimy. Matka myśli, że podbudowuje dziecko, mówiąc mu: „Spójrz na Chińczyków, jak wspaniale im się powodzi. Bądź taki jak oni”. Ta matka nie wie, że jej dziecko słyszy: „Nie jesteś taki. Udawaj takiego, bo tak wiele ci brakuje”. Lecz tak jak zapowiedziała Maja, Hindus spał, ale pewnego dnia się zbudzi. Ten dzień właśnie nadszedł. Przybyli w wielkiej sile, wiedząc, że mogą zostać aresztowani, ranni bądź zabici. Władze podgrzewały nienawiść rasową w myśl zasady dziel i rządź, jednak w czasie demonstracji ranni i pobici uciekali do najbliższych domów. To była malajska dzielnica, ale wszyscy mieszkańcy nam pomagali. Rubini zakryła usta i się odwróciła.

— Nie odwracaj się do mnie plecami, Rubini. Ja nie robię tego wyłącznie dla zgębionych Hindusów, ale także dla siebie. Chcę wziąć udział w tej przemianie. Pamiętaj, co

mówiła Maja: każdy przychodzi na ten świat, by w swoim życiu wypełnić jakieś szczególne zadanie, i tylko on ma odpowiednie umiejętności, by tego dokonać po swojemu. Oto zadanie, dla którego przyszedłem na świat. Przez całe życie przygotowywałem się, by uczyć pozostałych myśleć w ten sposób. Będę to także robił dla dzieci w sierocińcu. Dla ich przyszłości. Nie chcesz, żeby ich życie było inne? Rubini milczała, mocno zacisnąwszy powieki.

— A zatem nie potrafisz tego zrozumieć, prawda? Nie wiesz, czym naprawdę jest nienawiść do samego siebie. Jesteś piękna i masz jasną skórę. Gdziekolwiek się pojawisz, mężczyźni spoglądają na ciebie z podziwem, a kobiety ukradkiem zerkają na twoje ubrania, torebki i buty. Może i wyglądasz jak biała kobieta, Rubini, ale ci ludzie to twoi rodacy.

— Nie tak prędko — wtrąciła z pasją Rubini. — Wcale nie wstydzę się swoich korzeni, ale czy nie powiedziałaś przed chwilą, że władza używa gazu łzawiącego i polewa zwolenników Hindrafu wodą z dodatkiem środków chemicznych? Ci, którzy nie giną w czasie demonstracji, są wtrącani do więzień pod zarzutem terroryzmu. Nie obchodzi cię, że i tobie może się przytrafić coś złego? A jeśli do tego dojdzie, co wtedy? Bala z rozczarowaniem pokręcił głową.

— Jesteś moim dniem i nocą, moim dobrem i złem. Tak jak tu stoję, jesteś dla mnie wszystkim i zawsze byłaś, ale chociaż postaraj się zrozumieć, że muszę to zrobić. Jestem tylko człowiekiem, ale jeśli mogę zmienić los mojego narodu, chętnie oddam za to życie. Sprawa jest tego warta. Oni mnie potrzebują, a ty nie — rzekł ze smutkiem.

Rubini podniosła się tak raptownie, że wywróciła krzesło. Jej twarz pobladła. Otworzyła usta, lecz nie wydobyło się z nich ani jedno słowo. Zdawało się, że nie może złapać tchu. Kiedy wreszcie zaczęła mówić, jej głos brzmiał obco — zarazem szorstko i piskliwie.

— Zdaje ci się, że tylko ty wiesz, czym jest nienawiść do siebie. Myślisz, że jestem wyjątkiem. Otwórz szuflady mojej toaletki, a znajdziesz w nich mnóstwo kremów wybielających. Wszyscy Hindusi mają obsesję na punkcie odcienia skóry, dosłownie wszyscy. Zauważa się i odnotowuje najdrobniejsze różnice. Jest to okrutne, bolesne ćwiczenie, gdyż zawsze znajdzie się ktoś jaśniejszy od ciebie. Oddajemy mu się jednak, i to ustawicznie, bo ten miecz ma dwa ostrza. Czekamy, aż nadarzy się okazja pognębienia kogoś, kto ma skórę ciemniejszą od naszej, i w ten sposób poprawiamy sobie samopoczucie. I przy tym udajemy, że zapominamy, iż w oczach innych ras zawsze będziemy czarni. Parwati przypomniała sobie, jak stanęła pod obrazem Pana Kriszny i zawołała: „Masz ciemną skórę, a wszyscy cię wielbią. Ja też mam ciemną skórę, ale nawet mąż mną pogardza. Czemu nie urodziłam się biała?”.

Przez chwilę Bała był tak zaskoczony, że patrzył na żonę szeroko otwartymi oczami. Naraz po jej policzkach spływały łzy. A przecież jego ukochana nigdy nie płakała, nawet na pogrzebach. Zamrugał. Rubini była jego sercem, nie mógł znieść jej łez.

— Już dobrze — wyszeptał cicho. — Nie płacz, proszę. Nie przyłączę się do ruchu i nie będę chodził na manifestacje.

Te słowa sprawiły, że zupełnie się rozkleiła.

— Przykro mi, że cię o to proszę, ale nie zniosłabym, gdybyś... — Nie mogąc dokończyć zdania, stała bezradnie na środku pokoju. Bala zrobił krok w jej stronę, chciał ją objąć i ukoić, lecz ona drgnęła i wbiegła po schodach na górę. Usłyszał, że zamyka się w łazience i odkręca kran. Powoli, jak przystało na starca, wyszedł do ogródka. Parwati siedziała na huśtawce. Podeszedł, usiadł obok niej i patrzył przed siebie pustym wzrokiem. Delikatnie położyła rękę na jego ramieniu.

— Wiesz, jaka ona jest.

Bala tylko skinął w milczeniu głową. Wiedział, że jeśli coś powie, głos może mu się załamać.

— Mimo to możesz wspomagać ruch. Jestem pewna, że tym ludziom przyda się wsparcie finansowe albo umiejętności związane z pracą biurową. Masz taką wiedzę, że więcej zdziałasz za biurkiem niż na ulicy.

Znów skinął głową. Długo siedzieli w milczeniu, po czym Bala powiedział:

— Jest jeszcze jeden powód, dla którego chcę się przyłączyć do tego ruchu. Wiesz, że nie wierzę w krwawiące drzewo i tym podobne, ale wierzę, że mamy prawo do swojej religii. Chciałem wstąpić do ruchu, żeby ujawnić nieoficjalną politykę rządu, który niszczy świątynie. — Na chwilę zawiesił głos, a potem spojrzał na Parwati. — Wczoraj buldożery zburzyły świątynię Kupu.

— Co takiego?! Jak oni mogli! Ziemia prawnie była moją własnością, a ja przekazałam ją Kupu. Władze nie miały prawa!

— Ogłosili, że teren nie został nabyty zgodnie z prawem. Podobno papiery nie były całkowicie w porządku.

— Oryginalne umowy spłonęły w pożarze, ale załatwiłam to przed laty.

— Tak, ale istnieją pewne niejasności, czy ten teren naprawdę leżał w granicach posiadłości Kasu Marimuthu.

— Jestem tego pewna. Mój mąż nie był głupcem i jeśli mówił, że to jego ziemia, to faktycznie tak było.

— Swoje działania tłumaczą tym, że w danej okolicy dokonano odkrycia ważnego dla kraju, że należy o tym zawiadomić odpowiednie władze. Ale to jedynie wymówka, i to nie pierwsza. Pod byle pretekstem zniszczono lub zburzono tysiące świątyń. Studwudziestoletnią świątynię zrównano z ziemią, żeby zrobić miejsce pod budynek policyjny. Minęło siedemnaście lat, a teren wciąż stoi pusty. Inną świątynię zburzono i przeniesiono obok oczyszczalni ścieków. Poziom pogardy jest nie do zniesienia. Parwati zdjęła rękę z ramienia Bali.

— Maja powiedziała kiedyś, że aby naród był zdrowy, potrzebuje swoich mitów i tradycji. Ludzie muszą wiedzieć, że w ich krwi krąży mądrość i siła przodków. To dziedzictwo stanowi odskocznię, dzięki której zdobywają pozycję w świecie. Zarówno Chińczycy, jak i Hindusi mogą się poszczycić długą i wspaniałą historią, ich antenaci dokonali wielkich wynalazków, stworzyli nowe religie i podbili obce ziemie. Malezyjczycy tego nie mają. Mogą się czuć od nich lepsi tylko wówczas, gdy będą ich postrzegać jako bezbożne stworzenia. W malajskiej kulturze jest wiele z hinduizmu.

Wystarczy spojrzeć na tradycyjne malajskie zaślubiny, by dostrzec ogromny hinduski wpływ na ich tradycję i obyczaj. Trudno jest zmienić kulturę, o wiele łatwiej zburzyć każdą starożytną świątynię wskazującą na jej diabelskie pochodzenie. Według nich niszczenie nie jest złe. Czyż ich prorok nie nakazał, by dobry muzułmanin zdeptał na proch każdego bożka, który stanął mu na drodze? Twarz Bali wyrażała zadumę.

— Znasz mnie, wiesz, że nie jestem wielbicielem świątyń i religii, ale już dawno temu zauważyłem, że władze piszą na nowo historię w szkolnych podręcznikach i usuwają z muzeów narodowych tak zwane przedmioty niebędące częścią dziedzictwa narodowego, lecz zburzenie świątyni Kupu dotknęło mnie tak jak nic innego.

— Otóż to. Maja powiedziała, że zagłada świątyni Kupu spowoduje wielką przemianę. Kupu od początku wiedział, że jego świątynia nie przetrwa. Jego zadanie nie polegało na stworzeniu nowej religii. Zburzenie jego świątyni zainspiruje hinduskiego ducha, uświadomi naszym rodakom, że ich kultura i zwyczaje warte są zachowania. Może miast zazdrościć innym nacjom, wreszcie nauczymy się doceniać i podziwiać naszą własną wartość. Wpojono nam nienawiść do koloru naszej skóry, ale jesteśmy wiele warci. To będzie początek.

Kiedy zapadł zmrok, Bala wstał i wyciągnął rękę do teściowej. Parwati podała mu dłoń i razem ruszyli w stronę ciemniejącego domu.

## Zakończenie

Spoglądała na błękitne niebo przez małe okienko swojego pokoju, gdy Rubini zapukała lekko i weszła. Sztywno, jak gdyby jej ciało składało się z drewnianych części, podeszła do łóżka i spojrzała na postać skuloną przy butelce z wodą. Noc była bardzo zimna. Powinna była dać staruszce dodatkowy koc. Teraz już za późno. Nie dotknęła jej ani nie zapłakała, lecz stała wyprostowana obok łóżka. Z miejsca przy oknie Parwati znów podziwiała swoją córkę, która umiała wyglądać godnie i wspaniale nawet w żałobie.

Po chwili podeszła do schowka Parwati. Staruszka sądziła, że nikt o nim nie wie. Wyjęła z niego zawiniątko, położyła je na łóżku i zaczęła rozbierać przybraną matkę. Ostrożnie i z czułością wyprostowała stygnące ciało. Kości, zostały z niej tylko kości. Łzy — tak, łzy! — spadły na martwą kobietę. Pod pozorem ich ścierania pogładziła żałośnie chude ciało; jej ręce zatrzymały się tylko na tych częściach, których

czas nie mógł wysuszyć. Parwati usłyszała głos pierwszego męża: „Pokaż mi swoje pięty”.

Jej córka rozwiązała sznurek na paczce. Delikatnie, jak gdyby tkanina mogła pęknąć, wyjęła kimono macochy. Parwati sprawiło to wielką ulgę, że spośród wszystkich ludzi tylko córka знаła jej tajemnicę. Rubini nie sprawiła się dobrze przy ubieraniu zmarłej. Ktoś powinien był jej powiedzieć, że kimono potrzebuje mocnej ręki matrony lub mężczyzny. Jednak nawet ona wiedziała, że nie da sobie rady z *obi*, nie próbowała go więc zawiązać. Złożyła je i umieściła na brzuchu matki. Nie wyglądało tam źle. Potem przytuliła głowę do piersi zmarłej i po raz pierwszy w życiu nazwała Parwati matką.

— Och, *arna* — szlochała raz po raz, jak gdyby w ten sposób mogła zadośćuczynić za wszystkie lata, gdy omal tego nie powiedziała, lecz powstrzymywała ją zwykła zawziętość. Parwati chciała ją pocieszyć, lecz nie mając ciała ani głosu, krążyła niepewnie koło okna. Skieruj czułą myśl na jej skronie, powiedział znajomy głos. Tak też zrobiła. Kocham cię, rzekła, a Rubini wyprostowała się nagle i rozejrzała po pokoju. Potem Parwati dotknęła serca i kąciki ust Rubini nieco się uniosły. Gdzieś obok Parwati jaśniało błękitne światło, lecz Rubini nie mogła go widzieć, toteż skierowała wzrok na twarz zmarłej matki. Parwati spojrzała w oślepiający blask. Pojawił się on, Hattori-san. Nic nie mówił, tylko się uśmiechał. Wrócił po nią. To był jedynie sen, lecz jakież cudowny był ten sen. Kierując się w stronę Hattori-sana, zobaczyła, że inni także



na nią czekają, i już wiedziała, że Maja miała rację. Te istoty rodzą się z błogosławieństwa, błogosławieństwo je karmi i do błogosławieństwa powracają. Nie istniało coś takiego jak strata. Nic nigdy nie zostaje utracone. Mężowie, synowie, kochankowie. Wszystkich zabierasz z sobą. Tylko miłość trwa poza śmiercią. Teraz już to wiedziała. Miłość, tylko miłość jest przyczyną stworzenia i istnienia wszystkich rzeczy.

Bala wszedł do pokoju i Rubini z głośnych łkaniem rzuciła się w jego ramiona. Przytulił ją mocno.

— Kocham cię — wyszlochała. — Kocham cię od lat, tylko nie umiałam tego powiedzieć. I żałuję, że po tej pierwszej nocy nigdy się nie kochaliśmy. Tak bardzo bałam się, że znów nie wyjdzie, że znów będę zraniona.

Zdumiony Bala ucałował jej włosy. Angielskie róże.

— Nie żałuj — powiedział. — Otrzymałem od ciebie aż nadto wiele.

Rubini odsunęła głowę i z niepokojem popatrzyła na jego drogą pomarszczoną twarz.

— Żałuję także, że nie mieliśmy dzieci, ale jeśli pozwolisz, sprowadzę do domu małą dziewczynkę. Ma na imię Leela. Jej wuj przez cztery lata trzymał ją przywiązaną do pała.

Bala się uśmiechnął.

— Leela zdecydowanie przyda się w tym domu.

— Dziękuję, kochany. Nie będę już stała ci na drodze. Wstąp do Hindrafu, zrób coś, by ten świat był lepszy. Może ja też z tobą pójdę — powiedziała, uśmiechając się przez łzy.

Bala przygarnął ją do siebie. Wyjął ostatni kolec ze stopy. Droga biegła prosto i była niewyobrażalnie piękna.

Parwati odwróciła się i spojrzała na magnetofon kasetowy. Przez chwilę nie mogła zrozumieć. Nie pamiętała, żeby coś nagrywała na kasyety, ale musiała to robić, gdyż wszystkie były wyjęte z plastikowych pudełek i wykorzystane. Potem zrozumiała — wszyscy zgromadzili się w Adari, by spełnić swoje zadanie: Maja była uzdrowicielką, Kupu prorokiem, a ona skrybą, strażnikiem słów. Nie zawiodła, wypełniła swoją misję i zrobiła to dobrze. Uśmiechnęła się.

• • •

Białe światło jaśniało coraz mocniej. W rozświetlonym powietrzu Parwati zobaczyła, że podwójna helisa, którą jej zięć nazywał DNA, jest w istocie węzłem energii. Podstawą życia. Okazało się więc, że religia jest jednak konkretną nauką. Czy to niespodzianka? Umiała już przejrzeć tajemnice. Nie istnieje coś takiego jak bzdurne DNA. Szkoda, że nie może mu powiedzieć o przebogatej i cudownej świadomości, żyjącej wewnątrz DNA, o milionach lat wspomnień trwających w każdym maleńkim atomie. To był powód, dla którego to samo białko, istniejące w fasolce, po drobnej zmianie sekwencji kodu może się przeistoczyć w człowieka — a zatem stać się miłością, nienawiścią, modlitwą, grzechem, niszczeniem, tworzeniem, śmiechem, radością, smutkiem, gniewem, zazdrością, przyjemnością, rozpaczą i walką o to, co słuszne. Wszystko — choroba, zagrożenie i instynkt — trwa na wieki. Przeznaczenie nie jest okrutne i bezlitosne. A ludzie jednak nie są kruchymi istotami.

Jesteśmy istotami światła. Rzucamy się w życie, w którym

chwilowo nie umiemy dostrzec swojego światła. Nie wiemy, że spotykamy się, powracając, a później odchodzimy znów i znów, za każdym razem niewyobrażalnie radośni. Nasze światło jest nieogarnione i piękne.

Przepełniona radością Parwati skierowała się w stronę czekającego na nią blasku.

*Ouroborus*

*Każdy koniec jest jedynie nowym początkiem*

## Słowniczek

**Abhishekam** — hinduska święta łaźnia dla posągów bóstw

**Arna** — matka, pani

**Apa** — ojciec

**A pan** — słodkie ciastko z mąki ryżowej

**Arathi** — obrzęd, w czasie którego przed obliczem bóstwa lub człowieka obraca się, zgodnie z ruchem wskazówek zegara, zapaloną kamforę

**Asura** — demon

**Bhagawad Gita** — *Pieśń Boga*; święta księga hinduizmu, część eposu *Mahabharata*

**Dei** — niegrzeczny sposób zwracania się do chłopca lub mężczyzny

**Devas** — niebiańscy półbogowie

**Dhobi** — człowiek trudniący się praniem ubrań

**Dothi** — skrawek białego materiału zarzucony na szyję i ramiona mężczyzny

**Fakir** — świątobliwy żebrak

**Hantu** — duch, diabeł

**Jambu** — miejscowy owoc

**Kajał** — kredka do oczu

**Karma** — obowiązek; także skutek uczynków człowieka w poprzednich wcieleniach

**Kasu** — pieniądze, forsa

**Kempeitai** — japońska tajna policja

**Kolumbu** — curry

**Ladhu** — słodkie kolorowe kulki ze smażonej soczewicy i syropu

**Lidi** — miotła zrobiona z włókien liści kokosa

**Mama** — wujek

**Mami** — zamężna kobieta, ciocia, a także pełne szacunku określenie starszej kobiety

**Muram** — płaska, zazwyczaj okrągła pleciona tacka, której kobiety używają do oddzielania ziarenek ryżu od kamieni i łusek

**Muruku** — smażona przekąska z mąki ryżowej

**Panchangam** — almanach

**Pandalas** — odpowiednio udekorowana, tymczasowa konstrukcja

**Pottu** — kropka noszona na czole

**Pulliar** — drugie imię Ganeśi, boga słonia

**Rishi** — dusza, która osiągnęła wysoki stopień realizacji i odrzuciła świat materialny

**Rongeng** — szybki malajski taniec, popularny w czasie świąt; zawodowe tancerki siadają na scenie i czekają, aż zostaną wybrane przez partnera

**Sambar** — gęsta zupa na *dhalu*

**Santhanam** — klej z drzewa sandałowego

**Swaha** — oto moja ofiara, niech moje światło będzie jednością z twoim światłem

**Siwaratri** — święta noc, w czasie której oddaje się część Śiwie

**Tantra** — jedna z nauk o świętości, opisana w księgach Wed

**Thali** — święty wisiołek na rzemyku noszony przez kobiety i symbolizujący ich stan zameżny

**Thulasi** — święta roślina z rodziny bazylii

**Toddy** — sfermentowana woda z kokosa

**Vadai** — okrągły, płaski placek z *dhalu*

**Vahana** — niebiański pojazd

**Varuval** — gęste curry o konsystencji ciasta

**Veshti** — kawałek materiału noszony przez mężczyzn na biodrach

tak jak sarong

**Vibuthi** — święty popiół

**Vipala** — miara czasu

**Yagna** — ofiara składana w ogniu

**Yemen** — zwiastun śmierci